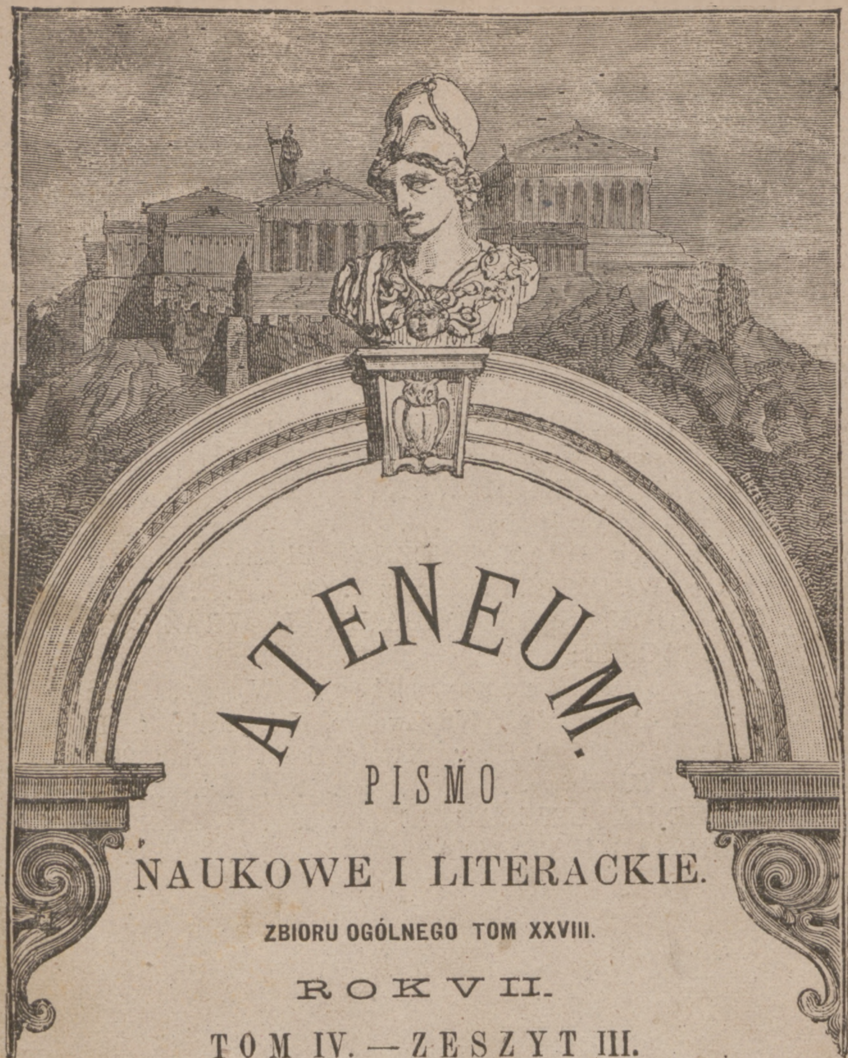


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVIII.

ROK VII.

TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1882.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Grudnia 1882 r.

ZAŁATWIONA SPRAWA.

Mądry król w starym Rzymie niechciał płacić zbyt wysokiéj ceny, żądanéj za księgi Sybilińskie; lecz kiedy mu coraz mniéj tych ksiąg ofiarowano, a ceny wymagano zawsze jednakiéj, musiał przystać na nią, z obawy, że księgi zaginą do szczętu i ludzie z mądrości w nich zawartéj już korzystać nie będą mogli. Starożytne podanie zdaje się w ten sposób tłómaczyć wypada, że mądrości nigdy zbyt drogo opłacić nie można, bo ona cenniejszą jest nad wszelkie skarby. Za naszych czasów nikt już mądrym królom ksiąg sybilińskich nie przynosi; coraz to nowe trudności, które się rodzą w życiu narodów, bez pomocy wyroczni załatwiać trzeba, ale jak w bajce rzymskiéj, tém drożéj to kosztuje, im dłużéj z załatwieniem sprawy ludzie się ociągają.

Każde ze społeczeństw nowożytnych zaprzątnięte jest ciągłym rozwiązywaniem rozmaitych kwestyj, usuwaniem najrozliczniejszych przeszkód i zapór tamujących prawidłowy bieg życia, tu — w sferach polityki, ówdzie — na polu ekonomicznéj, czysto gospodarskiéj pracy. Kwestye te nazywamy dzisiaj społecznemi. Czy to anarchiści burzą się we Francyi, czy demokracya socyalna w Niemczech wygłasza wygórowane pretensye, czy u nas sprawy o służebności niepokoją właścicieli, czy w guberniach „zachodnich“ Cesarstwa czynszownicy i dzierżawcy roszczą pretensye do ziemi, na któréj osiedli, — wszystko to, chociaż może nie w jednakim stopniu, ale zawsze tego samego gatunku niepokój rodzi w społeczeństwie, staje się kwestyą obchodzącą wszystkich, bo wszystkim zarówno utrudnia stosunki gospodarskie, przemysłowe, handlowe, wymagające koniecznie coraz jaśniejszego określenia praw każdéj osoby do rzeczy i do czynności. Kwestyj tego rodzaju, dzisiaj przynajmniéj, inaczéj załatwić nie można, jak aktem prawodawczym, który sto-

sunki, powikłane biegiem historycznego życia, na nowo reguluje i usiłuje wprowadzić je na drogę prawidłowego kształcenia się, na któréj by się swobodnie rozwijać nadal mogły, zapewniając przez to ludziom obok siebie żyjącym — spokój, owo bodaj najgoręcéj przez każdego pożądane dobro, w naszych niespokojnych czasach. I my téż mogliśmy przekonać się niejednokrotnie, że skoro przedstawia się możność ku temu i sprzyjające okoliczności, nawet wysoką ceną warto spokój opłacić, bo po latach kilku zażądają od nas za ten cenny towar nierównie więcéj, albo dadzą go nam znacznie mniejszą dozę za tę samę cenę.

Jedną z kwestyj tego rodzaju, dość długo trapiącą społeczeństwo nasze, szczególnie w guberniach, które dawniéj składały W. Ks. Litewskie, był stosunek między właścicielami majątków a ludźmi tak zwanemi *wolnémi*. Publicyści nasi i rosyjscy w najrozmaitszy sposób prawili i prawią o pochodzeniu téj szczególnéj kategoryi włościan wolnych, jednakże wszystkie ich opowieści nie noszą cechy prawdopodobieństwa. Dotychczas nikt z historyków nie zajął się studyowaniem téj materyi i nie posiadamy żadnego jéj opracowania na mocy dokumentów; podawane zaś wyjaśnienia opierają się na sprawozdaniach władz administracyjnych z ostatnich czasów i noszą na sobie cechę urzędowéj improwizacyi. Wogóle powiadają, że ludzie wolni są potomkami jakichś obcych kolonistów, kiedyś, dawniéj do kraju sprowadzonych. Tymczasem ci ludzie rysami twarzy ani budową ciała, wyznaniem wiary ani obyczajami, nazwiskami ani językiem, w niczém się nie różnią od ludności miejscowéj, nie ma więc żadnego powodu przypisywać im pochodzenie z cudzych, a chociażby i z dalekich stron własnego kraju, zresztą o żadnéj znaczniejszéj kolonizacyi na Żmudzi nie wiadomo z historyi, a tam właśnie najwięcéj znajduje się ludzi wolnych. Jeżeli więc dozwolonem jest objaśniać ich pochodzenie prostémi przypuszczeniami, to wolelibyśmy przypuszczenie najprostsze, i chcielibyśmy w nich widzieć potomków owych, dobrze znanych wszystkim trzem statutom litewskim, *ludzi wolnych* (*zachożych*), o których, jak twierdzi Jaroszewicz, wspominają jeszcze konstytucye z połowy XVII wieku (1). I nie zdawałoby się nam dziwném, gdyby na Żmudzi pewna cząstka ludności wiejskiéj, pomimo wszelkie usiłowania prawodawstwa, potrafiła uniknąć sieci poddaństwa. Wszakże w tamtych okolicach w XVI wieku jeszcze wedle tegoż Jaroszewicza (2) nie było prawie wiosek, a ludzie żyli po większéj części w odosobnionych

(1) Obraz Litwy, od 1844 r. T. II, str. 157, 158, 159.
(2) l. c. T. I, str. 87.

osadach po lasach, i dopiero za panowania Zygmunta Augusta zaczęto ich gromadzić w jedno miejsce. Wielka przestrzeń dóbr koronnych i duchownych, korzystne położenie ekonomiczne w bliskości Prus i Kurlandii, utrudniały zapewne ściste przeprowadzenie poddaństwa i przechodzenie rolników z miejsca na miejsce praktykowało się tam częściéj niż gdzieindziéj aż do ostatnich czasów.

Po r. 1795, gdy administracya rosyjska wprowadzała w kraju nowe porządki i przeprowadzała spis ludności, zapisywano takich ludzi przy majątkach, a tych, którzy upominali się o swe prawo wolności, odznaczano osobném mianem wolnego człowieka, skąd w spisach (rewizskaja skazka) powstała osobna kategorya *wolno-skazkowych*, jak ich w ostatnich czasach przed zniesieniem poddaństwa nazywano. Ponieważ zaś znalazła się uprawniona, szczególna rubryka, oznaczająca pewne prawne stanowisko, być bardzo może, że przy nowych spisach ludności zamieszczano tam czasami i potomków szlachty miejscowéj, którzy przez heroldią nie byli do stanu szlacheckiego zaliczeni, i ludzi pojedyńczo z poddaństwa uwolnionych wskutek rozmaitych okoliczności, i mieszczan, którzy się uprawą roli zajmowali a chcieli uniknąć opłacania podatków w miastach. Nie twierdząc bynajmniéj, że takiém a nie inném jest pochodzenie ludzi wolnych, powiadamy tylko, że ten ich rodowodów zdaje się nam prawdopodobniejszy.

Kiedy w r. 1857 zaczęto pracować nad zniesieniem poddaństwa i urządzeniem stosunków agrarnych, obejrzano się, że jest w kraju, a szczególnie w gub. Kowieńskiéj, dość spora liczba ludzi wolnych, dzierżawiących ziemię na warunkach prawie jednostajnych z poddanymi; ale administracya i publiczność zajętą była wówczas tylko palącą kwestyą zniesienia poddaństwa, więc w prawie z r. 1862 ludzi wolnych jako niepoddanych pominięto zupełnie.

Publicyści rosyjscy, którzy lubią wszędzie doszukiwać się złéj woli szlachty polskiéj, gdzie tylko idzie o sprawę polityczną lub społeczną, powtarzają chętnie jeden za drugim, że liczba ludzi wolnych wzrosła niepomiernie w latach od 1857 do 1862, że umyślnie zapisywano poddanych jako wolnych, żeby nie mieć obowiązku wydzielania im gruntów. Być może że tu i ówdzie były obrabiane cząstkowo tego rodzaju interesa; byłyby one tylko słabém naśladownictwem przykładu podanego przez jednego z wielko-rosyjskich koryfeuszów sprawy uwłaszczenia ludu księcia Czerkaskiego, który potrafił wszystkich swoich poddanych zwolnić i to za pieniądze, pierwiéj nim przystąpiono do wydania pierwszego reskryptu Cesarskiego, zapowiadającego zniesienie poddaństwa, a tłómaczył takie postępowanie swoje tém, że chciał mieć ręce rozwiązane i być w sta-

nie przystąpić do pracy prawodawczéj na tym polu, jako człowiek bezstronny, zgoła interesem własnym nie krępowany. Szczęśliwy, komu niebiosa odkrywając przyszłość, pozwoliły nietylko w porę przewidzieć nadchodzącą reformę, do czego nie potrzeba było być prorokiem, ale nadto, co daleko trudniéj, odgadnąć wysokie stanowisko urzędowe, na którém swe humanitarne pomysły *bezstronnie* i bez straty własnéj przeprowadzać będzie.

Dar proroczy wszelako dosyć jest rzadki i nie wszędzie umieją z niego korzystać, bo oto nad Niemnem nie naśladowano widać zbyt skwapliwie dobrego przykładu ks. Czerkaskiego, jeżeli w r. 1866 świadek, o stronne dla szlachty usposobienie nie podejrzany, generał Kaufman donosił ministrowi spraw wewnętrznych, że liczba ludzi wolnych, zaliczonych do téj kategoryi po r. 1857 stanowi nic nieznaczącą mniejszość w ogólnéj ilości ludzi wolnych. Zresztą, cokolwiekbądź można o tém powiedzieć, rzecz ta na obecny stan sprawy w niczém nie wpływa, bo ludzie, za wolnych uznani po roku 1857, już ukazem z r. 1864 zrównani zostali w prawach z włościanami i zostali uwłaszczeni na równi z nimi.

Wtedy jednak w r. 1864, kiedy w dziewięciu guberniach „zachodnich“ Cesarstwa przeprowadzano uwłaszczenie z urzędu, nie rozciągnięto tego prawa do ludzi wolnych, tak zwanych drugiéj kategoryi; t. j. tych, którzy zapisani byli w spisach ludności jako „wolni“ przed r. 1857, przyznano im tylko prawo nierugowalności na lat 12, zniżając opłacane przez nich czynsze czyli cenę dzierżawną ziemi o 10%, i zalecając aby w ciągu tych lat 12 do r. 1876 zawierali umowy z właścicielami co do dalszych warunków dzierżawy. Rzecz godna uwagi, lubo dla nas wcale nie zadziwiająca, że pewnego rodzaju zalecenia i zachęty, z góry idące, mało okazują się skuteczne, jakby fatalność jaka skazywała je na płonność wiekuistą. I w tym téż razie, cel zamierzony, czy tylko podany za taki, chybiony został prawie całkiem. Pierwsze przystosowanie reglamentacyi administracyjnéj do tych stosunków, bynajmniéj nie budziło ochoty do zawierania nakazanych umów dobrowolnych; wolni dzierżawcy owszem przejęli się nadzieją, że prędzéj czy późniéj uwłaszczenie i ich nie minie, do żadnych więc umów na ogół przystępować nie chcieli. Siedzieli sobie na swych gospodarstwach, wyczekując terminu lat 12 i opłacali czynsze zapisane w książeczkach rachunkowych. Kiedy się zbliżał rok 1876, władze administracyjne widząc, że kontraktów zawarto bardzo niewiele, zaleciły „pośrednikom“ przejrzéć książeczki rachunkowe, stwierdzić je swemi podpisami i zapisać w aktach swoich o tém rezolucyą, legalizowano więc w ten sposób fakt istniejący, ale nie umowy dobrowolne.

Po roku 1876 właściciele zaczęli dochodzić praw swoich; ponieważ skończył się termin nierugowalności, proponowali nowe warunki dzierżawy, a jeżeli takowych nieprzyjmowano, przystępowali do eksmisyi z początku—na drodze sądowéj, a kiedy w r. 1879 sprawy podobnego rodzaju wyjęte zostały z pod kompetencyi sądów i poruczone urzędom do spraw włościańskich, domagali się eksmisyi u władz administracyjnych. Próbowano rozmaitych środków, wszystkie jednak bardzo mało miały powodzenia· niewielka tylko liczba wolnych ludzi,—czy to z powodu wyjątkowych okoliczności, czy ufając dawanym obietnicom, że nowozawarty kontrakt nie przeszkodzi zastosowaniu do nich prawnych rozporządzeń których oczekiwano, czy zresztą w skutek miększego charakteru ulegając namowom właścicieli,—przystała na podpisanie nowych umów; w ogóle zaś trafiono na opór: dzierżawcy nietylko kontraktów podpisywać nie chcieli, ale nie ustępowali ze swych osad, a nawet niekiedy nie dawali się władzom rugować. Powstało wskutek tego dużo procesów różnorodnych; o zaległości w wypłacie, o poniszczone ruchomości, o zasiewy, o opór władzy i stosunek zajątrzył się do tego stopnia, że właściciele sami zapragnęli prędszego jego rozwiązania na drodze prawodawczéj. Rozpoczęto o to starania, które w tym roku uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem: prawo Najwyżéj zatwierdzone d. 3 czerwca b. r. a ogłoszone niedawno, rozstrzyga tę kwestyą nowym aktem uwłaszczenia.

Do nabywania ziemi na własność z pomocą rządu mają prawo byli wolni ludzie drugiéj kategoryi (z przed r. 1857), którzy dotąd przesiadują na tych samych gruntach na mocy kontraktów obowiązujących, w myśl prawa z r. 1864, lub na mocy rezolucyi „pośredników, zastępujących kontrakty, chociaż termina takowych już upłynęły, ale którzy z jakichkolwiekbądź przyczyn nowych umów nie zawarli; a także i ci, którzy przed r. 1864 osiedli na dzierżawach bez żadnych pisanych umów i dotychczas na nich pozostają. Otóż wszyscy ci ludzie mają prawo do dnia 23 kw. r. 1885 albo: nabyć dzierżawioną ziemię na własność za oznaczoną w ukazie cenę (w gub. Kowieńskiéj od 975 do 1430 r. za włókę, w Wileńskiéj 785 r., w Grodzińskiéj 650 r.), sami mają spłacić 15% ceny, resztę płaci rząd obligacyami wykupnemi, spłacalnemi 6-o procentowym czynszem w ciągu lat 49; jeżeli zaś nie chcą nabywać własności, mogą pozostać na swych dzierżawach jeszcze lat 6, licząc od r. 1885, za opłatą czynszów także w ukazie oznaczonych, od r. zaś 1891 przechodzą już na stosunek prawem pospolitém określony. Kto zaś ani kupować ziemi, ani dzierżawić jéj przez lat 6 nie zechce, obowiązany w terminie rocznym tj. 23 kwietnia 1886 r. zwrócić grunta właści-

cielowi i ulega eksmisyi przymusowéj. Przestrzeń gruntów podlegających prawu wykupu oznacza się wedle uprzednich obowiązujących dwunastoletnich kontraktów lub rezolucyj „pośredników,“ a gdzie takowych nie było—wedle dzisiejszéj używalności. Zamiany szachownic dopuszczone; w razie jeżeli dzierżawca miał prawo do służebności pastwiskowych czy leśnych, znoszą się one przy wykupie wedle umowy stron, jeżeliby zaś umowa nie nastała, za służebności strąca się 10% z ceny wykupu.

Tak więc jedna z kwestyj trapiących nasze społeczeństwo doczekała się rozwiązania w drodze prawodawczéj; oby i na krętych ścieżkach życia praktycznego, równie gładko rozwiązaną być mogła! Życzenie to zapisujemy tutaj dla tego, że sprawy drażniące stosunki społeczne, szczególniéj takie, które się lat kilkanaście ciągną, nigdy nie mogą się załatwiać ostatecznie, bez szczeréj chęci i rozumnego współdziałania samego społeczeństwa. I tu zostaje po za nowoogłoszoném prawem pewna liczba ludzi, do których się ono nie stosuje, a którzy obecnie żyją w zupełnie jednostajnych z nowo uwłaszczonymi warunkach. Są to ci z pomiędzy ludzi wolnych, którzy ulegając namowom właścicieli lub „pośredników,“ po r. 1876 lub po wyjściu terminu dwunastoletniéj dzierżawy prawnéj, zawarli urzędownie nowe umowy. Takich gospodarzy nie znajdzie się wielu. Słyszeliśmy od ludzi znających dokładnie stosunki miejscowe, że w gub. kowieńskiéj liczą około 4.000 chat ludzi wolnych, przypuszczać nie można, żeby nawet dziesiąta część z pomiędzy nich dotąd przystała na zawarcie nowych kontraktów dzierżawnych; podejdzie więc pod tę kategoryą, nowém prawem nie objętą, może około 300 gospodarstw. Na całą gub. kowieńską bardzo to niewiele; bezwątpienia jednakże ci ludzie, zapewne dobrzy gospodarze, widocznie charakteru spokojnego, dla właścicieli większych usposobieni przyjaźnie, dzisiaj poczują się pokrzywdzonymi wobec swych sąsiadów, którzy wygrali na tém, że nikogo słuchać nie chcieli, nie wierzyli ani w prawo im ogłoszone, ani w namowy właścicieli lub urzędników. Przy ogólném regulowaniu stosunków owych kilku tysięcy gospodarstw (dokumenta urzędowe z r. 1878 podają liczbę ludzi wolnych w generał-gubernatorstwie Wileńskim na 34.000 dusz) tych kilkuset gospodarzy, w nagrodę swéj dobréj wiary i niechęci do oporu, nie otrzymają własności niezależnéj. Narzekania téj nielicznéj grupy, niewątpliwie znajdą sobie posłuch, chociażby u takiego rodzaju ludzi, którzy uznają za zgodne ze swym interesem niedopuszczać do uspokojenia ludności a drażliwe kwestye jątrzyć i gmatwać. Wedle litery prawa tym łagodniéj usposobionym gospodarzem nie należy się uwłaszczenie. ale wedle słuszności, wedle głosu sumienia społecznego powinni oni

znaleść u właścicieli gotowość do wynagrodzenia za, bądź co bądź dobre i sumienne swe postępowanie. Nie wątpimy też, że taką gotowość znajdą, że obywatele gub. kowieńskiéj o których tu głównie chodzi, a za których początkowaniem obecna ustawa przeszła całą drogę prawodawczą, nie zechcą sobie ani swym dzieciom pozostawiać nowego zarodka niepokojów, i otwartéj furtki do nowéj administracyjnéj reglamentacyi i nowego z czasem uwłaszczania.

Słyszeliśmy, że w kole marszałków gub. kowieńskiéj ks. Ogiński pierwszy podał myśl wezwania obywateli, aby nie robili różnicy pomiędzy kategoryami ludzi wolnych i wszystkim im zarówno ziemię dzierżawioną na wykup oddali, bez względu na zawarte lub nie dobrowolne o dzierżawę umowy. Zdaje się nam, że właściciele ziemscy powinniby usłuchać głosu człowieka przezornego, i nie cofać się przed pewną, nieznaczną zresztą stratą w chwili obecnéj, dla zapewnienia sobie spokojności na przyszłość i zabezpieczenia się od strat, które z czasem mogą być znacznie większe.

Publicysta rosyjski zdając sprawę w N. 268 „Gołosu" z całego przebiegu téj kwestyi i chwaląc w jéj przeprowadzeniu rozum praktyczny obywateli gubernii litewskich, wyraża przy téj sposobności zadowolnienie z tego, że do prawodawstwa wprowadzoną została nowa zasada—przyznanie dzierżawcom długoterminowym prawa wykupu dzierżawionych gruntów za cenę prawnie normowaną i znacznie niższą od bieżącéj ceny rynkowéj. My ze swojéj strony wątpimy, aby ukaz wydany w okolicznościach wyjątkowych, dla załatwienia kwestyi specyalnéj, mógł wejść jako zasada do prawa pospolitego, i stać się artykułem kodeksu cywilnego; jeżeliby zaś to stać się miało, nie widzielibyśmy powodu do cieszenia się z takiéj nowouznanéj zasady prawnéj, któraby stała się z konieczności źródłem tylko utrudnienia stosunków dzierżawnych, kiedy one właśnie dla swego utrwalenia, dla kształcenia się normalnego i sprawiedliwego, wymagają jasności i nienaruszalności; przy tych tylko bowiem warunkach mogą ustalić się obyczaje dzierżawne, dla obu stron kontraktujących korzystne. Zresztą, czy nas to cieszyć czy smucić może, o to prawdopodobnie władza prawodawcza kłopotać się nie będzie, i jeżeli potrąciliśmy o ten przedmiot, to z innego całkiem względu. Z podobnych odezw publicystów rosyjskich rozpoznać możemy, że samo pojęcie o prawie własności inne jest w Petersburgu niż w Warszawie, Wilnie lub Kownie; dla tego powinniśmy się uczyć przystosowywać do okoliczności i nie polegać na prawie absolutném, które w oczach prawodawcy, a bardziéj jeszcze w pojęciach wykonawców prawa, może ulegać z łatwością wielu ograniczeniom, lub elastycznéj interpretacyi.

Kwestya ludzi wolnych w północno-zachodnich guberniach cesarstwa, nie jest wcale ostatnią z nierozwiązanych jeszcze u nas spraw społecznych. Kwestya czynszowników w guberniach południowych i służebności w całym kraju, a szczególnie tutaj w królestwie, donioslością swą o wiele ją przenoszą. Spodziewać się można że skoro rząd przystąpił do rozwiązania pierwszéj, zapewne nie okaże wstrętu do uregulowania innych. Ukaz z d. 3 czerwca r. b. wydany został z powodu: „objawionéj przez obywateli północno-zachodniego kraju, gotowości współdziałania z rządem do trwałego urządzenia zamieszkujących w ich majątkach ludzi wolnych;"—wnosić ztąd wypada, że inicyatywa ze strony właścicieli, że początkowanie we wzięciu się do rzeczy, jest dla rządu pożądane. Zatém ci wszyscy, którym dobro publiczne i spokój społeczny leży na sercu, powinniby szukać i wynaleść drogę, po którejby głos ich doszedł do sfer rządzących, i tam wykazać naglącą potrzebę zakończenia spraw drażniących, projektowane zaś warunki załatwienia ułożyć ze sprawiedliwém uwzględnieniem interesu stron obu, wskazać drogi i sposoby dla dojścia do celu najwłaściwsze, a w takim razie mogliby mieć nadzieję, że głos ich wysłuchanym, projekt przyjętym będzie. Ofiarowaniem warunków takich, któreby może dzisiaj niejednemu jeszcze niekorzystnémi się wydały, mogliby okupić dla całego kraju spokój gospodarski i społeczny, swobodę rozporządzania swoją własnością, a przy tém odzyskaliby choć trochę głosu w sprawach publicznych, który już tak dawno im nie służy, i zabezpieczyćby się mogli w ten sposób od ustawicznego na ich niekorzyść tłómaczenia wszelkich wątpliwości jurydycznych przy wykonywaniu prawa napotykanych. W ten sposób za cenę dzisiaj żądaną zakupią księgi sybilińskie, z mądrości w nich zawartéj już zaraz korzystać będą mogli, bez obawy, że jutro od nich za ten sam nabytek dwa razy tyle wymaganém będzie. Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha!

POLITYKA FRYDERYKA II PRUSKIEGO.

(Geschichte der Preussischen Politik von Johann Gustav Droysen. Fünfter Theil.—Friedrich der Grosse.—Dritter Band.—Leipzig, Verlag von Veit et Comp.—1881).

Nie można powiedziéć, aby *obecna* właśnie historyografia pruska nie umiała być wdzięczną pamięci twórcy pruskiego państwa: „*Fryderyk Wielki*“ wszedł znów na porządek dzienny historyografii pruskiéj i rywalizuje na nim zwycięzko z przodkiem swym z ciała i ducha, z tak zwanym „wielkiem elektorem,“ Fryderykiem Wilhelmem, którego sobie wzięło również grono uczonych za szczególny przedmiot historycznych studyów, za inicyatywą i pod protektoratem dzisiejszego następcy tronu prusko-niemieckiego. Historyografia, *Fryderykowa*, jeżeli tak wolno powiedziéć, przedstawia istotnie pośród ogólnéj historycznéj literatury w Prusach i Niemczech wyjątkowo urozmaiconą i obfitą dziedzinę. Co za mnóstwo pragmatycznych opracowań całéj téj epoki, co za obfitość monografij, dokumentowych wydawnictw. Maksymilian Duncker zamieszcza w *Preussische Jahrbücher* Treitschkego obszerne studyum o genezie wojny siedmioletniéj, studyum niezaprzeczonéj wartości naukowéj, ale zarazem i tendencyjności, usiłujące przeprowadzić tezę, że Fryderyk rozpoczynając pierwszy wojnę, znajdował się tylko w stanie koniecznéj obrony. Najgorzéj wychodzą na relacyi p. Dunckera Brühl i niańczony przezeń nasz August III. Znakomity badacz dziejów Szląska, historyk przedewszystkiém średniowieczności niemieckiéj, profesor wrocławskiego uniwersytetu Grünhagen, zarzucił również chwilowo swoją specyalność, by uczynić wycieczkę w czasy późniejsze i napisał obszerne a źródłowe dzieło *O pierwszéj wojnie szląskiéj* Fryderyka z lat 1741 i 42. Archiwista berliński Max Posner wydał część korespondencyi Fryderykowéj z cennemi przypiskami. Teraz ogłasza w *Hi-*

storische Zeitschrift Sybla zajmujące i obszerne studyum nad uwagami marginesowemi Fryderyka do dzieł Montesqieu'go. Najważniejszym na polu historyografii Fryderykowéj pojawem pozostanie przecież podjęta kosztem i staraniem królewskiéj Akademii umiejętności w Berlinie, powierzona uczoności i krytycznemu zmysłowi Reinholda Kosera, publikacya „*Polityczněj korespondencyi Fryderyka Wielkiego*,“ wielkie przedsięwzięcie naukowe, które liczy już dotąd cztery grube tomy a sięga do końca roku 1745. Tę właśnie publikacyą z pośród wszystkich wydawnictw i opracowań dotyczących epoki Fryderykowéj mamy powód uważać za najciekawszą, równie jak za najważniejszą, ponieważ po prostu jest najprawdziwszą.

Cokolwiekbądź kto o uczoności i gruntowności niemieckiéj powie, nie umie ona w dotknięciu się osoby i polityki Fryderyka II stanąć na gruncie spokoju i prawdy. Jestto wieczna oscylacya między bezwzględną dewocyą a bezwzględną nienawiścią. Droysen i Ranke między innymi stoją na stanowisku pierwszéj; hr. Vitzthum von Eckstädt i Onno Klopp, partykularysta saski i partykularysta hanowerski na stanowisku drugiéj;—pierwsi idealizują, drudzy poniżają Fryderyka; nie ma nikogo, coby powiedział prostą i jasną jak biały dzień prawdy, że Fryderyk najzręczniejszy i wolny od wszelkich skrupułów, od wszelkich względów religii i moralności mąż stanu i wojownik, nie myślał o Niemcach i Niemczech, że niemi do pewnego stopnia gardził, że idealistą nie był, że myślał jedynie tylko o powiększeniu obszaru i siły swéj brandenburskiéj posiadłości, bez względu na jéj narodowe żywioły, że w dążeniu do podobnego celu nie znał żadnych moralnych przeszkód, a że ludność swego państwa uważał tylko za narzędzia zdolne dźwigać karabin i za warsztat dostarczający pieniędzy jego skarbowi. Ztąd téż jego mądre cokolwiekbądź i przezorne usiłowania około podniesienia dobrobytu państwowego, usiłowania, którym przecież przypisywać jakieś humanitarno-filozoficzne i filantropijne pobudki byłoby podobnym błędem, jakimby było chcieć posądzać o jakieś czułości i sentymentalizmy rolnika starającego się utrzymać żywy inwentarz w dobrym stanie paszy.

Otóż tedy ma dla nas wydana przez p. Kosera *Polityczna korespondencya Fryderyka Wielkiego* przedewszystkiém z tego niespożytą wartość, że z saméj natury rzeczy, ponieważ jest wydawnictwem dokumentów i dokumentowego materyału, nie może się ani w jedną, ani w drugą stronę zapuszczać w sofistyczne argumentacye a dzięki swéj treści pozostawia czytelnika nieobałamuconym i swobodnym sędzią tego, co mu dostarcza. Wyznać zaś należy, iż sumienność wydawcy góruje w téj publikacyi nad wszelkiemi innemi względami, i materyał jakiego dostarcza p. Koser, przemawia donośniéj za prawdą teoryi panów

Kloppa i Vitzthuma, aniżeli za bezwzględną dewocyą Fryderykowych bałwochwalców. Ileż to anegdot cieszących się prawem historycznego obywatelstwa, ileż legend Fryderykowych niknie i ulatnia się w dziedzinę mgły po rozpatrzeniu się w wydanych przez p. Kosera dokumentach! Utrwaloną np. nietylko już po kalendarzach, elementarzach i szkolnych chrestomatiach pruskich, ale stwierdzoną nawet przez powagę tak słynnego i rozgłośnego historyka, jakim był Anglik Carlyle, legendą jest, że Fryderyk za wstąpieniem na tron marzył o „wolności druku,“ że był za swobodnym objawem jakiegobądź zdania, że był obojętnym na paszkwile i satyry, które nawet niżéj na rogach ulic przylepiać kazał, aby im się publiczność lepiéj przypatrywać i wygodniéj czytać je mogła. Legenda to, w któréj historycznéj prawdy tyle prawie, ile we wszystkich legendach. Zacny Koser stwierdza wręcz przeciwnie a stanowczo, „że Fryderyk umiał z prawdziwym artyzmem posługiwać wszelkiemi sposobikami ówczesnéj dyplomacyi, choć najwątpliwszego charakteru.“ Na berlińskiéj poczcie otwierano obce listy, tak mianowicie korespondencyą posła rosyjskiego przy dworze drezdeńskim. Na dziennikarzy miał król również bardzo czujne oko. Zasadę, aby gazetom nie przeszkadzać a paszkwile niżéj rozwieszać, zasadę, któréj się trzymał w sprawach czysto osobistych, lekceważył w interesie państwa. Mianowicie były mu solą w oku gazety hagskie, jak tego dowódcą dwa reskrypta do tamtejszego reprezentanta Podewilsa.

Istnie ziębiące i przerażające wrażenie, sprawia według ogłoszonych przez p. Kosera dokumentów stosunek jego do ówczesnego dworu petersburskiego. Wpływ jego jest tu wiele znaczący, reprezentantem baron Mardefeld. Fryderyk odgrywa, jak ztąd widzimy, pierwszorzędną rolę w połączeniu następcy tronu po Elżbiecie, księcia holsztyńskiego Piotra z księżniczką Anhalt-Zerbst. Równocześnie przekonywają nas ogłoszone przez p. Kosera dokumenta, że Fryderyk budząc w usposobieniu cesarzowéj Elżbiety sztucznie obawy, obawy naturalnie we własnym interesie, doradzał jéj w sposób natarczywy, aby internowanych w Rydze swych krewnych, księcia Antoniego i małżonkę jego, rodziców małoletniego Iwana, rozłączyła „a małemu Iwanowi pozwoliła zniknąć w Syberyi.“ Ze szczegółów tego rodzaju, podanych uczciwie a bez osłony zgroźliwéj prawdy w korespondencyi politycznéj Fryderyka ogłoszonéj przez p. Kosera, wynosi choćby najentuzyastyczniejszy dla króla pruskiego, niemiecki czytelnik, przykre wrażenie, które się nie obraca wcale na korzystny sąd o charakterze i moralności „pustelnika i filozofa ze Sanssouci.“

Takiż sam tylko sąd można z téjże saméj publikacyi wynieść o wielkiéj polityce Fryderyka na wielkiéj widowni niemieckiéj i eu-

ropejskiéj. Gra nieporównanéj, podziwienia godnéj zręczności, ale bez idei i bez ideałów, z pogardą niemieckiego narodu, prawa i interesu zarówno, jak ze wzgardą wszelkich skrupułów i względów, moralnych czy traktatowych, między Austryą a Francyą, gra podjęta jedynie tylko w imię i dla interesu domu brandeburskiego. Walka rozpoczęta w przymierzu „z dziedzicznym wrogiem Niemiec“ przeciw narodowéj od wieków, habsburskiéj cesarskiéj dynastyi niemieckiéj. Przymierze podobne wiąże Fryderyka z Francyą nierozerwalnie aż do końca trwającéj wojny, zabrania mu zawierać partykularnego pokoju.

Cóż mu się wiązać przecież podobnémi skrupułami! Celem wojny jest nabytek Szląska na podstawie urojonego, dawno zbytego przez „wielkiego elektora“ i jego następcę, prawa. Przyciśniona dwustronną nawałnością wojenną, od Francyi i Prus, Austrya pragnie się pozbyć z karku choćby jednego nieprzyjaciela; ofiaruje po cichu, pod koniec roku 1742 Prusom Szląsk. Fryderyk przyjmuje skwapliwie tę ofiarę, zawiera co prędzéj z Austryakami zawieszenie broni w Klein-Schnellendorf, zawiera następnie z nimi pokój we Wrocławiu, rzucając cynicznie i pogardliwie przymierze z wywiedzionymi przez się w pole nie po raz pierwszy i ostatni Francuzami. Austrya, dzięki podobnéj uldze, przychodzi do siebie, gromi efemeryczną cesarskość elektora bawarskiego Karola VII, rozpościera się po Niemczech, staje się przedewszystkiem groźną Francyi. W razie wzrostu przewagi austryackiéj w Niemczech, w razie odniesienia zwycięstwa nad Francyą, rzeczą łatwą do przewidzenia, że Austrya zabierze się do uregulowania rachunku z Prusami, że szląski nabytek może dla Fryderyka przepaść. Cóż się, zapytać by należało, staje dla monarchy, którego patriotyzm *niemiecki* sławi bezmyślnie jako swego bohatera, którego historycy w rodzaju profesora Droysena czczą i wynoszą „szczerze patryotyczny, niemiecki sposób wyślenia,“—punktem i argumentem kulminacyjnym ponownego wystąpienia z pokojowego zacisza na wojenną arenę? Otóż książę Karol lotaryński, brat cesarza Franciszka I, małżonka Maryi Teresy, przeprawił się z wojskami austryackiemi i Rzeszy przez Ren, zabierał się w najlepsze oderwać od Francyi Alzacyą i Lotaryngią, te same „*kraje Rzeszy*,“ które dzisiejsze Prusy uważają za naturalną przynależność Niemiec, a z których odzyskania *dla* Niemiec robią sobie niespożytą zasługę.

Utrata Alzacyi i Lotaryngii w miesiącu maju 1744 roku osłabiała przecież Francyą, nadawała przewagę Austryi i jéj cesarskiéj dynastyi w Niemczech, zagrażała posiadaniu Szląska przez Prusy. Ultrapatriotyczny historyk niemiecki Droysen znajduje tedy w swych

dziejach Fryderyka II rzeczą najzupełniéj usprawiedliwioną, może nawet i ze stanowiska *interesu* niemieckiego najsłuszniejszą, że „król pruski nie mógł żadną miarą dopuścić, aby *Austrya* odzyskała dla Niemiec Alzacyą i Lotaryngią i że obowiązkiem jego było oba kraje dla Francyi ocalić.“ Uważajmy tedy. Wzgląd na konieczność zabezpieczenia sobie zdobyczy szląskiéj, wzgląd czysto natury *pruskiéj* staje się Fryderykowi powodem do wystąpienia przeciw narodowéj dynastyi Niemiec, przeciw ich tryumfowi na polu wojny z dziedzicznym ich wrogiem. Prawdę tego rodzaju oczywistości wykazuje z całą nieosłonioną niczem jaskrawością ogłoszona przez pana Kosera polityczna korespondencya Fryderyka pozostawiając nieuprzedzonemu, niepowodującemu się żadnemi dążnościami i fałszywemi entuzyazmami czytelnikowi ocenienie, ile to sensu i prawdy w owéj zakorzenionéj dzisiaj szczególnie tendencyi „*przefarbowywania*“ Fryderyka na jakiegoś opatrznościowego męża *Niemiec.*

Uwagi te o historyografii Fryderykowéj, mianowicie o drogocennéj publikacyi były tu koniecznie potrzebne. Bez nich nie stanąłby *Droysenowy* Fryderyk, z którym nam się zapoznać przychodzi, w należytém i zrozumiałém świetle.

Profesor Droysen, autor rozpoczętéj już od lat przeszło dwudziestu, liczącéj już dzisiaj mnogie tomy, historyi polityki pruskiéj, zrobił sobie może zyskowniejsze, aniżeli wdzięczne i prawdziwe zadanie idealizowania Fryderyka wbrew wszystkiemu, co o nim np. dokumentowe wydawnictwo p. Kosera powie, wbrew wszelkim faktom, jakie przeciw jego bądźto patryotyzmowi niemieckiemu, bądź przeciw jego rzekomo idealistycznym popędom przytoczy. Profesor Droysen pisze swą historyą polityki pruskiéj, pisze mianowicie swą historyą Fryderyka z najwyraźniejszą stronniczością *ad usum Delphini* wszelkich dzisiejszych prądów i aspiracyj pruskich. Zręczny gracz i spekulant polityczno-wojenny wychodzi na męża idei niemieckiéj, na bohatera opatrzności, która go namaszcza z góry na odegranie wielkiéj i dziejowéj roli, mającéj dopiero znaleść swe ostateczne rozwiązanie, zrozumiały dla wszystkich sens moralny za dni naszych. Wszystko to zaś, dodajmy, wypowiedziane w stylu najgorszym i najzawikłańszym, na jaki się język niemiecki zdobyć może, umyślnie może apokaliptycznym i ciemnym, aby tam, gdzie trzeba nieprzyjemną prawdę wypowiedzieć, takową za pomocą enigmatycznego wysłowienia stłumić i pozostawić w rozmyślnéj wątpliwości. Pod tym względem moglibyśmy z dzieła profesora Droysena, zaciemniającego wszędzie, gdzie trzeba, prawdę Fryderykowych dziejów, liczne poprzytaczać przykłady. Ograniczamy się na następnym, ku przekonaniu czytelnika o prawdzie naszego spostrzeżenia. Autor mówiąc o to-

czących się w miesiącu maju r. 1748 w Akwizgranie negocyacyach pokojowych, odzywa się, jak następuje. „Jeżeli Podewils (minister Fryderyka) pod dniem 15 czerwca donosił o wieści, że *chciano* skorzystać z bliskości Rosyan (*kto*?), aby przeprowadzić w Rzeszy pewne bardzo ważne wnioski (Anträge), jak sądził, wybór Rzymskiego króla, nie przypuszczał, że właśnie wybór tenże został wprowadzony na porządek dzienny w sposób pełen uprzejmości przez Francyą. W Berlinie zaś nie domyślano się, że St. Severin (poseł francuzki) zakomunikował przy téj sposobności hrabiemu Kaunitzowi, iż Fryderyk II objawił w Rzymie życzenie, aby mu przysłano dwóch misyonarzy, którzyby pouczali w wierze katolickiéj. Wieść ta została następnie przez lorda Hyndforda z Petersburga zakomunikowana do Londynu, że król pruski z wiedzą Francyi dał papieżowi zapewnienie, iżby pod pewnemi warunkami miał chęć przejść do katolickiego kościoła a w razie potrzeby zmusić i swój naród gwałtem do podobnego nawrócenia się. Cesarzowa-królowa dowiedziała się o tém, jak donosił, z przejętych listów i nie może sobie postanowienia tego ze strony króla wytłómaczyć inaczéj, jak tylko zamiarem jego, zostania królem polskim po śmierci Augusta III. Jest tém bardzo zaniepokojoną, jakotéż, jeżeli to jest na prawdę zamiarem królewskim, wszystkie europejskie mocarstwa mają interes, aby temu zapobiedz.“

Na tém koniec w opowiadaniu profesora Dreysena o tym ciekawym przedmiocie i ani jednego słowa więcéj. Rzecz sama nieznana dotąd i najwyższéj wagi. Chęć zostania katolikiem ze strony Fryderyka, w interesie naturalnie potrzeby politycznéj, rzucałaby nowe, jaskrawe, osobne całkiem jeszcze światło na charakter twórcy monarchii pruskiéj. Silemy się jednakże, bez własnego obeznania się ze źródłami archiwalnemi, nadaremno, dowiedzieć się nietylko już istotnéj prawdy tego faktu, ale choćby zdania autora o nim z własnéj jego relacyi. Przedstawia on, jak widzi nasz czytelnik z powyższego *dosłownego* przytoczenia, rzecz w sposób tak enigmatyczny, ogranicza się na cudzosłowie St. Severina i lorda Hyndforda, pozostawiając rzecz samą bez ilustracyi własnego zdania i bez wypowiedzenia, czy według *jego* własnych, dokumentowych badań Francuz i Anglik puszczali w obieg fałsz czy prawdę o królu pruskim. Otóż to próbka sposobu pisania Droysenowego, jego historycznego stylu, którybyśmy pozwolili sobie nazwać dość niezręcznie przeprowadzoną sztuką zaciemniania i zasłaniania prawdy tam, gdzieby dzisiejszym prądom i potrzebom politycznym mogła się stać nieprzyjemną...

Po dostarczeniu czytelnikowi tak charakterystycznego dowodu traktowania rzeczy drażliwych przez Droysena, przystąpmy do tre-

ściwego, o ile możności sprawozdania z ostatniego jego tomu Fryderykowych dziejów. . .

Uprzytomnijmy sobie przedewszystkiém ogólną sytuacyą. *Druga* wojna szląska Fryderyka skończyła się wielce podobnie jak pierwsza. Widząc swą szląską zdobycz zabezpieczoną osłabieniem Austryi i Saksonii, widząc nadto Rzeszę Niemiecką i Austryą absorbowane wojną z Francyą, wycofał się Fryderyk poraz drugi z wojny, odstąpił przymierza francuskiego i zawarł z Austryą partykularny pokój w Dreznie, pod koniec roku 1745, przyznający mu ponownie posiadanie Szląska ze strony saméj Austryi, bez gwarancyi, naturalnie europejskiéj. Wyniósł w ten sposób Fryderyk tobołki swe na suchy i bezpieczny brzeg, kiedy cała zachodnia Europa tętniała wrzawą wojenną, kiedy Francya zwycięska pod wodzą marszałka Saskiego przeciw Anglii i Holandyi na lądzie, ponosiła klęski na morzu, kiedy równocześnie Austrya nieszczęśliwa nad Renem i we Flandryi, wetowała swe niepowodzenia we Włoszech w przymierzu z Piemontem przeciw Francuzom i Hiszpanom. Że wśród trwającéj wojny, że pośród jéj różnych i zmiennych kolei, obie wojujące strony będą poszukiwały pruskiego przymierza, pruskiego pośrednictwa, pruskiéj interwencyi, że daléj Prusy same będą zmuszone podawać ucha jednym i drugim propozycyom, przedewszystkiém zaś w stanie tyle niepewnym, wobec zagrażających niebezpieczeństw pozostać z bronią w ręku, a ostatecznie kierować swe kroki względami własnego interesu, jest rzeczą bardzo naturalną. Pozostając na stanowisku zbrojnéj neutralności, mając oczy i uszy otwarte na wszystkie strony, charakteryzuje Fryderyk sam ową epokę po pokoju drezdeńskim aż do wojny siedmioletniéj, epokę — nawiasowo powiedziawszy — opuszczoną w swych pamiętnikach, w sposób następny: „Od czasu pokoju z roku 1746 wyrzekłem się pisać historyi, ponieważ polityczne intrygi, skoro pozostają bez rezultatu, nie więcéj zasługują na uwagę od drażliwości towarzyskich, a szczegóły administracyi wewnętrznéj nie dostarczają historyi dostatecznego materyału.“ Tymczasem właśnie owa *„administracya wewnętrzna“* stanowi przez owo dziesięciolecie pokojowe treść i istotę Fryderykowych rządów. Król pruski utrwala i ubezpiecza swą zdobycz, utrwala ją i ubezpiecza przez utrzymywanie armii na dotychczasowéj stopie (35,000 ludzi), reguluje bieg i szczegóły machiny państwowéj, podnosi i ulepsza stan uzbrojenia fortec, nie szczędzi mianowicie kieszeni swych poddanych, mimo wszystkiego, co o nim jego panegiryczny historyograf mówi. Dziwnie nieco w porównaniu z tém, co nam prawda historyczna zkądinąd o Fryderyku powiada, brzmią nam entuzyastyczne pochwały Droysena o „swobodzie“

żołnierza pruskiego z jego epoki. Naturalnie, nie znajdujemy tu nic ani o *spiessrutach*, jakim żołnierz pruski wówczas podlegał, ani o środkach, za pomocą których się rekrutował; również nie ma tam nic o stanie poddaństwa, w jakie żołnierz pruski po odbyciu wojskowéj służby popadał, ani o stanie nędzy, w jakim się jego żona i dzieci znajdowały. Wszystkie te prawdy stwierdzone i nietajone wcale przez choćby najentuzyastyczniejszych wielbicieli Fryderyka i borusyzmu, jak np. ostatniemi czasy przez znanego w annalach parlamentaryzmu prusko-niemieckiego adwokata Karola Brauna z Wiesbaden, nie istnieją dla oficyalnego historyografa polityki pruskiéj, jakim jest Droysen. „Niezmordowanie—mówi—walczył Fryderyk II przeciw zakradającym się ciągle nadużyciom, mianowicie przeciw dowolnościom pułkowników i kapitanów, którzy władzę swą nad żołnierzami w pułkach i w kantonie wyzyskiwali jako prawo pana nad sługą i w celu wydobywania pieniędzy. Pod karą kasacyi zakazano im „znęcać się nad ludźmi," zamieniać do innych pułków, darowywać, sprzedawać. Nie mają sobie pozwalać postępować z żołnierzami jak z niewolnikami, z którymi-by mogli według upodobania robić co chcą i używać ich do wszystkiego według własnego widzimisię. Nie mniéj ostro jest zagrożony najsurowszemi karami każdy rodzaj brania lub żądania pieniędzy przy wyborze popisowych, przy udzielaniu rocznego urlopu, przy dawaniu pozwoleń na ożenienie. Żadnemu żołnierzowi, skoro skończył lat 20, nie ma być wzbronione pozwolenie do ożenienia. Mianowicie ma być dawany podobny konsens bez wszelkiego pozwolenia i trudności poddanym kraju należącym do pułku, tak tym, którzy się znajdują w szeregach, jak tym, co są jeszcze w domu...... Pomorskie stany krajowe żaliły się z zupełną słusznością, że synowie poddanych chłopów nie znajdują się już pod władzą dominialną, lecz pod rozkazami władzy poborczéj, że od niéj a nie od zwierzchności dominialnéj syn chłopski ma odbierać pozwolenie do ożenienia. Miało to znaczyć, że przez należenie do wojskowego popisu wiejska ludność przestawała należéć do dominialnego inwentarza, przestała nadto, w pańszczyznie dla właściciela wielkiéj posiadłości i w posłuszeństwie dla niego, upatrywać przeznaczenie swego istnienia. Z chwilą ubrania się w czerwony halsztuk i pióropusz na kapeluszu stają się popisowi, jeszcze przed swém ściągnieniem do szeregów „własnością państwa." Prócz tego uczą się w szkole pułkowéj czytać, pisać, rachować; przyzwyczajają się do czystości, porządku, dyscypliny, uwagi; słyszą o Fehrbellinie, Hochstädt, Stralsundzie i o innych miejscach, gdzie pułk ich znajdował się w ogniu; stają się z nadużywanych i prześladowanych poddanych członkami

społeczności, która sięga aż do króla; przy każdéj rewii patrzą na twarz jego. Prawda, że służba jest twarda a dyscyplina nieubłagana, ale nie jest swawolną jak baty i katowanie pańszczyznianie. Na chléb i wodę skazują w wojsku tylko za karę, tylko w drodze wyroku wojskowego; tylko kto łamiąc przysięgę na chorągiew, dezerteruje, wystawia się na przejście przez rózgi. Kto postępuje honorowo i obowiązek swój pełni, nie potrzebuje się niczego obawiać. Taki przynajmniéj jest sens i cel regulaminu służbowego."

Otóż świadectwo, jakie—twierdzimy stanowczo— wbrew prawdzie historycznéj, oficyalny historiograf pruski Droysen, wystawia „wojskowéj swobodzie" Fryderykowéj. Dość źle i dość smutno było, „że pułkownik" i „kapitan" mógł żołnierza traktować mniéj więcéj jak farmer amerykański czarnego niewolnika przed zniesieniem niewoli i aż dopiero rozkazów i rozporządzeń królewskich było trzeba, aby podobnym nadużyciom do pewnego stopnia przynajmniéj przeszkodzić. Zakazy te i rozporządzenia nie były skuteczne, a co oficyalny historyograf z wyraźną krzywdą prawdy historycznéj tutaj przemilcza, to że ani żołnierza po wysłużeniu wojskowo, ani nawet jego dzieci, przebyta służba wojskowa od powrotu w stosunek poddańczy i pańszczyzniany nie chroniła.

Postępując w charakterystyce owéj pokojowéj pracy daléj, w opisie administracyjnych zasług Fryderyka II, wspomina autor z niemniejszą dozą bezwzględnego uwielbienia o organizacyi sprawiedliwości, organizacyi, która się ze stanowiska prozaicznéj prawdy również nieco inaczéj przedstawia, aniżeli powiada oficyalny panegiryk profesora Droysena. Nadto odgrywa już wtenczas rolę w dziejach Fryderyka II, coś, co przypomina rozdzierający dzisiaj wnętrze państwa pruskiego *Kulturkampf*. Mianowicie znamionuje on swoją obecność na widowni nowo-nabytego Szląska. Odzywa się mianowicie owo przeczucie późniejszéj *walki kultury* w zatargu z Rzymem w sprawie obsadzenia wakującego księstwa-biskupstwa wrocławskiego. „W pokoju wrocławskim — mówi Droysen — przeprowadził Fryderyk II wbrew austryackiemu żądaniu w sprawie uregulowania stosunków kościelnych formułę, która mu, o ile tego potrzebował, pozostawiała swobodę działania. Gdy się zobowiązywał, kościół katolicki Szląska utrzymać *in statu quo*, istniejącém w chwili wkroczenia do Szląska, z zupełném zastrzeżeniem przecież swobody sumienia kościoła protestanckiego i praw monarszych, nie miały ani dwór wiedeński, ani rzymska kurya traktatowego prawa protestu przeciw temu, co na podstawie swéj władzy zmienić lub załatwić uważał za rzecz stosowną; téj saméj władzy, któréj prawa dom austryacki przeciw protestantom szląskim, wśród uznania i zatwier-

dzenia kuryi Rzymskiéj, tak często i tak gwałtownie nadużywał. Było już wielkiém ustępstwem dla kuryi, że nowy monarcha zrzekł się w Szląsku tak zwanego *juris reformandi*.

„O dwa teraz punkta głównie chodziło. Pierwszy — przemijającéj natury — dotyczył osobistego przywiązania sfer klerykalnych do dworu wiedeńskiego, przywiązanie, które zapowiadało wziąć koniec z wymarciem obecnéj generacyi. I obecnie nie groziło żadném wielkiém niebezpieczeństwem, jeśli tylko książę-biskup znajdował się po stronie króla. Ówczesny chorował jednakże ustawicznie. Czyż można było kapitule, pośród któréj tylko najmłodszy kanonik nie był Austryakiem, pozostawić wybór następcy? Sincendorff sam (dotychczasowy biskup wrocławski) zalecał zamianowanie koadyutora z prawem następstwa; król zamianował na mocy owego prawa monarszego, jak się to i za czasów austryackich działo, w r. 1743 właśnie tego najmłodszego kanonika — hr. Schaffgotscha, opata klasztoru *na Piasku*, a kapituła uległa po niejakim oporze.

„O wiele większą wagę miał drugi punkt. Chodziło o odpowiednie pogodzenie supremacyi państwa ze słusznémi wymaganiami kościoła rzymskiego a raczéj religii katolickiéj. Fryderyk II uważał za rzecz konieczną i możliwą, na podstawie dobrze zrozumianego charakteru państwa i kościoła, ustanowić między obydwoma stosunek, któryby ich dawny zatarg raz na zawsze usunął. Droga, jaką obrał, nie była drogą gallikańskiego kościoła, a tém mniéj jeszcze drogą, którą zalecał Febronius a punktacye emskie rozwijały. Jemu zależało na tém, aby jego katoliccy poddani mieli zupełną swobodę, aby żyli w swéj wierze, ale zarazem aby byli zabezpieczeni od samowoli i wszechwładzy swego naczelnika. Zamierzał poddanych swoich wyznania rzymskiego wyswobodzić z pod współpanowania duchownych książąt, którzy nie znajdowali się pod prawami jego państwa i z pod najwyższego panowania włoskiego potentata i jego otoczenia. Chciał stworzyć dla swoich krajów katolicki rząd kościelny, który miał być czysto pruskim, aby mu nadać zupełną, wolną swobodę (!) władzy krajowéj. Sincendorff wchodził zupełnie w myśli króla, pracował z nim nad niemi. Miał być ustanowiony generalny wikaryusz; miały mu być powierzone wszystkie kompetencye najwyższéj juryzdykcyi kościelnéj, administracya, dyscyplina, krótko powiedziawszy wszystko, z wyjątkiem nauki kościoła, co biskupowi rzymskiemu w najwyższéj instancyi służy. Tenże sam miał również zastąpić miejsce zagranicznych generałów zakonnych i zagranicznych biskupów, o ile klasztory ich zakonu, o ile części ich dyecezyi znajdowały się w Prusach. Państwo żądało tylko nadzoru nad zarządem majątku kościelnego, potwierdzania wyborów,

doniesienia o exkomunikacyach; wystarczało mu, aby generalny wikaryusz był poddanym pruskim i aby wszystkie duchowne urzędy i prebendy były poobsadzane poddanymi pruskimi. W księciu-biskupie wrocławskim był król pewnym znaleźć odpowiedniego na podobne stanowisko człowieka. (Zauważmy tutaj nawiasowo, że kiedy w roku 1757 — podczas wojny siedmioletniéj — Austryakom udało się wejść przemijająco w posiadanie Wrocławia, książę-biskup wrocławski Fryderykowego autoramentu właśnie — hr. Schaffgotsch, przeszedł demonstracyjnie na ich stronę a następnie schronił się w kraje austryackie, by uniknąć zemsty króla pruskiego).

„Był to czas kiedy stolica apostolska była przez katolickich monarchów prześladowana, w prawach swych ograniczana, niekiedy zagrożona wypowiedzeniem posłuszeństwa. A siedział na niéj wtedy światły, łagodny Benedykt XIV, stary przyjaciel księcia-biskupa wrocławskiego; podziwiał Fryderyka, zaliczał mu wysoko wybudowanie kościoła katolickiego w Berlinie. Oświadczył gotowość utworzenia podobnego wikaryatu. Miał go jednakże mianować nie król, lecz on sam, takiego—oświadczał w swém piśmie z dnia 27 kwietnia 1743 r. — który się nie będzie obawiał uznawać nasz prymat i nas, jako najwyższą kościoła głowę, a który będzie głęboko przekonanym, iż on sam i jego urząd nie są niczem i nie znaczą nic bez zależności od nas i naszego zatwierdzenia.

„Było to prawie wyraźném przeciwieństwem tego, czego chciał Fryderyk.

„Sprawa ta nie spoczywała i w latach następnych. Przy wszelkiéj ustępczości w pojedyńczych przypadkach, pozostał jednakże papież przy swéj zasadzie; przypominał *statum quo*, zaręczony pokojem wrocławskim. Stosunek zaś Fryderyka II do wiedeńskiego dworu nie był tego rodzaju, aby, bez przyzwolenia stolicy Apostolskiéj, był mógł zmieniać cośkolwiekbądź *in statu quo*, który się zobowiązał szanować. Radził sobie nadal według możności, a rząd jego był dość silny i energiczny, aby w kierunku, którego mu upadająca władza papieska w zasadzie przyznać nie chciała, faktycznie postępować naprzód."

Jak ztąd widzimy, stawały w pierwszych latach panowania Fryderyka w obliczu kuryi Rzymskiéj i dworu berlińskiego te same kwestye, te same trudności, które zakłócają pogodę ich stosunków w obecnéj chwili; argumentacya Fryderyka wobec Benedykta XIV przypomina nieźle „motywa" uzasadniające dzisiejsze prawa majowe, a rozumowanie samegoż historyografa różni się bardzo nie wiele od wywodów sejmowych teraźniejszych ministrów pruskich Puttkamera i Gosslera. Pod tym więc względem nie przedstawia dzie-

sięciolecie rządów Fryderyka między drugą wojną szląską a wojną siedmioletnią nic nowego i niespodziewanego dla wrażeń dzisiejszéj epoki. Dość powiedzieć jeszcze tylko ze stanowiska naszego sprawozdawczego obowiązku, że Droysen idealizuje nieprzerwanie Fryderyka jako wielkiego organizatora i administratora pokojowego, jako dobroczyńcę wojska, chłopów i szlachty pruskiéj razem, jako niezrównanego artystę w urządzeniu machiny państwowéj we wszystkich jéj szczegółach i kierunkach. Mianowicie powiadamy jeszcze, że poświęca długie swego dzieła stronice charakterystyce Fryderyka jako organizatora sprawiedliwości, handlu i przemysłu pruskiego, i że działalność ową pokojowéj natury, uważa z jednéj strony jako najważniejszą część dziejów Fryderykowych w pauzie między drugą wojną szląską a siedmioletnią, z drugiéj za fakt rozwiązujący zagadkę jego ostatecznego powodzenia wśród ciężkich opałów wojny siedmioletniéj. Nikt naturalnie nie będzie zaprzeczał Fryderykowi niezrównanego talentu administracyjnego i wojennego, niezrównanéj nadto wytrwałości na każdém polu. Dla *historyi* i krytyki historycznéj nie znajdującéj się na stanowisku bezwzględnego uwielbienia dla swego bohatera, na jakiém widzimy profesora Droysena, jest—jak Niemcy mówią—podziw *jego* właśnie rodzaju „zwyciężonėm stanowiskiem,“ *ein überwundener Standpunkt. Prawdziwa* historya i to w samych już Prusach nawet, mówi iż Fryderyk II-gi zrobił w gruncie rzeczy dla stanu włościańskiego mniéj daleko od swego surowego, spotwarzonego ojca; że dla „sprawiedliwości“ wcale sprawiedliwym nie był, że szlachcic miał dla niego wartość jako materyał na oficera armii, że cała wreszcie pieczołowitość około podniesienia handlu, rolnictwa i przemysłu narodowego, nie zawsze racyonalna i szczęśliwa, miała na celu fiskalność. Tak odzywa się o nim prawda historyczna, przemawiająca niezwyciężonym sensem moralnym z dokumentów niepodejrzanéj wiarogodności. Droysen robi zeń Trajana i Marka Aureliusza o wojowniczych przymiotach Cezara.

Czas teraz przypatrzéć się — postępując tropem autora — zewnętrznéj sytuacyi otaczającéj pokojową działalność króla pruskiego w owéj chwili. Rzeczą bardzo naturalną, że *Austryi* przedewszystkiem było trudno przeboléć stratę Szląska, że zaś, co się tyczy innych mocarstw, każde z nich z osobna starało się wyrwać Prusy ze stanu obecnéj neutralności na swą korzyść. Dwóch wojen naraz, z Prusami i Francyą, nie mogła Austrya brać na swe barki; z jednėm lub z drugiém mocarstwem była Marya Teresa zmuszona zawrzéć pokój. Dlaczego go pod koniec roku 1745 zawarła z Prusami, tłómaczy Droysen, na ten raz dość zrozumiale, w sposób na-

stępny: „Zawierając (Marya Teresa) pokój z Prusami, brała na siebie dalsze prowadzenie wojny z Francyą; dodawała odwagi stronnictwu wojennemu w Anglii i w Holandyi, miała prawo żądać, aby jéj ułatwiono alians z Rosyą, któraby jéj zasłaniała plecy od Porty Ottomańskiéj. Mogła rościć w takim razie pretensyą, aby jéj odzyskano to, co straciła w Niderlandach, we Włoszech, aby jéj za ofiarę Szląska zdobyto kompensaty w Alzacyi, Lotaryngii, Neapolu. Skoroby się zaś Francyą doprowadziło tak daleko, aby taką ceną pokój opłaciła, mogła się łatwo znaleść sposobność, powrócić do Szląska, którego Fryderyk II nie wspierany już od strony Renu, przeciw Austryi, Rosyi, Hanowerowi i komubądź jeszcze, nie mógł skutecznie bronić. Najbliższém zadaniem polityki austryackiéj było zabezpieczyć sobie Rosyą, drugiem — nie mniéj ważném — nie dopuścić ratyfikacyi zawartego pokoju, aby kwestya szląska na jakiéj bądź drodze odżyć mogła. Można było opierać się na fakcie, iż się przez przyjęcie medyacyi zadosyć uczyniło życzeniu mocarstw morskich, lecz że się téż w zamian żąda tém większych subsydiów, energicznych wysileń, energiczniejszego prowadzenia wojny, aniżeli się to dotąd w interesie austryackim działo.“

Odpowiednio do tego zasadniczego programu, odbywają się téż przez cały przeciąg czasu, będący przedmiotem opowiadania Droysena w obecnym tomie jego dzieła, ewolucye polityki austryackiéj. Polityka to konsekwentna, wierna swemu naczelnemu zadaniu, szukająca aliansów w ostatecznym, choć nie zdradzającym się otwarcie nigdy, celu odzyskania na Prusach zdobyczy ich szląskiéj. Naturalnie nie wszystkich mocarstw europejskich, nawet mocarstw sprzymierzonych z Austryą, postawa odpowiada życzeniom owym i aspiracyom Austryi. Pod tym względem wypada nam zwrócić uwagę na Rosyą, Anglią i Holandyą. Co się tyczy *Rosyi*, uważała ją Austrya za naturalą swą aliantkę przeciw pożądliwości pruskiéj, a nie można téż powiedzieć, aby nadzieje jéj w tym względzie były się w Petersburgu spotykały z opoczystym gruntem. Cesarzowa Elżbieta i jéj otoczenie, przedewszystkiem oddany niebezinteresownie Anglii kanclerz Bestużew, objawiali usposobienie, które w całéj swéj nieprzyjaznéj dla Prus pełni miało się objawić w wojnie siedmioletniéj. Wysłany na dwór petersburski w nadzwyczajnéj misyi ze strony Maryi Teresy generał Pretlack znalazł tamże grunt dobrze przygotowany; poseł pruski Mardefeld przeniknął jego intencye, odgadł zawczasu tajemnicę jego powodzeń i dał o nich wiadomość Fryderykowi, któremu podobna skazówka w początku pierwszego pokojowego roku 1746 starczyła, by zbroić swe twierdze, mianowicie szczecińską i nie uszczuplać liczby armii wobec prawdopodobieństwa aliansu rosyjsko-austryackiego.

Wspomnieliśmy dopiero co o postawie innych mocarstw europejskich. Co się tyczy Anglii i Holandyi, przyjęły oba morskie państwa pokój drezdeński z wielkiém zadowoleniem, z większém może dla Fryderyka, aniżeli dla Austryi współczuciem. Mimo to miały powód być zadowolnionemi, że Austryi spada z karku niebezpieczny nieprzyjaciel, a że odtąd dwór wiedeński wszelkie swe siły przeciw Francyi będzie mógł zwrócić. Akcya ich przeciw Francyi nie cieszyła się szczególnémi powodzeniami. Maurycy Saski znaczył kampanią swą flandryjską przeciw Holendrom i Anglikom szeregiem ciągłych zwycięstw i kolejném zdobywaniem flandryjskich i holenderskich fortec. Nie dość na tém, wylądował w Szkocyi pretendent Karol Edward, podniósł sztandar sztuartowskiéj monarchii i sprawił dywersyą, któréj echo nie mogło nie oddziałać na kontynentalną akcyą Anglii.

Wśród podobnego zakłopotania udawali się kolejno: król angielski Jerzy II, naczelnik angielskiego gabinetu lord Granville do Fryderyka o pomoc i zerwanie neutralności. Przebiegły gracz miał jednakże tém mniéj powodu, wystawiać na szwank zaledwie co zyskaną zdobycz szląską wzamian nieokreślonych i niepewnych korzyści, jakie mu ofiarowały mocarstwa morskie, że nie był pewnym Austryi, że wręcz przeciwnie zaczęła stawać w coraz wyraźniejszéj, w coraz dotykalniejszéj postaci rzeczywistość przymierza rosyjsko-austryackiego.

Wobec podobnéj, najgroźniejszéj dla bezpieczeństwa Prus kombinacyi, milknęły wszelkie inne względy, ustawała możność podawania ucha nagabywaniom czy to francuskim, czy angielskim, przedstawiała się konieczność należytego przygotowania na przypadek inwazyi rosyjskiéj. Oddany — jak dopiero co powiedziano — interesowi angielskiemu kanclerz Bestużew, nakazał częścią w Inflantach, częścią pod Smoleńskiem miéć na pogotowiu korpus 40-tysięczny, któryby można w porozumieniu z Rzecząpospolitą Polską przerzucić na pomoc Austryi do Niemiec. Zamach taki był dla Prus tém niebezpieczniejszy, iż się schodził z intrygami Jerzego II i Granville'a w Petersburgu, że usposobienie dworu drezdeńskiego i Brühla dla Prus było wręcz wrogie, że wreszcie — według doniesień pruskiego posła w Petersburgu Mardefelda — Bestużew nie zaniedbywał żadnych starań, aby i Polskę wciągnąć do zasnuwającego się z Austryą przymierza. Co przecież wśród tego wszystkiego, wśród podobnych usiłowań kanclerza rosyjskiego około pozyskania Polski dla przymierza austryacko-rosyjskiego, pozostanie rzeczą najciekawszą to, że równocześnie zaczęły się pojawiać projekty *podziału* Polski między Rosyą a Prusy.

„Jeszcze dziwaczniejsze — mówi Droysen— poczęły się pod koniec marca (1746) rozchodzić na dworze drezdeńskim: że między Rosyą a Prusami jest na pogotowiu porozumienie co do podziału Polski. Nasamprzód miały Elbląg i Toruń być obsadzonemi przez Prusaków, a w Polsce mówiono nawet, że generał Gessler w tym celu już wyruszył. Chodziła także pogłoska, że jest zamiarem Fryderyka II kazać tam obrać królem brata jego Henryka. W Gdańsku odbierano alarmujące doniesienia z nad granicy rosyjskiéj, mianowicie, że takowa jest zamknięta przez silny kordon wojskowy, który nikogo bez osobnego pozwolenia nie przepuszcza; że w Smoleńsku gromadzą się wielkie wojska i wielkie magazyny; że w Polsce jest ogólném zakłopotanie, iż tu chodzi o kwestyą sukcesyi, że dlatego król August powołał senatorów na miesiąc maj do Wschowy, aby się z nimi porozumieć co do sejmu mającego się odbyć w jesieni. Ważniejszą było rzeczą, gdy Mardefeld donosił, że przybył do Petersburga z Drezna objeżdżając przez Morawią, aby uniknąć terytoryum pruskiego. Donosił daléj Mardefeld, że między Petersburgiem a Dreznem toczą się układy o następstwo tronu w Polsce, że król August chce złożyć koronę, aby umożliwić wybór drugiego syna swego Ksawerego, że jako powód téj roboty podają, iż trzeba uprzedzić pruską intrygę w przedmiocie wyboru księcia Henryka.— Wielki kanclerz (Bestużew)—ciągnął Mardefeld daléj—porusza do współki z dworem drezdeńskim niebo i ziemię, aby skłonić Rzeczpospolitą Polską do wstąpienia w przymierze, do jakiego się zabiera między Wiedniem a Dreznem, a w którém-by się wszyscy zobowiązywali J. K. Mość (Fryderyka) ze wszech stron zaczepić, skoroby tylko królowa węgierska miała swobodę działania; ten przypadek zaś nastąpi, skoro wiedeński dwór zawrze pokój z Francyą.“

Tak to zaczęła na ówczesną widownią wypadków występować i Polska, któréj na dwa lata przedtém Stanisław Poniatowski, wojewoda mazowiecki, wypracowywał memoryały w przedmiocie politycznéj i strategicznéj obrony, którą z jednéj strony burzył w swym interesie Fryderyk, w któréj równocześnie z drugiéj strony, jak nas poucza książę Broglie w swém rozgłośném dziele *Le secret du Roi*, bruździła przez swych agentów Francya ku przeprowadzeniu sukcesyi tronowéj księcia Conti. Sprawa polska, *die polnische Frage*, jak ją sam autor w dziele swém nazywa, narzuca się tu uparcie codziennie uwadze Fryderyka i jego dyplomacyi jako najważniejszy, dzięki swemu geograficznemu położeniu oraz pomysłom dworu, Brühla i Czartoryskich, wynik prawdopodobnéj akcyi rosyjskiéj. Jak widzimy z opowiadania autora, spogląda Fryderyk z zakłopotaniem i obawą na postawę dworu petersburskiego, na gromadzącego się

w Inflantach i pod Smoleńskiem żołnierza rosyjskiego, którego w. hetman litewski jakby za rękę ma przeprowadzić przez kraje Rzeczypospolitéj na Prusy. Ku odwróceniu niebezpieczeństwa odbierają instrukcye posłowie pruscy, Mardefeld w Petersburgu, Klinggräffen w Dreznie starać się przemówić do Bestużewa i Brühla znanym argumentem króla Filipa macedońskiego. Ofiary podobne, jakkolwiek wręcz nie odrzucone przez kuszonych dygnitarzy, nie odnoszą przecież zamierzonego skutku a *sprawa polska* zaczynała z wielu względów przybierać dla Fryderyka równie zagadkowe, jak niebezpieczne pozory. Nasamprzód odkryto w październiku 1746 r. w Berlinie niebezpieczną intrygę, któréj główną sprężyną był przebywający w Berlinie, syn patrycyusza gdańskiego, a więc poddanego Rzeczypospolitéj, niejaki Ferber. Przejmowana jego przez policyą Fryderyka korespondencya dostarczyła dowodu, że Ferber utrzymywał związki z posłem rosyjskim w Berlinie Woroncowem, że nadto udzielał ważnych skazówek dotyczących twierdz pruskich i organizacyi wojskowéj pruskiéj dworowi petersburskiemu. Odkryto tę intrygę, stawiono Ferbera przed sąd wojenny, następnie ścięto go w Szpandawie. Fakt ten ubocznéj doniosłości zwracał uwagę Fryderyka na Polskę, jako na warsztat knowającéj się przeciw niemu tajnéj akcyi.

Ważniejsze znaczenie miał fakt następny. Zgodni naówczas jeszcze August III, Brühl, dwór petersburski i Czartoryscy mieli zamiar wciągnąć w zasnuwające się między Austryą a Rosyą przymierze i Polskę; dążąc zaś do podobnego celu nie mogli nie chcieć naturalnie przywieść Rzeczypospolitéj do należytego stanu obrony. Zamierzali tedy w myśl memoryału Stanisława Poniatowskiego z roku 1744 mnożyć siłę zbrojną Polski, wprawić ją w lepszy ład i skład, a nadchodzący sejm w roku 1746 miał być widownią, na któréj się pożądany fakt stanowiącéj „augmentacyą wojska" uchwały miał spełnić. Dziwną fatalnością ówczesnéj Polski pozostanie, że *dwa* znalazły się wpływowe czynniki, by plan ten wraz z sejmem zwichnąć i udaremnić. Czynnikami temi byli Francya przez swych reprezentantów w Polsce Des Issarts'a i Casterę z jednéj, Fryderyk z drugiéj strony. Rozpoczął się sejm pod laską Lubomirskiego, starosty kazimirskiego. Zwichnęli go Bieliński, w. marszałek koronny i wojewoda bełzki, w interesie i za podnietą Prus i Francyi. „Prędzéj— mówi autor—(aniżeli w Sztokholmie, gdzie także poszukiwano aliansu) zdawało się Bestużewowi módz przyjść do celu w Warszawie. Jeżeli się *familii* nie udało wybrać marszałkiem kogoś z pośród swojéj klienteli, nie potrzebowali się gniewać o wybór powołanego na to stanowisko Lubomirskiego, starosty kazimirskiego. Ich i dwo-

ru wpływ w połączeniu ze wpływem hrabiego Esterhasego, hrabiego Bestużewa, angielskich pieniędzy, pokazał się tak skutecznym, jak sobie tego tylko można było życzyć. Z wielką zręcznością rozpowszechniano wieści obliczone na zwiększenie rozdraźnienia, na zwrócenie go ostrzéj i zacięciéj przeciw Prusom, których armia, będąca ciągłem niebezpieczeństwem dla Rzeczypospolitéj, jest najwięcéj przekonywającym argumentem potrzeby zwiększenia wojska koronnego, jako i daléj konieczności postarania się o odpowiednie środki pieniężne, reformy podatkowości i jéj administracyi. Równocześnie tłómaczyło się nagromadzenie wojsk rosyjskich u granic Rzeczypospolitéj jako środek wspaniałomyślnéj troskliwości, który przedstawiał przystąpienie Rzeczypospolitéj do przymierza obu dworów cesarskich jako najlepszą rękojmią jéj przyszłości. Każdy wiedział teraz na pewno, że Fryderyk II jeszcze jako następca tronu, podczas elekcyi Augusta III powiedział, że swego czasu, prędzéj czy późniéj, wystąpi ze swemi pretensyami przeciw Rzeczypospolitéj i swoją część Polski zabierze; że zaś teraz myśli podobnie, niema wątpliwości. Prócz tego mówiono, że odjazd Villiersa z Berlina (angielskiego posła) nastąpił na własne życzenie Fryderyka II-go, aby dwór angielski skłonić do dalszego prowadzenia wojny, któréj sam pieniędzy i ludzi dostarczyć gotów. Tak miał powiedzieć Villiers sardyńskiemu posłowi, powierzając mu przeznaczone na sejm polski pieniądze angielskie, ponieważ sam był zmuszony pospieszyć do Moguncyi, aby się postarać o wystawienie armii Rzeszy. Z każdym dniem mnożyły się nowe wieści o groźnych krokach Prus. Łatwo pojąć, że im wierzą — mówił książę Adam (?) Czartoryski do Klinggräffena (posła pruskiego w Droznie i Warszawie) — ponieważ oficerowie pruscy w swych garnizonach rozprawiają całkiem otwarcie o nastąpić mającym pochodzie do Polski, a w zaufaniu dodał, że sam myśli, iż króla (Fryderyka) powstrzymuje tylko od tego bliskość armii rosyjskiéj.

„Sprawiło pewne wrażenie, gdy rozpowszechniono oświadczenie Fryderyka II, które dowodziło, iż Prusy były po wszystkie czasy przyjaciołmi Rzeczypospolitéj, rzecznikami jéj wolności i ustawy, że rozpowszechnione przeciw Prusom wieści są wymysłem, aby wzajemny dobry stosunek obu państw zachwiać, że każdy patryota takie wymysły wyrodnych synów Rzeczypospolitéj ze wzgardą odrzuci. Nawet hrabia Brühl oświadczył swe zadowolnienie z tego manifestu, jak wogóle chętnie i często korzystał ze sposobności poufnego porozumienia się z Klinggräffenem. Nie wyznał jeszcze (Brühl) dworowi petersburskiemu, że zawarł z Francyą alians pod dniem 21 kwietnia. Że zaś des Issarts (poseł francuski) jako amba-

sador dostał u dworu wyższe odznaczenie od Esterhazego i Bestużewa, którzy tylko posłami byli, dało to między posłami (sejmu polskiego) powód do wieści, które „*familii*“ bardzo przeszkadzać mogły. Pod dniem 10 października wyszedł manifest Brühla i obu cesarskich (austryackiego i rosyjskiego) ministrów, który poświadczał trwałe i zupełne porozumienie trzech dworów i fakt ich wierności dla podjętych zobowiązań. Ani ambasador (francuski, des Issarts) nie miał, jak się przyznał Klinggräffenowi znacznych sum do swéj dyspozycyi, ani téż nie dowodził Castera, działający tylko jako człowiek prywatny, dostatecznéj znajomości polskich stosunków. Obaj pozostawili inicyatywę Klinggräffenowi. Jak mówili, wypada im dwór saski oszczędzać, któryby mógł łatwo wywołać wojnę Rzeszy przeciw Francyi, a który nawet, gdyby był *już*, lub *miał* być związany przymierzem, byłby przecież zmuszony wystawić swój kontyngens dla Rzeszy. Tém ostrożniejszą postawę zachowywał Klinggräffen; obawy *patryotów* wzrastały; widzieli, że tylko w Prusach (!) mogą znaleść bezpieczny punkt oparcia.

„Około połowy października przybrały zamiary stronnictwa rosyjsko-saskiego zupełnie wyraźną postać. Jakkolwiek żywą była w Wiedniu i Petersburgu nieufność do hr. Brühla, dowodziła przecież deklaracya z 10 października, że się poddał woli obu cesarskich dworów. Gdyby „sejm doszedł,“ czego było wszelkie prawdopodobieństwo, miało być uchwalone przymierze rosyjskie, przystąpienie Rzeczypospolitéj do aliansu petersburskiego; jeżeliby był zerwanym, miała być natychmiast utworzona konfederacya, która w interesie ogólnego dobra miała zadekretować powiększenie wojska koronnego i alians z Rosyą. Aby przez czas konfederacyi miéć zupełną władzę w ręku, chciano marszałkiem trybunału piotrkowskiego, najwyższego sądu, obrać największego zapaleńca swego— Skrzetuskiego, poczém się wszystko znajdzie. Równocześnie starali się Czartoryscy zbliżyć do ambasadora (des Issarts'a), aby zwrócić jego uwagę na dwuznaczności Prus, ponieważ król (pruski) skoro będzie miał Szląsk zagwarantowany, Francyą opuści.

„Potoccy i przyjaciele ich czuli wzrastającą przewagę swych przeciwników; zależało na przeszkodzeniu wyborowi Skrzetuskiego i na zwichnieniu wniosku co do przymierza rosyjskiego. Wojewoda bełski ofiarował się w imieniu swych przyjaciół do jednego i do drugiego, ale przedstawiał, że ich środki pieniężne wyczerpane; prosili ambasadora natarczywie o 4,000 dukatów, aby zyskać więcéj jeszcze głosów. Zaręczali, że dwory wiedeński i petersburski nie chcą niczego innego, jak Rzeczpospolitę z sobą pociągnąć, aby Szląsk znowu odzyskać i zemścić się za wojnę w Saksonii; że hrabia

Brühl dla konfederacyi pozyskany, a że jeżeli inaczéj mówi, czyni to tylko z obawy, aby kraje dziedziczne jego króla nie były wystawione na nową inwazyą. Co się tyczy dalszych kroków, zalecał w. marszałek Bieliński, aby Francya wystąpiła jako poręczycielka pokoju Oliwskiego i oświadczyła, że nie dopuści, by zagwarantowana przez ten pokój swoboda Rzeczypospolitéj miała być nadwerężona przez jakiebądź mocarstwo. Alians między Francyą, Prusami i Polską na podstawie tego traktatu powstrzyma najpewniéj przeciwników. Fryderyk II nie zgadzał się na ten plan, mówił: ze względu na położenie rzeczy winienem zachowywać względy dla Rosyi; względy te zabraniają mi wystąpić otwarcie z projektem takiego potrójnego przymierza.“

Wśród tego, w miesiącu listopadzie roku 1746 przybył kuryer z Paryża do markiza des Issarts'a, polecający mu starać się dla delfina, syna Ludwika XV i Maryi Leszczyńskiéj o rękę księżniczki Maryi Józefy trzeciéj córki Augusta III. Naturalnie przyjęli król polski i Brühl tyle zaszczytną dla księżniczki saskiéj ofiarę, ale w następstwie tego niespodziewanego wypadku zwyciężył téż prąd przeciwny aliansowi Rzeczypospolitéj z Rosyą i Austryą. Czartoryskich plan został zwichniony; połączona na chwilę intryga francusko-pruska odniosła zwycięstwo, sejm „nie doszedł,“ dnia 14 listopada, „ponieważ patryoci przy świécach radzić nie chcieli,“ Rzeczpospolita nie wyszła ze stanu bierności, Fryderyk odniósł na tém drażliwém polu dyplomatyczne zwycięstwo. Otóż, nawiasowo powiedziawszy, maleńki zdobytek dla dziejów naszych z opowiadania Droysenowego, smutny rzut światła za nasze współczesne stosunki, jakich prawdę potwierdzają w upokarzający dla godności narodowéj sposób między innemi choćby tylko *Pamiętniki Matuszewicza*. Rzut ten światła na stan wewnętrznych naszych stosunków, rzut światła, którcby bliższe i obszerniejsze poszukiwania w archiwum berlińskiém zdołały rozprzestrzenić do jasności dnia białego, nie obraca się na niekorzyść choćby nawet niedołężnika, jakim był August III, choćby nawet przekupnego intryganta, jakim był Brühl. Wzmocnienie stanu obronnego Polski, wyrwania jéj z ospałości i kału, wprowadzenie jéj w system jakich bądź aliansów europejskich, było wśród ówczesnych okoliczności prawdziwą dla niéj kotwicą zbawienia. Intryga pruska z nieopatrznością francuską doprowadziła do pożądanego sobie rezultatu udaremnienia wszelkiéj próby obudzenia Polski; Fryderyk mógł być z *téj* strony bezpiecznym.

Odtąd polega jego sztuka na akrobatycznéj istnie a szczęśliwie przeprowadzonéj sztuce utrzymywania równowagi neutralności między wojującemi stronami. Gra, w któréj podziwiać należy jego

zręczność wolną naturalnie od wszelkich skrupułów i wątpliwości. Wojna trwa ciągle jeszcze między Austryą a zachodniemi mocarstwami; Anglia szczęśliwa na morzu, nie zapisuje przez rok 1747 podobnychże powodzeń własnych i swych sprzymierzeńców na lądzie stałym; gwarancya posiadłości szląskiéj nie zapisana jeszcze w traktaty europejskie; Austrya w połączeniu z Piemontczykami zajmuje silną pozycyą we Włoszech i powstrzymuje tutaj przynajmniéj postępy Francuzów, Rosya gromadzi w Inflantach czterdziestotysięczny korpus, by go w danéj chwili, korzystając bądź to z niemocy, bądź z usłużności magnatów Rzeczypospolitéj, choćby bez chybionego z nią przymierza, rzucić na szalę wahających się wypadków wojennych w sercu Europy. Słowem, położenie, które nową, nieopartą na żadném prawie, ani na żadnych dziejowych tradycyach, podejrzaną wszystkim, jaką była monarchia Fryderyka, wystawiało na tysiączne, nieprzewidziane niebezpieczeństwa, upominało do zachowania najwyższéj ostrożności i przezorności. Zbrojąc fortece swego kraju, pracując nad podniesieniem jego dobrobytu w sposób wskazany przez nas wyżéj, zawiązuje Fryderyk równocześnie na wszystkie strony stosunki, mające na celu zabezpieczenie jego ciągle jeszcze niepewnego stanowiska, jakie mu stworzyła w gronie państw europejskich zdobycz Szląska. Wiąże się nasamprzód w przymierze odporne ze Szwecyą, ze starym królem Adolfem Fryderykiem, który w aliansie pruskim szuka zabezpieczenia przeciw bardzo prawdopodobnemu zagrożeniu ze strony Rosyi. Nie przeszkadza to jednakże Fryderykowi wchodzić z tąż samą Rosyą w porozumienia, słuchać przedstawień przybyłego do Berlina posła rosyjskiego Kayserlinga, odbierać odeń z niewiarą przyjmowane zaręczenia, że korpus rosyjski, nawet w razie pojawienia się na widowni niemieckiéj, nie będzie zagrażał posiadłościom pruskim, ukazywać mu nawzajem ze swéj strony widoki wspólnego działania przeciw Francyi. Równocześnie także żywi poseł pruski w Paryżu — Chambrier, ministrów Ludwika XV-go nadziejami współdziałania Fryderykowego, kiedy w tejże saméj niemal chwili z ramienia króla pruskiego, jedzie stary jego i wypróbowany dyplomata Podewils do Wiednia, by na posłuchaniu udzieloném sobie przez Maryą Teresą zaręczać jéj, iż król pruski żywi dla niéj uczucia najszczerszéj przyjaźni. Marya Teresa przyjmuje z najzupełniejszém zadowolnieniem podobne oświadczenia pruskiéj przyjaźni, wylewa nawet łzy w obecności posła pruskiego, iż ją można było posądzać o podstępne przeciw Fryderykowi zamiary, co jednakże — jak zaraz zobaczymy niżéj — nie przeszkadza znów polityce austryackiéj przepatrywać po cichu kątów pruskich i badać stan uzbrojeń pruskich.

Holandya wycieńczona finansowo, osłabiona ubytkiem żołnierza, tracąca z kolei, dzięki postępom marszałka Saskiego Maurycego, Bergen op Zoom, Maestricht, wyciąga ręce do Fryderyka, błaga go o czynną pomoc, a co najmniéj dyplomatyczną interwencyą. Anglia, ponosząca na stałym lądzie same klęski, znajduje się w temże samém położeniu i zwraca się do Berlina z równemi żądaniami. Fryderyk jednakże odpiera podobne nagabywanie, co więcéj podnosi do wysokości dyplomatycznego zatargu spór, jaki powstał między jego a angielskim rządem o chwytanie wieśniaków pomorskich na brzegach morza baltyckiego na majtków floty angielskiéj. Miała wprawdzie Anglia przeciw Prusom na wytłumaczenie swego postępowania gotowy argument, iż postępowanie królów pruskich, tak Fryderyka Wilhelma I, jak samegoż Fryderyka nie było lepsze i inne, że mianowicie Hanower, posiadłość króla angielskiego, był widownią gwałtownéj i podstępnéj na przemian roboty werbowników pruskich. Wobec zakłopotanego położenia, w jakiém się Anglia znajdowała na stałym lądzie Europy i wobec możliwéj potrzeby przymierza pruskiego, wolała Anglia w sporze tym ustąpić i dać Prusom należną satysfakcyą. Fryderyk znów ze swéj strony, w interesie zachowania równowagi między wojującemi mocarstwami, pospieszył wywzajemnić się Anglii podobną, tanią w gruncie rzeczy usługą.

Zwyciężony po początkowych powodzeniach w Szkocyi pretendent Karol Edward Sztuart, opuszczony przez Francyą, nie znajdujący nigdzie punktu oparcia, przybył w ciągu roku 1747 do Berlina, pod przybraném nazwiskiem, by poszukać Fryderykowéj opieki. Szanując przecież podejrzliwości angielskie i schodząc skwapliwie z drogi wszelkim możliwym zawikłaniom z Anglią, — uznał przecież Fryderyk za rzecz konieczną z pewną dostrzegalną na zewnątrz szorstkością odmówić Sztuartowskiemu pretendentowi żądanéj przezeń audiencyi i kazać mu nawet wyjechać z Berlina. Anglia doznała tedy zupełnéj satysfakcyi, Fryderyk dopełnił, przez usunięcie pretendenta, w akrobatyce równowagi politycznéj ewolucyi, zabezpieczającéj stanowisko neutralności. Że zaś gra taka była w jego położeniu koniecznością, że trzeba było mieć oczy otwarte na wszystkie strony, że sprzymierzona z Anglią Austrya, że zabierająca się z niemi prędzéj czy późniéj do przymierza Rosya, zachowywały względem niego groźną i niepewną na przemian postawę,— wskazywały najrozmaitsze okoliczności. Rosya ze swym korpusem czterdziestotysięcznym w Inflantach i pod Smoleńskiem, z korpusem stanowiącym gotową rezerwę Anglii i Austryi na teatrze wojny z Francyą, wisiała istnie jak miecz Damoklesowy nad głową

Fryderyka. Mimo grzeczności Mardefelda, pruskiego posła w Petersburgu i mimo niezupełnie bezskutecznych prób jego pozyskania kanclerza Bestużewa; mimo podobnychże uprzejmości Kayserlingka posła rosyjskiego w Berlinie, nie był stosunek Rosyi do Prus szczególnie pogodnym.

Przypomną sobie czytelnicy z powyższego naszego opowiadania, jak gabinet petersburski używał w Berlinie do wybadywania dyplomatycznych i wojennych dyskrecyj rządu pruskiego, jako agenta Gdańszczanina Ferbera i jak tenże usługi swe, oddawane Rosyi, w Szpandawie głową przypłacił. Podobną nieco rolę odegrał równocześnie niemal w Rosyi z ramienia Prus emigrant angielski w służbie rosyjskiéj, generał Keith. Niezadowolony ze służby rosyjskiéj, uważając się za pokrzywdzonego, opuścił Rosyę i przeszedł w służbę Fryderyka, nie bez zbogacenia naturalnie stanu jego wiadomości szczegółami stosunków rosyjskich. Austrya, owa Austrya zaręczająca Fryderykowemu posłowi Podewilsowi przez usta swéj władczyni ze łzami w oczach o niezachwianym zamiarze dochowania neutralności, podjęła również ciekawą intrygę, która się wykryła i na głowę naczelnego jéj bohatera mściwy odwet sprowadziła. Mówimy tutaj o słynnéj swego czasu, zapomnianéj już obecnie pod wrażeniem późniejszych a ważniejszych wypadków, sprawie generała inżynieryi pruskiéj Walrawe. Generał Warlawe był, jako najzdolniejszy swojéj specyalności oficer, używany przez Fryderyka do budowy fortec pruskich, mianowicie Magdeburga. Nadto zamianował go król naczelnikiem całego budownictwa fortecznego i powierzył jego zarządowi bardzo znaczne sumy pieniężne. Jaki przebieg rzeczy miały, kto tu dał inicyatywę, czy Walrawe sam, czy Austryacy, pozostaje rzeczą niewiadomą. Za to nie ulega wątpliwości, że poseł austryacki na dworze berlińskim, hr. Bernes, że sekretarz poselstwa austryackiego w Berlinie, hr. Neipperg, weszli w stosunki z Walrawem, który nie był czy dość szczęśliwym, czy dość zręcznym, aby ich ślad ukryć przed argusowém okiem tajnego nadzoru, jaki Fryderyk rozciągał nad wszystkiemi szczegółami machiny organizmu państwowego. Nasamprzód powychodziły, podczas wycieczki Walrawe'a z Berlina do Szczecina, na jaw różne przeniewierstwa natury pieniężnéj.

Odkrycie to spowodowało uwięzienie generała i wytoczenie mu śledztwa, które idąc po nici do kłębka, weszło na ślad o wiele groźniejszéj i niebezpieczniejszéj od prostego przeniewierstwa, intrygi politycznéj. Wykazało się, że Walrawe zagłębił się w niebezpieczne knowania z ambasadą austryacką, że jéj komunikował ważne tajemnice wojskowéj organizacyi pruskiéj, że oświadczył gotowość służenia czynnie Austryi, skoroby się jéj odwetowa wojna przeciw Fry-

derykowi rozpoczęła. Rzecz stała się głośną, wyszła na przedmiot dyplomatycznéj korespondencyi, zaniepokoiła do najwyższego stopnia Maryą Teresę, wzbudziła obawę, czy może Fryderyk pod wrażeniem podobnéj intrygi, nie da ucha podszeptom francuzkim i nie zerwie stanu neutralności ze szkodą Austryi. „Tylko wiedeńska strona tych wypadków,“ mówi Droysen, „zasługuje na wzmiankę. Młodszy Weingarten (dwóch Weingartenów wchodziło w skład ambasady austryackiéj w Berlinie) pisze w liście bez daty, że brat jego po powrocie z Wiednia jemu i hrabiemu Bernes'owi oświadczył w najgłębszéj tajemnicy, co następuje. Na pierwszém posłuchaniu pytała go oparta ręką o stół cesarzowa co do generała Walrawe'a, na czem właściwie jego projekt i żądania zależały? Odpowiedział, że Walrawe zobowiązał się za znaczną sumę pieniędzy, pułk piechoty i stopień feldmarszałka—lejtnanta, nie tylko wydać zaraz plany pruskich fortec, ale także, skoro tylko pokój będzie zerwany, a Austryacy znaczny korpus w pobliżu Nissy zgromadzą, twierdzę tę w ręce ich wydać. Pytała następnie cesarzowa, czy Walrawe przez hr. Bernesa lub niego (Weingartena) był namówiony, czy się téż sam dobrowolnie ofiarował. Po zapewnieniu, że się sam ofiarował, okazała cesarzowa zadowolnienie, że się obaj nie wdali, w tak niebezpieczną czynność, któraby tylko była mogła dostarczyć powodu do nowéj niepotrzebnéj, zgubnéj dla niéj wojny, dodając zarazem, że z podanéj co dopiero przyczyny nigdyby się na podobny projekt nie była zgodziła. Nareszcie zapytywała cesarzowa, czy król jeszcze się nie wyrzeka francuzkiéj spółki, a gdy Weingarten odpowiedział, że *nie*, i jeszcze dodał, że stronniczość króla pruskiego kłuje wszystkich w oczy i że tak długo, póki żyje, nie ma nadziei, aby się rzecz zmieniła, płakała z taką gwałtownością, nie mówiąc słowa, iż jedna łza płynęła za drugą i że nakoniec jeszcze rzekła: służ nam wiernie, jak dotychczas a o resztę Bóg się postara. „Marya Teresa,“ mówi tedy Droysen daléj—obawiała się wojny z Prusami i upatrywała w zasnutéj z Walrawem intrydze, jeżeli była dziełem jéj poselstwa, wypadek, który takową mógł spowodować. Jak Walrawe w śledztwie zeznał, hrabia Bernes sam powiedział, do niego z pewną strachliwą gestykulacyą: Daj Boże, aby mi się powiodło i abyśmy króla (pruskiego) zachowali jako przyjaciela, gdyż inaczéj jesteśmy zgubieni. Nie mamy na pogotowiu wojska, aby mu stawić opór, a bitwy przeciw niemu nie wygramy. Nim ludzie nasi z Włoch i Niderlandów przyjdą, jesteśmy powaleni o ziemię. Nie mogę na króla (pruskiego) patrzéć bez podziwienia; jest nieodgadniony i robi z nami, co mu się podoba“...

Sprawa Walrawe'a skończyła się skazaniem na dożywotnie więzienie głównego winowajcy i spowodowała usunięcie z zajmowanego w Berlinie stanowiska hrabiego Bernesa. Najważniejszą przecież jéj stroną pozostanie fakt nie dający się zaprzeczyć, iż zdobycz Szląska, mimo dwóch wojen i dwóch traktatów pokoju wymuszonych na kłopotliwém położeniu dworu wiedeńskiego, nie była wcale pewną i że złupieni czekali tylko sposobności, aby łupiezcę pozbawić nieprawego nabytku. Głównym przedmiotem obawy wśród tak ostrzegających znaków była ciągle postawa kanclerza Bestużewa i Rosyi. Z roku 1747 na 1748, wobec postępów Francyi przeciw Holendrom, wobec wołań o pomoc Austryi, wobec nagabywań Anglii, widzimy znów rosyjskiego kanclerza gotowszego, niż kiedy bądź indziéj, do wystąpienia *czynnego* nareszcie na widowni wypadków, do zamiany roli groźnego i zagadkowego stróża wszelkich ruchów i kroków pruskich, dzięki poważnéj sile zgromadzonéj w Kurlandyi i Inflantach, na zaszczytniejszą rolę wojennéj akcyi nad Renem i we Flandryi. O ile wobec podobnych usposobień gabinetu petersburskiego, obracających się naturalnie na korzyść koalicyi przeciw Francyi a więc na korzyść Austryi, stanowisko Prus stawało się drażliwém i niebezpiecznćm, o ile wymagało więcéj ostrożności, umiejętności utrzymania równowagi, przedewszystkiém zaś utrzymania się w dotychczasowym stanie obrony, nie potrzeba dowodzić. W ówczesném położeniu, w chwilach owego przesilenia się roku 1747 na 48, zarysowują się już embryonicznie kombinacye koalicyjne, jakie miały znaleść wyraz w przebiegu wojny siedmioletniéj. Fryderyk rozumie podobną sytuacyą i czeka wśród otaczających go niebezpieczeństw i niepewności z bronią w ręku, oglądając się przezornie na wszystkie strony.

Przypatrzmy się teraz pokrótce dalszemu rozwojowi wypadków, jak powoli zdążają do przystani pokoju, który w gruncie rzeczy jest tylko dłuższém nieco zawieszeniem broni, a dla Prus ma jedynie to znaczenie, iż im gwarantuje posiadanie Szląska drogą europejskiego kongresu.

Charakterystyczném znamieniem politycznéj sytuacyi w owéj chwili jest coraz widoczniejsze, jak dopiéro co powiedziano, zagłębianie się Bestużewa w interes Anglii. Przedewszystkiém objawia się to na zewnątrz przez zimne, jeśli nie wręcz złe traktowanie posła francuzkiego na dworze petersburskim, daléj w podjętych na nowo z Brühlem i Czartoryskimi rokowaniach około przeprawienia, na ten raz już nieodwołalnie i stanowczo, korpusu 37-tysięcznego z Inflant i Kurlandyi w kraje Rzeszy Niemieckiéj. Zwrot ten począł być równie dla Francyi, jak dla Prus niebezpiecznym i poseł francuzki w Pe-

tersburgu d'Aillion, nie omieszkał zawiadomić o nim swego dworu, który znów uważał za rzecz potrzeby i obowiązku czuwać własném okiem nad tém, co się na północy europejskiéj przeciw niemu knowało. Krok, jaki gabinet wersalski w tym celu podjął, pozwalamy sobie, jako rzecz obchodzącą bezpośrednio Polskę, własnemi słowy autora rozbieranego przy nas dzieła opowiedziéć. „Uważano w Paryżu za rzecz potrzebną, wyprawić oficera do Polski w celu obserwowania pochodu Rosyan. Przeznaczono na ten cel pułkownika hrabiego de la Salle z odpowiedniemi listami uwierzytelniającemi do Gdańska. Przybył dnia 17 lutego (1748) z Berlina do Drezna, aby się tamże postarać o rekomendacye. Udał się przez Warszawę do Gdańska, gdzie nasamprzód wystąpił pod nazwiskiem pułkownika Lewardi. Potrawą z Brühlowéj kuchni nazwał Fryderyk II, gdy rosyjski rezydent w Gdańsku, który jeszcze z Petersburga rozkazów odebrać w tym względzie nie mógł, dnia następnego po przybyciu pułkownika wezwał gdańskie władze, aby pana Lewardiego jako dezertera rosyjskiego, pułkownika de la Salle przytrzymały. Prawda, że bez wzięcia regularnego dymisyi w Rosyi, przed czterema laty podczas urlopowéj podróży do Paryża tamże znów w służbę wstąpił; prawda daléj, że jeszcze nie doręczył miastu Gdańskowi swojéj kredytywy i występował pod przybraném nazwiskiem. Afront wyrządzony koronie francuzkiéj był dokuczliwym nad wszelki wyraz. Albo miasto Gdańsk zajmowało tak niezależne stanowisko, że mogło prowadzić samodzielną politykę na rzecz Rosyi, wśród dotkliwych obelg dla Francyi, w takim razie nie zasłaniała go téż neutralność Polski, a Francya byłaby w licznych okrętach gdańskich, które do jéj portów zawijały, znalazła przedmiot dać uczuć szanownemu miastu, iż popełniło głupstwo. Albo téż dał mu po cichu dwór drezdeński do zrozumienia, że się ma okazać powolnym cesarzowéj; a wtedy miał des Issarts obowiązek udać się natychmiast na zamek do króla i żądać należnéj satysfakcyi. Rozmówił się wprawdzie z hrabią Brühlem, który wyraził swe serdeczne ubolewanie nad tém nieprzyjemném zajściem a równocześnie poczytał sobie za zasługę, iż zapobiegł bezzwłocznemu odprowadzeniu więźnia do Rosyi i że mu nadal zapobiegać będzie. Równocześnie ogłoszono cyrkularz drezdeńskiego dworu do różnych jego poselstw co do zachowania się względem pułkownika de la Salle w *Gazecie Kolońskiéj*, cyrkularz, w którym zarazem poddawano ostréj krytyce postępowanie francuzkiego rezydenta Castera w Warszawie. W Paryżu jednakże nie kłopotano się do zbytku o te rzeczy i uspokojono się po objawach udanéj troskliwości Brühla dla de la Salle'a. Popełniono nawet słabość napisania do des Issarts'a, że należy sobie uczynić wyrzut, iż do podo-

bnéj misyi wybrano hrabiego de la Salle, który rzeczywiście jest dezerterem; wyrażenia nadto żalu, iż pismo odwołujące go, które wyprawiono natychmiast, skoro się tylko spostrzeżono na błędzie, doszło za późno, już po doznaniu przykrości w Gdańsku.“

Epizod ten nie pozostał bez wpływu na bieg rzeczy europejskich. Francya była wprawdzie zwycięzką na lądzie stałym, przeciw Holandyi mianowicie; w roku 1747 zajęła Bergen op Zoom, w roku szczęśliwie rozpoczętym zdobyła Maestricht, ale, cokolwiekbądź nie mogła nie wpłynąć na jéj postanowienia oczywistość pomocy rosyjskiéj, jaka przybywała koalicyi. Odpowiednio naturalnie do powolności i niedołężności ówczesnych środków komunikacyjnych, toczyła się leniwo i długo, ale zdążając przecież ku niemieckiéj widowni wojny, wskróś krajów Rzeczypospoliéj, owa rosyjska pomoc, wzbudzając przedewszystkiém nadzieje Austryi, obawy Prus, skłaniając Francyą do pewnych praktycznych namysłów, nie mniéj w tym samym kierunku i Anglią. Uprzedzając nieco chronologiczny porządek naszego opowiadania, zapiszmy, że korpus rosyjski dźwignąwszy się z wiosną 1748 ze swych leż kurlandzko-inflanckich, postępował wolnym pochodem przez kraje Rzeczypospolitéj w miesiącach kwietniu i maju, że w połowie czerwca znalazł się w Pradze czeskiéj, w następnym miesiącu we Frankonii. Żółwi ten, ale nie dający się przecież zaprzeczyć i przeoczyć pochód rosyjskiéj interwencyi nie omieszkał, jak powiedziano, wywrzeć właściwego wpływu. Anglia, widząc swą przednią straż lądową w Holandyi złamaną a nie mając środków zastąpienia jéj czémś innćm, zatęskniła do pokoju, objawiła niedwuznacznie ową tęsknotę w oświadczeniach przewodniczącego w gabinecie Saint-James lorda Bentincka, wysłanego na ląd stały lorda Sandwich, w komunikacyach wyprawionego na dwór berliński posła swego Leggego. Francya była również znużona choć zwycięzką i zaszczytną dla swego oręża wojną; nadto straszyła ją perspektywa sprowadzenia sobie na kark nowego nieprzyjaciela w Rosyi. Jedyny interes w przedłużeniu wojny miała Marya Teresa, co niechaj będzie równoczesną miarą, jak bardzo interesowanémi w zawarciu co najprędszego pokoju były Prusy. Wobec pokojowych usposobień Anglii, Francyi i Holandyi, wystąpił tedy teraz dopiero Fryderyk jako gorliwy rzecznik ogólnego pokoju, naturalnie z nieodłącznym postulatem zagwarantowania sobie nabytku szląskiego. Marya Teresa, jak nie po raz pierwszy od wstąpienia swego na tron ojcowski, miała i teraz paść ofiarą interesu, potrzeb, ale i bezwzględnéj a niekoniecznie zaszczytnéj dla nich obojętności swych sprzymierzeńców. Lord Sandwich jako reprezentant Anglii, kawaler Saint-Severin jako reprezentant Francyi, hr. Kaunitz

jako reprezentant Austryi stawili się w miesiącu kwietniu (1748) w Akwizgranie ku rozpoczęciu pokojowych negocyacyj. Odbyła się w ciągu tych negocyacyj komedya zdolna i dziś jeszcze dostarczyć materyi historycznym dramaturgom francuzkim. Kaunitz sterował powoli do zawarcia partykularnego pokoju z Francyą. W razie powodzenia tego planu, przedstawiała się tém pewniejsza perspektywa skutecznego odwetu przeciw Fryderykowi, że pomoc rosyjska nadciągała. Na nieszczęście jednakże Austryi, obróciła się ta polityka przeciw niéj saméj. Reprezentanci Anglii, Holandyi i Francyi, pomijając interes Austryi, podpisali poza plecami Kaunitza, ku niezrównanéj uciesze Fryderyka, pod koniec kwietnia 1748 preliminarye partykularnego traktatu pokoju między mocarstwami morskiemi a Francyą, Austrya znalazła się odosobnioną na widowni wojny przeciw Francyi; bez udziału Holandyi i Anglii nie starczyła choćby nawet ówczesna pomoc rosyjska, aby ciężar podobnéj wojny nadal utrzymać. Łatwo pojąć wrażenie, jakie wiadomość podobna wywołała w Wiedniu. „W trzy dni późniéj, dnia 26 kwietnia, odebrał Robinson w Wiedniu przez kuryera wiadomości i polecenia, które wywołały najwyższe rozdrażnienie. Była to przesłana lordowi Sandwich instrukcya z dnia 12 kwietnia i zawezwanie Maryi Teresy, aby przystąpiła do zamierzonych przez Anglią wniosków, reprezentować je wspólnie jako przedwstępne artykuły pokoju z mocarstwami morskiemi. Na posłuchaniu, które cesarzowa jeszcze tego samego dnia posłowi angielskiemu udzieliła, wybuchnęła w najgniewniejszych wyrazach przeciw postępowaniu Anglii, która ją dawniéj już spowodowała do ustąpienia Szląska, do wielkich ofiar na rzecz Sardynii, a która teraz nowych poświęceń się domaga. Otóż macie Waszego króla sardyńskiego, który wszystko osiągnąć pragnie! Otóż macie waszego króla pruskiego! Dobry Boże, jak się rząd wasz ze mną obchodzi! Czemuż bywam zawsze usuwaną od rokowań, które się własnych spraw moich dotyczą? Nieprzyjaciele moi przyznają mi lepsze warunki od mych przyjaciół.—W ten sam dzień lub w następny po owéj audiencyi spowodował St. Severin wahającego się ciągle jeszcze lorda Sandwich oświadczeniem, że Kaunitz wszystko już ma na pogotowiu i każdéj chwili traktaty podpisać może, do zakończenia sprawy. Jakkolwiek (to było nieprawdą) Kaunitz przeciw owym artykułom premilinaryjnym zakładał protest, były one już przecież dokonanym czynem. Pisze Kaunitz pod dniem 3 maja: Chociaż mnie fałszywe i nieprzyzwoite postępowanie hrabiego Saint-Severin w głębi duszy boli, przezwyciężyłem przecież moją drażliwość i chciałem się do niego udać. I w Wiedniu nastało dość prędko upamiętanie, aby spróbować, co jeszcze ocalić można i jak się na wierzch wydobyć.“

Głównym zyskiem dla Prus, wypływającym z owych preliminariów, głównym powodem daléj, który powściągliwego dotąd, utrzymującego zręcznie na wszystkie strony równowagę Fryderyka spowodował do wystąpienia w roli zabiegłego pośrednika pokoju, była zapisana w artykuły ich gwarancya Prusom Szląska. Wobec podobnie spełnionego faktu nie pozostawało naturalnie Austryi nic lepszego i nic innego do roboty, jak zgodzić się na nieuniknioną fatalność. Kaunitz podpisał pod dniem 25 maja 1748 prelimarye ułożone za jego plecami, choć, dodajmy zaraz z góry, że akt preliminaryów od faktu zupełnego zawarcia pokoju dzieli jeszcze pewna przestrzeń tak czasu, jak zmudnych i zawiłych negocyacyj, a że jeżeli sytuacya ogólna nie groziła może odnowieniem akcyi wojennéj, to nie była bez trudności a niewątpliwie zawierała sobie, istnie jak puszka Pandory, zaród nowych, nieprzewidzianego końca zawikłań. Późniejsze negocyacye stały się źródłem oziębienia stosunków między Austryą a Anglią, spowodowały przeciwnie pewne zbliżenie się między Austryą a Francyą. Równocześnie stają się téż same rokowania powodem pewnego niesmaku we wzajemnych stosunkach dwóch dotychczasowych sprzymierzeńców, Prus i Francyi. Francya, jakoby instynktowo przeczuwając, co przyszłość przyniesie, nie stawała w roli *tak* gorliwéj orędowniczki pruskich pretensyi, jakby tego sobie Fryderyk był życzył. Taż sama téż chwila zapisuje dziwaczny, nieznany dotąd fakt skłonności Fryderyka II przejścia na katolicką wiarę i komunikacyi z papieżem w celu bądź to zyskania sobie silnego stanowiska pomiędzy katolikami Rzeszy Niemieckiéj, bądź to stworzenia sobie możności starania się o sukcesyą tronu polskiego po zgonie Augusta III. Tymczasem zaś, nie zapominajmy, pokój nie był jeszcze ostatecznie i stanowczo zawarty a posiłki rosyjskie posuwały się raz nabytym prądem, powoli, ale niepowstrzymanie ku Pradze czeskiéj, ku Frankonii, gdzie, jak nam z powyższego opowiadania wiadomo, znalazły się w miesiącu lipcu. Gabinet wiedeński i petersburski razem, opierając się na fakcie podobnéj obecności gotowego i nienaruszonego żołnierza na widowni niemieckiéj, chwyciły się, mianowicie pierwszy, téj okoliczności jako ostatniéj deski ocalenia. Prusy nie spoglądały na ową obecność podobnéj rezerwy austryackiéj w Niemczech bez uczucia obawy. Austrya podniosła w skutek tego na kongresie akwizgrańskim głos i głowę, starała się Rosyą wprowadzić w grono państw obradujących nad losami Europy na tymże kongresie. Domagał się tegoż sam gabinet petersburski, żądając miejsca w kongresowéj radzie dla reprezentanta swego Gołowkina. Postawa podobna Austryi i żądania gabinetu petersburskiego nie zdołały już przecież zmienić pokojowego biegu rzeczy, wpłynęły tyl-

ko na jego przyspieszenie. Anglia, Holandya i Francya zgodziły się na postanowienie nie dopuszczania Gołowkina do udziału w kongresie; późniejsza uchwała, z dnia 2 sierpnia 1748, do któréj Austrya znalazła się w smutnéj konieczności przystąpić, usuwała, ku wielkiemu zadowoleniu gabinetu pruskiego mianowicie, wojska rosyjskie z obszaru Rzeszy Niemieckiéj. Odtąd, aż do dnia 7 listopada 1748, w którym ostatecznie traktat akwizgrański i ogólna pacyfikacya Europy zostały podpisane, nie napotkały już rokowania reprezentantów państw zgromadzonych na kongresie jakichbądź poważniejszych trudności. Najważniejszą dla naszego właśnie przedmiotu stypulacyą kongresu było, iż postanowiono zapisać gwarancyą Szląska dla Prus w publiczne prawo europejskie pod warunkiem wszakże, że król pruski uzna ze swéj strony jako obowiązującą *siebie* gwarancyą *sankcyi pragmatycznéj*, czyli prawo Maryi Teresy do posiadania dziedzicznych krajów Austryi, jako i godności niemieckiéj cesarskiéj jéj małżonka. Prusy nie mając powodu opierać się dopełnieniu żądanego warunku, pospieszyły z uznaniem praw Maryi Teresy a tak znalazła się nareszcie, tymczasowo przynajmniéj i formalnie zabezpieczona Fryderykowi zdobycz Szląska...

Na tém kończy opowiadanie w obecnym tomie swego olbrzymiego dzieła *O polityce pruskiéj* profesor Droysen, zapowiadając następnym objąć ośmiolecie między traktatem akwizgrańskim a wybuchem wojny siedmioletniéj. Pozwólmy sobie kilku słów ogólnéj rekapitulacyi i sensu moralnego, jaki się z treści opowiadanéj przezeń epoki przedstawia. Rywalizacya morska i lądowa między Anglią i Francyą, rywalizacya, w któréj Niderlandy występują jako przymuszony wrogą postawą Francyi sprzymierzeniec Anglii; rywalizacya daléj Francyi z domem habsburskim w panowaniu nad Włochami i Niemcami—przedstawiają się tu jako rzeczy stare, jako tradycyjne zabytki przeszłości, mające jeszcze anachronicznie, wobec zmienionych doszczętnie stosunków i interesów politycznych, figurować w kronice naszego bieżącego stulecia. Byłaż koniecznością owa rywalizacya między Anglią a Francyą przeciągająca się jeszcze w dni dzisiajsze niemal; byłaż koniecznością, więcéj jeszcze, rywalizacya między Francyą a Austryą, znajdująca ostatni swój objaw na polach bitew pod Magentą i pod Solferino? Najlepszą odpowiedzią na to zapytanie oczywistość faktyczna, że podobny antagonizm wyszedł jednéj i drugiéj na szkodę, obrócił się na korzyść trzeciego. Prawda ta, przyprowadzona do niezaprzeczalnéj oczywistości za dni naszych, jest nie mniejszą, choć nie tyle wyraźną prawdą w wieku przeszłym. Francya i Austrya wiodą z sobą swój anachroniczny zatarg, Fryderyk tymczasem śmieje się z nich w duszy, wznosi na ich antagoniz-

mie budowę swojéj potęgi, utrwala ją za pomocą sztucznego utrzymywania równowagi wśród trudnego położenia.

W sztuce *téj* właśnie, nie w przypisywanéj mu aposteryorystycznie przez dzisiejszą historyografią pruską dziejowéj i opatrznościowéj misyi pracowania dla jakiéjś idei niemieckiéj, o któréj mu się nie śniło, leży jego prawdziwa wielkość. Wielkość ta niestety,—a w tém, pozwólmy sobie, znajdujemy główny i najwymowniejszy sens moralny obecnego tomu Droysenowego dzieła, — jest równoczesną miarą *małości* współczesnego otoczenia, mianowicie Francyi, następnie o wiele więcéj jeszcze Polski. Co się tyczy Francyi *ówczesnéj*, jakże ją dziwnie podobną znajdujemy do współczesnéj z epoki Napoleona III-go i jak nam się dziwić przychodzi, iż Napoleon III, Eugenia, Olliviery i Gramonty nie umieli korzystać z doświadczeń Ludwika XV-go, Pompadury, Argensonów i Soubise'ów! Uderza nas nieco, że paralela podobna z wszystkiemi swemi następstwami nie nasunęła się pod pióro tyle utalentowanego skądinąd i znającego na wskróś tę epokę pisarza, jakim jest książę de Broglie. Obszerna jego, zamieszczona w *Revue des deux mondes*, opierająca się głównie na publikacyach pp. Kosera i Posnera z archiwum berlińskiego, praca nie znajduje, obok tyle przezroczystego i jasnego przedstawienia *faktycznéj* strony, słowa nagany i uwagi dla ówczesnéj polityki francuskiéj, która, dzięki swemu krótkowidztwu i lekkomyślności wprowadziła Fryderyka w posiadanie Szląska, zrobiła Prusy pierwszorzędną potęgą, przygotowała z dziwną fatalnością w ciągu XVIII wieku wszystko, co jéj się w drugiéj połowie XIX w. tak skutecznie odwdzięczyć miało. Niemiec autoramentu dzisiejszego pruskiego może tylko z dzieła Droysenowego, kończącego się przypieczętowaniem tryumfu Fryderykowego przez traktat pokoju akwizgrański, wyczytać chyba tylko obowiązek wdzięczności dla Francyi, jeżeli usługa wyświadczona bezwiednie i bezintencyjnie przez bezmyśl ma wogóle do wdzięczności prawo.

Smutniéj, o ile możności jeszcze, przedstawia nam się współczesna *Polska*, prawda niestety, że Polska epoki drugiego Sasa, że Polska epoki Brühla, że Polska, któréj, pominąwszy wszystko inne, ohydny i przerażający obraz stanął nam ostatniemi czasy w *Pamiętnikach Matuszewicza*. Cokolwiekbądź, stanowi dzieło Droysena dla epoki *polskiéj*, z którą ma styczność, drogocenny rzut światła a nabytek, jaki z przeczytania jego dla własnych wynosimy dziejów, nie jest obojętnego znaczenia. Przyzwyczailiśmy się widzieć w Auguście III *tylko* niedołężnika, w Brühlu *tylko* próżniaka zakochanego we własnéj osobie, łupieżcę i tyrana Saksonii, wyzyskiwacza i demoralizatora Polski. Wszystko to pozostanie niewątpliwie prawdą,

sąd historyczny o królu i jego ministrze wszechładnym nie wiele się zmieni. Brühl jest niedołężnym i przekupnym, August III jest lalką w jego ręku, a mimo to wszystko jednakże, co widzimy? Że ten niedołężny król, że ten przekupny niemiecki minister, że sprzymierzona z nimi naówczas jeszcze *familia*, mają przecież jakąbądź *myśl polityczną polską*, że radziby wprowadzić Rzeczpospolitą w system aliansów europejskich, że chcieliby ją sprzymierzyć z Austryą i Rosyą, że zamierzali w interesie urzeczywistnienia podobnéj myśli zaprowadzić jakiś ład w Polsce, pomnożyć jéj siłę zbrojną. Wobec bezmyśli, *gorzéj*, wobec zepsucia, jakie ówczesny ogół szlachecki polski przedstawia, wobec zgroźliwéj prawdy, że jego postanowieniami nie kierują ani choćby nawet wybujała, ale samorodna przynajmniéj swawola, ani choćby rozpustna, ale nie sfałszowana przynajmniéj miłość swobody, lecz prosta spekulacya, wyzyskiwana ze szkodą kraju przez posłów zagranicznych mocarstw i możnowładzców własnego domu, jakże dodatnio przedstawiają się postacie Augusta III, Brühla, Czartoryskich chcących wznieść jakibądź przecież organizm z przewodnią myślą i o wyraźnym celu! Wyobraźmy sobie, iż plan ich zyskał powodzenie, że wojsko polskie byłoby pomnożone: Rzeczpospolita związana przymierzem z Austryą i Rosyą, Fryderyk jeżeli nie zgnieciony, to poskromiony i upokorzony, a wątpić w takim razie należy, czy to, co się stało w roku 1772, byłoby mogło nastąpić, czy władzca Prus byłby mógł i śmiał dać inicyatywę do spełnienia czynu, jaki owa data upamiętnia.

Tak-to wychodzi opowiadanie Droysena w ostatnim jego tomie, dość niespodzianie a oryginalnie na rehabilitacyą najniedołężniejszego króla, jakiego Polska posiadała, najzepsutszego męża stanu, jakiego jéj zagranica w ciągu jéj niepodległości nasłała.

Zresztą, spoglądając na rzeczy ze stanowiska kreacyi Fryderyka II, nie stanowi kongres akwizgrański. na którym Droysen opowiadanie swe kończy, żadnéj, zaokrąglonéj w sobie epoki. Jest-to w dziejach Fryderykowych tylko przystanek, jeżeli tak wolno powiedzieć, znaczący tymczasowość sytuacyi. Fryderyk rozumie to sam bardzo dobrze, czego najlepszym dowodem rozpoczęcie przezeń wojny siedmioletniéj. Austrya nie myślała mimo wszelkich gwarancyj własnych i europejskich zrzekać się posiadania Szląska i czekała tylko chwili sposobnéj odwetu. Francya wyniosła z wojen szląskich niesmak do aliansu pruskiego i była skłonną wejść w danym razie w przymierze z Austryą, na nieszczęście tylko w sprzeczności ze swą opinią publiczną, która przez usta prostego żołnierza i ulicznika natrząsała się ze związku *„avec ces maudits Kaiserlicks,“* entuzyazmowała się dla króla pruskiego i układała na

cześć jego zwycięstw swe „*chansonetki*,“ która przez usta Voltaire'a tryumfowała nad własnemi klęskami, nad Rossbachowym pogromem „*des Welches.*“ Anglia naturalnie miała się jako rywalizująca z Francyą potęga, znaleść prędzéj czy późniéj aliantką jéj nieprzyjaciół. Rosya dowiodła swą postawą dotychczasową czego chce, do czego dąży i jaką rolę odegrać ma zamiar na przyszłość. Zależało jéj na tém, aby wejść w grono mocarstw mających głos w radzie europejskiéj, dała niedwuznacznie do poznania, po jakiéj stronie stanie, skoro fatalność nieuniknioną wojny zawiśnie nad kontynentem europejskim.

Polski wewnętrzny polityczny ustrój, a więcéj niestety jeszcze Polski moralne usposobienie ówczesne, nie wzbudzało niestety nadziei, aby w burzy już zdala dostrzegalnéj nad widnokrągiem europejskim, w wojnie, któréj zaród tkwił wyraźnie w zawikłaniach obecnéj sytuacyi, w rywalizacyi między Anglią a Francyą, w odwetowych intencyach Austryi, w ambicyi Prus i Rosyi, była mogła odegrać ważniejszą i czynniejszą rolę od obecnéj.

Pozostałoby teraz nam jeszcze tylko słowo o wartości Droysenowego dzieła, jako płodu naukowo-literackiego. Tenże sam książę Broglie w tejże saméj pracy, którą wspomnieliśmy wyżéj, oddaje profesorowi Droysenowi cześć jako „pisarzowi sumiennemu.“ Nie będziemy się, choćby i *to* niekiedy można, spierali z historykiem francuskim o trafność i słuszność *tego* rodzaju właśnie pochwały. Co natomiast powiemy, że p. Droysen jest niesłychanie jednostronnym, że zasada *audiatur et altera pars* wcale dlań nie istnieje, że jedyném jego źródłem, bez zaglądania do innych, jest archiwum berlińskie, że Fryderyk II nie jest w jego opowiadaniu tém, czém był rzeczywiście, szczęśliwym i zręcznym graczem w interesie wielkości własnego domu, ale człowiekiem „predestynacyjnym“ idei niemieckiéj. Dodajmy do tego jeszcze, że Fryderyk jest w opowiadaniu historyka polityki pruskiéj bohaterem humanitarnym, czego prawda historyczna, dzisiejszych mianowicie czasów, stanowczo mu odmawia, przyznając jego administracyi charakter niezawsze szczęśliwéj i zręcznéj fiskalności, a przyjdziemy do przekonania, że p. Droysen pokazuje nam Fryderyka w świetle panegirycznego entuzyazmu, którego za rzeczywistość dziejową brać nie można.

Co się tyczy *sposobu* opowiadania i stylu historycznego autora, pozostanie jego książka istną monstrualnością. Nie ma może w żadnéj literaturze pisarza, któryby rzecz samo przez się pełną zawikłań i trudności umiał jeszcze więcéj gmatwać ciężkim stylem, ciemném umyślnie może i mętném przedstawieniem rzeczy.

Kazimierz Jarochowski.

ZYGMUNT KRASIŃSKI

pomiędzy r. 1829 a 1848.

(Listy Zygmunta Krasińskiego. Tom I. Do Konstantego Gaszyńskiego z przedmową J. I. Kraszewskiego, z portretem autora. Lwów 1882 str. VIII, 343).

Charakter listu zależy nie tylko od tego, kto go pisze, ale także i od tego, kto go ma czytać. Inaczéj pisują do siebie ludzie ledwie znajomi, inaczéj poufali, inaczéj kochankowie, inaczéj przyjaciele. A i pomiędzy tymi ostatnimi są jeszcze rozmaite stopnie i odcienie; są przyjaciele, którym się całą, inni, którym tylko pół duszy się otwiera, i jeszcze inni, którym się donosi o zewnętrznéj jedynie stronie swego istnienia, przemilczając o tajnikach serca.

Przyjaźń pomiędzy Krasińskim a Gaszyńskim, na ławach szkolnych zawiązana, wzmocniona potém czynném wystąpieniem Gaszyńskiego w obronie młodziutkiego Zygmunta, opierała się przeważnie na przeciwieństwie usposobień i uzdolnień, a podsycała się trwale oddaleniem, które sprawiało, że przyjaciele rzadko i nakrótko tylko widywali się z sobą. Gdyby stykali się z sobą częściéj, kto wie, czyby wzajemne przywiązanie nie ochłodło, czyby nawet węzeł się nie zerwał.

Krasiński znał bardzo dobrze tę różnicę charakterów i nieraz dosadnie ją określał. Wiedział, że Gaszyński to natura miękka lecz elastyczna, łatwo umiejąca sobie radzić, niezbyt do głębokich smutków skłonna, prędzéj do żartów, mogąca łatwo się pocieszyć, nie mająca pragnień nieokreślonych. „Ty—pisze raz do niego—miewasz błogie dni pełne dziękczynień ku Bogu i ku ludziom, którzy cię kochają; ty nieraz wieczorem przestajesz na zmierzchu, ty pośród czarownéj okolicy przestajesz na jéj pięknościach. Przynajmniéj przez chwilę jesteś cały, dopełniony w sobie samym; nie czujesz, jakoby

część jakaś twoja nie była przy tobie, ale wyprzedziła ciebie i goniła daléj i żądała więcéj i rozdzierała swojemi wołaniami resztę twéj spokojnéj duszy! Ty dlatego niezawodnie lepszy, cnotliwszy będziesz odemnie. W tobie namiętność nigdy w rozhuzdanie nie przejdzie. Jéj najwyższym szczeblem będą łzy rozczulenia;—a we mnie zdarzyć się mogą wściekłe uniesienia, rozpacze nieopisane; bo im więcéj żądam, tém częściéj się zawodzę. Ty także ciągle będziesz czynny, a ja zapadnę w lenistwo, w odrętwiałość i lata przeleżę, by powstać raz jeden, by pięście pogryźć własnemi zębami lub pieśni odśpiewać w natchnieniu serca mego—i znów zasnąć potém" (str. 57). Inną razą szczerze się cieszy z téj łatwości i w życiu i w pisaniu, jaką się Gaszyński odznaczał: „A jak widzę, nie tylko żyjesz ciałem, ale i całą duszą, bo tak piszesz po polsku i po francusku, prozą i wierszem. Oby nigdy cię nie opuściła ta łatwość, ten dar boży, który tyle chwil słodko odpędza, maskuje tyle chwil gorzkich, kiedy nie można ni czuć ni pisać w nich. Obyś nie przyszedł do stanu przeklętego, w którym poeta zapytuje samego siebie: jest-że poezya, niema-li jéj na świecie?" (str. 72). Przeciwieństwo charakterów streszcza wybornie Krasiński, mówiąc: „to w naszych naturach rozmaitém jest, że mnie zawsze tragiczność, ciebie komiczność rzeczy uderza" (str. 212).

Krasiński nie chciał powiedziéć, a może nawet w dobroci swego serca nigdy nie pomyślał, że przyjaciel jego to natura powierzchowna i dosyć płytka, niemogąca wyrobić sobie głębokich przekonań, nie ogarniająca szerszych widnokręgów. Demokrata z początku, bez wielkich trudności staje się zwolennikiem poglądów zachowawczych, a nawet wielbicielem owych akademij szlacheckich na dworach magnatów, gdzie-to, jak z żalem wspomina, za żart jakiś szlachetka mógł dostać dziedzictwem wioskę intratną. Obojętny w sprawach wiary, zostaje potém religiantem przynajmniéj zewnętrznie, dla *decorum*. Od Krasińskiego nie waha się przyjmować zapomóg pieniężnych, prawie stałych, chociaż jest zdrów i mógłby na utrzymanie własne zapracować.

Jako pisarz był to talent bardzo średniéj miary. Pięknie utoczone wiersze w poezyi a poprawne okresy w prozie stanowią największą zaletę jego utworów. Kilka wierszy, a mianowicie „Sielanka młodości," zyskało sobie popularność, bo wypowiadały zręcznie uczucia podzielane przez masy. W prozie miewał czasami dobre pomysły (np. „Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pafnucy"), ale słabém wykonaniem psuł je tylko. Nie mając sam ani namiętności ani istotnych przekonań, zlekka drwił ze wszystkiego, lecz sił na satyryka społecznego nie posiadał.

Krasiński znał słabe strony swego przyjaciela i starał się wyższą ambicyą w nim obudzić. „Myśl głębiéj! myśl głębiéj!“—oto wyrazy powtarzające się w listach do Gaszyńskiego jak zwrotka w pieśni. Doradza mu, co ma czytać, zachęca do głębszego wnikania w dusze ludzi i w ustrój społeczeństw; martwi się, że jego kochany Konstanty przetrawia czas na fatałaszkach. „Nie francuzij mi tak—pisze do niego z uczuciem ojcowskiéj troskliwości, choć był młodszy o lat cztery—ni téż zgrywaj się w wista po klubach. Weź się do jakiéj poważnéj i nielekkomyślnéj pracy. Dbaj o ducha swego, dbaj, prosi cię o to ten, który zawsze cię kochał... Przecież w mieście... mnóstwo umysłowych potęg i dążeń i ruchów, przecież nie sam jeden klub i wist! Wcześniéj czy późniéj zda się zawsze człowiekowi, że duchowi swemu ścieśnić się lub upaść nie dał. Długo czekać, ale będzie nagroda!“ (str. 229, 230).

Przestrzega go, żeby lekkomyślnych miłostek nie zawiązywał, bo „już i tak o gościach polskich nienajlepsze wieści chodzić zaczęły pomiędzy narodami, osobliwie skarżą się mężowie i ojcowie na nich“ (str. 86). Wierzy on wszakże, iż Gaszyński „niezdolny coś nieszlachetnego uczynić lub pomyśléć“ i dlatego, upominając go, żeby był „roztropny i uważny,“ przesyła mu sto franków „choćby na papier do bilecików lub na kilka bukiecików,“ gdyż lęka się, czy przyjaciel może „koniecznościom wymaganym przez miłość zadosyć uczynić.“

O talencie jego poetyckim ma Zygmunt wyobrażenie jak najlepsze, a przynajmniéj stara się je takiém wystawić wobec niego samego, ażeby w nim szlachetną ambicyą podbudzić. Sposób, w jaki myśli swe pod tym względem wyraża, wydaje się nam dzisiaj troszkę niewłaściwym, bo samo zestawienie dwu nazwisk: Mickiewicza i Gaszyńskiego ma w sobie coś rażącego, a cóż dopiéro forma tego zestawienia! „Elegia i sonet do matki—pisze Zygmunt z powodu ogłoszonych świeżo poezyj przyjaciela—bardzo ładne, ale w innych sonetach znać ojca Mickiewicza—i to mi się nie podoba. Zresztą sonetyzm stał się chorobą już u nas, trzeba z niéj się wyleczyć. Są sonety Kassianowicza, Kamińskiego, doboszy, trębaczów etc. etc. Ojciec Mickiewicz napłodził potworów rozmaitego gatunku. Twój wykrzyknik: *I nasz wielki Mickiewicz*! brzmi mnie kwaśno w uszach. Co tobie do tego, kiedyś sam poetą, w chwili, w któréj sam jesteś natchniony. Kiedy recenzyą pisać będziesz, wtedy tak się odezwij, słusznie; *ale kiedyś sam Mickiewiczem*, kiedyś sam w akcie rodzenia, tworzenia, skąd ci tyle rozwagi zostało, by ocenić prace autorskie drugiego. W takiéj chwili ty powinieneś być przed sobą samym, jedynie sobą zajętym; winieneś być sam w sobie, tym który jest, dla

tego, że jest w tėj chwili. Może się niejasno tłomaczę, ale świat twój powinien być w takim stosunku do ciebie, w jakim świat boski jest do Boga, to jest, świata być nie powinno, tylko ty jesteś—ty jeden, ty zawsze i zawsze ty! a z ciebie wszystko wypływa: Mickiewicz i Dante i księżyc i historya i dom w Nimes; to są dzieci, płody twoje, tyś je stworzył; bo jakże, gdybyś ich nie stworzył, mógłbyś je pojmować i opisywać i w kształt sztuki oblekać. Zresztą czas już zaprzestać pochlebstw literackich między sobą, czas, by się rekomendacye dzieci do ojca skończyły. Niech każdy wali drogą swoją: jeśli nie ma sił, niech ustanie; jeśli potężny, niechaj będzie sobą samym, niechaj żyje przez się, niechaj ma imię swoje własne—i tém tylko się szczyci imieniem“ (str. 72, 73 list z 29 marca 1835).

Naturalnie, myśl zasadniczą całego tego ustępu, wypowiedzianą jasno i wyraźnie w końcowych zdaniach, za całkowicie słuszną uznać musimy, a więc i radę, Gaszyńskiemu daną, za trafną i zdrową; ale stylizacya niektórych szczegółów, ale ta niechęć do wspominania Mickiewicza w poezyi dla oddania mu słusznego hołdu, ale to stawianie na równi, chociaż pozornėj bo formalnėj tylko, wielkiego twórcy „Pana Tadeusza“ z autorem kilku udatnych wierszyków; to wszystko wytłómaczyć sobie można najprzód jakiémś chwilowém zobojętnieniem względem Mickiewicza (Krasiński pisał albo obmyślał wtedy „Irydyona“) a powtóre przyjacielskiém przecenianiem talentu Gaszyńskiego.

Przecenianie to jednak nie przemieniało się w zupełną bezkrytyczność; owszem Krasiński wytykał przyjacielowi spostrzegane przez siebie wady zarówno w kompozycyi jak i w języku nawet; ale w krytyce tėj zawsze widoczną była nadzieja, że przyjaciel, jeśli tylko zechce, to napisze coś znakomitego. Po przeczytaniu „Dezyderego Boczki“ pisze: „Szkoda, żeś nie ukoloryzował, tylko narysował, i to bez cieniów, rzecz całą. To rys dzieła tylko, a wykonane dzieło to mogłoby być Don Kiszotem polskim... Pomyśl o tém, niech to służy za tkankę pierwszą, a na niėj teraz wyhaftuj żywe barwy. Przekonany-m, że ci się uda i że właśnie odpowiada taki pomysł talentowi twemu, zarazem komicznemu i tkliwemu“ (str. 274). Po przeczytaniu „Reszt Pamiętników Rogowskiego“ podobnąż przestrogę daje przyjacielowi: „Doskonały pomysł Rogowskiego. Tylko na miłość Boga obrób go, wykończ, wyrób; cierpliwości i pracy i wytrwałości trochę, a będzie doskonałe. Paska czytaj i odczytuj! To typ wiekuisty na takie sztukmistrzostwa. Zmiłuj się tylko nie rób, jak z Pafnucym (sługą Boczki), szkic a nic więcėj. Ty do tego właśnie rodzaju masz arcy-talent. Zmiłuj się; nie zakop go, lub wykopanego nie zostawiaj na rdzę lenistwa, ale obmyj, oczyść, a błyśnie i będzie zło-

tem!“ (str. 330, 331). O francuskich zaś artykułach Gaszyńskiego, przyznając im „błogość dowcipną,“ takie wielce znamienne zdanie wyraził: „Wszędzie rozsypane oznaki szerokich wiadomości, ale co chwila jakbyś żartował z czytelnika, obiecywał mu długą przechadzkę to wśród kwiatów, to nad brzegiem strumieni, lub widok pola bitwy, lub opis namiętności i uczuć głębokich; a wtém jedną razą, kazał mu usiąść na ławce przed kawiarnią, krzyknął na garsona, by mu przyniósł filiżankę kawy a sam go odstąpił i zniknął“ (str. 147).

Ale, jeżeli Krasiński nie znajdował w Gaszyńskim umysłu sobie odpowiedniego, to znalazł w nim serce kochające, któremu zaufać mógł zupełnie. Wprawdzie dowodów faktycznych przyjaźni ze strony Gaszyńskiego posiadamy niewiele; najważniejszym jest bezwątpienia obrona, jaką okazał Zygmuntowi przeciwko spółkolegom w uniwersytecie; mniéj znaczenia posiada późniejsze zajmowanie się ogłaszaniem utworów Krasińskiego i użyczanie mu nazwiska jako pseudonimu literackiego. Wiadomo wszakże, że w sprawach serca najwymowniejszym i najbardziéj przekonywającym argumentem dla przyjaciela jest własne jego o przyjacielu mniemanie. A pod tym względem listy Zygmunta nie pozostawiają wątpliwości najmniejszéj; wszędzie z nich widnieje niczém nie zamącona wiara w szczerą, serdeczną, do poświęceń każdéj chwili zdolną przyjaźń Gaszyńskiego, w jego serce „prawe, tkliwe, niezatrute samolubstwem ni próżnością, niegoniące za blichtrami i fałszem“ (str. 126). To téż listy te noszą na sobie cechę zwierzeń poufnych i poufałych. Nie odznaczają się one ową artystyczną wykwintnością i doborem samych dźwięcznych a zarazem głębokich frazesów, przy traktowaniu podniosłych jedynie tematów, jak-to widzimy w korespondencyi Zygmunta ze Słowackim; nie zawierają szerokich a szczegółowo przeprowadzonych poglądów politycznych lub filozoficznych, jak w kilku znanych dotąd listach, do innych osób; ale natomiast znajdziemy tu wszystkiego po trosze. Najczęściéj donosi poeta przyjacielowi o swojém zdrowiu; niéma prawie listu, w którymby wzmianki o niém nie było; a że zdrowie to zawsze niemal przedstawiało się tylko ujemnie, więc listy Zygmunta do Gaszyńskiego są najdokładniejszém może odźwierciedleniem patologicznego stanu ciała i ducha Krasińskiego. Ale ta szpitalna trochę atmosfera, działająca na przyjaciela w pewnych odstępach czasu, a na czytelnika dzisiejszego odrazu jednym ciągiem, odświeża się prądami uczucia i myśli, które nigdy właściwie w stanie spokoju nie zostają, pracując ustawicznie, częstokroć gorączkowo, chociaż poeta nieraz na omdlenie, na „noc ducha“ się uskarża. Krasiński potrąca mimochodem wszystkie stosunki jednostkowe i ogólne, dotyka wszelkich kwestyj: estetycznych, religijnych, politycz-

nych, społecznych— pod wpływem i działaniem chwilowego wrażenia. Pisze dosyć niedbale, dorywczo, lubo znana patetyczność stylu autora *Nieboskiéj Komedyi* i *Irydyona*, będąc już właściwością genialnego talentu, uwydatnia się tu bez szczególniejszego z jego strony starania.

Jedna okoliczność może zadziwić. Krasiński rozpisujący się dość szczegółowo o swoich stosunkach miłosnych w listach do Sołtana, Gaszyńskiemu albo nic a nic nie donosi jak np. o miłości do mężatki, albo téż natrąca o nich ogólnikowo jak np. o Beatryczy. Czy dlatego, że nieraz ostrzegał przyjaciela, ażeby się w miłostki nie wdawał, czy dlatego, że instynktowo odczuwając powierzchowną neturę przyjaciela, nie chciał, ażeby tenże nie obniżał wysokiego jego nastroju swemi przypuszczeniami na miarę własnéj duszy zrobionemi — trudno wiedzieć; w każdym jednak razie fakt ten zastanawia.

Wydrukowanych obecnie listów do Gaszyńskiego mamy 146. Powstały one głównie pomiędzy r. 1832 a 1848, gdyż z r. 1829 mamy tylko urywek z listu zawierający opis Lemanu; a z lat 1852—1859 zachowały się tylko cztery króciutkie bileciki. W listach wszakże z r. 1832 znajdują się bardzo częste wzmianki odnoszące się do lat poprzednich, tak że na podstawie tych wzmianek możemy odtworzyć stan duszy poety po wyjeździe za granicę w r. 1829. Tym sposobem do szczegółowego rozpatrzenia otrzymujemy lat dwadzieścia, najważniejszych w życiu naszego poety, gdyż wypełnionych jego twórczością poetycką. W tych dwudziestu latach można upatrzyć trzy fazy rozwojowe, mające właściwe sobie cechy: najprzód lata 1829—1832, daléj 1833—1839. wreszcie 1839—1848. Postaramy się je scharakteryzować, o ile się to da zrobić z materyału świeżo ogłoszonego.

I.

W jakim stanie ducha opuszczał Krasiński Warszawę i kraj, aby się udać za granicę, do Szwajcaryi, pod przewodnictwem Jakubowskiego o „twarzy centkowanéj“?

Ci, co go znali natenczas zblisko, widzieli w nim tylko „bystrego, sprytnego i przenikliwego studencika,“ który mając zaledwie lat 14 skończył już liceum warszawskie i wstąpił do uniwersytetu. Zygmunt sam nie zaprzecza pisząc do Gaszyńskiego, że „był wesoły, lekkomyślny, że mu dni schodziły gdyby motyle.“ Ale składając takie wyznanie w 24 roku życia, spostrzega się natychmiast, że może powiedział za wiele, może ta wesołość była tylko powierz-

chowną, zewnętrzną, gdy tymczasem w głębi serca taiły się smutki i bóle wielkie. Bezpośrednio bowiem po owych słowach, bez żadnego stylowego przejścia, czytamy następne: „Och, nie! podobno ja nigdy takim nie byłem; już w dzieciństwie mojém były namiętności, które mnie kaziły, które mi czystość duszy odebrały przed czasem; starością jakąś zawsze cechowały mnie Bogi; nigdym nie był tak niewinny, tak dobry, tak ufny jak ty, i dlategom nigdy nie był jako ty szczęśliwy“ (str. 75). Wprawdzie młodzież gienialna lubiła i lubi wystawiać sobie, że nie tylko jest, ale była zawsze, od samego dzieciństwa, całkiem różną od innych; wprawdzie lubiła i lubi wpajać to przekonanie w słuchaczów i czytelników; lecz okoliczność ta nie może jeszcze stanowić przekonywającego dowodu przeciwko wyznaniu Krasińskiego; bo naprzód, dzieci gienialne istotnie bywają odmiennemi od rówieśników, a powtóre, słowa charakterystyki swéj pierwszéj młodości wypowiada Krasiński przygodnie, bez żadnego zgóry powziętego celu, nie potrzebując pozować wobec oddalonego przyjaciela i towarzysza lat owych, wypowiada je raz tylko w ciągu całéj korespondencyi, a ta jednorazowość nadaje im cechę mimowolnego wylewu serca. Co najwyżéj, to moglibyśmy na karb szczególnie smutnego usposobienia, w którém wyrazy te pisał, policzyć owe ciemne barwy, w jakich pierwszą swą młodość przedstawił. Rzeczywiście, kiedy w latach późniejszych niejednokrotnie jeszcze potrącał o te wspomnienia, już tylko wesołość i swobodę młodzieńczą w nich widział. Nie może to jednak i nie powinno osłabiać doniosłości owego jednorazowego, mimowolnego wyznania: może ono być przesadném, ale musi téż zawierać w sobie wiele prawdy.

I prawda ta nie miałaby w sobie nic psychologicznie nieprawdopodobnego. Urodzony z matki suchotnicy, odziedziczył po niéj wątły organizm, który szybko rozwijającemu się umysłowi nie mógł nadążyć i rozstrajał się. Mając lat 10 grzebie matkę, mając lat 15 widzi, jak ojciec jego zaczyna tracić dobrą wśród społeczeństwa opinią, mając lat 17 doznaje dotkliwéj, rozdzierającéj serce zniewagi od swoich rówieśników, od spółkolegów uniwersyteckich, a nie mogąc nawet ująć się po rycersku za swój honor, musi z tą krwawiącą się w sercu raną kraj opuszczać. Nawet na niezbyt wrażliwy temperament szereg tak bolesnych wypadków musiałby podziałać w wysokim stopniu drażniąco, musiałby zamącić pogodę duszy młodzieńczéj, a cóż dopiero na tak nerwowe usposobienie jak Zygmunta Krasińskiego!

Do tych wpływów rodzinnych, domowych i osobistych, dodajmy wpływ poezyi romantycznéj, która za czasów jego młodości była wychowawczynią dusz ognistych, porywając za sobą także i chłod-

ne. Poezya ta nie lubiła harmonii ducha z ciałem, przeciwstawiając je sobie jako żywioły pogodzić się nie dające, nie cierpiała twarzy rumianych, charakterów pogodnych i zadowolonych z siebie; z rozkoszą natomiast wystawiała namiętności bezgraniczne łamiące serca i istnienia, wybuchy gwałtowne, rozdwojenie ducha, rozbrat z prozą życia, marzenia nadobłoczne, natury tytaniczne, wikłające się w katastrofy tragiczne i wśród nich ginące. Na organizmy zdrowe i silne poezya taka nie wpływała szkodliwie, owszem zbawiennie nawet oddziaływać mogła, budząc w nich ducha naprawdę; ale na organizmy wątłe i chorowite wywierała skutki haszyszu: czarowała je i upajała chwilowo majakami niewypowiedzianéj rozkoszy, lecz osłabiała je i rozstrajala coraz bardziéj. Młodzieniec chcący być poetycznym nie mógł być szczerze i po prostu wesołym: śmiech musiał zamienić na uśmiech, żart na humor, spostrzeżenie na paradoks, charakterystykę ludzi na ironią lub sarkazm.

Na Krasińskiego silnie wtedy oddziaływał Byron. W pierwszym większych rozmiarów utworze t. j. we „Władysławie Hermanie“ można zauważyć wpływ jego pesymizmu i w poglądach na życie i w postaciach ponurych, demonicznych. „Szczęście — mówi tu jedna z osób—jest-to marzenie... szczęście! nierozsądny, szalony był, kto pierwszy to słowo wymówił na świecie; szczęście na tym padole zgryzot. . . o nie! to kłamstwo, to słodka trucizna, któréj szumne nadano imię.“

Wprawdzie, opierając się na liście o literaturze polskiéj, napisanym przez Krasińskiego w 1829 do „Biblioteki powszechnéj“ genewskiéj w języku francuskim, możnaby utrzymywać, że wówczas jeszcze autor „Władysława Hermana“ nie był romantykiem duszą i ciałem, gdyż nie tylko oddaje sprawiedliwość klasykom sobie spółczesnym, ale nadto, w sądach i ocenach zwraca głównie uwagę na stronę formalną poezyi, na język, styl i wiersz. Ale najprzód, pamiętać należy, że artykuł pisany był dla informacyi cudzoziemców, autor zatém musiał w nim jaknajwiększą liczbę nazwisk wymienić— i to z określeniami pochlebnemi; powtóre, co innego są wywody krytyczne, rozumowe, a co innego popędy i skłonności serca; autor mógł jeszcze w zdaniu o literatach polegać na sądach, których się nasłuchał w domu, a swoją drogą lgnąć do całkiem innych dążności w tworzeniu poetyckiém. Być może nawet, że w zdaniu tém trwał i dłużéj, lat jeszcze kilka, poprostu z przyzwyczajenia tylko, dopóki umysł jego nie przetworzył się do gruntu. Temu przetworzeniu się dał wyraz i w zmienionym sądzie o poetach, spotykanych niegdyś w domu ojca na obiadach literackich. Roku 1834 pisze do Gaszyńskiego: „Co też to za głupia była poezya, co nas otaczała w dziecin-

stwie naszém; co téż to za głupi ludzie dawali nam pierwsze wyobrażenia o filozofii i literaturze. Mój Boże!" (str. 58).

Zamiłowaniami poetyckiemi wyprzedzał on ten sąd krytyczny; myślał, czuł i tworzył w duchu romantycznym.

Tak więc, zarówno ze względu na stosunki osobiste jak i ze względu na kierunek ogólny umysłu, musimy sobie wyobrazić Krasińskiego w chwili wyjazdu za granicę jako młodzieńca, który i sercem i wyobraźnią wiele przecierpiał. Pierwszy rok pobytu po za krajem, przepędzony w Szwajcaryi, wśród pięknych widoków górskich, po części w towarzystwie Mickiewicza, przyniósł mu niejakie ukojenie, ale zaraz następny otworzył zabliźniające się rany, nowemi je rażąc ciosami. Wprawdzie już i wśród jezior i gór szwajcarskich tęsknił do Wisły, Narwi i Gopła i mówił, że kuropatwy opinogórskie warte wszystkich gór przezeń oglądanych; ale bądź-co-bądź miewał często chwile spokoju, niekiedy wesołości; a umysł jego mianowicie pod wpływem obcowania z Mickiewiczem rozwijał się i dojrzewał: od niego nauczył się „zimniéj, piękniéj, bezstronniéj rzeczy świata tego uważać;" pozbył się „wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych wyobrażeń;" przekonał się, „że szumność jest głupstwem tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu; że prawda i prawda tylko może być piękną i ponętną w naszym wieku; że wszystkie ozdóbki, kwiatki stylu są niczém, kiedy myśli niéma; że wszystko na téj myśli polega i że chcąc być czémś teraz, trzeba uczyć się i uczyć i uczyć, i prawdy wszędzie szukać, nie dając się ułudzić przez błyskotki, które świecą przez czas jakiś, jak robaczki na trawie w maju, a potém gasną na wieki."

Ze Szwajcaryi udaje się Krasiński do Włoch. Tu go dochodzą wieści o wypadkach krajowych z r. 1831. Radby był znajdować się wśród swoich, a nie mógł; prawdopodobnie powracać zabronił mu ojciec. Co wtedy czuł, jaka boleść duszę jego ogarnęła, to wyraził w urywku p. n. „Wygnaniec," napisanym we Florencyi, ale do druku nieprzeznaczonym wcale. W ramy fikcyi „oprawił własne uczucia," z których nikomu może zwierzyć się nie mógł lub nie śmiał.

Pochop do napisania fragmentu tego dał jakoby obraz Galeara Pesquieri znanego ze swych nieszczęść i wielkiego przywiązania do rzeczypospolitéj florenckiéj. „Żarliwy obrońca, przywilejów ludu, choć sam był ze znakomitéj rodziny, często miewał zatargi z arystokracyą i nieraz pokazał się nieubłaganym w zemście." Częstokroć musiał kryć się i uciekać, „uległ wreszcie zwykłemu losowi tych, którzy w publicznych zamieszaniach stają na czele stronnictw, *bo są w sile wieku*: zginął od trucizny." Pod obrazem wewnątrz „ta-

bliczek z perłowéj macicy“ znajdował się długi napis, który Zygmunt wiernie przetłomaczyć się starał.

W całym tym ustępie (str. 29—32) widać szlachetną, gorącą, namiętną, a wielkiemi prądami cierpień miotaną duszę, która przedstawiając sobie w wyobraźni różne rodzaje nieszczęść, ścigających jednostki, nie zdolna straszniejszego wymyśleć nad niemożność spełnienia tego, co się za obowiązek uważa. Niczém jest w porównaniu z tą katuszą, rozbicie się na morzu i samotne pozostanie się na wyspie bezludnéj, niczém wygnanie spowodowane przemożném zwycięstwem przeciwnego stronnictwa... Z głębokiém przejęciem maluje stan duszy takiego rozbitka obowiązku: „Wtedy ci już godziny, w których obcy mówić będą o wieściach ojczyzny, dłuższemi od dni się wydadzą, nocy twoje przeniosą cię na pola, gdzie uczujesz ostatnie uściśnienie konających braci, a kiedy się obudzisz, jak się zemścisz? przecież już pomstę w snach obiecałeś? U łoża odtąd krew i jęki, na jawie wstyd i cierpienia zgotowane tak, że przed kościołem nie będziesz śmiał się przeżegnać, ani przed równym oczu podnieść; a jeśli wychodzisz, zakrywaj twarz dobrze, bierz się na tylne schody, na boczne ulice, kryj w sieniach, przemykaj przez rynki, by dzieci poznanego nie wytknęły: on tutaj, czyż to tu jego miejsce?... Wygnańcze, żyj bez wzmianki; grób bez napisu jest twoim udziałem i bodajby on jeszcze był takim, wolny od pogardy i przekleńctw bliźnich, dosyć już twoich nad nim było. Nie do was, przyjaciele — dodaje Pesquieri— z któremi dziecko biegałem w Apenińskie lasy, po nad brzegami Arno, teraz przemawiam; ani do was, którzyście umarli przede mną i w dziejach swojego kraju żyjecie, ani do tych, co po mnie zawód swój zaczną, ażeby mi dać naukę; do nikogo na tym szerokim świecie się nie odzywam, tylko do siebie, do siebie, do siebie, bo taki był mój los a nie czyj więcéj.“

Takie lub podobne myśli dręczyły Krasińskiego przez rok 1831 i bardzo silném echem odbijają się jeszcze w r. 1832 w korespondencyi z Gaszyńskim. Ta myśl: jam tam nie był, jam się nie bił! jak zmora dusząca osiada mu na piersi i nie dozwala mu myśleć o czém inném. Każda wiadomość z kraju, każde spotkanie z rodakiem nawiewa głęboki smutek do jego duszy. „Wszystkich sposobów używałem — powiada — by dostać się do was, ale silniejsze nad moje ramiona zapory drogę mi zajęły... Zaprawdę ci powiadam, że mi dnie i nocy na gorączce z początku, późniéj na szaleństwie zeszły. Wycierpiałem za winy wszystkich przodków moich.“— „Miałem kochankę—pisze kiedyindziéj—a dusza jéj była z ognia; dziś mną ona pogardza, bom się nie bił... nie wie, jakie zawady mi ramiona do piersi przykuły...“

Ponieważ miał „duszę za ognistą“ na swe „nędzne ciało,“ więc cierpienia moralne „rozstroiły zupełnie“ jego organizm. Od samego niemal początku roku 1832 t. j. od czasu, w którym się rozpoczynają listy do Gaszyńskiego, już we Francyi wówczas będącego, czytamy nieustannie takie bolesne wyznania: „napół ślepy jestem, ledwo widzę litery; oczy piekielnie mię bolą, mózg mój spiekły oddawna; męczę się złożony niemocą oczów i gorączką; życie mi jest festynem, do którego zasiadłem z cierniową koroną miasto kwiecia na głowie, z puharem goryczy przed sobą miasto czary nektaru; codzień gorzéj i głębiéj brnę w gorączkę i rozpacz; słaby-m na ciele i na umyśle; wieczna nuda i wieczny ogień mnie pożerają; krew puszczałem, bo mi tak biła do mózgu, że kazała lękać się apopleksyi...“

A wśród tych cierpień okropnych, przygnębiająco działało wspomnienie, że nie był w kraju razem z Gaszyńskim i innemi. „Gdybym z wami był kampanię odbył — powiada — byłbym zdrów jak ryba, albo może byłbym już gdzieindziéj, wśród błękitnych fal, kędy dusza z gwiazdy do gwiazdy się przerzuca, jak z łódki do łódki“ (str. 23). A teraz „może niedługo pójdę tam, gdzie tylu poszło, bez sławy, bez miłości i żalu ludzi, bom nic nie zrobił, bom żył na świecie jak kawał deski, co płynie po morzu, aż wreszcie zgnije i pójdzie na dno. Nikt o mnie wiedzieć nie będzie; moje prace zaginą ze mną razem, moje natchnienia do trumny pójdą.... A przecież— dodaje, nie mogąc nie sarknąć na los— nie tak nędzne serce biło pod temi piersiami; mógłbym był i śpiewać i walczyć; przeznaczenie inaczéj chciało i chce“ (str. 25).

Ale czyż ma się biernie poddać wyrokom tego przeznaczenia? Bynajmniéj; bo najprzód podtrzymuje go ożywiona w jego duszy religia, a powtóre, poczucie obowiązku.

Jaki był stosunek Krasińskiego do religii przed r. 1831, nie wiemy; doświadczenia, a zwłaszcza cierpienia tego roku dużą sprowadziwszy odmianę w jego głowie, wyobrażeniach, sądach, w religii wskazywały najsilniejszy punkt oparcia i największą w smutku pociechę. „Nauczyłem się—powiada—daleko częściéj o niebie myśleć niż o ziemi, zwątpiłem o szczęściu, bo widziałem, iż to istna mara, a za nią gonić nawet nie warto.“ Katolicyzm doznający ucisku zwraca jego myśl ku wiernemu przy nim wytrwaniu. „Patrz— pisze do przyjaciela—od religii, od krzyża Chrystusowego odstępuje ziemia; ale powiedzcie mi wszyscy, kędyż nowy ołtarz się zjawił, kędyż klęknąć mam przed nowém bóstwem?... Uwierz głosowi przyjaciela twéj młodości: nad religią naszę nic wznioślejszego i poetyczniejszego. Ta krew, co ze wzgórza Golgoty rozlała się wszędy,

by ziemię zbawić, była krwią boską... Zdaje się, iż to jest odwieczném prawem i że zbawienia być nie może bez cierpienia, bez boleści, bez krwi. A kiedy cię tęsknota napadnie; kiedy cię smutek obarczy, kiedy na obcéj ziemi przyjdzie ci przeklinać los twój.... pomyśl: i Bóg cierpiał za nas! A ta myśl cię połączy ze światem, nie z owym znikomym, małym, który przesuwa się przed oczyma naszemi i w każdéj chwili może z pod nóg naszych się usunąć, ale z owym wielkim, jedynym, obejmującym cały porządek stworzenia duchów, ludzi. A wtedy uczujesz, że ku nieśmiertelności dążysz, że celem twoim jest *cierpienie* i *wielkość* na téj ziemi, zaś na tamtéj stronie grobu *wielkość* i *szczęście*" (str. 9, 18, 19). Co jest cierpienie i szczęście, to mniéj więcéj wiadomo, ale co nazywa Krasiński *wielkością*? „Wielkość u mnie — powiada — zależy na tém, by cierpieć i nie żalić się, by ziemią pogardzać i zawsze być gotowym do odepchnienia jéj od siebie, jak łódkę od brzegu."

Poczucie obowiązku nakazywało mu zrobić coś dla kraju. Nie mógł tego dopełnić w jednéj formie; wypadało to zrobić w jakiejkolwiek innéj. W ciągu 1831 i 1832 pisał „dużo rzeczy," a wszystkie były „gorączką i rozpaczą" napiętnowane. Sam wymienia *Ułamki o Szwajcaryi i Włoszech*, *Zawiszę*, *Adama Szaleńca*, *Przeora*, *Marynę Carową*, ale oprócz ostatniego utworu, nie mógł innych drukować, gdyż były zanadto przesiąknięte uczuciem nienawiści, wywołaném spółczesnemi wypadkami. Zresztą Zygmunt pragnął „wziąć się do poezyi czynów," poezya pióra miała mu tylko służyć „za piosnkę nuconą przez mamkę."

Ojciec powoływał Zygmunta do kraju. Już w marcu 1832 napomyka Krasiński, że za dwa miesiące musi wrócić, a myśl ta przejmuje go grozą. Nie myślał wcale sprzeciwiać się woli ojca, ale zdawało mu się zrazu, że będąc już na miejscu nie dotrzyma „oburzeniu swéj duszy" i że go srogie czekają katusze. „Niechaj wola Boga się dzieje—mówi z rezygnacyą—jeślim nie walczył z bracią, niechaj przynajmniéj wycierpię to, co oni." Potém inna uwaga, rzeczywiście godna zastanowienia, przyszła mu na myśl; położenie kraju zajęło go mocno. „Czy sądzisz, Konstanty, że należy wszystkim ziemię ojczystą opuszczać? Nie! kto może, ten winien pójść oglądać te mogiły i krzyże, te pobojowiska, te gruzy, i starać się, by w dniach odrętwienia... nie upadł duch narodowy, nie zapomniał sam o sobie polski wieśniak, że jest Polakiem." Decyduje się więc jechać do kraju niechętnie wprawdzie, ale decyduje się „bo to jest obowiązkiem;" musi „pojechać do ojca i długie, długie mieć z nim rozmowy" (str. 12). Jeśli będzie można pisać co w kraju, to pisać nie zaniedba.

Cierpienia nie pozwoliły mu wyjechać w terminie pierwotnie naznaczonym; musiał z Genewy przez Wiedeń udać się do Wenecyi, gdzie przebył maj; następnie w czerwcu i lipcu leczył się w Wiedniu; w sierpniu dopiero (str. 33 i 28) udał się do kraju, z zamiarem spełnienia obowiązku. „Ja idę popracować około wspólnego dzieła—mówił—nie na otworzystych polach, gdzie chwała czeka, ale pośród ciemności... Bądź-co-bądź świętéj dokonam powinności; bądź-co-bądź czy się uda lub nie, umierając tę będę miał otuchę, że Bóg mi nagrodzi za męki téj ziemi, że ty i ci kilku, co mnie znali prawdziwie, wyleją łzę jednę po moim zgonie i pamięć o mnie zachowają, jako się zachowywa pamięć snu mianego w dzieciństwie... Ja przepadnę bez chwały, bez znaczenia, ale ty pamiętaj, żem był dobrym Polakiem...." (str. 22).

II.

Przybywszy jednak do kraju, pracować nie mógł. Wyprawiony do Petersburga, „przeleżał cztery miesiące i pół w łóżku, coraz słabszy na oczy i na duszy;" a to było przyczyną, że musiał znowuż w r. 1833 wyjechać za granicę wraz z drugim przyjacielem młodości Konstantym Danielewiczem. Osiadł w Wiedniu, odbywając „kuracyą długą, nudną, niewiele polepszenia przynoszącą."

Atoli, jeżeli w kraju nic robić nie mógł, to miał czas do samotnych rozmyślań, a i z ojcem zapewne prowadził „długie, długie rozmowy." Byłoby rzeczą nadzwyczaj ciekawą wiedzieć, jakiego rodzaju, jakiéj treści były te rozmowy; ale niestety, dotychczas nie mamy najmniejszéj nawet pod tym względem wskazówki; co większa, wątpić wypada, czy kiedykolwiek je poznamy. Obecnie zanotować jedynie możemy wynik ostateczny wrażeń doznanych w kraju i w Petersburgu, rozmyślań bolesnych i rozmów z ojcem. Rezultat ten dostrzegamy i w listach do Gaszyńskiego i w twórczości poetyckiéj Zygmunta. W pierwszych zaraz chwilach po powrocie z kraju bardzo jaskrawo zarysowuje się zmiana w jego duszy. Poprzednio był młodzieńcem nadzwyczaj wrażliwym i uczuciowym, który wrażliwość tę i uczuciowość bezpośrednio wypowiadał przed przyjacielem. Teraz jest już mężczyzną, który, nie tracąc wrażliwości i uczuciowości, w wyrażeniu ich poddaje je filtrowi refleksyi. Poprzednio, pomimo cierpień, pomimo chwilowych objawów rozpaczy, wierzył on jeszcze w życie i w ideały i wielbił je w tych, wśród których z wielkim żalem swoim nie był. Teraz, cierpiąc jeszcze bardziéj może, pozbywa się wiary w istnienie ideałów na ziemi i umieszcza

je tam, gdzie mogą trwać nietknięte, „w sercu ludzkiém jako przeczucia, i w niebie jako rzeczywistość,“ gdy tymczasem życie ludzkie oddane jest „analizie potu i krwi.“ „Wiek, który nas otacza, ciąży na mnie. Tytan starożytności jednéj góry złożonéj z warstw gliny, z popiołu bez myśli, z lawy i ognia bez duszy, zrzucić nie potrafił; gdzież się człowiekowi jednemu spodziewać, że zepchnie z ponad siebie nawał tylu myśli cisnących go na dół, ogrom pełny życia i przekleństwa. Piszę jeszcze czasem, ale nie z taką wiarą, jak dawniéj; gdzież się podziały wszystkie wiary moje!“ (str. 35).

Żalu zatém, że nie był wraz z Gaszyńskim, nie ma już teraz i śladu; dawna szczera, młodzieńcza, entuzyastyczna wiara w świętość sprawy i konieczność spółudziału, ustąpiła miejsce chłodnemu zastanowieniu i dotkliwéj krytyce. „Co ty nazywasz duchem rewolucyjnym u nas—pisze do przyjaciela w końcu r. 1833—co ty mienisz przez przytłumienie jego? Czyś się dotąd nie przekonał, że *wszystko było niedojrzałe*; że ideę wielką wcielono w *krzyk i hałas i mierność*? Jéj (tj. idei) nie dobrze było w tych łachmanach; więc usunęła się. Ale powiedz mi, cóż nie było miernością, co nie wyszło u nas na ostatnią nędzę: i zapał i olbrzymi teroryzm, co miał być nowym 93 rokiem, i poezya pisana i elokwencya mówiona; czy to nie małe dzieci wszystko? Czemu ty, drogi mój Konstanty, ufasz słowom jakoby przyjaciołom doświadczonym; słowa, wierz mi, są niczém, ale możem się przyzwyczaić do uważania ich za wszystko... Potém naucz się ważyć ludzi na wartość ich, przekonaj się, co to są imiona głośne, sławy, czyny trąbione po świecie. Mój drogi, mój przyjacielu! wierzaj słowom kochającego cię szczerze, zamknij się w sobie nieco, myśl udzielnie, rozważaj sam, *odłóż entuzyazmy*, *które zwykle kończą się na niczém*, bo w słowach siłę duszy wyrzucają na wsze strony świata, a kiedy do czynu przyjdzie, idź te siły zbierać tam, gdzie wiatry je poniosły...“ (str. 41).

Wnioskując z tych rad udzielanych Gaszyńskiemu, rozczarowanie co do wypadków i ludzi r. 1831 ogarnęło duszę Krasińskiego dosyć wcześnie i zakorzeniło się w niéj silnie. Doznał strasznéj goryczy, kiedy obejrzawszy się naokoło, „nie znalazł nic podobnego do snów swoich.“ Skutkiem doznania téj goryczy wzmianki o kraju przez czas jakiś w listach jego nie spotkać, a jeżeli jest, to już bez tego zapału, z jakim mówił o nim poprzednio. Zagłębiał się natomiast w rozważanie dziejów ludzkości całéj, w rozpatrywanie cywilizacyi i jéj składników, w refleksye nad zakresem i zadaniem poezyi.

Z tych rozmyślań warto szczególniejszéj uwagi jedno, które może się przyczynić do wyjaśnienia, dlaczego Krasiński w nowéj fazie twórczości swojéj obierał temata ogólno-ludzkie. W jednym z li-

stów wyraził Gaszyński zdanie, że poezya stosować się winna do *ducha czasu*. „Alboż poezya jest nałożnicą marnych okoliczności— odpowiada Krasiński. Poezya tyczy się rodu człowieczego całego, a *nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni*. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje.“ Tak więc kraj zostaje już tylko jednym łachmanem czasu i przestrzeni; nie wart on, ażeby natchnienie poety weń się obwijało, kiedy może rozpostrzeć skrzydła do lotu okiem niescignionego.

Tym sposobem od rzeczy konkretnych przechodził poeta w sfery oderwane, w świat pojęć i uczuć ogólnych, w którym przez dość długi czas przebywał, lekceważąc łachmany czasu i przestrzeni. Według ówczesnego poglądu jego, poezya mówić powinna „o zagadce wielkiéj, którą Bóg zadał ludzkości; o przeczuciach innego życia, o wspomnieniach tego, co poprzedziło nasze przybycie na ziemię, o nadziejach i bojaźniach, o tém wszystkiém, co się zowie uczuciem istoty żyjącéj w granicach, a przeznaczonéj kiedyś do życia bez granic... Zapewnie, że poezya zmienia formy swoje podług czasów i okoliczności; ale jéj wszystko jedno, czy z piramid Egiptu, czy z świątyń Turcyi, czy z katedr niemieckich, wyciskać tajemnicę stworzenia, upadku, śmierci i dalszego życia... Nie lękaj się o nią; ona potrafi żyć wśród statków parowych i machin do młócenia, wśród morderstw i zawiłych rachub. Ona ludziom zostawi wszystkie dżdże ich burzy, a sobie weźmie błyskawice—i, z chmury na chmurę, z odmian w odmiany, ze zwalisk na zwaliska przelatując, będzie mówiła o Bogu, o potępieniu wieczném i o wybranych, kiedy pod spodem toczyć się będą walki o budżet, o wolność lub ucisk, o kolonie lub interwencyę“ (str. 46).

Czy owę „zagadkę wielką, którą Bóg zadał ludzkości,“ ma odgadywać poeta za pośrednictwem wysiłków własnego rozumu i samoistnego badania? Na to pytanie znajdujemy w listach Krasińskiego kategoryczną odpowiedź, iż poezya religijną być powinna, „a że religia chrześcijańska jest ostatnią, dopełnieniem wszystkich innych, poezya chrześcijańską być nie przestanie.“ A w innem miejscu wprost do Gaszyńskiego przemawiając, powiada: „Poeto, wstydź się nie być katolikiem!“ (str. 37).

Ażeby poglądy te zrozumiéć, a jednak nie posądzić Krasińskiego o ciasne pojmowanie poezyi jako ilustracyi katechizmu, potrzeba przypuścić, że poeta nasz akcentował wówczas w religii chrześcijańsko-katolickiéj nie tyle treść dogmatyczną, ile wrażenie poetyczne. Przypuszczenie to znajduje poparcie w kilku ustępach korespondencyi. Oto opisując wrażenia, jakich doznawał w Rzymie w Wielki czwartek, uwydatnia raczéj uczucia widza wysoce zainteresowanego

spektaklem, aniżeli katolika przejętego do głębi unaocznianą przed nim tajemnicą odkupienia. „Siedziałem w kościele św. Piotra do godziny dziewiątéj w wieczór, słuchałem Miserere. Nic wznioślejszego nad te głosy ludzkie rozpaczające, konające z bólu i żalu, rozchodzące się zwolna po tém ogromném sklepieniu, między masy cieniów, masy złota, marmurów i drogich kamieni zanurzonych w ciemnościach. Nad grobem Piotra pali się gromnic kilka; a reszta kościoła—to nicość cieniów, to nieskończoność cieniów, chaos jakiś z marmuru i cieniów, świat, jakiegoś nie widział nigdy. Bóg wszędy—Bóg, co skonał na krzyżu; i dziś on o téj czarnéj godzinie kona, w każdym zakącie tego olbrzymiego gmachu. Szumy burzy, zda mi się że słyszę, bo wiesz, On dech wyzionął wśród burzy. Ogrom wieczności zda mi się widomy, *zaczyna się za tym ołtarzem*. Patrz! ołtarz wysoki, wysoki, jak olbrzym niknący w górze; u stóp jego gromnic kilka, a za ołtarzem ciemność, wieczność, i reszta kościoła, i te pieśni wszystkie płaczące nad Bogiem umarłym, nad mękami Boga!" (1).

Wszak-to fantazya poety, nie uczucia żarliwego religianta!

Podobnież, co się tyczy strony dogmatycznéj, to, jak wiadomo, w *Legendzie* przedstawiony został kościół ś. Piotra jako walący się, a na jego gruzach powstający kościół ś. Jana. Że taka była istotnie myśl poety, dowodem list, w którym Krasiński mówi o krytyce na „Trzy myśli" pomieszczonéj w *Dzienniku Narodowym*: „Gdzie z duchem dziennika nie zgadza się duch pisarza, tam potępiony bez uwagi na artystyczność rzeczy. Twierdzi np. krytyk, że *Sen* wyższy nad *Legendę*. Czemu? Bo w *Legendzie* zadraśniony mur, który według nich stoi na opoce" (str. 180). *Według nich* nic innego oznaczać nie może jak katolików ścisłych.

Zresztą było-to rzeczą bardzo naturalną, że prawdziwy poetyczny temperament Krasińskiego nie mógł się ograniczyć do roli biernego naczynia, w któreby natchnienie z zewnątrz spływać miało. Duch jego ruchliwy i czynny, choćby nawet na chwilę postawił sobie jakąś przegrodę, toby ją przewrócił, ażeby swobodnie rozwinąć lot swój i siły. Zarówno ze względów patryotycznych jak i ze względu wrażenia poetycznego Krasiński poczytywał religią katolicką za regulatora myśli i uczuć; lecz mimowoli może pozwalał sobie tłómaczyć ją po swojemu, brać z niéj to, co jego poczuciu poetycznemu odpowiadało, co mogło służyć za czynnik dodatni w budowie

(1) Por. opis przygotowań do błogosławieństwa udzielanego przez papieża *urbi et orbi* str. 155.

pomysłów. A w skutek właściwego usposobieniom wrażliwym podstawiania własnych pojęć i uczuć za pojęcia i uczucia ogólnie obowiązujące, łatwo mógł przyjść do przekonania, że jego poglądy religijne są katolickiemi, i śmiało mógł twierdzić, że poezya katolicką, chrześcijańską tylko być winna.

Podobny objaw złudzenia temperamentu poetyckiego widzimy w pojęciu, jakie wyrobił sobie Krasiński o *istocie* poezyi. Wielokrotnie w listach jego czytać można, że prawda i tylko prawda jest poetyczną. Ale z tego orzeczenia bynajmniéj wnosić nie należy, że poeta mówi o takiéj prawdzie, jaką my dzisiaj uznajemy, widząc ją w dobrze zaobserwowanych i dobrze sprawdzonych faktach, jako téż w należycie, metodycznie dokonanych uogólnieniach faktów takich. Tego rodzaju prawdy były dla Krasińskiego ulotnemi, przemijającemi kształtami, które prawdy w sobie nie zawierają.

Chąc zrozumiéć, co było dla poety prawdą, należy sobie przypomniéć, że czas, o którym tu mówimy (1830—1840), to chwila najbujniejszego rozwoju i rozpowszechnienia filozofii niemieckiéj, to chwila absolutnego w teoryach idealizmu. Krasiński filozofią niemiecką zajmował się dosyć pilnie i przejął z niéj wiele pojęć, a przedewszystkiém i pojęcie prawdy. Prawda dla idealizmu tkwiła jedynie i wyłącznie w absolucie, w idei bezwzględnéj; wszelkie zaś czasowe i miejscowe przejawy tego absolutu, to tylko złudzenie, to nieprawda. W ten-to sposób pojmować potrzeba wyrażenie Krasińskiego, że dla niego rzeczywistością jest to, co jest w myślach Boga i dziełach natury, że im kto bliżéj Boga, tém jest prawdziwszym, rzeczywistszym. W tym duchu rozumiéć należy orzeczenie, iż „*marzenie* tylko tém różne od *realności*, że w jednéj chwili całość chwyta, i stawia przed oczy, kiedy realność tę samę całość snuje dniem po dniu, nitka po nitce i zwolna ją przeprowadza, bez skoku, do najwyższego szczebla“ (str. 155). Z tego téż punktu wyjaśnić sobie można to, co poeta, z powodu zwiedzenia Pompejów, mówi o duchu sztuki starożytnéj i nowożytnéj. Starożytni—powiada Krasiński—„byli synami ziemi i ziemię w głąb’ kopali; my, jak elektryczność rozlegamy się w przestrzeń i dążym w górę, bośmy synami nieba. Weź Pompeję i weź katedrę w Kolonii. W Pompei równoległobok i elipsa—to są zasady, jedyne kształty, miara doskonała, filary cudownie piękne; ale wszystko ciasne, skończone, ograniczone; nic niéma za kapitelem kolumny; na kapitelu kończy się kolumna. W Kolonii ty idziesz za strzałą gotycką, a kiedy się przerwie, ty daléj wzrokiem sięgasz tam, gdzie ci ona wskazuje—w niebo! W Kolonii piękność formy nie jest rytmiczną, jak w Pompei, ale pod formą żyje duch or

ganiczny, wielki. W Pompei ducha nie ma, tylko jest ciało i ciało najpiękniejsze w rzeczy saméj, ale zawżdy określone i nieżywe. Fidyasz nic-by nie pojął w liściach kapuścianych, w żabach, karłach i potworach dłutowanych w podnożu każdéj katedry gotyckiéj; Wirgiliusz plunąłby na Fausta Goethego; bo im trzeba było symetryi, jedności, regularności, co pochodziło stąd, że oni tylko jednę część człowieka znali, to jest ciało, i z téj części jedność zupełną wyidealizowali. My zaś pstrocizny musimy używać, bo śpiewamy o stworzeniu złożoném z duszy i ciała, między którémi zachodzi walka, sprzeczność i ból i ruch. To odbite w naszéj architekturze, w naszéj poezyi, stanowi pstrociznę. Stąd my *bardziéj rzeczywistymi* jesteśmy, *prawdziwszymi*, a zatém *poetyczniejszymi* niż oni" (str. 68) (1).

Takie pojęcie o pięknie wybornie harmonizowało i z usposobieniem i z możnością twórczą Krasińskiego. Ciągle chory, ciągle unikający szerszych stosunków z ludźmi, niezadowolony z biegu dziejów i ze stanu cywilizacyi; z powodu okropnego bólu oczów, który chwilami tylko ustępował, nie mogąc po prostu obserwować zewnętrznych kształtów i objawów, Krasiński musiał cofnąć się w siebie, musiał wytężać siły na pochwycenie duchowéj, idealnéj, ogólnéj, abstrakcyjnéj treści w świecie ludzkim, musiał poprzestać na obserwacyi wewnętrznéj, a wyniki téj obserwacyi, ustalone i spotęgowane czytaniem, ponieważ były najściśléj z jego osobistością związane, musiał poczytywać za prawdę, mniéj lub więcéj do absolutu, do Boga zbliżoną. Zawarunkowana powyżéj wymienionemi okolicznościami potęga twórcza poety, któréj brakło żywéj siły plastycznéj, oczywiście lubować się musiała w nadawaniu eterycznych przynajmniéj kształtów tym prawdom oderwanym, tym ideom przez poetę wypieszczonym.

Że przyczyny patologiczne miały znaczny udział w wytworzeniu takiego nastroju i takiego poglądu, możemy na dowód przytoczyć fakt wielce charakterystyczny, tém ciekawszy, że w całéj korespon-

---

(1) Podobneż myśli wypowiadał Krasiński jeszcze w 12 lat potém, rozwijając swój pogląd przykładowo na hizopie i duchu ludzkim. Kwiat, według poety, jest klasycznością, zwierzę przejściem jéj do poezyi średniowiecznéj, duch ludzki jest nakształt Dantejskiéj, Szekspirowskiéj potęgi. Doskonałemi są tylko dwa bieguny: martwe ciało w kształcie swym lub duch najwznioślejszy w życiu swém. Co jest między temi biegunami „między niedopełnią a spełnią," to wszystko wciąż tęskni, żąda, domaga się, rusza, pracuje, burzy się, wre, kipi, stara, słowem *żyje*; nie może więc nosić na rysach swych owego bożego spokoju greckich bogów, owego znamienia *absolutum est*. Duch jest romantykiem dotąd, więc nie szukać w nim klasycznego zaokrąglenia. Klasycyzm z romantycznością pogodzi się kiedyś, ale aż „po rozwiązaniu losów człowieczeństwa;" wtedy forma klasyczna przypadnie do olbrzymiéj treści ducha; „ta chwila będzie początkiem żywota wiecznego w naturze" (str. 323).

dencyi z Gaszyńskim znajdujemy go raz jeden tylko. 10 lipca 1834 roku z Kissingen takie podawał wieści o swém zdrowiu: „*Ja lepiéj mieć się zaczynam*; już mnie nie męczy tak pisanie. Teraz najpiękniejszą podróż zrobiłem przez Florencyą, Wenecyą, Münich. Wenecya to kochanka moja, wśród miast wszystkich; *w niéj przez osiem dni prawdziwie byłem szczęśliwy.*“ I w tymże liście, niebawem po zaznaczeniu i zdrowia i zadowolnienia, następują zdania, których ani przedtém ani potém Zygmunt nie wygłaszał. „By dobrze pisać—powiada—*trzeba żyć wprzódy.* Ja zarzucam na pewny czas pisanie, *biorę się do życia*; wychylę kilka pucharów wesela, kilka pucharów boleści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potém siądę i napiszę—i to będzie dobrém.“ Z tém postanowieniem łączy się bezpośrednio i przemiana przekonań; poeta bowiem mówi daléj: „Materya nie jest tak podłą rzeczą, jak sądziłem dotąd; my przez wieczność całą będziemy w materyalnych ciałach; niéma ducha bez materyi jak niéma myśli bez słowa, jak niéma ciała bez formy. Są rozkosze i *jest poezya materyalna.* Tę należy harmonijnie pomieszać z poezyą ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany, wtedy każdy go pozna i pokłon mu odda. Inaczéj niktby nie uczuł sympatyi do niego, inaczéj byłoby to stworzenie nieorganiczne na ziemi, może organiczne na księżycu lub Jowiszu, ale tutaj marne, niezrozumiałe“ Poeta najzupełniej był świadomy zaszłej w sobie odmiany, którą wtedy uważał za dobrą, za wyraz postępu na drodze udoskonalenia. „Tak więc — powiada — zmodyfikowałem się i z *chmur zstąpiłem* i chmury mam odtąd za baldachim nad głową, *nie za pobyt* i mieszkanie“. I zastanawia się, jaka jest różnica w utworach sztuki między człowiekiem prawdziwie i poetycznie pojętym, a człowiekiem czysto idealnym. „W pierwszym — mówi — jest ciągłe życie tj. przemiana i walka uczuć, a w drugim *tylko myśl jedna, tor jeden, metoda zawżdy ta sama*“. Wystawiać takiego idealnego człowieka jest błędem, bo nikt „nie może ciągle być wielkim, rozumnym, natchnionym, dramatycznym.“ Trzeba śledzić i poznać zycie, a poznawszy unikać jaknajstaranniéj tego, żeby bohater na aktora nie wyglądał“. Porównanie to daje sposobność Krasińskiemu do krytyki literatury jemu spółczesnéj, jako polegającéj na naśladownictwie: „Stąd pochodzi przesada literatury dzisiejszéj, że autorowie *miasto doznawania sami uczuć i faktów*, przestają na chodzeniu regularném na teatr i tam uczą się jakby z natury, kiedy już teatr jest nauką wyciągniętą z natury. Przez drugie ręce więc odbywa się poezya epoki naszéj i stąd jest śmieszną i przesadzoną“ (str. 51, 52).

Owocem tego przychylnego oceniania materyi i zwrotu do rzeczywistości, do faktów była, jak się domyślać można, powieść wzięta

z życia, która zaginęła wprawdzie, ale o którój mamy następną wiadomość od samego autora: „Napisałem w tych dniach *powieść à la Balzac*; wchodzi do niéj romans mężatki z oficerem polskim w Londynie, po wzięciu Warszawy; wchodzi i Grzymała monstrum i Lelewel etc. Zda mi się, że udala mi się“ (str. 55, list z 23 sierpnia 1834 r.).

To jednak przychylne dla materyi usposobienie i ten zwrot do rzeczywistości nie trwał długo. Zdrowie pogorszyło się znowu; a wraz z cierpieniami ciała szły równolegle cierpienia ducha. „Noce rozumu“ coraz częściéj napastowały poetę, codzień bardziéj odstrychał się od życia, bo świat zewnętrzny nieznośnie mu ciężył (str. 61). „Nędzne-to życie—powiada—które potrzebuje ciągłych podbechtań, by nie zgasło, które prócz gorączki, nic nie miłuje, które wciąż z nieba w piekło zapada, a z pierwszego dość wspomnień boskich zatrzymać nie umie, by zwyciężyć drugie.“ Pojawia się więc pragnienie śmierci, ale śmierci oczywiście poetycznéj: „Konstanty, jabym już chciał zakończyć tę marną grę kilku myśli i kilku żywych popędów i kilku chorób, która zowie się życiem mojém; jabym rad gdzie zasnął na wieki, czy u progu jakiego kościoła, czy na jakiéj ruinie, *byleby nie w łóżku*. Tybyś kiedy zaszedł w te strony i usiadł na moim grobie! Przypomniałbyś sobie dzieciństwo, młodociane lata i żarty i szumne nadzieje; przypomniałbyś sobie, że ktoś kochał cię szczerze kiedyś gdzieś, i wstałbyś i rzekłbyś: *Pokój jemu*!“ (list z Rzymu 8 lutego 1835). W rok potém, kiedy go przyjaciel zapytywał o szczegóły życia, uśmiechnął się smutnie i te słowa w odpowiedzi przesłał: „Błądzić po ulicach, nie sypiać po nocach, ledwo słyszéć co do mnie mówią; cierpiéć wiecznie w głębi ducha, książkę do ócz zbolałych przyłożyć i odrzucić ją ze wstrętem; położyć się na sofie i słuchać muzyki Konstantego (Danielewicza), by zaraz wstać w jakiejś rozpaczy, obudzonéj pięknością dźwięków i prosić go, by przestał grać; w karty kilka minut pasować się z szyderskim niewidomym losem i karty rzucić na stół w nudzie; tysiącom myśli powtarzać jak Kartuzy: *memento mori*; drżéć na pewne wspomnienia, czasem puścić im serce, a potém odsuwać je od nich; sypać żarciki jakieś gorzkie, płonąć gorączką od nagłego gwałtownego śmiechu i zapaść w próżnię bezdenną, w milczenie kilkogodzinne: — oto masz szczegóły życia“ (str. 79).

Przy takim stanie ciała i duszy niepodobna było patrzéć na rzeczywistość nie już z miłością, ale choćby jedynie bez wstrętu. Krasiński téż odsuwał się od świata, a w pojęciach swoich o poezyi wracał do dawniejszego stanowiska, śledził i przedstawiał prawdę

idealną, nie zaś prawdę faktyczną, pisał o ideach wszechświatowych, a nie o „łachmanie czasu i przestrzeni,“ chociaż naturalnie ów zwrot chwilowy do rzeczywistości oddziałał częściowo na sposób tworzenia. Nie są-to jedynie przypuszczenia, wyciągnięte z analizy utworów poety; mamy w listach dowody bezpośrednie, że Krasiński do dawnych poglądów na piękno powrócił. W obronie „Nieboskiéj komedyi“ przeciw krytyce pisał między innemi: „Jeśli kto stosuje dzieło sztuki *do jednego tylko położenia*, *do jednego tylko kraju*, ten pisze paszkwil, polityczno-satyryczną analizę, a nie poema. Jeśli kto w poezyi pojmuje tylko *objawienie się cząstkowe czegoś*, dziś, na tém miejscu i przy owych ludziach, *a nie przyrodę wiekuistą czegoś;* ten głęboki nie jest, ten nie może zwać się poetą“ (str. 104).

O ile zaś Krasiński lekceważył prawdę faktyczną, wymownym dowodem jest rada udzielona Gaszyńskiemu dotycząca traktowania historyi w powieści. Gaszyński miał zamiar napisać o Kazimierzu Puławskim w Ameryce. Krasiński pochwala ten zamiar i wskazuje, coby z postacią tą „homeryczną“ zrobić wypadało. „Koniecznie — powiada tu — trzebaby naszéj epoki myśli i przeświadczenia *wetknąć mu w serce* na to, by żywotną był figurą, nietylko historyczno-rzetelną, ale i *duchowo-prawdziwą!*“ Po téj radzie, którą tylko ze stanowiska czysto-idealistycznego zrozumiéć można, następuje teoretyczne niejako jéj uzasadnienie. „Przeszłość—mówi poeta—tém żyje, rośnie, nie umiera, że od każdéj teraźniejszości nowéj krwi do żył zastygłych dostaje. To jest, co stanowi następne wskrzeszenie umarłych przez żywych, na tém zależy umysłowe zmartwychwstanie tych, którzy przeminęli; a potęgą, co im w oczach ludzkich życie wraca, jest *poezya*, zanim rzeczywiście przez Boga powołani do życia powrócą w obliczu Boga samego!“ (str. 217). Według naszych dzisiejszych pojęć takie odtwarzanie postaci dziejowych jest podmiotowem ich przetwarzaniem i fałszowaniem; dla Zygmunta ono dopiero stanowiło prawdę idealną, duchową.

Była atoli jedna wielka dziedzina, w odtwarzaniu któréj Krasiński nawet cienia fałszu dopuścić nie chciał i nie mógł,— była to dziedzina uczucia. Cenił on uczucie bardzo wysoko zarówno w sobie jak w innych i przekładał nad wszelkie choćby najgienialniejsze pomysły. Sferę jego wpływów może nawet zbytecznie rozciągał, ale w każdym razie chciał ją mieć świetlaną, szczytną a prawdziwą. Raz przyjaciel jego zwątpił o swych zdolnościach i zwątpienie to wyraził w słowach, iż nic nie zrobi nigdy ani myślą, ani czynem, *chyba sercem*... W odpowiedzi Zygmunta odróżnić oczywiście potrzeba chęć pocieszenia i utwierdzenia Gaszyńskiego w do-

brém mniemaniu o swym poetyckim talencie, któremu, zdaniem samego Krasińskiego, zbywało na myśli głębszéj, — od istotnych poety naszego przekonań o doniosłości uczucia w sztuce. Ale dokonawszy nawet téj, niewątpliwie trudnéj i w przybliżeniu tylko wykonać się dającéj analizy, zawsze otrzymamy bardzo obfity osad myśli, w którego składzie zasada: miéj serce i patrzaj w serce (choćby tylko własne) najprzedniejszym ilościowo i jakościowo wykaże się pierwiastkiem. „Mój drogi — odpisuje Krasiński przyjacielowi — czyż-to taka mała i nędzna rzecz szerokie, szlachetne, żyjące serce? Wśród ludzi wieku twojego, wierz mi, tyś najpiękniejszy dział otrzymał. Oni myślami jak robakami toczą duszę swoję, ty ją świeżą i gorącą zachowaj w sercu, w tym kwiecie ducha, po którego zwiędnieniu i łodyga cała pochylić się i uschnąć musi... Największe utwory poetyczne: Iliada, Nibelungi, Ossyanowe pieśni i zgoła wszystkie pieśni ludu tém żyją nieśmiertelnie, że są pełne uczucia. Szekspir nie ma serca, Goethe również; za to téż ich dzieła tylko są piękne, oni sami niczém! Chwały im nie zazdroszczę, bo u mnie poeta, który jest tylko artystą, a nie ma nic człowieczego, jest istotą wątpliwą, zawieszoną między niebem a ziemią, wątpliwą jak małpa, wszystkich kształtów sługa doskonała a żadnego pani; istotą, któréj brak życia pod pewnym względem, przebywającą w filozoficznych raczéj niż poetycznych krainach,—słowem, abstrakcyą, ideą, wszystkiém, co chcesz, tylko nie organizmem mieszczącym w sobie pełne odbicie Boga. Jego wielkość podobną jest do tych sił ślepych natury, które pozbawione sumienia i czucia, mogą jednak światłem widnokrąg cały ubrać na pociechę ludom, albo téż wstrząść nim i strumieniami elektryczności wtłoczyć w ziemię tysiące ludzi żyjących." Potém, uczyniwszy wzmiankę o kilku utworach Gaszyńskiego, których piękno chwali, dopatrując jego źródła w tém, że wprost z serca wypłynęły, dodaje: „Czytaj Nibelungi, Ossyana, jak najwięcéj pieśni gminnych, nie na to, byś je naśladował lub epopeje pisał, ale na to, by te siostry przemówiły mile i domowo do brata swego—serca twego; na to, by go obwiały mgłą czułości i wspomnień jakichciś dziecinnych, by go wprowadziły w krainę, w któréj obejrzawszy się, pozna, że to jego własna, kochana... A kiedy wieczorem jakim lubym uczujesz, że ci potrzeba czegoś, że nie dosyć ci wzroku kochanki, siądź i pisz to, co z serca ci wypłynie, to, coby musiało łzami wypaść ci z oczu, gdyby słowami nie wyszło z pod pióra; a to będzie pięknem, serdeczném, własném twojém i to ludzi do łez poruszy. A kto zapłacze czytając ciebie, ten już na całe życie wdzięczny ci będzie" (str. 100—102).

Rzecz naturalna, że poezya z takich natchnień powstała zależy głównie od rodzaju serca poety; jeżeli ono będzie nikłe i słabe, to i natchnienia przez nie wywołane na wielkie koła działać nie zdołają; jeżeli będzie wielkie i potężne, to może do całego narodu przemówić.

Sam Krasiński w twórczości swojéj rzadko wyrażał jednostkowe natchnienia serca, a i to przeważnie w utworach, których świadomie do druku nie przeznaczał, dzieląc się niemi z przyjaciołmi lub kochanką; gdyż oprócz teoryi uczucia tkwiło w nim niewątpliwie ciągle zdanie, w zaraniu młodości wypowiedziane, iż poezya o głębokich myślach jest jedyną, któréj wieki czołem biją (str. 16), i drugie o parę lat późniejsze, że „moc nad sobą samym jest poezyą dojrzałości, jak rozpasanie wszystkich uczuć jest poezyą młodości“ (str. 51).

III.

Taż sama skłonność do uogólnień szerokich, ten sam wstręt do szczegółów, do odróżnień, do faktów pojedyńczych widzimy także w społeczno-politycznych poglądach Krasińskiego. Wypływało to, jak ze wspólnego źródła, z jego temperamentu. Zepchnięty okolicznościami z widowni działalności politycznéj, na któréj w wieku młodzieńczym mógł mieć nadzieję rozwinięcia swych talentów, tęsknił przez życie całe, jak skrępowany Tytan, do czynów i zarówno w listach jak i w utworach poetycznych zarzucał pieśń, aby do czynu się zabrać, ale nigdy uskutecznić zamiaru tego nie mógł, zawsze zmuszony pozostać w zakresie myśli tylko, uczuć i pragnień. Interesował się wielce spółczesnemi w Europie wypadkami, pilnie czytywał dzienniki i broszury polityczne, i tu jednak okazywał szczególniejsze zamiłowanie do takich dzieł, które z najogólniejszego punktu rozbierając zdarzenia dziejowe, albo podawały pewne formuły pojmowania świata historycznego, albo prorokowały o zmianach, jakie na ziemi zajść koniecznie muszą (1). To téż dusza jego ciągle przeczuć była pełna, ciągle oczekiwała czegoś, co miało przetworzyć świat, a przedewszystkiém Europę. W stosunku do istniejącego porządku rzeczy zajął wcześnie Krasiński stanowisko nieprzyjazne, lubo doskonale pojmował, że on sam w piersi nosi pierwiastki, które mu w świecie spółczesnym wstrętnemi były. „Wieku mojego nie cierpię—pisał raz do Gaszyńskiego—a jednak wszyst-

(1) Książki takie nazywał Krasiński żartobliwie: rodzajem filozoficzno-polityczno-historyczno-Lapradowo-uniwersalnym (str. 243).

ko we mnie zgodne z wiekiem, w którym żyję: te same rozhuzdane żądze i niemożność ta sama, te same pół-wiary i pół-błyski rozumu i ta sama nuda ogromna, straszna, piekielna, zimna jak lód, pożerająca jak ogień“ (str. 75).

Trudno z zupełną ścisłością oznaczyć datę, kiedy Krasiński wyrobił sobie to nader o wieku XIX niepochlebne pojęcie; tyle wszakże można zauważyć, że przed rokiem 1833 oprócz pewnego odcienia bajronizmu, jaki rzucił na duszę poety wieszcz angielski, oprócz smutków i bólów wynikłych z indywidualnych stosunków, nie widzimy ani w poezyach ani w listach Zygmunta tego pesymistycznego poglądu na cywilizacyą spółczesną. Dopiero po powrocie z kraju w roku 1833 powstaje *Nieboska Komedya*, będąca skupionym obrazem przekonań polityczno-społecznych Krasińskiego, a równocześnie w listach pojawiają się bardzo wyraźne wskazówki tychże samych pojęć.

Widzieliśmy poprzednio, jak zmieniła się w umyśle Krasińskiego ocena wypadków krajowych z r. 1831, jak mianowicie dążności i osobistości stronnictwa demokratyczno-rewolucyjnego znalazły w nim surowego krytyka. Ocena ta wynikać oczywiście musiała, w takim jak Krasińskiego umyśle, z ogólnych poglądów. Wtedyto powstała w nim właściwa mu, chociaż nie oryginalna, teorya zachowawczości i rewolucyjności, arystokracyi i demokracyi. Punktem wyjścia dla teoryi téj były objawy jakobinizmu we Francyi z r. 1793; widać to i z obrazów w *Nieboskiéj komedyi* zawartych i z bezpośrednich wzmianek w listach (1). Lecz naturalnie w umyśle Krasińskiego nastąpiło natychmiast uogólnienie, obejmujące sobą wszystkie czasy i ludy ucywilizowane, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, czyli innemi słowy, uogólnienie absolutne. W *Nieboskiéj Komedyi*, zdaniem samego poety, nie przejawia się zasada arystokratyczna lub demokratyczna w swoim kształcie doczesnym, ale „tak jak jest wiekuiście w duchu ludzkości“ (str. 104),

Wedle tak uogólnionego pojęcia dwu zasad, arystokracya pomimo wszelkie błędy, wady i występki jest przedstawicielką dodatniéj pracy, wznoszącéj gmachy wytrwale, z zaparciem się siebie; demokracya zaś pierwiastkiem niszczącym i burzącym, podnietą egoistycznego używania dóbr materyalnych. Według poety *Nie-*

---

(1) Por. cytatę wyżéj przywiedzioną, do wypadków krajowych odnoszącą się, a prócz tego odpowiedź na zarzut Leona Ulrycha, iż rok 1793 skonał. „Skonał — mówi poeta — jako zjawisko, żyje jako systema. Wierzę, iż Leon jego powrotu nie pragnie, iż Leon zna się z takiemi, którzy rzecz tę uidealizowali; tém bardziéj się pomylił, bo masa nie idealizuje, ale idzie naprzód i żelaźnie stąpa“ (str. 105).

boska Komedya „jest-to obrona tego, na co się targa wielu *hołyszów*: religii i chwały przeszłości“ (str. 37). Z dziejów rzymskich ma wynikać nauka, iż „patrycyat choć srogi, nieubłagany, egoista, miał cnoty wielkie, znał, co to poświęcenie dla swojéj idei, co to walka długa, uporczywa i śmierć bez trwogi,“ że „lud i Cezar, (który był niegdyś reprezentantem ludu) nie znali nic, nie umieli nic, byli zwierzętami zataczającemi się wśród krwi i złota“ (str. 37). Z historyi rewolucyi francuskiéj ma być rzeczą jasną, „że żaden z aktorów tego strasznego dramatu nie odegrał zamierzonéj roli,“ że usłyszéć w nim można „burzę słów, wrzasków,“ ale nie ujrzy się „żadnéj ostatecznéj budowy“ (str. 44). Reformatorowie rewolucyjni łudzą się tylko, że coś tworzą. „Wielką pomyłką niszczycieli i zwykłą im w czasach cywilizowanych, to, że się mają za ludzi poczciwych i za restauratorów, za wskrzesicieli, za budowników. Oni są tymczasem tylko narzędziami do tortur rodu ludzkiego — i sam ród ludzki kiedyś niemi wzgardzi, jak my dzisiaj gardzim kratami i łańcuchami gotyckich więzień.“

Republikańska forma rządu wydaje mu się niemożliwą; nie istniała ona naprawdę w czasach dawnych, nie istnieje i istniéć nie może obecnie. „W starożytności— pisze do przyjaciela—nigdy rzeczypospolitéj nie było takiéj, jak ty ją pojmujesz, to jest wolnéj: Rzym był wieczną walką patrycyatu i plebis; Sparta — wieczną patrycyatu przewagą; późniéj Wenecya się zdarzyła, była-to tyrania kupiecka; Stany Zjednoczone Ameryki *dziś* (r. 1834) *już się chwieją*... Z jakich ty ludzi złożysz rzeczpospolitą we Francyi? Czy z *kupców*, którzy panują; czy z *robotników*, którzy w warsztatach pracują dzisiaj? Bo nikogo więcéj już nie widzę na téj ziemi, a przyznasz mi, że ni jedni, ni drudzy nie zdali się do porządku rzeczy, wymagającego największych poświęceń. Pierwsi są chciwi i srodzy, bo władną; drudzy są chciwi i namiętni i okrutni, bo cierpią. Przy takim stanie świata, dwa systemata być mogą tylko: despotyzm i anarchia, ale rzeczypospolitéj być nie może, osobliwie w kraju tak rozległym, tak ludnym, tak żyjącym interesem. Marne-to marzenia i gorzéj niż marzenia, bo słowa tylko.“

Z arystokratyczno-poetycką wyniosłością traktuje Krasiński stan trzeci. „Proszę ciebie— pisze do Gaszyńskiego— napisz mi poemat o episierze! Chyba komedyą, chyba farsę zdołasz. Cały wiek nasz jest episierski, kupiecki, materyalny w najwyższym stopniu; cała literatura francuska krawcem cuchnie, stąd też idzie, iż w niéj doboru i gładkości (?) żadnéj niema, szczytności żadnéj, ale są talenta na równą wykształcone stopę, są umysły fabrycznie wyrobione i mnóstwo ich takie jak towarów w sklepie. Nic śmieszniejszego

nie znam od téj namiętności, o któréj wspominasz, z którą kramarze kwapią się naśladować ubiór, poruszenia, słowem układ cały szlachty przeszłego wieku."

Jeżeli zaś stan trzeci we Francyi nie podoba się poecie, to surrogat stanu trzeciego w Polsce obrzydzeniem go przejmuje; bo stan średni francuski „ma swoje dzieje ogromne i straszne i odważne za sobą," bo „episier we Francyi może ci czterdzieści lat zwycięstw przytoczyć i nazwać je swojemi;" w Polsce nic podobnego znaleść nie można. Przedstawicielem tego stanu w Polsce jest, według poety, głównie przechrzta lub rzemieślnik pochodzenia niemieckiego. „W Polsce tiers-état jest nienarodowy, przybył albowiem z Niemiec lub z Palestyny; własnegośmy nigdy nie mieli. Wdarł się on do Polski z prawami cudzoziemskiemi, odwoływał się do Magdeburga, zarzucił Polskę cudzoziemszczyzną, zdobył Polskę i zgnębił ją moralnie i ducha słowiańskiego, rodzimego w niéj zatarł. Dziś jeśli znaczne czyni postępy i drze się do potęgi, nie sobie to samemu winien, ale obcym, którzy polegają na jego *podłości*, na jego *nienarodowości*." W szczególności zaś o przechrztach wyraża się w sposób jak tylko można najpogardliwszy: „Wierz, co do komiczności, co do napuszenia się, niema w żadnym kraju równych ludzi przechrztom naszym. Jest-to osobny i ze wszystkich bezczelnych najbezczelniejszy ród, który krajem wreszcie owładnie..." Opisawszy jednego z takich, wytknąwszy popisywanie się herbem na wszystkich przedmiotach, wystawianie na pokaz całego swego bogactwa, odgrywanie wszędzie roli wielkiego pana, w końcu dodaje: „Lecz z tém wszystkiém żyd nie zdoła zataić pewnych przycisków w mowie, pewnych poruszeń w grzbiecie, pewnych usterków w chodzie, które go biegłemu oku wydadzą za kuzyna Rotszylda." To są rzeczy tyczące się powierzchowności. Na wyśmianiu ich poeta nie poprzestaje; stopniowo przechodzi do cech towarzyskich, społecznych i narodowych: „Zanadto niegrzeczny i dumny na prawdziwego szlachcica; godności żadnéj w postawie, wciąż gada o pieniądzach i sypie stami dukatów, nie z worka ale z gęby. Ta dziwna mieszanina złota zewnątrz a błota wewnątrz dziś (r. 1837) panuje w Warszawie.... Usługa największa, którą oddać można krajowi, zależy na tém, by przechrztom i przemyślnikom nie dozwolić monopolu wszelkich bogactw i wpływów moralnych w Polsce, a trudniejsza to i cierpsza walka niż orężne boje" (str. 120, 121).

Pierwiastkami zdrowemi w narodzie są jedynie szlachta i lud. „W szlachcie—powiada Krasiński— jest zwykle potęga, hart, to, co składa pierwiastek bohaterski narodu. Nie w prawnikach, nie w kupcach, nie w izbach, sądach, nie w sejmach, ale w szlachcie jest bo-

haterskość, w szlachcie albo w prostym ludzie. Ale też z prostego ludu po wszystkie czasy, z lemiesza i roli, nie zaś z bruku i rzemienia, wywijała się szlachta. W prostém, wieśniaczém plemieniu — zaród wszystkich wielkości narodu. Ten zaród gdy się z błota otrząśnie, a zachowa twardość i połysk żelaza, szlachtą mianowany bywa.... U nas chłopem w ostatnich czasach i szlachtą, w dawniejszych samą szlachtą wszystko się stało." Poetę w tym fakcie uderza i zajmuje jego strona malownicza: „coś w tym składzie rzeczy jest starożytnego, rzymskiego, greckiego, coś, że tak powiem, wielkiego." Ten skład rzeczy jak dawniéj wydał doskonałe owoce, tak i obecnie zbawienie przynieść może; poeta nie przypuszcza, żeby formy stare mogły się przeżyć w życiu społeczno-politycznėm, chociaż pod innemi względami ideję rozwoju, ideję przetwarzania się i treści i kształtu z biegiem czasu i wypadków najzupełniéj uznaje, a nawet w przeczuciu zmian powszechnych na ziemi abstrakcyjnie i zmiany polityczno-społeczne widzi, tylko ich bliżéj określić nie umie. Co do kraju własnego Krasiński twierdzi stanowczo, że „jeśli stare rody wygasną i znikczemnieją, zostaną piaski polskie, ale Polska już nie powstanie." W szlachcie tylko widzi ocalenie kraju; w pogodzeniu się jéj i w pojednaniu z ludem wiejskim dostrzega „jedynego zarodu siły;" w przewodniczeniu jéj nad tłumami upatruje „jedyny zakład przyszłéj, lepszéj doli." — W utworzeniu tych poglądów, które późniéj w Psalmie Miłości znalazły swój zwięzły wyraz (Z szlachtą polską polski lud!) brało udział zarówno szlachetne serce poety pragnące polepszenia doli ludu, jak i umysłowy wyrozumowany nałóg do tradycyjnego pojmowania stosunków społecznych na sposób średniowieczny; ideja równouprawnienia wszystkich nie znalazła w nich ani wyznawcy ani zwolennika. Rozumiał on dobrze, iż przywiléj obowiązuje, ale w każdym razie potrzebę przywileju uznawał.

Z tego względu działalność stronnictwa demokratycznego wydawała się mu zgubną dla kraju. Apostołów idei demokratycznéj poczytywał za wartogłowów. Według niego małpowali oni tylko zagranicę, nie znając istotnych potrzeb kraju. „*Jurare in verba magistri*—powiada—oto dewiza naszych republikanów. Przyznaję im, że łatwiéj baranów torem iść na oślep za czemsiś lub kimsiś, niż własną, prawdziwą sobie obrać drogę. Ale łatwość nie jest narzędziem dobrém w ręku człowieka, palce od niéj mięknieją i woskiem się stają; praca myśli i rąk to jest przeznaczenie ludzi. U nas wielkie panuje lenistwo, wiara nasza często bywa lenistwem, a nie uniesieniem.... To tylko prawdą dla narodu być może, co wypływa z jego historyi, co wyrosło na jego polu, jak zboże lub sośniny. Ktoby

cukrową trzciną chciał Mazowsze zasadzić, byłby szalonym; nie mniéj szalonym, kto cudzemi politycznemi sposoby chce w Polsce działać, cukru z tego nie będzie. Wzrośliśmy szlachtą i upadliśmy szlachtą; przez nią się podźwigniem, przez to, co jest nami samemi" (str. 118—121, list z 6 lipca 1837).

IV.

Korespondencya Krasińskiego z Gaszyńskim od r. 1839 do 1848 jest bardzo obfita, lecz nie przedstawia tyle interesu co części poprzednie pod względem pojęć i poglądów ogólnych; zajmuje natomiast wielce szczegółami odnoszącemi się do twórczości poetyckiéj Krasińskiego, do oceny talentu innych przez niego, do faktów życiowych większéj i mniejszéj wagi.

W tym przeciągu czasu umysł naszego poety nie uległ już zmianie; poglądy na religią, politykę i poezyą pozostają też same; a wypadki, czy to na wielkiéj europejskiéj czy na malutkiéj naszéj widowni zaszłe, umacniały go jedynie w téj sferze pojęć, jakie sobie poprzednio wyrobił. Rok 1846 w Galicyi, który przeczuwając chciał „Psalmami" zażegnać, podziałał nań przygnębiająco, lecz zarazem dał mu w ręce silną broń przeciwko stronnictwu demokratycznemu. List z 1 marca 1846 z Nicei pisany wyraża tylko straszny stan niepewności: „Ja jak waryat chodzę, od kiedym przeczytał we wszystkich gazetach, co się stało; myślę jednak, że nie koniec na tém, zobaczysz, że nie; i ja czuję, jakobym konał, ale nie tak jak ty bez nadziei w przyszłe życie. O sobie wiem, że skonam i to może w mękach, ale wiem też, *że idea zwycięży*. Przegranemi zwycięża ona! To, co ma na wieki zwyciężyć, musi przed dniem tryumfu cierpiéć, w bólu się kształcić, męczeństwem się wyrabiać. Prawda, że u nas nie tylko czysty ból i czyste męczeństwo, głupstw rozmaitych domieszanie wielkie; ale *któż w świecie kiedy oglądał masy rozumne i subtelne*? kto widział naród nieszczęśliwy, któryby potrafił być jednym człowiekiem stanu... Przyznasz, że jest opatrzność nad *psalmistą*, kiedy dotąd nie powiesili harfy na wierzbie płaczącéj; harfą zaś jest sam człowiek" (str. 256) W drugim liście jest już sarknięcie na lud, który Pola straszliwie poranił: „tak mu się odwdzięczył ten lud, o którym z taką czystą miłością śpiewał biedny Janusz;" poeta w téj chwili rozżalenia ani mógł pamiętać o tém, iż ten lud o owych wylewach czystéj miłości nic a nic nie wiedział. Następnie jest i ciche sarknięcie na rząd austryacki: „pięć reńskich kosztuje głowa szlachcica polskiego, i lud ruski zakończył sprawę,

na targ ten zgadzając się.“ Najdotkliwiéj zaś przymawia emigracyi, iż gorzéj swarliwa niż kiedykolwiek. „Czyż wstydu nie mają? czyż hańby się nie lękają. Kto kiedy rozdzielony czego dokazał? i czyż najżarliwsi nawet przyjaciele nasi nie zdumieją się nad niewyleczoną anarchią naszą? czyż nie poznają po tym znaku, że *u nas organizmu żywota niémasz?* Nas zabijają, a my się dobijamy!“ W jednym z późniejszych listów (25 marca) już zię z żalem przeciwko demokratom nie powstrzymuje, ciesząc się, iż wypadki owe okropne oddziałają zbawienie na emigracyą: „Demagogi pójdą w psy — powiada — pokaże się, jaki skutek ich przesadzonéj złéj wiary, nie-Chrystusowych pojęć, małpiarstwa 93 r. i hajdamaczyzny; nachylą się umysły, wziąwszy przeważnym i krwią zlanym czynem stu osiemdziesiąt trupami szlacheckiemi w pysk, ku przekonaniu, że jedność ześrodkowana w władzy jakiejś potrzebna, i że duch szlachty polskiéj bohaterski, poświęcony, bezprzesądny, wyższy milionkroć od wścieklizny zwierząt rozpasanych z jednéj strony, a od wścieklizny zwierząt ukonstytuowanych z drugiéj. I Europa i Francya i emigracya uwierzą w to; ale w kraju straszny rozszczep, straszny rozstęp, straszna nienawiść, rozstrój, bodajby nie otchłań między szlachtą a chłopstwem!“ (str. 264). Następnie 14 kwietnia przychodzi kolej na posądzenie „demagogów“ o przedajność i zdradę: „Powiem ci szczerze, żem przekonany, iż śród owych demagogów gęsty deszcz jak na Danaë sypany z rubli działa i że kiedyś wyświeci się, że tam istniała zbiorowa zdrada, Judasz z kilkunastu złożon, apostazya, o jakiéj dotąd świat nie słyszał.“ (str. 270). Wreszcie 30 maja rzuca potępienie na emigracyą: „Co to za małości, głupstwa i ohydy dzieją się w emigracyi! Takiemi sposoby umrzéć można najżywotniejszym, cóż dopiero w grobie pochowanym chcieć odżywać... Lepiéj-by rzędem długim stanęli i w łeb sobie jeden po drugim palili! prędzéj-by się zbiorowe samobójstwo odbyło; rozpacz-by usprawiedliwiała szał chwilowy... U nich najświętsze i najmędrsze zasady powinny się były wyrobić... I cóż? Jak przekupki pod straganami krzyczą i lżą siebie nawzajem, lub gdy ruszą czynem, czyn ten drobny, a pełen zawiści i brudu... Smutno, smutno mi—dodaje—powiedz na pociechę co, *okpij mnie*, a pociesz...“ (str. 286).

Od r. 1839 do 1842 trwa stosunek miłosny Krasińskiego z Delfiną Potocką, rozpoczynający się od humorystycznego listu, w którym jest wzmianka o grobie, a kończący się prawdziwym nekrologiem. 10 stycznia 1839 donosił poeta Gaszyńskiemu, że wspólny ich przyjaciel Konstanty Danielewicz za dwa miesiące niezawodnie się żeni. „Każ tam mszę zmówić za niego—dodaje—bo wiesz: kiedy za którą zawołają; żono!.. A ja mówię:

Kiedy na kogo świśnie piekła wąż,
Stracił wolność:—Ty mąż, ty mąż, ty mąż!!"

Potém następuje półroczna z górą przerwa w korespondencyi z Gaszyńskim. Przerwę tę zapełniają listy do Sołtana, w których poeta opowiedział dość szczegółowo początki zapoznania się z Delfiną aż do téj chwili, kiedy mimo omówień przyznał się, że ją kocha „na zawsze." Potém znajdujemy przerwę w listach do Sołtana, uzupełnioną obecnie w listach do Gaszyńskiego przynajmniéj w najogólniejszych zarysach. Pierwszy list 19 września z usprawiedliwieniem się rozpoczął Krasiński od wierszy:

Nie kłuj mnie w serce wyrzuty cierpkiemi...
Ten tylko pisze, kto żyje na ziemi:
Ja nie na ziemi żyłem ale w niebie,
Dlategom, drogi, nie pisał do ciebie!
Znów wąż mię oplótł, wąż jak świat nasz stary,
Znów piłem szczęście z złotéj trucizn czary!
Gdy księżyc wschodził, szedłem na gór szczyty;
Czoło me kładłem na śpiące błękity,
Gwiazdy-m brał w piersi i tysiąc serc miałem,
Wszystkiemi czułem, wszystkiemi śpiewałem.
I nad mórz włoskich złoconą otchłanią
Witałem inną, duszy mojéj panią.

Prozą zaś dodaje króciutkie, ogólnikowe objaśnienie: „Życie jest ciągłém rozwijaniem się dalszych scen i uczuć. Długo-by tłómaczyć trzeba, jak to słowo *kocham* spadło jak piorun na mnie, jak późniéj z pod tego piorunu najpiękniejsze kwiaty południa wydobyły się z ziemi etc." (str. 145). W dalszych listach zwierzenia miłosne ustają, miejsce ich zajmują zdania o różnych dziełach: o artykułach Gaszyńskiego, poezyach Słowackiego itp., potém znów kilkomiesięczna przerwa; a na wielkanoc r. 1840 nowe usprawiedliwienie się tém, że przez całą zimę wciąż był w ruchu, ciągle na drodze między Romą a Partenopą, tam i stamtąd, że nieraz był smutny, często chory i bardzo chory, choć nie na oczy, choć nie w łóżku, że się w końcu przekonał, iż ma solitera w sobie. W dalszym ciągu zwraca się z tęsknotą wielką do wspomnień młodości, któréj nic zatrzéć nie zdołało, nawet oczekiwane błogosławieństwo papieża *urbi et orbi*, bo oto między jego oczyma a kościołem ś. Piotra staje „obraz łąki zielonéj, rowu pełnego niezabudek rosnących wśród pokrzyw, olszyny rozsypanéj po bagnie za rowem i drewnianego kościołka, w którym przed laty wyśniła się wielkanoc" jemu, dziecku. I te wspomnienia stron rodzinnych i śpiewu skowronka w Opinogórze i słońca wiosennego

nad równiną wielką melancholicznie nastrajają poetę, któremu z pod pióra wypływa skarga:

Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje,
Mnie gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń,
Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń,
Co wyrwał z serca nadziei nadzieję!
Jam pił zanadto z krynic mętnych łzami,
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem...

Dopiéro w samym końcu listu, prawie w dopisku kryje się niewyraźna wzmianka o wzruszeniach miłosnych: „Co do mnie, Konstanty, o ile podobna na ziemi, o tylem szczęśliwy nieraz, a nieraz nieszczęśliwy! Nie inaczéj płynie tajemnica życia!"

I znowu czteromiesięczna przerwa. W tym czasie pomiędzy wyjazdem z Włoch a powrotem do nich tak ciągle „ruszał się żwawo i wielolicznie," że nie miał „chwili żadnéj próżnéj tj. zdolnéj do wzięcia pióra do ręki." W Karlsbadzie dostał „ataku cholerycznego," który go na 15 godzin czucia pozbawił; jedynie zażywszy ogromne dozy opium wrócił do zmysłów. W następnych listach z r. 1840 raz tylko mówi o swéj ukochanéj i to głównie z powodu, iż w ich rozmowie Gaszyński ważne zajął miejsce. „Wczoraj wieczór (list z 23 grudnia) byłem sam na sam z istotą niezmiernie w duchu potężną i w piękność, która przyjacielem mi jest, lub jeśli wolisz, przyjaciółką; i ta istota wypytywała mnie się o uniwersytet warszawski z r. 1829. Oddawna, oddawna już te obrazy nie snuły się w wyobraźni mojéj; wskrzesiłem je na zapytanie dobrze życzącéj mi duszy i ciąg ten cały opowiadałem i ciebiem musiał postawić na nogi, opisać, opowiedziéć tę scenę, w któréjś mnie wyrwał z pośród zawziętych, Bóg święty raczy wiedziéć za co, na mnie... Otóż kiedym opowiadał, naglem uczuł się dzieckiem, naglem uczuł się w tych salach uniwersyteckich i twoja postać żywa, ruchoma, szczera, młodociana stanęła przedemną; a ponieważ mam czasem dar przelewania własnych wrażeń w cudze serca, zapewnie stanęła także przed wzrokiem słuchającéj i słowo takie z ust jéj wypadło: jaki dobry i szlachetny! Posyłam ci to słowo, zarazem jako wspomnienie i jako życzenie, bo dobrą jest wróżbą, gdy przy końcu roku piękne usta imię czyje wymówią z zapałem. Mnie zaś stały łzy w oczach, łzy wdzięczności dla ciebie" (str. 172).

Oprócz téj wzmianki niéma zresztą w listach do Gaszyńskiego żadnych zwierzeń miłosnych przez czas bardzo długi, natomiast często słyszymy skargi, że „życie gorzkiem jest, bo trzeba zapominać

o przeszłości, bo trzeba oddzierać ją od ciała, jak koszulę Dejaniry, za którą mięsa kawały idą," że wiele nieznanych cierpień wytrzymał, że czasem w ciągu życia chciało mu się śmierci, że wiecznym faktem istnienia jego jest ból i ból i ból jeszcze. „Im daléj mogę się od siebie samego odstrychnąć—powiada—im bardziéj zapomnieć o wszystkich dziejach moich, tém mi lżéj, lepiéj." Dopiéro w listopadzie 1841 r. powraca z miłością do tych dziejów własnych i opowiada, jak każdą chwilę starał się wyzyskać, by nie upłynęła marnie: „Ja przebyłem półtora miesiąca na szczytach gór, nad zwierciadłami jezior, kąpiąc się w słońcu i księżycu, rosnąc w otuchę, że świat stworzony, świat skał i wód pięknym jest, pocieszając się jego widokiem; przeszłość, za którą tęsknię, i przyszłość, któréj się lękam, odsuwając z przed ócz ducha, *moment starając się uwiecznić*, stawiając go sobie przed duszą, jak posąg greckiego Boga, doskonale pięknie, choć ściśle skończony, i *modląc się przed tą znikomą teraźniejszością*, i czując że jeszcze mogę być szczęsnym, natchnionym, żem jeszcze nie umarł wieczną śmiercią ducha" (str. 190). Przez cały styczeń 1842 „ogarniony nadzwykłém natchnieniem" (1) żył tak, że „mu jedną godziną, snem jednym był ten miesiąc cały." Drogo atoli musiał „losom zapłacić za tę rozkosz ducha." Zachorował Danielewicz. W lutym i Krasińskiemu „krew strasznie zaczęła tłuc w głowę" 19 lutego w sam dzień i godzinę urodzin poety, dostał „apoplektycznym buchem krwi w głowę" i padł; krew mu puszczają; wieczorem poraz drugi pada na posadzkę i znowu upust krwi. Danielewiczowi było co raz gorzéj, nastąpiło chwilowe polepszenie, poczem 27 marca „w sam dzień Zmartwychwstania pańskiego, otworzył oczy zamknięte oddawna, spojrzał w górę, w niebo, w Boga, i westchnął lekko, bardzo lekko! Tém westchnieniem, wśród nas śmiertelnych przemienił się na nieśmiertelnego" (str. 194).

Po chwilach uniesienia w życiu, po napisaniu *Przedświtu* nastąpiło osłabienie straszne, a co zatém zwykle idzie u natur nerwowych, zwątpienie o sobie. W mózgu ciągle „rozdrażnienie nerwowe", ledwie kilka liter nakreśli, a już mu „głowa się kręci i mózg pęka;" poeta nazywa siebie „ruiną." Po stracie jednego przyjaciela zatęsknił za widokiem drugiego; spotkanie z Gaszyńskim w Nicei nastąpiło w końcu października 1842, ale trwało krótko; po odjeździe druha, poetę „porwała melancholia i niemoc do wszelkiéj pracy." Ile chmur na niebie, tyle w mózgu jego myśli ponurych. Gdy przybył do Rzymu pod koniec tego roku, znowuż krew uderzyła do mózgu. „Od

(1) Właśnie tworzył „Przedświt."

dwóch tygodni—pisze 28 grudnia—rozpaczam, gryzę się, głowę wciąż ręcznikami mokremi obwitą trzymam... Przytém wpadłem w głęboką melancholią, bo widzę, że miasto iść naprzód, cofam się... Nieznośném mi życie! Życie bez celu i bez sił a z żądzą wrzącą w piersiach jest piekłem już z téj strony grobu."

Tymczasem ojciec Zygmunta robi projekta ożenienia i wzywa syna do kraju. 24 marca 1843 pisze poeta do przyjaciela: „Ojciec mnie listami oblega, codzień jeden, a coraz-to bliższy odbieram; jak głos przeznaczenia porywającego mnie te listy!" Pod wpływem złych przeczuć, poeta staje się zabobonnym. Ukazała się wtedy kometa, zupełnie nowa, nieznana dawniéj, jak utrzymywano; Zygmunt sądzi, że ona w jego życiu indywidualném pokazała się „jako przegroda między przeszłości szczęściem a trudami przyszłości, światu zaś jako znak dzielący przeszłe trudy od szczęścia." W kwietniu 1843 miał zjechać się poeta w Rzymie z ojcem; dążąc do wiecznego grodu, z Livurna pisał do Gaszyńskiego: „Nie uwierzysz, jak się rozkochałem w naturze nicejskiéj, w konnych przejażdżkach po tym gór kolizejskim okręgu; chciałbym tam willę kupić i skrytą i cichą, tam zapomnieć, że świat pełen ruchu i trosk i łez i walk:—ale to są sny marne, próżne westchnienia; dola mnie moja porywa na ocean łez gorzkich, między skały rozbicia." Z Rzymu zaś te znaczące przesyła słowa: „Czasu mało mam; cały dzień na służbie-m u ojca i u innych... Atmosfera, co mię owiała, zarazą morową na strony (1); lecz ja nie dam się zabić, raczéj ta atmosfera cała pęknie."

Na chwilę wprawdzie, na chwilę błyskawiczną, z niewiadomych wpływów wydał się poecie „nieco piękniejszym świat zewnętrzny, nieco przyszłość mniéj czarną," bo o niéj nie myślał; ale niebawem, bo w pięć dni po zapisaniu tych słów kilku, znowu czytamy, że serce jego cierpi i znękaném jest, że mu nieznośnie, coraz nieznośniéj i okrutniéj w miarę jak dłużéj żyje na świecie, przyczém spotykamy objaśniający dodatek, że poeta każdéj chwili może *być zmuszonym* do wyjazdu (str. 221). Na początku drugiéj połowy roku 1843 udał się Krasiński do Drezna, gdzie, jak wiadomo, zawarł śluby małżeńskie z panną Elżbietą Branicką; poczém razem pojechali do kraju.

W korespondencyi z Gaszyńskim następuje całoroczna przerwa. Poeta siedział czas jakiś w kraju, lecz konieczność ratowania zdrowia, jak nie mniéj potrzeba swobodniejszego oddechu pchnęły go znowu za granicę. Cierpienia trwały ciągle i zmuszały do ustawicznéj zmiany miejsca. Oprócz bólów fizycznych dolegały mu i bóle mo-

(1) Krasiński przesyłał wtedy Gaszyńskiemu, zajmującemu się wydaniem *Przedświtu*, różne poprawki i dopełnienia do tego poematu.

ralne, wywołane już-to jego uczuciami indywidualnemi już-to wyjątkowém położeniem.

Zdaje się, że miłość do Delfiny Potockiéj wywołała teraz, po ożenieniu się poety, przykre dla niego komentarze. „Ruszyć się nie mogę—pisze poeta—żeby chmura plotek mnie nie ścigała, a mniejsza o to, że mnie, ale patrz, zaraz dotyka i inne osoby, nawet Elizę, i takim sposobem szkodzę rad-nie-rad tym, których najwięcéj miłuję.“ Plotki te wymusiły na Krasińskim gorzką skargę: „Nie można na téj ziemi kochać szczerze, miéć przyjaciół, sercem odpłacać kilku sercom za przywiązanie, żeby natychmiast syczące gniazdo żmij, zwane światem, nie upatrywało w tém czegoś dziwnego, spaczonego, nadnaturalnego. Miłość, przyjaźń, przywiązanie szczere i stałe znać to cuda u ludzi. Niechże i tak będzie—u mnie to naturalne uczucia. Oni zawsze miłość mieszają z miłostkami, bo tylko drugie pojmują sami, a pierwszéj nie znają“ (str. 231).

Wyjątkowe położenie Krasińskiego utrudniało mu swobodę ruchów. Wymownym tego przykładem jest jego wyjazd do Paryża w r. 1845. Zanim przyszło do uskutecznienia tego tak napozór prostego zamiaru, ileż-to upłynęło czasu, ile wymieniono listów między poetą a Gaszyńskim, ile zastrzeżono ostrożności, ile przetrawiło się przestróg i napomnień. Krasiński przybrał pseudonim Sigismond Crasne i dla tego pseudonimu stara się przez Gaszyńskiego wyjednać paszport, a gdy się to okazało niemożliwém, inną drogą dostaje go; w listach, o Crasnem mówi jako o trzeciéj osobie; na wszystko błaga i zaklina przyjaciela, ażeby się nie wygadał. „Pomnij—pisze—na zgubny żywioł paplarstwa rozlany po naszych piersiach! pomnij, żeśmy z ludów najgadatliwszym, a że mamy do czynienia z ludem z ludów, najskrytszym, najmilczniejszym. Zatém pojmiesz, Konstanty drogi, że Crasne nie może inaczéj, jak za pomocą absolutnéj twéj dyskrecyi i absolutnego *alibi* przybyć uściskać cię.“ O stronnictwach zaś polskich w Paryżu powiada: „W takim usposobieniu ducha, bez chęci zaszkodzenia, ale przez samę ślepotę i wyłączność i namiętliwość gotowe zgubić człowieka, wydać go, rozkrzyczéć, czy chwaląc czy ganiąc, czy uwielbieniem czy potępieniem nadto głośném z nóg go ściąć i ścieżkę zamknąć przed nim przyszłości.“ Więc raz jeszcze prosi Gaszyńskiego, bardziéj niż kiedykolwiek „o zęby zaciśnięte nad językiem.“ „Pamiętaj—dodaje—możesz w nieskończoność złego wepchnąć tego, który zawsze cię kochał“ (str. 238).

Cierpienia trwały nieprzerwanie, zwiększając się i zmuszając poetę do używania środków ukojenia coraz silniejszych. Mianowicie ten nieszczęsny pod tylu względami rok 1846 bardzo dotkliwie i w kronice bolesnéj Krasińskiego się zapisał. W maju pisze: „Zdro-

wie moje nędzne, a myśl jeszcze nędzniejsza. Upadam pod ciężarem życia, ze wszystkiém podobnego do śmierci, z tą jedną różnicą, że spokoju śmierci niémasz w niém... Dostałem choroby podobnéj do téj, która cię często nęka; czuję się niebytem i próżnią i trupem, gniję i kwaszę się i chudnę; z nadziei moich wygnany, błąkam się i tułam! Grobu kamień czuję na piersiach! zamknął mi piersi, zadławił duszę, zadusił myśli, roztarł w proch słowa—i leży i cięży i wpycha gdzieś pod ziemię (str. 27). Nic mnie nigdzie nie nęci, świat mi pustynią, pustynią, w któréj tu i owdzie rozrzucone leżą trupy galicyjskiéj szlachty. Nie od dzisiaj z wielolicznych powodów się już męczę, ale dzisiaj zdaje mi się, że się domęczę, i tém lepiéj. Całe życie byłem nieszczęśliwą Kassandrą, a nie zdołałem nigdy pomódz; czas mi odejść i szukać pod ziemią spokoju, nigdy nieznalezionego na ziemi!“ (str. 271—3). W lipcu znów donosi: „W niesłychanéj jestem chorobliwéj bezmocy umysłowéj, która mnie powoli przemienia na trupa; czasem wstać z krzesła oporem mi idzie, czasem pióro wziąć męką mi...“ (str. 295). Jakież lekarstwo na te ciągłe bóle nerwowe? Oto jedno z nich: „Lepiéj mi na zdrowiu i duchu od dwóch tygodni, od kiedym zażył nosem i w płuca wpakował *dwie uncye eteru.* Myślałem, że umieram i znieśmiertelnion wniebowstępuję przez wszechświat do Boga! Zupełnie uczucie duszy uwolnionéj od cielska; ptasiałem, wyanielałem się, ręce-m do lotu wyciągał—i od téj chwli nerwy mi się poprawiły“ (str. 306). Czy na długo? Bezpośrednio po poprzednim idący list daje odpowiedź: „Mnie życie dyabelnie już nęka, boli, nudzi, zabija, gorzéj zabija, niżby śmierć sama zdołała! Znowu-m chory i w melancholii“ (str. 307).

A jednakże w tém schorzałém, sztucznie utrzymywaném przy życiu ciele żyła tak hartowna dusza, iż w pismach dla ogółu przeznaczonych nie wystawiala cierpień swych na pokaz, nie szukała z nich chluby męczennika, którego poświęcenie dla wszystkich widoczne. A jednakże to serce zbiedzone, tak potrzebujące pociechy, samo znajdowało jeszcze w sobie źródło ukojenia i wskazywało je narodowi w *Psalmach żalu* i *dobréj woli*, przyjaciołom zaś i znajomym niosło radę w listach i pomoc w formie realnéj. Ten ostatni szczegół uwydatniający nam serdeczną stronę poety widnieje z całego stosunku do Gaszyńskiego jak również z zachowania się względem znanego filozofa Trentowskiego. Filozof ten miał zapewniony ze strony obywateli W. ks. Poznańskiego fundusz tysiąca talarów rocznie w tym celu, ażeby mógł swobodnie pisać dzieła filozoficzne w języku polskim. Dopóki żył zacny filantrop Karol Marcinkowski, pieniądze dochodziły Trentowskiego regularnie. Ale po śmierci tegoż magnaci wielopolscy, obciążeni kosztami procesu politycznego r. 1847 i zobojętnieli

dla filozofii, nie myśleli o spełnianiu dalszém obietnicy. Gdy Trentowski zgłosił się listownie do poety przekładając rozpaczliwe swoje położenie, Krasiński bezzwłocznie posłał trzy tysiące sześćset franków i zajął się myślą zapewnienia filozofowi losu na przyszłość. O zachowaniu się zaś panów wielkopolskich tak się wyraził: „Cała prowincya opuszcza człowieka, któremu kazała pisać po polsku i który znamienicie swego dopełnił. Lekkomyślność polska. Lepiéj było nie wybuchać dziewiętnastego lutego, a dotrzymać słowa choćby Trentowskiemu.“ Krasiński rządził się w tym wypadku zacném sercem. Jako gorliwy natenczas katolik nie mógł sympatyzować z kalwinem; w pojęciach filozoficznych i politycznych różnił się z autorem *Myślni*, *Chowanny*, *Cybernetyki* ogromnie; ale tam gdzie chodziło o interesa nauki, o zachowanie dla niéj człowieka utalentowanego, tam na kwestyą religijnych i filozoficznych poglądów nie zważał i nie wmawiał w siebie sofistycznie, iż grzechem jest przyczyniać się do rozszerzenia zgubnych (z punktu widzenia pewnego stronnictwa) teoryj.

Niepodobna było w tym szkicu wyczerpnąć cały zasób wiadomości zawartych w korespondencyi; pomijając rzeczy drobniejsze, dość wspomnićć, że nie zaznaczono tu wcale dość licznych zdań Krasińskiego o różnych znakomitościach literackich: o Szekspirze i Byronie, o Goethem, Schillerze, Jean Paulu i Heinem, o Mickiewiczu i Słowackim. Zdania te wypowiadane przygodnie, pod wpływem chwili nie mogą naturalnie uchodzić za ostatecznie w umyśle poety sformułowane sądy o tych ludziach, ale jako odbicie wrażeń są niewątpliwie bardzo ciekawe. Jak w tych, tak i w innych zdaniach często czytelnik dzisiejszy nie może przyznać słuszności gienialnemu autorowi, ale zawsze odbierze przez nie impuls do rozpatrzenia rzeczy z nowéj, może dotąd nieoglądanéj strony.

W każdym razie odczytując te listy, trzeba mieć na pamięci słowa przez Krasińskiego w 1841 napisane: „Powierzchnia duszy, jéj pojęcia, sądy, mniemania muszą w ciągłym ruchu, to raz postępowym, to znów cofliwym kręcić się około jéj treści wiecznéj, nieprzepartéj, nietkniętéj, jak wszystkie punkta kuli ziemskiéj wirują około osi i biegunów niewzruszonych, niewirujących. Człowiek któryby się w niczém nie odmieniał, byłby mumią; taki, któryby we wszystkiém się przeobrażał, byłby tylko kombinacyą chemiczną. Natura duszy zależy na ciągłéj przemianie zewnętrznych kształtów jednéj i tejże samej idei, stanowiącéj rdzeń jéj wnętrzny, istotę jéj niedotkliwą, a jednak twardszą niż granit... Taka idea nie martwa, nie logiczna

tylko, ale pełna niewidoméj krwi i niedosłyszalnych tętn, rzeczywista, wiecznotrwała, z świata duchów rodem, winna być iścizną duszy“ (str. 184).

Taką ideą żywą, stanowiącą „iściznę duszy“ Krasińskiego,—jeżeli usuniemy zboczenia konieczne a wywołane po części wychowaniem i otoczeniem, po części patologicznym stanem ciała i umysłu, dręczonych i torturowanych ciągle, — była niewątpliwie wielka i wiecznotrwała idea miłości. Znaliśmy ją z jego utworów, znajdujemy ją i w listach.

P. Chmielowski.

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

XIV.

Z początkiem roku 1808 siostra moja z mężem wyjechała do Warszawy trochę dla zabawy, o którą już w Puławach było trudno, a więcéj dla tego iż Grabowski, widząc byt Księstwa ustalony, postanowił umieścić się w służbie rządowéj. Żeby dać wyobrażenie o ówczesnych zabawach w stolicy, oraz o toaletach, jakie najwięcéj były w modzie, przytaczam niektóre wypisy z jéj listów:

11 Stycznia.

„Wczoraj u pani Stanisławowéj Potockiéj *nous avons arrangé des tableaux.* Ja i panna Laura (Potocka) wszystkośmy ustawiały, przygotowywały i dyrygowały i wszystko się wybornie udało. Składała się ta żywa galerya z sześciu obrazów. Najpierwszy: *une femme de Rubens*—wyobrażała ją p. Antoniowa Potocka (późniejsza Branicka). Daléj leżąca bachantka z winném gronem w ręku, którą z pomiędzy kwiatów śledzi Satyrek. Bachantką była p. Aleksandrowa Potocka, a Satyrem Ludwik Kicki. Trzecim obrazem była Sybilla Dominichina, przedstawiona przez p. Sobolewską. Nieszczęściem ubrała się ona niestosownie i zbytnia mieszanina kolorów zanadto czyniła strój jéj krzyczącym. Następnie p. Antoni Potocki przedstawiał portret Van Dycka i prześlicznie wyglądał. Daléj *une discussion de Carace* przedstawiony przez Ewusię (panna Kicka) i pana Michała (Grabowski) ze wszystkich najpiękniejszy. Sala tak była urządzona, że każdy obraz przegrodzony był posągami stawionemi z żywych osób: Lorcia *en danseuse d'Herculanum*, pani Gabryela (z Gutakowskich Zabiełłowa) *en Psyché*, ja *en Vestale*, a panna Teresa (Kicka) *répresentait une femme faisant danser le Cupidon.* Resztę sali upiększono staremi wazonami, kandelabrami i rozmaitemi artystycznemi drobiazgami. Fetę tę dawano dla Fran-

cuzów. *Ils paraissaient enchantés*, a zapewne przez grzeczność mówili, że i w Paryżu nic podobnie pięknego spotkaćby nie można. Po obrazach nastąpiła kolacya, a towarzystwo raz w dobry humor wprawione przepędziło resztę czasu wesoło na przebieraniu się w rozmaite stroje. Jutro bal u pani Antoniowéj, a pojutrze u pana Stanisława Małachowskiego. O umieszczeniu mojego męża nic jeszcze nie masz pewnego, — dziś jadę do p. ministra Dembowskiego, który go łaskawie proteguje i może czego się dowiem. Tymczasem awantury tu się dzieją między Tarnowskimi, Rożnieckimi i p. Stanisławowstwem Potockim. Pan Władysław (Tarnowski) ożenił się. Matka jak się dowiedziała, zemdlała i wpadła w spazmy. Najwięcéj na tém ucierpi Lorka, bo ciotka bezustannie na nią się krzywi.......“

15 Stycznia.

„Wczoraj w wieczór odbywał się u Ś-go Krzyża ślub Ewuni (Kickiéj z ks. Antonim Sułkowskim) z wielkiemi ceremoniami. Grenadyerzy otaczali ołtarz, ludu masa i ścisk tak wielki, że panna młoda zaledwie się mogła przecisnąć. Kolacya u pani Kickiéj była bardzo wesoła. Panna Naglé, staruszka, dawna panien Kickich guwernantka, uszczęśliwiona, z radości sobie trochę podpiła i przednie nam prawiła historye. Lecz najzabawniéj wydawali się p. Żabo-klicki i ks. Stanisław Jabłonowski, *le combat de l'amour et de la vertue sur leurs visages*. Ewusia miała białą, atłasową suknię, garnirowaną u dołu krepą, a trochę wyżéj bukietami z róż białych. Na głowie wieniec z mirtu i długi bukiet świeżych kwiatów, spadający na bok. Bardzo jéj w tym stroju było do twarzy i przy ślubie była rezolutna—nic nie płakała; za to matka jéj i Teresa od płaczu się zanosiły. Opisuję ci także moję toaletę. Miałam suknię żółtą *avec collier monté*, na głowie do łańcuszka mojego złotego przyczepiłam wszystkie dyamentowe gruszki i pióro czaple. Mówiono mi że w tym stroju bardzo mi było do twarzy, a pani Gutakowska ci zaświadczy, że się dobrze ubieram, jak Staś, że zdrowie szanuję. Poznałam panią Morand (z domu Parysównę), żonę generała dywizyi Morand, *qui est une beauté parfaite*. Już ma tak piękny nos, że w życiu mojém podobnego nie widziałam. Cała figura zręczna, a zgrabna, a rysy niezmiernie regularne. Spodziewam się, że w albumie swego brata zaliczoną będzie do najpierwszych piękności. *Les affaires de Staś vont se débrouiller, à ce que me dit M. Gutakowski.* Pani Aleksandrowa Potocka namawia mnie, żebym z nią grała pantominę — *je dois figurer une esclave grecque.....*“

Dopisek Grabowskiego: „*Nous avons plein de noces et de bals. Tarnowski s'est marié, ce qui est un gibier pour les commères de Var-*

sovie, qui ne parlent d'autre chose. Morand est ivre de sa femme, ne la quitte pas, danse evec elle et s'en occupe exclusivement. La noce d'hier a été très belle et fértile en evénements. Żaboklicki et prince Jabłonowski faisaient des mines épouvantables i pili z desperacyi — mój brat i guwernantka także sobie podochocili dobrze. Jutro Pac dla generałowéj Morand daje bal wielki, a Witt bukietowy we czwartek. *Nous courrons de fête en fête*, bo i dla p. Ludwika Małachowskiego, który ślub bierze w poniedziałek, różne szykują festyny.“

18 Stycznia.

„Pan Stanisław Potocki wczoraj wyjechał. Żona i syn odprowadzali go do Nieborowa. Głośno tu mówią o rozwodzie Napoleona i dodają, że ma się żenić z siostrą imperatora — *ce qu'il-y-a de plus sur*, że Savary *ne turit pas en fait d'éloges.* Pisały pewne osoby, że Napoleon jak najlepiéj dla nas jest usposobiony i że deputacya uzyska wszystko, czego tylko żądać będzie. Księżna Wirtemberska przyjechała onegdaj w wieczór i dziś się do niéj wybieramy. Onegdaj mieliśmy bal u Paca arcy wspaniały, a dziś u pana Witta, gdzie Staś *in gratiam* dawnych petersburskich znajomości będzie gospodarzem u jednego stołu......“

26 Stycznia.

„P. Gutakowski mówił mi, że tymczasowo Stasia umieszczają jako radcę nadetatowego przy p. Łuszczewskim i to niedługo. Jakkolwiekbądź bowiem potrzebuje wprawy, a dopiero po odbytéj aplikacyi zostanie prawdopodobnie audytorem przy Radzie Stanu. P. Stanisław Potocki pisał z Poznania, donosi, że zdrów jest zupełnie i drogę odbywa dobrze. Wczoraj udano się szlichtadą do Bażantarni, tam śniadanie, jak powiadają, zastawione było przedziwne, a na obiad składkowy wrócono do Gąsiorowskiego. Pani Aleksandrowa zabawę tę odłożyła, ale na niéj nie byłam, bo ks. Wirtemberska zabrała mnie do siebie na obiad. Extra dla mnie grzeczna i dobra, tak jak i dawniéj bywało. Mówią tu, że p. Matuszewicz oświadczył się (o rękę p. Cecylii Beydale) i że mu odmówiono. Nie śmiem o to księżnéj zapytywać i proszę cię donieś mi, czy to prawda? Generał Morand wyjeżdża z żoną do dziadka mieszkającego w Pacanowie, który ma być wielkim dziwakiem. Co do generałowéj Morand, kiedy ją księżnie prezentowano, pierwsze słówko, jakie do niéj wyrzekła, było: *Comment trouvez-vous mon mari? Mais très bien.—En effet quand on le voie* —dodała— *il faut en devenir folle.* I ona także jest rzadką pięknością, jednak Weronisia (Rautenstrauchowa) ma daleko większą partyą i większy tłum wielbicieli. *Elle fait ici grand bruit et son mari en devient de plus en plus jaloux.* Mówią tu, że generał Andreossi, poseł francuski w Wiedniu,

stara się o rękę panny Karoliny Jelskiéj. *Cela met de mauvaise humeur Madame Severin qui lui en veut à cause de cela.* Może to jednak wszystko plotki, o które tutaj bardzo łatwo......"

29 Stycznia.

„Wczoraj był bal bukietowy u p. Bronikowskiéj. Pośród balu weszły naprzód pani Łubieńska, Bronikowska, Aleksandrowa i Antoniowa Potockie ubrane *en Arabes.* Spódnice białe, ponsową materyą i złotem obszyte, tuniki półokrągłe, naszywane także ponsowem i złotem i otoczone w pasy frendzlą z korali i pereł. Na tém katanki tureckie ponsowe, a na głowie rodzaj turbanów z welonami, podpiętemi pod brodę. Dyjamentów moc wielka, a rękawy spinane szerokiemi bransoletami. Drugi orszak składał się z pani Anastazowéj i Adamowéj Walewskich z pani Cichockiéj i Maryi Dzierżanowskiéj *en femmes de Bagdad.* Miały na głowie turbany seledynowe, dyamentami ozdobne, białe spódnice i seledynowe tuniki srebrem obszyte. Trzeci: pani Wincentowa Krasińska, panna Sobańska, Stasiowa Potocka i panna Komarówna *en Morlaques.* Miały na głowie dyademy bogate, na tém zarzucone białe woalki, spódnice białe, katanki długie ponsowe, oblamowane złotem, fartuszki okrągłe, haftowane złotem wpoprzek. Ten szereg najpiękniéj się wydawał. Pani Aleksandrowa, Ignacowa Sobolewska, Zabiełłowa i panna Teresa Kicka były także *en costume*, ale przyznam się, nie można było wiedzieć co to za ubiór. Szczególniéj p. Aleksandrowa jakiś turban potężny wsadziwszy na głowę, zdawała się upadać pod tym ciężarem. Pani Ignacowa miała strój turecki, panna Teresa hiszpański, a pani Zabiełło *un costume de fantaisie.* Bawiono się doskonale i ja wyjeżdżając o czwartéj bal w najlepszém ożywieniu jeszcze zostawiłam......"

30 Stycznia.

„W tych dniach ze sztabu Napoleona przyjechał tu Falkowski, z poleceniem do Rożnieckiego, aby podał plan w jakiby sposób można zabrać część Galicyi, żeby mieć z jednéj strony Karpaty, a z drugiéj dobrą linią obronną. Po co te plany i co to są za zamiary, tajemnica to, a domysłów rozmaitych krąży mnóstwo. Już to wojsko jest u nas zawsze do boju gotowe i tu sprawa idzie jak najlepiéj, ale cywilność w prawdziwym odmęcie. Pełno partyi, nikt nie wie co ma robić i powszechném jest życzenie, żeby p. marszałek (Ignacy Potocki) objął naczelną władzę. Na pana Stanisława krzyki ogromne, choć prawdziwie nie wiem o co. Marszałka Davoust, o którego wszystkie te komeraże się opierają, niezmiernie to nudzi i męczy. Z księcia Józefa wszyscy generalnie niekontenci i może nawet odejmą mu ministerstwo. *Mais que cela reste entre*

nous. Przejeżdżał tędy generał Savary i piorunował na księcia Adama (Czartoryskiego), że wyprawił wielki obiad dla posła angielskiego. Natychmiast w gazetach wydrukowano rozmaite artykuły i nazywają go w nich służalcem Anglii. Szpiegostwo, do któregośmy nie nawykli, rozwinięto tu okropnie. P. Sobolewski ostrzegł mnie, żeby się mieć na baczności, każde bowiem słówko wyrzeczone, dochodzi do wiadomości władzy.

Rożniecki ze Stasiem, na żądanie Davousta opisali stosunki krajowe przed bitwą Austerlicką i wymienili powody, dla których ks. Adam zostawał na dworze petersburskim. Marszałek przeczytawszy, niezmiernie tém zdziwiony został, że Polacy mogli na Rosyą rachować i pismo to przesłał Napoleonowi. P. Mostowski z Paryża donosi, że dla nas najlepsze są nadzieje......"

2 Lutego.

„Bale trochę ustały, ale natomiast następują *Assemblées.* W niedzielę byłam pod Blachą z p. Stanisławową Potocką, która nieskończenie dla mnie jest łaskawą i grzecznościami mnie obsypuje. Widziałam także paradę na dziedzińcu saskim, które tu codzień się odbywają. Około 200 żołnierzy defiluje, a w środku gra muzyka. Ewusia wyjechała. *On dit que l'affaire de l'échange de Galicie est en train.* Napoleon pogodził się z Lucyanem......"

6 Lutego.

„Czy mego Leonka wakcynować? Lafontaine arcy téj innowacyi jest przeciwny i mówił mi, że gadał długo z doktorem, który umyślnie jeździł do Londynu, aby ten wynalazek zbadać. *Il lui a dit que c'est une lubie des médicins anglais.*

Onegdaj mieliśmy wielką paradę. Rozdawano krzyże żołnierzom. Pierwszy raz widziałam nasze orły. Pana Michała regiment ustawiono pod koszarami litewskiemi, a Stasia Potockiego na dziedzińcu Saskim. Orły ich salutowały, a książę Józef przypiąwszy krzyże, każdego żołnierza całował. P. Michał miał mowę, poczem krzyczano: Niech żyje cesarz!—Bale ustały i miejsce ich zajęły herbaty tańcujące. Na ostatniéj z nich u p. Małachowskiego powtórzono kadryle kostiumowe, ale jakoś się nie szykowało tym razem. Jutro pan Michał daje wielki obiad dla ks. Józefa, generałów i dekorowanych żołnierzy, którzy u tegoż samego stołu siedzieć będą. Znaczna część litewskiéj naszéj familii także się tu zjechała, p. Stefan Grabowski, pani Biszpingowa i p. Siecheń, ten co był w Puławach......"

9 Lutego.

„Wszyscy nas tu zapewniają, że Staś wkrótce dostanie miejsce. Dobrze jest widziany przez marszałka i przez Rożnieckiego, a ta

droga prędzéj do celu dowiedzie, aniżeli protekcya krewnych, którzy chociaż dobrze mu życzą, dosyć są marudni i boją się, żeby ich nie posądzono o nepotyzm. Pani Aleksandrowa pojechała do Białegostoku, bo pani Krakowska jest bardzo chora, a nawet niektórzy mówią, że już umarła. My wyjeżdżamy także za dni parę, a towarzyszyć nam będzie p. Michał dla widzenia panny Laury, do któréj szczerze jest przywiązany......"

Puławy téj zimy były zupełnie puste, gdyż książę feldmarszałek bawił w Sieniawie, książę Konstanty we Włoszech, a księżna Wirtemberska w Warszawie. Pan Stanisław Potocki przed wyjazdem swoim z deputacyą, zawiadomił brata, że w Paryżu nie będzie, gdyż Napoleon wezwał ich do Bajonny. Tak więc nadzieja mojéj podróży rozwiała się i do późniejszego odłożyła czasu.

Rosya widząc, że zawarte z Turcyą zawieszenie broni pokoju nie wyda, rozpoczęła dalszą wojnę i wojna ta trwała cztery lata aż do 28 maja 1812 roku, to jest do pokoju zawartego w Bukareszcie, a spowodowanego głównie najściem Napoleona na Rosyą, bez téj bowiem przeszkody Rosya-by niezawodnie Konstantynopol zabrała. Na mocy traktatu do Rosyi odpadała cała Bessarabia z Chocimiem, Brailowem i Izmaiłowem.

W końcu roku poprzedniego na mocy traktatu Tylżyckiego zawezwano Szwecyą, aby dla okrętów angielskich zamknęła morze Baltyckie. Ponieważ Szwecya odpowiedziała, że wtedy to uczyni, kiedy Francuzi wybrzeże Baltyku opuszczą, wysłano więc w marcu 1808 r. korpus Buxhewdena do zajęcia Finlandyi. 23 marca poddało się Abo, a wkrótce potém i Sweaborg, ów Gibraltar północny. Cała kampania trwała dziewięć miesięcy i wojska rosyjskie doszły aż do Torneo i następca Gustawa IV, który koronę złożył, odstąpił Rosyi Finlandyą.

Napoleon korzystając ze sporów w hiszpańskiéj rodzinie królewskiéj jeszcze w listopadzie 1807 r. wysłał do tego kraju korpus generała Dupont, liczący 27,000 ludzi. Miały to być niby rezerwy dla generała Junot i wojsko to rozłożyło się w Valadolid i Salamance. 9 stycznia 70,000 wojska wprowadził marszałek Moncey do Biskai, a 9 lutego takaż sama siła pod wodzą Duhesme zajęła Katalonią. Książę Pokoju, który na to przejście wojsk francuskich zezwolił, zaczął rozumieć, że dla Portugalii sił tych za wiele, a lud przyszedł do tego przekonania, że niecny ten intrygant Hiszpanią Napoleonowi za obiecany mu tron Algarvyi zaprzedaje. Wzburzone więc tłumy napadły na Aranjuez, księcia Pokoju pokaleczonego do więzienia zamknęły, a wymógłszy na Karolu IV abdykacyą, Ferdy-

nanda królem ogłosiły. Murat, który podówczas znajdował się w Burgos, zajął Aranjuez i Madryt i więźniów wziął pod swą obronę.

Abdykacya Karola nie przypadła do gustu Napoleonowi. Znał on słabość jego charakteru i liczył, że z nim łatwo plany swe przeprowadzi. W Ferdynandzie nie wiedział jeszcze, jakiego będzie miał przeciwnika. Dla wybadania gruntu wysłał do Madrytu generała Savary'ego. Rozmowa jaką miał z nim na odjezdném jest z tego względu dla nas ważną, iż dowiadujemy się z niéj, że byt Polski, o jakim Napoleon wprzódy szczerze myślał, został przez niego zaniedbany zupełnie, skoro nabrał nadziei, że cesarza Aleksandra będzie mógł użyć przeciwko Anglii. Ważniejszemi mu się teraz wydawały jego widoki w Hiszpanii, a ks. Taleyrand, idąc za jego chęciami, pisał:

„Tyle ganiona polityka Ludwika XIV, iż dla osadzenia swojéj dynastyi w Hiszpanii wplątał się w długie wojny, była jednak pożyteczną i dla dobra Francyi i wynikała z położenia Hiszpanii. Kraj ten morzami oblany, czyni go zawisłym od Anglii i potrzebuje tylko króla wojownika, żeby zagrozić Francyi, jak to było za Karola V i Filipa II. Panowanie nadto Bonapartych we Francyi zawsze wątłe, dopóki Hiszpanią rządzą Burboni. Nie o północy więc Francyi myśleć należy, nie o Polsce, ale o Hiszpanii. Jeśli dla nieujętéj jakiejś utopii zapuścilibyśmy się w głąb Litwy, Hiszpanie tymczasem i Austryacy stanęliby prędzéj w Paryżu, aniżeli byśmy my zdołali wrócić do Renu."

Savary, zręcznie łudząc Ferdynanda, nakłonił go do widzenia się z Napoleonem w Bajonnie, ale, kiedy nowy król hiszpański przybył do Vittoryi, doradcy jego daléj go puścić nie chcieli. Napoleon wtedy zagroził, że nie jego, ale jego ojca za króla uważa. Pod grozą tego warunku przybył Ferdynand do Bajonny, a sprowadzono tu także i jego ojca. Natychmiast zaproponowano Ferdynandowi zrzeczenie się korony hiszpańskiéj, ofiarując w zamian królestwo Etruryi, a gdy ten się oparł, Karol ogłosił się królem na nowo, wydał proklamacyą, w któréj ks. Murata naznacza swoim namiestnikiem i zażądał, żeby wnuków jego, infantów: Don Antonia i Don Francisca przysłano do Bajonny. Lud przeczytawszy tę proklamacyą infantów wydać nie chciał i załogi francuskie z Madrytu chciał wypędzić. Wojsko jednak się oparło i infantów pod eskortą wojskową wysłano. Napoleon odebrawszy o tém wiadomość, rozgniewany przywołał Ferdynanda i zapowiedział, że jeśli korony nie złoży, każe go natychmiast oddać pod sąd wojenny. Nie mając środka oparcia się abdykował na następujących warunkach. Przyznano mu dobra Nowarrę, milion franków rocznéj pensyi i po 400,000 fr.

rocznie dla każdego infanta. Tegoż dnia Karol odstąpił Hiszpanią Napoleonowi, zastrzegając, że żadna prowincya od Hiszpanii oderwaną nie będzie, że religia katolicka pozostanie w niéj panującą, że dobra Chambord i Compiégne będą mu przyznane, że on 7,500,000 frank. rocznéj pensyi, a inni członkowie rodziny królewskiéj wystarczające utrzymanie otrzymywać będą. Zanim zamek Compiègne mógł być wyrestaurowany miał król zamieszkiwać w Valencyi u żony Taleyranda. W ten nikczemny dość sposób wyrzucił Napoleonów z Hiszpanii Burbonów, opuścił Polskę i naraził się na wojnę z ludem broniącym swojéj niepodległości, która upadek jego przyśpieszyła.

Deputacya Polska, złożona ze Stanisława Potockiego, Bielińskiego i Ksawerego Działyńskiego, przybyła, stosownie do polecenia Napoleona, do Bajonny dość wcześnie, ale ponieważ sprawy hiszpańskie się agitowały, musiała więc czekać kilka miesięcy i dopiero 6 maja uzyskawszy posłuchanie, pod datą 10 maja otrzymała następujące ulgi:

1. Cesarz Francuzów, z mocy traktatu Tylżyckiego, właściciel sum pozaciąganych przez obywateli księstwa Warszawskiego z banków pruskich, kas rządowych, kompanii morskiéj i kasy wdów i inwalidów, odstępuje też sumy ryczałtowo na własność królowi Saskiemu za umówioną kwotę, na którą obligacye król Saski wyda i ratami spłacać ją będzie.

2. Trzy pułki piechoty polskiéj, wezwane do armii hiszpańskiéj, przechodzą na żołd francuski, równie jak i pułk Ułanów gwardyi Napoleona.

3. Dwa polskie pułki piechoty, stanowiące garnizon Gdański, pobierać będą żołd i żywność z kas francuskich.

Przy tém nieomieszkano posłów nakarmić jak najpiękniejszemi nadziejami, któremi przejęci, powrócili do Warszawy we wrześniu po ośmiomiesięcznéj nieobecności.

Do Hiszpanii poszedł pułk 4-ty Feliksa Potockiego, starościca szczerzeckiego, 7-my Sobolewskiego i 9-ty ks. Antoniego Sułkowskiego. Oprócz tego pułk gwardyi Ułanów pod Wincentym Krasińskim, cztery pułki piechoty na żołdzie francuskim, zwane legionem Nadwiślańskim i dwa pułki jazdy ułanów. Wszystko to razem tworzyło blisko dwie dywizye samych polaków, które w mnogich bitwach, jak to na swojém miejscu przywiodę, sławą się okryły.

W garnizonie gdańskim zostały: pułk 10 Mielżyńskiego i 11-ty zdaje mi się Niemojewskiego, 4-ty pułk ułanów Kwaśniewskiego zabrany został jako garnizon do Drezna. Ten Kwaśniewski, żołnierz starego autoramentu i języków obcych wcale nieposiadający,

miał szczególniejszą nienawiść do Niemców. Że zaś wojska nasze na wzór francuskich własność rolnika za swoją uważały, przeto kiedy stanęły nad Elbą w okolicy Pilnitz, żołnierze wycinali kapustę, kopali kartofle, zrywali zielone jabłka i gruszki i zbierali poziomki, które Sasi tak starannie w winnicach hodują. Mieszkańcy na nadużycia te skarżyli się ciągle pułkownikowi, ale ten śmiał się i odpowiadał:

— Cóż tam za wielka szkoda! — przyjdź Niemcze do nas, całą ćwierć poziomek dam ci darmo a nawet i więcéj, bo możesz je w lecie zbierać wiele ci się podoba.

Sasi widząc że u pułkownika żadnéj satysfakcyi nie znajdą, udali się do króla. Ten Kwaśniewskiego wezwać kazał, a wiedząc, że po niemiecku nie umie, po polsku polecił, żeby szkody były wynagrodzone.

— Najjaśniejszy panie—zareplikował pułkownik— co Niemców żałować? Tyle lat nas dusili, toć im trochę dokuczyć nie zawadzi.

Temi licznemi wysyłkami legia druga zredukowana została do jednego pułku piechoty i dwóch jazdy, co znowu generała Dąbrowskiego ubodło i nieukontentowanie jego zwiększyło.

W maju zaprowadzono system poboru czyli konskrypcyi. W zasadzie różnił się on od obecnego, a był bardzo prosty i działał szybko. Do popisu należeli mężczyzni od 20 do 28 roku życia i dzielili się na cztery klasy, każda obejmująca po dwa lata wieku. Urzędnicy zostający w służbie, duchowni, profesorowie i nauczyciele od powinności wojskowéj byli zwolnieni, o zdolnościach zaś popisowych wyrokowała Rada popisowa, z prefekta, dwóch radców, jednego oficera i chirurga złożona. Ci wydawali świadectwo osobom z powodu zdrowia w wojsku służyć nie mogącym i wykreślano ich z listy popisowych, a przenoszono do rezerw. Rada urzędowała ciągle i każdy do wojska niezdatny zgłaszał się sam do niéj, aby świadectwo uzyskać, reszta bez świadectw uchodziła za zdrowych i skoro czas poboru nadszedł zwoływano ich do miasta, wkładano w naczynie tyle gałek białych, ile rekrutów wziąść należało, ci zaś co wyciągnęli gałki czarne, dostawali uwolnienie na całe życie. Przed odbyciem powinności wojskowéj żenić się nie było wolno.

Ustanowiono współcześnie komisye egzaminacyjne dla urzędników i likwidacyjne dla koekwacyi ciężarów wojennych, nakoniec we Wrześniu zapadł ważny dekret, regulujący prawa wyborców i wybieralnych, tudzież urządzający postępowanie na sejmikach i zgromadzeniach gminnych.

Włościan porównano z resztą mieszkańców w obliczu prawa, przypuszczono ich w wyjątkowych razach do listy wyborców, otwar-

to możność kształcenia się i awansowania tak w wojskowéj jak i w cywilnéj służbie. Lud przyjął to z radością, wstrząśnienia żadnego wszakże nigdzie nie było i odrabianie powinności inwertarskich nigdzie nie zostało przerwane. W Płockiém tylko prefekt Rembieliński skłaniał tak dziedziców jako i włościan, żeby porzuciwszy przestarzałe inwentarze, zawierali notaryalne umowy, w kształcie kontraktów dzierżawnych, a wielu znalazło się takich, którzy poszli za jego radą. To wszystko dowodzi dokładnie, że stan poprzedni nie był tak straszny, jak go sobie wyobrażano i, że *ésclavage* w konstytucyi wspomniane u nas nie istniało. Stosunek był wogóle patryarchalny i w wyjątkowych a bardzo rzadkich wypadkach uciskiem nacechowany.

Stosunki szlachty z mieszczaństwem były dosyć dalekie i aż do przyjścia Francuzów mieszczan do szlacheckich towarzystw nie przypuszczono. Od téj chwili i to się zmieniło i niektórzy mieszczanie, jak naprzykład Wojda do wysokich godności powołani zostali. We Francyi w tym czasie nowa szlachta cesarstwa nie ugruntowała się jeszcze, i ślady wyobrażeń z 1793 r. się nie zatarły. Obalenie przywilejów i tytułów tak silnie w umysłach tkwiło, że tytułami obdarzeni, niechętnie się do nich przyznawali. Marszałek Davoust nie podpisywał się nigdy książę d'Auerstädt i przykrość mu robił, kto go w towarzystwie księciem tytułował. Żołnierze i podoficerowie, jeśli ich stopień wykształcenia był wyższy, do towarzystw byli zapraszani i nierzadko zdarzyło się widzieć żołnierza prostego, siedzącego obok generała. Mundurów używano zwykle tylko do parad i służby, na balach zaś, wieczorach, obiadach i zebraniach występowano we frakach, a książę Józef przykład do tego dawał.

Język francuski, tańce francuskie zapanowały wszechwładnie. Obiady zaczęto jadać o piątéj i zaprowadzono nieznane u nas *Dejeuners à la fourchette.* Kuchnia nawet francuska rugowała polską i barszcze, kapuśniaki i bigosy w kąt się pochowały. W umeblowaniach greczyzna i rzymskość więcéj aniżeli kiedy wzięły górę. Kanapy, stoły, fotele, kantorki bez orłów, lwich łap i tym podobnych oznak obejść się nie mogły, a stoły na trójnogach koniecznie wspierano. Herkulanum i Pompeja do wszystkiego dawały wzory i modele. Stroju polskiego ostatnie ślady zupełnie znikły i w Warszawie zaledwie kilka osób kontuszom wiernych pozostało. Między nimi zawsze po polsku się nosił notaryusz Skorochód-Majewski, znakomity języków wschodnich badacz.

Książę Józef otoczył się świetnym sztabem. Biurom ministeryum przewodniczył generał Hebdowski, a Rautenstrauch i Fergis, tudzież kilku starych wojskowych, do oręża niezdatnych, jak na-

przykład pułkownik Żeleński spełniali tu obowiązki stosownie do swoich zdolności. Sztab generalny składał się z generała Fiszera, inspektora piechoty, generała Rożnieckiego, inspektora jazdy, Kamienieckiego, Szumlańskiego, kwatermistrzów i innych władz wojskowych. Adjutantów miał książę kilkunastu. Z tych Marceli Potocki, brat pani Czosnowskiéj, Antoni Potocki, Miączyński, Błeszyński, Ludwik Kicki, Kamieniecki i Teodor Szydłowski nosili mundur karmazynowy huzarski ze srebrem, inni granatowy z niebieskiemi kołnierzami.

Król także urządził dwór swój warszawski. Wielkim marszałkiem czyli podkomorzym zamianowany został Jan Nepomucen Małachowski, łowczym Aleksander Batowski, Żaboklicki szambelanem, Adam Broniec marszałkiem dworu. Jeden tylko Broniec pobierał pensyi 20,000 złp. i miał w Zamku mieszkanie, innych obowiązki były honorowe, to téż Batowski do Francyi się przeniósł i rzadko do Warszawy zaglądał. Miał także król swoich adjutantów, z których jedni tytuł tylko posiadali i jako jego oznakę mieli prawo nosić na ręku białą przepaskę, otoczoną złotą frędzlą. Inni pełnili służbę adjutantów rzeczywistych i takimi byli pułkownicy Paszkowski i Błeszyński.

Przepisano mundury obywatelskie dwojakiego rodzaju: jedne granatowe z karmazynowemi kołnierzami i mankietami, zahaftowanemi srebrnym haftem liście i owoce drzewa oliwnego wyobrażającym, drugie dla pozostałych stanów takiegoż koloru i kroju, ale bez haftu. Urzędnicy szczególnych mundurów nie mieli i tylko siedmiu członków pierwotnéj Rady rządzącéj miało prawo nosić mundur koloru *pius* z haftami złotemi.

Ponieważ Napoleon w tym czasie rozpoczął swe kłótnie ze Stolicą Apostolską, Ankonę arbitralnie do królestwa Włoskiego włączył i Rzym zajął garnizonem francuskim; przeto papież uważał się za więźnia, a nieprzyjazny tu stosunek odbił się na stanie duchownym wszędzie. Już przez kodeks Napoleona duchowieństwo znalazło się w niemożności pogodzenia obowiązującego prawa z przepisami kościelnemi. Akta cywilne, małżeństwa cywilne, rozwody nie zgadzały się z postanowieniami Soboru Trydenckiego, a choć małżeństwo pozostało sakramentem, rozwiązanem być mogło bez wdania władzy kościelnéj. Oprócz zasad samych przybyły i inne grawamina z nieznanych u nas naprzód zwyczajów wypływające. Tak naprzykład Francuzi wprowadzili obyczaj, że wojsko znajdujące się w miejscu gdzie się odbywało nabożeństwo, winno było podnosić ważność jego paradą. Wszędzie gdzie stał garnizon szykowali się w czasie mszy żołnierze w dwa szeregi z bronią, muzyką,

bębnami i tambour-majorem. Broń swą nieustannie to prezentowali, to brali na ramię, to do nóg spuszczali, to bębnili; a wszystko za głośną komendą oficera. Bębniono przy ewangielii, a przy podniesieniu zamiast przyklęknienia broń prezentowano. To wszystko, podług twierdzenia biskupów, tak miało mięszać księży, że żaden z nich nie mógł mszy poczciwie odprawić. Ja co prawda tego nie dostrzegałem i zdaje mi się, że duchowieństwo obyczaj ten chwytało tylko jako jeden więcéj do żalów pretekst.

Arcybiskup Raczyński ciągle szturmował do króla, do ministrów, żale rozpościerał, ostro pisał, zwierzchnictwa Dyrekcyi Spraw Wewnętrznych nie uznawał i przeciw zajmowania klasztorów protestował. Najwięcéj go jednak bolało ciągłe mieszanie się niższych władz administracyjnych do czynności duchownych—jak regulowanie opłat za pogrzeby, obwieszczenia itp. Szczególny zaś gniew wywierał na ministra sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, kiedy ci proboszczów, jakby zwyczajnych urzędniczków karami okładać się poważyli. Niesnaski te ciągnęły się przez czas całéj egzystencyi Księstwa i większéj nabierały cierpkości w miarę pogorszającego się stosunku Napoleona z Papieżem. Król Saski, gorliwy katolik i duchowieństwu przychylny, chętnie stronę arcybiskupa i kleru trzymał, ale wiele poradzić nie mógł. Ślad tych kłótni może znaleźć czytelnik w dziełku wydrukowaném przez Arcybiskupa Raczyńskiego, a noszącym tytuł „Sześcioletnia korespondencya itd.“

Z porady lekarzy księżnę Czartoryską wysłano na kuracyą do Töplitz, a choć to podróż nie daleka, nie chciała jéj sama odbywać, a do towarzystwa i ja, mający już wówczas lat ośmnaście zaliczony zostałem. Ruszyliśmy z Puław d. 18 czerwca we cztery powozy. W koczu czterokonnym jechała księżna, moja matka i Zosia Matuszewicz, w drugim parokonnym doktór Khittel i ja, w karecie poczwórnéj garderobiane, na bryce czterokonnéj kuchnia i kredens. Mieliśmy z sobą pięciu służących, oprócz należących do obsługi kuchni. Dodawać nie potrzebuję, że o projekcie tym wcześnie zawiadomiony, niecierpliwością i szczęściem pałałem, a bujna wyobraźnia młodzieńcza nasuwała mi tysiące nowych widoków i przyjemności.

Do Gruszczyna, rezydencyi księżny Wirtemberskiéj, odprowadzali nas panowie Wojna, Zwierzchowski i Julian Niemcewicz, ten ostatni, świeżo z Ameryki przybywszy, bawił nas zajmującém opowiadaniem obyczajów życia w Stanach Zjednoczonych. Osobistość poety Ursyna i jego pełne rozmaitości losy zanadto są znane, żebym tu je miał powtarzać. Powiem więc tylko, że razem z Kościuszką, po uwolnieniu ich przez cesarza Pawła do Ameryki wyjechawszy, tam

pomiędzy obcymi bez funduszów, bez opieki zapadł na ciężką tyfoidalną gorączkę. Prawdopodobnie w warunkach takich śmierć byłaby go zabrała, gdyby zacna pani Elżbieta Jew nie wzięła go w opiekę. Dzięki jéj staraniom po ciężkiéj i długiéj chorobie do zdrowia powrócił, a przywiązawszy się do swéj opiekunki o rękę jéj prosił. Pani Jew miała już wówczas przeszło lat 30, co u kobiét tamtych krajów jest prawie początkiem starości, ceniąc jednak wielkie moralne przymioty wygnańca, związkiém małżeńskim z nim się połączyła. Ponieważ niedaleko od miasta posiadała małą własność wiejską, tam się więc oboje przenieśli i wtenczas dla naszego poety rozwinął się nowy wcale zawód. Z murzynką, która razem obowiązki kucharki pełniła i z murzynem za parobka służącym, uprawiał Niemcewicz swój ogród, a raz w tydzień do miasta na sprzedaż jarzyny woził, i utargowane pieniądze, podług zwyczajów tamtejszych do bankiera składał, asygnując późniéj na niego wszystkie zakupy, jakie w mieście uczynić było trzeba. W sielankach wiejskość podobna pięknie wygląda, ale w rzeczywistości dobrze może się dać we znaki, zwłaszcza, że tęsknota za krajem srodze go trapiła. Ten żal tak był wielki, że kiedy raz na targu w Nowym Jorku spotkał żyda polskiego w zabrudzonym chałacie, on, który żydów tak nie lubił, jak dał tego liczne dowody i w Lejbe i Siora i listach litewskich i w Przebiegach i w Moszkopolis, rzucił mu się na szyję, po kilkakroć uściskał i dla rozmowy z sobą na wieś zabrał. Dowiedziawszy się o powstaniu księstwa Warszawskiego, żonę na czas jakiś opuścił i w r. 1808 do kraju przyjechał. Zajmował się wydawnictwem pism swoich, a głównie poezyi i to mu większy dochód jak jego majątek w Ameryce przynosiło. Najwięcéj starania przykładał do wydania śpiewów historycznych, do których muzykę dorabiały damy znajome, a rysunki z Tyszkiewiczów Potocka, późniejsza Wąsowiczowa, Laura Potocka, Tarnowska, Sułkowska i moja siostra przygotowywały. Poemat Puławy i Moszkopolis, o ile wiem pozostały niedrukowane i tylko w rękopisie je znałem. Pierwszy opisowy, trochę formą do Sybilli Woronicza zbliżony, choć może nie ma w sobie tyle gorącego uczucia.—Drugi humorystyczny i trochę polityczny, przedstawia, jaką będzie Warszawa w następnym wieku. Rzeczywiście, ja co pół już wieku następnego przeżyłem, widzę, że w przywidywaniach swoich wieszcz nie był bardzo daleki od prawdy. O innych pismach nie mówię, te wszystkim powszechnie są znane.

Niemcewicz był wzrostu niskiego, twarz miał okrągłą, włosy *chatain*, oczy małe, ale pełne ognia. Humor posiadał zawsze jednaki i nigdy go innym jak wesołym nie widziałem. Głos miał piskliwy i śmiech szczególnego rodzaju. Lubił drwinki i żarty i w nich często

w zbytnią wolność popadał, dozwoloną miarę swobody towarzyskiéj przekraczając.

Gruszczyn należał do dóbr Maciejowickich i od ordynata Zamojskiego wzięła go w dzierżawę księżna Wirtemberska. Był tu piękny murowany, piętrowy pałacyk, wśród lasu wierzb i sokorów położony. Wał nad Wisłą się ciągnący cały był zasadzony różami i nazywał się *Cap des roses*, sąsiedztwa najbliższe oprócz panów Heryngów z Mniszewa, stanowił staruszek Gordon, o którym już wspominałem i pan Eugieniusz Czaczkowski, krewny Różnieckich, dziedzic Różniszewa. Całe to towarzystwo, a szczególniéj ten ostatni wchodzą do romansu ks. Wirtemberskiéj—Malwina, gdzie także Stanisław i Artur Potocki łatwo rozpoznać się dadzą.

Towarzysze nasi w Gruszczynie nas opuścili, my więc przebywszy komorę austryacką w Mniszewie, a księztwa w Konarach, stanęliśmy w Warszawie, zatrzymując się jak zwykle w pałacu Błękitnym.

Stanisław Grabowski 23 czerwca prezentował mnie dwom ministrom: sprawiedliwości i policyi. Pierwszy Feliks Łubieński był już w bardzo podeszłym wieku, cerę miał jakby schorzałą i na twarzy wyraźnego znękania ślady. Mimo tych pozorów położył on ogromne zasługi w swojém ministeryum i niesłychaną rozwinął energią. Zorganizował sądownictwo, spopularyzował i uprzystępnił prawo francuzkie u nas nieznane i obce i z ludzi nie mających fachowego i specyalnego wykształcenia wytworzył dzielnych urzędników. Pomiędzy innémi przymiotami, oprócz szczególnie zimnéj krwi, głębokiego rozsądku i obszernych wiadomości, odznaczał się on wielkiém poszanowaniem wiary katolickiéj, któréj wszystkie formy gorliwie i z surowością przestrzegał. To z jednéj strony zyskało mu łaski i zaufanie króla Saskiego z drugiéj wszakże naraziło na zarzuty zbytniéj, a udanéj bigoteryi. Przez krótki téż czas trwania księstwa on najwięcéj narażony był na pociski i izby i publiczności, o czém jeszcze nie raz mówić mi wypadnie. W 1813 roku porzucił stanowczo zawód polityczny i osiadł w Guzowie gdzie wśród licznéj swojéj rodziny, synów, wnuków i prawnuków prawdziwie patryarchalny pędził żywot. W czasie uroczystości rodzinnych zbierało się téj familii z górą ośmdziesiąt osób. Żonaty był, jeżeli się nie mylę, z Bielińską.

Drugi minister Aleksander Potocki, z Potockich Prymasowskich z Koniecpola, przez stosunki tylko stanowisko to otrzymał, bo wcale odpowiednich zdolności nie posiadał. Niski, niepozorny, w mowie ostrożny, niepewny i jakby wahający się, nie stosownie był wybrany do ministeryum, do którego szczególniéj Napoleon wielką przywiązywał wagę. Oddać mu wszakże należy tę sprawiedliwość, że choć

za niego policya spała, ale też także i do narzekania nie dawała powodu.

Na dzień następny byliśmy zaproszeni na obiad pod Blachą. Honory domu robiła pani de Vauban i Wincentowa Tyszkiewiczowa, książę Józef przybył dopiero w końcu obiadu. Przyjęcie było niezmiernie serdeczne i książę Józef wiele zemną rozmawiał, namawiając mnie do prędkiego zaciągnienia się w szeregi walczące. Pokazywano nam bogate pistolety przez Bontela wyrobione, a przysłane w darze przez Murata. Były one o dwu lufach z miniaturowemi, bagnetami, które za pociśnięciem sprężyny wyskakiwały. Cenniejszym może darem był przepyszny kaszkiet karmazynowy ułański podobno ręką saméj księżnéj Bergu, bogato złotem wyszywany. Cennością wszakże nie odpowiadały dary te upominkowi, jaki ks. Muratowi uczynił Poniatowski, darował mu bowiem bogatą karabelę, po Sobieskim w spadku do Poniatowskich przeszłą.

Po obiedzie zaprosił nas ks. Józef na małą rewią. Była to grzeczność wyświadczona dla księżnéj Czartoryskiéj, która jeszcze wojsk narodowych nie widziała. 2-i pułk piechoty Stanisława Potockiego i 3-i Żołtowskiego odbywały bardzo zręcznie obroty na placu Ujazdowskim. Mundury zupełnie krojem francuzkim składały się z fraków z szerokiemi wyłogami od końca pół przez piersi aż do ramiono idącémi. Na głowach szako, a u grenadyerów wysokie niedźwiedzie bermyce. Sztandary zastępowały białe orły dęte ze srebra i na krótkiéj osadzie zatknięte.

Wojsko księstwa Warszawskiego składało się z dwunastu pułków piechoty, sześciu jazdy i artyleryi, któréj była tylko jedna baterya, kosztem Włodzimierza Potockiego, syna Szczęsnego wystawiona. Dzieliło się na trzy dywizye: Pierwsza dywizya księcia Józefa Poniatowskiego składała się z następujących pułków: piechoty pułk 1-y Michała Grabowskiego, 2-i Stasia Potockiego, 3-i Żółtowskiego, 4-y Feliksa Potockiego i z jazdy: 1-y strzelców konnych Przebendowskiego, 2-i Ułanów Tyszkiewicza, mieli ci ułani rabaty ciemno-żółte. Druga dywizya dowodzona przez Zajączka składała się: piechoty 5-y pułk ks. Michała Radziwiłła, 6-y Sierawskiego, 7-my Sobolewskiego, 8 Godebskiego—jazdy: pułk 3-i strzelców Łęczyńskiego i 4-y ułanów Kwaśniewskiego z rabatami karmazynowemi. Trzecia dywizya Dąbrowskiego miała z piechoty: pułk 9-y ks. Sułkowskiego, 10-y Mielżyńskiego, 11-y zdaje mi się Niemojewskiego, 12-y Weisenhofa—w jeździe zaś, 5-y strzelców Turny i 6-y ułanów Dziewanowskiego z wyłogami białemi. Piechota i ułani mieli mundury granatowe, strzelcy i artylerya zielone. W spodniém ubraniu

wielkiéj jednostajności ani u oficerów, ani u żołnierzy nie przestrzegano.

Otrzymawszy za staraniem Grabowskiego pasport, bom austryackiego nie posiadał, 26 czerwca puściliśmy się w dalszą drogę i na noc stanęliśmy w Nieborowie, gdzie zatrzymać się należało koniecznie, bo nie tylko księżnę łączyła silna przyjaźń z Radziwiłłową, ale nadto córka tego domu była za ks. Konstantym Czartoryskim. Pałac Nieborowski uderzał nie tylko ogromem ale i przepychem wewnętrznego urządzenia. O galeryi tutejszéj, o słynnéj oranżeryi, a także i Arkadyi już wyżéj wspomniałem. Podczas trzydniowego naszego tutaj pobytu zwiedziliśmy to wszystko na nowo i zrobiliśmy wycieczkę do Łowicza, dla obejrzenia katedry i grobów prymasów. Pamiętam, choć pod względem historycznym nagrobki ich ważne, żaden mnie jednak tyle nie uderzył, co nagrobek kanonika Oczko, którego artysta wyobraził z czterema oczami, dwoma nosami i dwoma gębami, a znajdujący się obok napis łaciński twierdzi, że nieboszczyk takim był rzeczywiście.

W czasie bytności naszéj przybył także do Nieborowa marszałek Davoust ks. d'Auerstädt z żoną i dwoma adjutantami pp. de Montmorency i Montesqiou. Sam książę średniego wzrostu, dobréj tuszy, z oczyma dużemi i wyrazistemi o rysach regularnych. Łysy zupełnie i choć zwykle ze zmarszczoném czołem, nie miał w postaci swojéj wyrazu surowości, a choć po Massenie do kierowania wielkiemi masami za najzdolniejszego uchodził, na pierwszy rzut oka nie znać jednak było tych talentów. Dowodził 3-im korpusem złożonym z dywizyi jenerałów: Morand, Gudin i Friand i od 1807 r. w księstwie zostawał. Ona, wysmukła brunetka z dużemi czarnemi oczyma, śmiało uchodzić mogła za południową piękność. Marszałek wogóle był małomówny, a podobno wyjątkową przyczyną teraźniejszego jego złego humoru, były wymówki, jakich nie szczędzono w Petersburgu Savary'emu z powodu śmierci księcia d'Enghien. Z upodobaniem tylko opowiadał, że żołnierz z jego korpusu nie chciał stosownie do odebranego rozkazu przepuścić przez placówki generała. Generał zniecierpliwiony zawołał: *Ne voyez vous pas que j'ai deux etoiles sur mes epaulettes*? Żołnierz na to z zimną krwią miał odpowiedzieć: *Mon genéral, vous auriez beau porter tout le firmament sur vos épaulettes, et vous ne passerez pas.*"

Z Nieborowa, przez Łęczycę, Uniejów, przejechaliśmy tylko przez Kalisz, księżna bowiem mając jakąś niechęć czy do Zajączka, czy do jego żony, lękała się, żeby się z nim nie spotkać, i wolała popasać w karczmie za Kaliszem. Ztąd zaraz wjechaliśmy do Szląska i w Mittelwalde stanęli.

Od owéj pory upłynęło pół wieku i nie można zaprzeczyć, że postać kraju tak naszego, jak i sąsiedzkich licznym uległa zmianom. U nas, za wyjątkiem staréj Galicyi nie było żadnéj bitéj drogi, a i za granicą nie były one bardzo obfite. Gościniec z Wrocławia do Drezna był piaszczystym szlakiem, którego brzegi oznaczały się kolejami przez powozy powyrzynanemi, droga kręciła się wężykowato, a mosty stały zwykle na miejscach suchych i tylko przed niemi i za niemi głębokie kałuże, gdzie często grzęznąć było trzeba. Jeśli mil parę szosy się trafiło, to była ona tak niegodziwa, że ją omijać było potrzeba. Karczmy wiejskie oprócz izby szynkownéj i alkierza innego nie posiadały schronienia, a w austeryach wielkich choć były gościnne pokoje, to wszakże szyby w nich powybijane, piece porozwalane, kominy dymiące, a łóżka, stołki i stoły znoszono z miasta kiedy się gość trafił. O pościeli myśléć nie było można i trzeba było sianem ją zastępować, a jedyne pożywienie, jakiego dostarczano, składało się z mleka, jaj i piwa, kartofle bowiem należały jeszcze wówczas do roślin, które tylko w pańskich hodowały się ogrodach. Każdy więc z podróżnych musiał wozić tłumoki z pościelą i spiżarnią podręczną. O zapasach, jakie szły za księżną nie mówię, boć to już była potrzeba dogodzenia zachceniom pańskim, ale i szlachcic zwyczajny nie wyruszał w drogę, niemając z sobą bigosu, kaszy, garnka masła i chleba pytlowego.

Poczty nasze bywały rozmaite. Na jednych konie choć chude, ale rosłe i silne, do biegu były skore, na innych znowu nigdy koni nie było i dopiéro po długiém czekaniu przychodziły od brony, lub pługa, zmęczone, i najczęściéj w drodze ustawały. U nas wszakże, mimo te przeszkody jeżdżono dosyć szybko, ale w Prusiech i Saksonii niezmiernie wolno. Żadne środki nie mogły znaglić do pośpiechu flegmatycznego pocztyliona, który nic sobie z pasażerów nie robiąc nie odmiennie w połowie stacyi odbywał popas *Halbeweg* zwany. Ztąd przez dzień przy trzech popasach ujeżdżało się trzy stacye.

W Niemczech każdy podróżujący szlachcic polski jeszcze i dotąd za hrabiego jest poczytywany. Wówczas było to wszystko w daleko wyższym stopniu i honory te słonemi rachunkami opłacać zawsze należało. Jeżeli zaś dowiedziano się, że rzeczywiście jakaś znakomita przejeżdża osoba, owacyom nie było końca i w Szląsku w każdém miasteczku witała nas deputacya miejska, asystowała przy naszéj wieczerzy, wyprawiała serenady, śpiewała chóry, a i panom rajcom i chórom płacić było potrzeba.

W Hundsfeld zatrzymaliśmy się dłużéj, księżna bowiem myślała, że do jéj zbiorów jakaś pamiątka ze słynnego pola zwycięztwa

odniesionego przez Krzywoustego, da się odszukać, ale wszystkie starania nasze były próżne, a przekonaliśmy się, że między mieszkańcami żadna legenda nawet o téj bitwie się nie przechowała.

Wrocław wyglądał wtedy bardzo smutno. Przed rokiem przez księcia Hieronima oblężony i bombardowany, ruinami świecił. Przedmieścia popalone, a w miejscu, gdzie dziś piękne ciągną się ogrody, wznosiły się okopy, mury bastyony i kurtyny. Samo miasto w późniejszych czasach także licznym uległo zmianom, część tylko koło akademii, ratusz i katedra zostały też same. Stanęliśmy *pod Złotą Gęsią*, bo już i wówczas ta gospoda uchodziła za najlepszy hotel i natychmiast z uszanowaniem zjawił się p. Korn, księgarz, który z księciem feldmarszałkiem ciągle korespondował i z dostarczanych do jego biblioteki książek ciągnął wielkie zyski. I teraz przynosił rozmaite bibliograficzne rzadkości, składające się głównie z książek do nabożeństwa pisanych na pargaminie i zdobnych pięknemi miniaturami, księżna kilka ich nabyła po ogromnie wysokich cenach. We Wrocławiu była podówczas menażerya jakiegoś p. Leonardi, o któréj wzmiankuję dla tego, żem w niéj jedynego w życiu widział orangutanga. Księżna opowiadała mi, że w czasie pobytu swojego w Anglii znała jednego kapitana okrętowego, który do obsługi, czyszczenia sukien i podawania jadła małpy tego rodzaju używał i że z powierzonych obowiązków wywiązywała się ona wcale zadawalniająco.

Z Wrocławia przez Lignicę, Hainau i Buntzlau wjechaliśmy w granice Saskie. Cały Szląsk podówczas przedstawiał smutny obraz skutków wojny. Głogowa, Wrocław, Brzeg, Neissa, Kozel, Swidnica, Glatz nawpół przez bombardowanie popalone, miały poniszczone fabryki, a cały kraj kontrybucyami i zbytkownem żywieniem wojsk francuzkich, których część dotąd pozostawała, był wyniszczony. Ślady nędzy były widoczne, a nie tylkó u ludu ale i u mieszkańców miast oznaki sympatyi dla Polaków były bardzo wyraźne.

Waldau i Görlitz należały wówczas do Saksonii, a w ostatniém tém mieście istniały słynne fabryki i blichy płócien. Zauważyłem maszynę do polewania płótna, podobno od Chińczyków przyjętą, a składającą się z koła, które obracając się, kubełki wody wylewało. Cywilizacya europejska nie ulepszyła tego wschodniego wymysłu i nie zadała sobie nawet trudu, żeby pracę rąk ludzkich siłą koni zastąpić. Od Görlitz przez Bautzen ciągnęła się szosa aż do oberży *pod białym orlem* o pół mili od Drezna odległéj, ale tak niewygodna i z bruku nie przykrytego szabrem pobudowana, że prawdziwe tortury przejeżdżającym zadawała. Pod Dreznem nie było licznych willi i letnich mieszkań, jakie się tam teraz znajdują, ale ciągnął się ponu-

ry las sosnowy, pokrzywiony i karłowaty. Za to dolina Elby, Drezno, Pillnitz, Meisen i góry Czeskie tém piękniéj się wydawały, skoro gęstwina lasu się otwarła.

W Dreznie stanęliśmy się na ulicy Zamkowéj w Hotelu Polskim, a zaraz odwiedzili nas mieszkający tu Polacy, Zabiełło Łowczy litewski i państwo Olędzcy. Ci ostatni zaprosili nas na wieczerzę i u nich poznałem p. Bourgoing rezydenta francuzkiego przy dworze saskim. Ponieważ pasport wydany mi był przez p. Serra, rezydenta francuzkiego w Warszawie, na drugi więc dzień uważałem za obowiązek stawić się u p. Bourgoing. Przyjęto mnie jak brata, a francuz, którego późniéj losy do nas więcéj zbliżyły wysoki był, chudy, dosyć już w wieku, ale nadzwyczaj uprzejmy. Dom jak na Drezno utrzymywał świetny, mieszkańcy bowiem tego miasta żyją nadzwyczaj skromnie i nawet ekwipażów nie używają; ale zastępują je lektykami, których portyery nie wiem dla czego szwajcarami nazwani, w liberyi kanarkowéj z błękitnemi bortami, punkt zborny mają przy zamku. Bawili przy panu Bourgoing dwaj jego synowie: starszy Armand, podówczas kapitan w pułku dragonów i młodszy, ówiennik mój Paweł, ochotnik w marynarce. W późniejszym wieku przeniósł się on na pole dyplomatyczne i w 1831 r. zastępując posła w Petersburgu przyczynił się wielce do utrzymania przyjaznych stosunków Rosyi z Ludwikiem Filipem i odwrócił grożącą Francyi wojnę. Jedyna córka posła szesnastoletnia Ernestyna, późniéj za marszałka Macdonalda wydana, robiła honory domu. Wychowany wśród galanteryi dworu Puławskiego, nie mogłem się powstrzymać od otoczenia panny Bourgoing, temi drobnostkowemi grzecznościami, które do niczego nie obowiązując niemniéj są miłe. To mi jeszcze więcéj jak zaproszenie ojca łask zjednało i przez czas mojego pobytu w Dreznie stałem się w rodzinie téj prawie domownikiem. Paweł towarzyszył mi ciągle, a Armand, wziąwszy na się rolę *Cicerona*, oprowadzał nas po wszystkich zbiorach i miejscach godnych widzenia. Ponieważ ks. Czartoryska, po dwudniowym w Dreznie pobycie wyjechała wraz z matką moją do Töplitz, ja więc w towarzystwie tém nowém sam zostałem, a na niedostatek skarżyć się nie mogłem, bo mi matka udzielając urlopu na dni czternaście, zostawiła sto dukatów w złocie. Opiekę zwierzchnią powierzono nademną p. Zabielle, ten jednak wcale się mną nie troszczył i ciągle u pp. Bourgoing przebywałem. Kilku polaków jak Olędzki i Rychłowski towarzystwo nasze powiększyło. Prezentowałem się p. Brezie ministrowi sekretarzowi Stanu. Był to już podówczas mężczyzna w wieku podeszły, siwizną okryty, chudy, wysoki z orlim nosem i ściągłą twarzą. Niezmiernie ruchliwy i nadzwyczaj ugrzeczniony przedstawiał

typ prawdziwego dworaka. Mimo wieku pisał niezmiernie wyraźnie i kształtnie.

W pierwszą niedzielę mojego w Dreznie pobytu z Pilnitz przyjechał król Saski i znajdował się na nabożeństwie w kościele katolickim w loży. Aktorowie włoscy śpiewali pięknie na chórze, a Armand znajdujący się zemną w kościele, ponieważ nie przestrzegał zwyczajów, gadał głośno, i zaglądał pod kapelusze damom, został przez szwajcara wyprowadzony zadrzwi. Drugi raz całą rodzinę królewską widziałem 14 lipca, odwiedzając Pilnitz. Zaszedłem tu do dawnego znajomego p. Żaboklickiego, który przy dworze pełnił funkcye szambelańskie, grywał na gitarze, recytował wiersze swojego układu i pochlebiając sowicie, cieszył się wielkiemi łaskami. Ten mnie zapoznał z p. Jurkowskim, mistrzem ceremonii u księcia Maksymiliana. Obadwaj oprowadzali mnie po téj części zamku, która w rannéj godzinie była widzialna. W sali jadalnéj zauważyłem kilka portretów dam polskich z czasów Augusta II i III, które zgorzały w czasie pożaru, jaki nawiedził zamek Pilnicki. O dziesiątéj, umieściwszy się w korytarzu, oczekiwaliśmy na przejście rodziny królewskiéj do kaplicy. O królu, królowéj i infantce wspomnę niżéj, opowiadając o pobycie monarchy w Warszawie. Tu oprócz nich widziałem jeszcze brata królewskiego, ks. Antoniego, następcę tronu i drugiego brata ks. Maksymiliana. Pierwszy niski, gruby, czerwony, drugi przeciwnie wysoki i chudy. W ogóle cała rodzina królewska miała rysy pospolite, bez wyrazu, a oczy jakieś zamglone i jakby porcelanowe. Mały ten dwór, etykietą drobiazgową skrępowany, nudził się fatalnie w Pilnitz i najdrobniejszy wypadek, jak na przykład moja bytność w kaplicy, był powodem całodziennych rozmów.

U państwa Bourgoing poznałem także p. Kanikow, posła rosyjskiego i p. d'Ulwa, hiszpańskiego, który szczególniéj z tego względu śmieszył mnie ogromnie, że niemiłosiernie kaleczył francuzczyznę i mówił na przykład: *je suis le réprésentant d'une grande potence.* Tu także spotykałem p. La-Haussaye, komendanta 4-o pułku dragonów w Saksonii rozłożonych. Posiadał on eleganckie ułożenie salonowe, co wogóle w wojskowych francuzkich było rzeczą dość rzadką.

Po upływie urlopu, zwiedziwszy Pilnitz, Königstein i Saską Szwajcaryą, przybyłem do Töplitz. Tu przedstawiony zostałem zaraz dziedzicom téj miejscowości, książętwu Clary, z których towarzystwa często korzystałem i gdzie spotykałem rozmaite znakomitości. Towarzystwo polskie zebrało się także licznie i oprócz marszałka Ignacego Potockiego, który się u ks. Czartoryskiéj stołował, byli tu ks. Dominikowa Radziwiłłowa, żona brata ks. Michała z dwiema córka-

mi, Garzeński, kasztelan poznański, Kicki August, starosta krasnystawski, Brochocki z familią, pani Broniec z dwiema córkami, panną Joanną, późniejszą księżną Łowicką i Józefą, późniejszą Gutakowską. Dalćj Wyczechowski, podówczas radca ministra sprawiedliwości, Czekierski, słynny doktór Warszawski, Czerwiński, Makowiecki, Rastawiecki i t. d.

Z cudzoziemców nie podobna mi nie wspomnićć słów parę o słynnym ks. de Ligne. Miał on już wtenczas około lat 73, dosyć wysoki, chudy na twarzy, choć na ciele otyły, nos miał orli i oczy przymknięte, tak iż zdawało się, że zawsze drzémie. Wstąpił on do wojska austryackiego w dwudziestym roku życia i choć odbył zaszczytnie siedmioletnią kampanią, dopiéro przy jéj końcu zamianowany został generał-majorem. W r. 1766 przybył na dwór Wersalski i tu dowcipem i świetnemi wiadomościami zachwycił wszystkich. Życie wszakże dworskie i stosunki z Trianon nadwerężyły znacznie majątek, opuścił więc Francyą, podróżował po Anglii i Włoszech, odwiedził w Ferney Woltera i dłuższy czas zabawił na dworze w Sans-Souci, a w 1770 towarzyszył zjazdowi Józefa II z Fryderykiem Wielkim i zamianowany został jenerałem *en chef*. Że syn jego ożenił się z ks. Massalską, przeto w Petersburgu długi czas bawił, popierając odebranie dla Massalskich 3-ch milionów od rosyjskiego dworu, a choć od cesarzowéj Katarzyny wielce lubiony i orderami obsypany, bez milionów wszakże do Austryi powrócił. Późniéj towarzyszył cesarzowi Józefowi w podróży jego do Chersonu i w czasie wojny tureckiéj przeznaczony był do obserwowania obrotów wojska rosyjskiego i z Laudonem oblężenie Belgradu popierał. Wpadłszy potém w niełaskę u swego dworu, zamieszkał w Nassdorf, pod Wiedniem i tu umarł 1818 r. Pisał wiele bardzo i w najrozmaitszym rodzaju. Dzieła jego wyszły w 1807 r. w Paryżu p. t. Oeuvres du Prince de Ligne, a po jego zgonie u Cotty „Oeuvres posthumes". Kiedym go poznał dowcip jego rzadko bardzo już błyszczał i przeważnie był małomówny. Dzieła jego kupiłem także, ale przyznam się, że nic nadzwyczajnego w nich nie znalazłem.

W Töplitz jak w kalejdoskopie towarzystwo mieniało się ciągle i coraz nowe osoby przybywały. Rodzina Löwenstein, księżna d'Aremberg, księżna Solms, księżna Meklemburg-Strelitz, księstwo Turn i Taxis, książę Albert Cieszyński i t. d. Wszystkich ich spotykałem u księstwa Clary, a często i u ks. Czartoryskiéj, a żem dobrze mówił po francuzku i dobrze tańcował, przeto mnie ciągnięto wszędzie.

Najszczerszą ochotę miałem zbliżyć się więcéj do ks. Weimarskiego—raz, że jako dla opiekuna sztuk i nauk czułem dlań wielki

szacunek, a powtóre że bywając częściéj na jego dworze, mogłem mieć nadzieję i sposobność słyszyć kiedy mówiącego Göthego. Ks. Wejmarskiemu prezentowaliśmy się razem z p. Ignacym Potockim, ale téż się na téj prezentacyi ceremonialnéj skończyło, Göthego zaś widziałem tylko zdaleka, tak tu jak i w Karlsbadzie.

Raz księżna Clary zażądała odemnie, żebym jéj dostawił Zairę Woltera. W księgarni miejscowéj dostać jéj nie można było, ale że na usługach ks. Czartoryskiéj był szybkobiegacz, który co dwa dni za sprawunkami do Drezna i na austryacką komorę biegał, przeto przez niego żądaną książkę sprowadziłem, nie wiedząc na co ona tak pilnie była potrzebna. Wieczorem tajemnica się wyjaśniła. Na wieczorze u księżnéj ukazał nam się ks. de Ligne w czerwonym płaszczu z przyprawną brodą i udając czarnoksiężnika zawiadomił, że przybyli z Chin śpiewacy, chcą się popisać ze swoją sztuką. Wprowadzono wychowanicę księżnéj Clary, pannę Tetine i ta odśpiewała kilka strof okolicznościowych przez ks. de Ligne ułożonych, dwoje dzieci w malowanych papierowych chińskich szlafrokach towarzyszyło śpiewaczce. Późniéj wystąpił pan Szak, przebrany za Zairę i oddeklamował parę ustępów z tragedyi. Przyznam się, że po wspaniałych fetach i reprezentacyach, jakie widziałem w Puławach, ta dziecinna igraszka wydała mi się niesmaczną arlekinadą.

Oprócz uroczystości cudzoziemskich i mięszanych były także i czysto polskie. Tak ks. Radziwiłłowa na św. Annę wyprawiła suty podwieczorek polski *ex re* imienin jéj córki, a na św. Ignacego, ks Czartoryska z racyi imienin marszałka sprosiła wszystkich polaków. Akurat na dzień ten przybył Stanisław Potocki, z Działyńskim i Bielińskim, wracający z Bajonny, po zawarciu umowy bajońskiéj i opowiadali nam wszystkie przejścia z rodziną Burbonów hiszpańskich, o któréj nie zbyt korzystnie się wyrażali.

Pierwszych dni sierpnia opuściliśmy Töplitz i przenieśliśmy się do Karlsbad. Stanęliśmy w hotelu *l'enesseigne d'or* należącym do hrabiego Poltza. Ten straciwszy olbrzymi majątek, sam filozoficznie dyrygował oberżą, rachunki utrzymywał, dozorował kuchni i tylko w chwilach wolniejszych czytaniem książek się zabawiał. Na obiad zaprosił nas Moszyński, marszałek, żywy starzec blizko siedmdziesięcioletni i pokazywał nam bogaty swój zbiór drogich kamieni. Prócz mnóstwa pereł, soliterów i dyamentów pojedyńczo oprawnych, cztery kamienie szczególniéj swą wielkością i pięknością uderzały: dyament 120 gran ważący, topaz, szafir i szmaragd ogromny. Znajdował się tu także olbrzymi granat, ale ten nie tyle już cenny. Razem z nami na obiedzie znajdowali się p. Loos z żoną, dyrektor ogrodów króla Saskiego i Moszyński z żoną, prefekt departamentu Płockiego. Wie-

czorem więcéj przybyło towarzystwa i tańcować zaczęto. Udało mi się po długim szukaniu odnaleźć cenną bransoletę jednéj damie, która ją—wysiadając z powozu—zgubiła, za co pozyskałem odrazu jéj względy. Dla tego o wypadku tym wspominam, że damą tą była tyle słynna późniéj p. de Lieven, przyjaciółka Guizot'a, wywierająca tak wielkie wpływy na dyplomacyą europejską. Podówczas polityką jeszcze się nie zajmowała, młoda, średniego wzrostu, ze zgrabną figurą, włosami ciemno-blond i niebieskiemi oczyma uchodziła nie za piękność skończoną, ale bardzo miłą osobę. Na drugi dzień zaprosiła mnie na bal do siebie, gdzie pośród innych znakomitych osób poznałem księcia Koburskiego z bratem Ferdynandem i siostrą, księżną Aleksandrą Wirtemberską, tudzież elektora Hesko-Kasselskiego, podówczas wygnańca, z państwa bowiem jego Napoleon utworzył królestwo Westfalskie.

Zawarłszy tak prędko przyjemne te stosunki, z żalem opuszczałem Karlsbad, gdzieśmy byli tylko w przejeździe i towarzysząc księżnéj Czartoryskiéj przeniosłem się wraz z nią do Franzensbrunn, gdzieśmy mieli dłużej zabawić. Tu nowe mnóstwo znakomitych osób, towarzystwo liczne, a zebrania w kąpielowym salonie wolne od etykiety. Polskich rodzin było bardzo wiele, a i te, któreśmy w Töplitz poznali, tu także przybyły. Bale, podwieczorki, zabawy szły jedne za drugiemi, a choć potworzyły się rozmaite koteryc i kółka stosownie do narodowości się grupując, ja jednak względami temi się nie krępowałem i lubiąc namiętnie tańczyć, prawie wszędzie bywałem. Wyliczać naturalnie porobione tutaj znajomości byłoby zbyteczne, wspomnieć tylko muszę o panującym księciu Emilu Gotajskim, który jako oryginał oczy wszystkich na siebie zwracał. Dwór jego składali: nieodstępna przyjaciółka Sidonia, kanoniczka, pan Wogenstein, szambelan, baron Herda i hrabia Hardenberg. Sam książę wysoki, blady, chudy i zezowaty, pełen dowcipu i rozlicznych wiadomości, opanowany był prawdziwą manią wskrzeszenia wieków średnich. Marzył ciągle o Hermanie (Arminius), który teraz powinien się zjawić i Niemcy z pod jarzma francuzkiego wyswobodzić. Pazie i cała służba w niemiecko-hiszpańskich strojach, a sam nosił włosy blond w ogromnych, długich puklach na ramiona spadające, tok z ogromnym pióropuszem okrywał jego głowę, tunika haftowana, długim pasem spięta i przy boku olbrzymi rapir. Spodnie z bufami opięte, na nogach zamiast zwyczajnego obuwia *brodequins* i na tém wszystkiem płaszcz aksamitny. Mimo swéj powagi i napuszystości, stał się wielbicielem panny Joanny Grudzińskiéj i za nią jak cień się włóczył. Późniejsza jednak księżna Łowicka okazywała pewną sympatyą p. Brewer, który w wojnach nogę stra-

cił i książę Gotajski tą ujawnioną nad nim preferencyą był niezmiernie dotknięty.

Po miesięcznym we Franzensbrunn pobycie, wróciliśmy na czas krótki do Karlsbadu, a późniéj do Dorotenau. O ile pomiarkowałem późniéj, cała ta podróż nie tyle miała na widoku zdrowie księżnéj Czartoryskiéj, ile doprowadzenie do skutku małżeństwa między księciem Adamem, a córką księżnéj Kurlandzkiéj—Dorotą. Pierwszą myśl podała ks. Kurlandzka, a negocyacye prowadził pan marszałek Potocki za pośrednictwem Włocha—Piatoli. Księżna kurlandzka Bironowa, z domu Medem, utraciła hołdownicze swe księstwo po trzecim rozbiorze Polski i księstwo do cesarstwa rosyjskiego wcielono. Wyznaczono jednak téj familii, jako wynagrodzenie sto tysięcy rubli rocznéj pensyi i zachowano posiadanie dóbr alodyalnych familii Bironów i posagowych Medemów. Oprócz tego rodzina miała widać znaczne kapitały, bo zakupiono w Czechach dobra Nachód, w Szląsku księstwo Sagan i w Altenburskim dobra Löbichen. Tu księżna, osoba światła, dobroczynna i powszechnie kochana mieszkała stale, otaczając się uczonymi. Słynny Jan Paweł Richter i Fiedge stanowili zwykłe jéj towarzystwo. Na mężu księżnéj wygasła w linii męzkiéj familia Bironów, przedstawiająca w krótkiem istnieniu swojém obraz dziwnéj fortuny igrzyska i pozostały tylko cztery córki: jedna—Katarzyna, wydana za hr. Szulenburg, druga—Paulina, za ks. Hohenzollern-Hüchingen, trzecia —Joanna, za ks. Accerenza Piquatelli, czwarta--Dorota, po spełznięciu zamiarów co do ks. Czartoryskiego za synowca Talleyranda ks. Talleyrand de Perigord Dino.

Książę Adam mieszkał podówczas w Petersburgu i kiedy mu o projekcie tym znać dano, zażądał czasu do namysłu. Długo się wahał, ale zostając pod wpływem dość silnych a przyjemnych związków stanowczo wykonania przedsięwziętego projektu odmówił.

Co do pana Piatoli, włoch ten pochodził z Florencyi i pierwiastkowo obrał sobie zawód duchowny, wstępując do zakonu kapucynów. Ztąd wzięty został na kapelana hrabiego Marchisio, pierwszego ministra księcia Modeny i zajął się uporządkowaniem jego bogatego księgozbioru. Tu poznala go podróżująca po Włoszech ks. Lubomirska i wziąwszy go za nauczyciela do swoich dzieci, do Polski przywiozla. Zalecony następnie królowi Stanisławowi, został jego lektorem, a układnością swą, dowcipem i obszernemi wiadomościami tak podbił serce królewskie, że stał się niezbędnym i nie tylko dni całe trawił w Zamku, ale obok sypialni królewskiéj miał mieszkanie przeznaczone. Tu urosły stosunki Piatolego z polskimi panami i ztąd to z Kołłątajem i Potockim użyty był do układania

konstytucyi 3-go maja. Kiedy król przystąpił do Targowicy, Piatoli z obawy prześladowań, usunął się razem ze Stanisławem Potockim do Drezna, a kiedy w 1794 r. przybyli do Karlsbadu, aresztowano ich i uwięziono w Teresienstadt. Stanisław Potocki prędko uwolniony został, a Piatolego przeniesiono do Pragi, gdzie pod dozorem policyi zostawał. Dopiero w r. 1800 za wdaniem się ks. Kurlandzkiéj i za złożeniem deklaracyi, że nigdy w sprawy polskie mieszać się nie będzie, odzyskał wolność i odtąd interesami księżnéj kurlandzkiéj się zajął. Należał stale do towarzystwa w Löbichen i prowadził układy z dworem petersburskim o wynagrodzenie za księstwo kurlandzkie. W Petersburgu poznał ks. Adama Czartoryskiego, został przez niego polubiony i za jego protekcyą otrzymał rangę Radcy Stanu. W 1806 r. zawarł śluby małżeńskie z panną Wittinghoff, a widząc, że z popieranego małżeństwa księcia Czartoryskiego z ks. Dorotą nic nie będzie, wyswatał ją za ks. Dino. W następnym roku po naszéj podróży umarł, a bibliotekę jego od żony kupiła księżna kurlandzka, karty zaś geograficzne książę Adam. Rękopisy jego, których miało być bardzo wiele, zaginęły.

Wracając nazad, dłuższy czas zabawiliśmy w Dreznie, a ja z przyjemnością witałem państwa Bourgoing i zawarte tutaj poprzednio znajomości. Familie polskie także się tu powoli ściągały, a pomiędzy świeżemi przybył pan Tadeusz Morski, dobrze mi znajomy z wycieczek do Sieniawy i Bardyowa. Był on przeznaczony na posła do Hiszpanii, a choć poselstwa tego nigdy nie objął, nie mniéj przeto zachowywał zawsze zagadkową minę dyplomaty. Tu także bawił teraz generał Karnicki, ożeniony z panną Małachowską. Rodzice jéj małżeństwo to uważając za mezalians, chcieli córkę wydziedziczyć i żadnéj jéj pensyi nie płacili. Generał Karnicki, aż do upadku Kościuszki dowodząc brygadą kawaleryi, na dobrą zasłużył sławę i posiadając piękny na Wołyniu majątek—Lubar mało zważał na gniewy swego teścia. Z brygadyerem Walewskim zaprzyjaźniony był jak Orest z Pyladem, a późniéj kiedy w Warszawie zamieszkał, żona jego stale się przyjaźniła z moją siostrą.

Podczas pobytu naszego w Dreznie przybył także pan Piatoli, i tu projekta małżeństwa ks. Adama stanowczo się rozwiały. Do księżnéj zgłosiła się francuzka, niejaka pani de Vaughan, polecona przez p. Morską. Prosiła, żeby ją zawieść do Polski i gdzie na guwernantkę umieścić. Księżna nic nigdy nikomu nie odmawiająca, zabrała ją z sobą i do Puław przywiozła, ale p. de Vaughan, tłómacząc sobie inaczéj zwykłe ks. feldmarszałka dla dam ugrzecznienie, umyśliła podbić staruszka. I kiedy zręczna francuzica od kapitulacyi odstąpić nie chciała, zapłacono jéj 10,000 złp. i z Puław odprawiono.

W Dreznie, idąc za radą p. Zabiełły, złożyłem wizytę niejakiemu księciu Putiatyn, który straciwszy w Rosyi jedyną córkę od lat kilku już na stałe pod Pilnitz osiadł. Pobudował sobie wśród ogrodu domek w kształcie chłopskiéj chałupy, otoczył ją naokoło galeryą i gankami i przy każdych drzwiach wieszać kazał pierścionek i laseczkę, a przechodząc z pokoju do pokoju i pierścionek i laskę zmieniał. W ogrodzie spacerując nosił ogromną pałkę, a buty miał ze sztylpami blaszanemi, jak mówił z obawy psów wściekłych. W ogrodzie sposobem dekoracyjnym pomalowanych na płótnie znajdowało się mnóstwo domów rosyjskich i rozmaite chłopskie typy w kostiumach narodowych. Wśród tych ekscentryczności jedna tylko rzecz wydała mi się praktyczną, że mur ogród otaczający był dubeltowo stawiany, a opatrzony dachem i oknami, pozwalał spacer odbywać w czasie deszczu i w zimie.

W końcu września wróciliśmy do domu. Rodzice moi po naradzie odbytéj z ks. feldmarszałkiem postanowili, abym na mieszkanie do Warszawy się przeniósł i tam odbył kurs prawny. Zamiar ten tém praktyczniejszym się wydawał, że siostra moja stale w Warszawie zamieszkała, mąż jéj bowiem urząd otrzymał i rodzice mieli pewność, że wszelkiéj wygody i opieki dom jéj mnie dostarczy. Jeśli jednak o pomieszczenie kłopotu nie było, inaczéj działo się z nauką. Akademii w Warszawie nie było i zaledwie utworzono lyceum, którego rektorem został p. Linde, słynny leksykograf. Łubieński, minister sprawiedliwości założył wprawdzie szkołę prawa, lecz ta dopiero w marcu zatwierdzoną została. Zresztą organizujący ją Rzędkowski nie myślał o wykładzie kompletnego kursu prawnego, ale zamierzał jedynie zapoznać młodzież z procedurą francuzką.

Ks. feldmarszałek zawsze na mnie łaskaw polecił, aby mieszkanie dano mi w pałacu błękitnym i w obszernym liście do p. Lindego wystosowanym, wyłożył w jaki sposób ma być mi udzielana nauka prawa. Z siostrą więc w końcu listopada opuściliśmy Bronice i Puławy i matce — jako pamiątkę po sobie — siostra moja zostawiła swego jedynaka Leona z całą gromadą mamek, bon i nianiek.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Karol Robert Darwin.

(ZARYS BIOGRAFICZNY).

W ostatnich dwu latach poniósł świat anglosaski nadmierne straty w ludziach zasłużonych nauce i literaturze, którzy nie pozostawili godnych siebie następców. Wymienimy tylko najsławniejszych—Carlyle'a, Drapera, Longfellowa, Jerzego Elliot'a, Rossetti'ego, Pusey'a i (była to największa strata tego rodzaju) Karola Darwina, zmarłego w swéj majętności ziemskiéj Down House, koło Down, w hrabstwie Kent, d. 19 kwietnia r. b. około 4 po południu. Wieść o jego zgonie spadła na świat oświecony jak grom z czystego nieba. Zachwycając się niestrudzoną działalnością wielkiego przyrodnika na polu wiedzy, wdziękiem, jasnością i żywością jego wykładu, żelazną wytrwałością w badaniu, a śmiałością w ogłaszaniu faktów odkrytych i wniosków z nich pochodzących, nie mogliśmy oswoić się z myślą, że ten szermierz wiedzy bojował od pół wieku, że duch jego niezestarzały przebywał w ciele zgrzybiałém i trapionėm nadto chorobą chroniczną, która mu do tego stopnia w pracy przeszkadzała, że trudno pojąć, kiedy znalazł czas na zbudowanie sobie owego pomnika z 15 monumentalnych tomów, zadziwiających jeszcze bardziéj oryginalnością i rozmaitością treści, niż objętością. Rozgłos jego nazwiska, wrzawa wywołana jego teoryą, namiętność, z jaką jeden obóz go przedstawiał jako obrazoburczego rewolucyonistę, drugi zaś przyrównywał go do Arystotelesów. Koperników i Newtonów;—wszystkie te okoliczności dały początek mimowolnemu złudzeniu, że największy ze współczesnych przyrodników musi być jakimś niezmordowanym tytanem, bujającym po nowych i burzliwych prądach myśli, któremu żyć i walczyć, a nie umierać. Tymczasem był on sobie tylko zgrzybiałym, delikatnym staruszkiem, przykładnym mężem, ojcem, obywatelem ziemskim, wzorem przyzwoitego szlachcica an-

gielskiego, osobą tak skromną i potulną, że gdyby go kto z naszych czytelników był spotkał, byłby go wziął zapewne za emeryta o skromniutkiém utrzymaniu. Nie mogliśmy znaleść, po długiém szperaniu, żadnéj o nim charakterystycznéj anegdoty, a w całym życiorysie to chyba uderzać może, że nie był profesorem. Dla nas i dla czytelników kontynentalnych, jest to bowiem faktem zastanawiającym, iż człowiek, który taki przewrót w nauce sprawił, nie posiadał ani tytułu ani urzędowego stanowiska naukowego, ale był sobie ziemianinem. Przypatrzywszy się jednak bliżéj stosunkom angielskim, przestaniemy się i temu dziwować. Ruch naukowy i literacki Albionu otrzymuje swoje główne popędy właśnie od *dyletantów*, jakby ich nazwali niemieccy *Kathederphilosophen*. Ztąd pochodzi siła i zdrowotność umysłowego życia w Anglii. Jéj uczeni są misyonarzami swoich idei, nie zaś uposażonym w prebendy klerem erudycyi. Największym zaś tego rodzaju misyonarzem był Karol Robert Darwin.

Człowiek ten fenomenalny urodził się d. 12 lutego 1809 r. w Shrewsbury. Na chrzcie odebrał dwa imiona, z których drugiego nigdy nie używał. Jeżeli teorya dziedziczności przymiotów zawiera w sobie choć kropelkę prawdy, był on przeznaczony do wielkich rzeczy. Po mieczu i po kądzieli pochodził z ludzi znakomitych. Jeden z jego dziadów, dr. Erazm Darwin, należał do najoryginalniejszych myślicieli angielskich w drugiéj połowie 18 stulecia. Wpół przyrodnik ten, wpół marzyciel napisal między innemi rzeczami rymowany „Ogród Botaniczny," w którym wyraźnie przepowiedział, że nie długo, a para będzie pędziła okręty i ciągnęła wozy. Na teoryą powstania jestestw ustrojowych, którą Lamarck późniéj zarysował, a Karol Darwin indukcyjnie udowodnił, wpadł on apryorystycznie. Drugim dziadem Karola Darwina był drogiéj pamięci miłośnikom ceramiki Jozyasz Wedgwood, wynalazca artystycznego garncarstwa angielskiego, który umiał przekuć swe zdolności artystyczne i ducha wynalazczego na złote gwineje. Z jedną z jego córek ożenił się syn Erazma Darwina, dr. Robert Waring Darwin, wzięty lekarz w Shrewsbury, który przez to małżeństwo z dziedziczką bogatego fabrykanta ubezpieczył majątkową niezawisłość swego potomstwa. I on także, jak i wszyscy znani Darwinowie, był skłonny do eksperymentowania, poświęcając ten swój talent medycynie. Lubił studyować naturę ludzką, bawić się jéj słabostkami, posuwać dobroczynność dla cierpiących do samarytanizmu. Przytém był humorystą i psychologiem praktycznym—zupełnie jak jego syn wielki. Dowód posiadania tych rozmaitych przymiotów złożył w następującym wypadku. Każdego dnia rano zwykł był ordynować ubogim chorym bezpłatnie, rozdając im także lekarstwa z własnéj apteki. Ku niema-

łemu zadziwieniu zacnego eskulapa ubodzy chorzy zgłaszali się coraz rzadziéj do niego. Domyślił się, że przyczyną tego może być tylko duma angielskiego gminu—najbiedniejsi wstydzili się iść drugi raz do doktora, co nie brał nic a nic. Dr. Darwin kazał więc ogłosić, że w przyszłości będzie zawsze udzielal rady i leków za darmo, ale każe sobie płacić za pudełka na pigułki i flaszeczki do mikstur. Odtąd miewał mnóstwo pacyentów groszowych. Jednocześnie pamiętał także o zdobyciu sobie praktyki w rodzinach wszystkich okolicznych krezusów, więc mógł żyć przyzwoicie i dać synom dobre wychowanie. W domu jego panował spokój i duch łagodnéj karności, obok maszynowego porządku, właściwego wielu zamożnym, mieszczańskim gospodarstwom wyspiarskim. To wszystko wpłynęło korzystnie na młodego Karola.

O jego dziecinnych latach nie przechowała się żadna anegdota. Znać, że jak sprawiedliwy gentleman angielski przestrzegał od młodości reguły, żeby się starać nie zwracać na siebie uwagi. Początkowe wychowanie odebrał w gimnazyum (*grammar school*) w Shrewsbury, ucząc się nieźle pod znanym pedagogiem, dr. Butlerem. W szesnastym roku życia wysłał go ojciec do Edynburga, gdzie istniał najlepszy fakultet medyczny w Wielkiéj Brytanii, miły Darwinom, bo i dziad i ojciec Karola na nim się doktoryzowali. Karol miał także słuchać medycyny, ale podobno nie uczęszczał bardzo pilnie na wykłady, okazując więcéj zamiłowania w amatorskiém przykładaniu się do nauk przyrodzonych. W stolicy Szkocyi istniało wtedy między młodzieżą t. zw. Towarzystwo Pliniusza, rodzaj klubu studenckiego, zbierającego się kiedyniekiedy na rozprawy nad przedmiotami z historyi naturalnéj. Darwin był jednym z jego najgorliwszych członków i odczytał na jego zebraniach kilka oryginalnych, krótkich prac, z których się najlepiéj podobały zarysy dotyczące fauny morskiéj. Po dwuletnim pobycie w Edynburgu zaszła zmiana w jego położeniu. Odziedziczył znaczne kapitały, a nie będąc jeszcze pełnoletnim, ujrzał się zupełnie niezawisłym majątkowo i mógł porzucić dla chleba przedsięwzięte, niezbyt mu przyjemne studya medyczne. Teraz był jednym z owych młodzieńców angielskich, z jakich się po należytém wykształceniu klasa ten kraj rządząca rekrutuje, a według zwyczajów wyspiarskich powinien był, na jednéj z dwóch arystokratycznych wszechnic krajowych nabyć ogólnéj ogłady i pozawierać stosunki towarzyskie, potrzebne ludziom ambitnym do zrobienia karyery. Darwin wybrał na ten cel Cambridge. Ojciec jego, pomnąc, jak łatwo mógłby Karol przy swym majątku i stosunkach rodzinnych zająć wyższe miejsce w anglikańskiéj hierarchii kościelnéj, zachęcał go do poświęcenia się teologii. Nie wiele brakowało,

żeby syn posłuszny, co właśnie uszedł szczęśliwie z Charybdy medycznéj, nie wpadł w Scyllę teologiczną. Na szczęście dla ludzkości uczuł wkrótce wstręt niezwyciężony do tego rodzaju nauki i zamatrykulował się do t. w. „Kolegium Chrystusa,“ gdzie ćwiczono młodzież w klasycyzmie i w czystéj matematyce. Jego wrodzone skłonności nie pozwoliły mu jednak celować w tych przedmiotach. Prowadził tam życie odmienne od większéj części kolegów, polując namiętnie na lisy i na kuropatwy, i czytając dzieła przyrodnicze. Ostatnia okoliczność zaleciła go profesorowi botaniki, pastorowi Henslow, człowiekowi z rozległémi stosunkami między uczonymi, a ubóstwianemu przez młodzież, w którą umiał wlewać zamiłowanie dla swego przedmiotu. Darwin stał się nieodłącznym towarzyszem jego botanicznych wycieczek w okolice podmiejskie i najgorliwszym słuchaczem wykładów, odbywających się na łąkach i w gajach, a nadających jego bystréj myśli popęd w jednym kierunku, którego nic już późniéj zmienić nie mogło. Nikt téż lepiéj od niego nie wiedział, ile zawdzięczał Henslowowi; nikt za to głośniéj nie dziękował, jak ten wielki i szlachetny uczeń. Tak z podróży swéj naokoło świata jak i późniéj zwykł był pisywać do nauczyciela częste, długie listy, w których wyrazy wdzięczności mieszają się z uwagami naukowemi w sposób nieopisanie wdzięczny. Henslow ze swojéj strony ułatwiał ulubieńcowi zawieranie znajomości z uczonymi i pierwsze kroki w zawodzie autorskim.

Młodzieniec nasz opuścił Cambridge w r. 1831 ze zwykłym stopniem „bakałarza nauk wyzwolonych,“ udzielanym tym wszystkim, co się nie odznaczyli przy egzaminach w tworzeniu heksametrów łacińskich i w naśladowaniu ód Pindara—które to sztuczki bywały kwintesencyą zdobyczy naukowych, unoszonych z ówczesnych wszechnic angielskich przez celujących elewów. Stare Cambridge nie przewidywało przyszłéj sławy zamiłowanego w sporcie myśliwskim i we włóczęgach z puszką botaniczną ucznia, a dużo wody upłynęło w jego Camie, nim się zaczęło tym uczniem chlubić. Pochodziło to z obawy przed potęgami klerykalnemi, wywierającemi wtedy wpływ przeważny. Dopiero gdy świat cały przyznał Darwinowi tytuł pierwszego przyrodnika swéj epoki—dopiero, gdy zagraniczna wszechnica w Leidzie przysłała mu *honoris causa* dyplom doktora medycyny, zdobyło się i Cambridge na akt cywilnéj odwagi, równie późny, jak zabawny—mianowało staruszka doktorem—prawa! Skromny mędrzec, któremu nigdy w życiu na myśl nie przyszło ubiegać się o jakiekolwiek zaszczyty, przyjął równie obojętnie ten dowód uznania, jak przedtém znosił zaniedbanie.

Przez kilka miesięcy po skończeniu kursów nie wiedział dobrze Darwin, co począć z sobą. Zamiłowany w życiu wiejskiém stronił od miast i polował prawie ciągle. Jego łowiectwo różniło się wszakże od zwykłego sportu angielskiego. W kołach koleżeńskich nazywano go za to dziwakiem. Kto bowiem słyszał poprzednio, aby myśliwy wstrzymywał nagle bieguna u płotu lub u rowu, jak gdyby się bał przeskoczyć zaporę, choć jeździł jak centaur, a gdy towarzysze w pąsowych rajtrokach pędzili daléj przez rżyska i łąki za grającemi ogarami i lisem-mykitą, stał długo jak wryty, bawiąc się widokiem zwyczajów istot czworonogich i pierzastych w żywopłotach, lub się schylał po jakiś okaz botaniczny, który miał posłać ukochanemu Henslowowi, zostającemu z nim w ciągłéj korespondencyi?

Że ten ze swojéj strony o ulubionym uczniu nie zapomniał, dowiodła następująca okoliczność. Admiralicya angielska przygotowywała właśnie wtedy wyprawę morską, wpół geograficzną, a wpół przyrodniczą, w celu zbadania wybrzeży po stronach cieśniny Magellańskiéj. Przeznaczała do niéj dwa żaglowce wojenne—*Adventure i Beagle*—pod słynnym późniéj meteorologiem i admirałem, kapitanem Fitzroy, który oświadczył się z gotowością podzielnia się własną kajutą z młodym przyrodnikiem, coby przyjął udział w wyprawie. Henslow polecił mu Darwina, młodzieńca zaś namawiał do podróży, która, mówiąc nawiasem, nic tak bardzo ponętnego nie przedstawiała dla młodego i majętnego człowieka, z delikatném zdrowiem, z ojcem sędziwym, chcącym mieć syna księdzem, a koleżkami, którzy mu doradzali zostać *squire'm* ziemskim i kandydować do parlamentu. Podróż naokoło świata, okrętem wojennym, na którym panująca karność nawet dla arystokratycznych uczonych pobłażliwą być nie mogła, żaglowcem wlokącym się miesiącami od przystani do przystani, w dusznéj kajucie, w któréj oficerowie musieli tak dobrze jak majtkowie spożywać suchary i solone mięso—wszystko to nie przemawiało do wyobraźni jego przyjaciół. Żadne przestrogi nie mogły jednak powstrzymać młodzieńca od wyjazdu, a zaparcie się wygód dla nauki było tém godniejsze podziwienia w tym wypadku, że Darwin był z natury bardzo skłonnym do gwałtownych napadów morskiéj choroby. Przyjął przecież bezpłatną posadę naturalisty na Beagle'u i to pod dwoma warunkami, świadczącemi o téj bezinteresowności, co była gwiazdą przewodnią jego życia:—że będzie mu wolno płacić za swoje utrzymanie na okręcie, oraz, że zbiory, jakie mu się uda zgromadzić, będą jego własnością. Te ostatnie, nieocenione skutkiem obfitości w nowe okazy, porozdzielał późniéj pomiędzy rozmaite instytucye naukowe.

Dzień 27 grudnia 1831, w którym bryg wojenny Beagle odbił z przystani, ośmielamy się nazwać hegirą nowéj ery naukowéj. Był to początek wyprawy, któréj korzyści, gdybyśmy je tylko mierzyli bezpośredniemi skutkami dla handlu i geografii morskiéj, w postaci pomiarów wybrzeży, sondowań głębin, odkryć mielizn i skał, poznania panujących prądów morskich i wiatrów w pewnych strefach i t. d., usprawiedliwiłyby zaliczenie jéj do rzędu najszczęśliwszych i najważniejszych w nautycznéj historyi podróży; choćbyśmy nie rozważyli jéj wpływu pośredniego na naukę, przez zapoznanie biorącego w niéj udział przyrodnika z tysiącem nowych zjawisk i faktów. Jeżeli zaś i ten skutek wciągniemy w rachubę, jak powinniśmy, wtedy zaprawdę będziemy jéj musieli przyznać prym między wszystkiemi morskiemi wyprawami naukowemi od czasu, gdy flota Aleksandra opłynęła półwysep arabski, do dnia dzisiejszego.

Beagle powrócił do Anglii dnia 28 października 1838 r. czyli prawie w pięć lat po wyjeździe, który to czas Darwin spędził, albo na morzu, albo na dzikich wyspach i lądach, wśród niewygód szkodliwych dla jego zdrowia. Posty w podróżach lądowych i choroba morska na okręcie, nadwyrężyły za częstém powtarzaniem się delikatny jego organizm do tego stopnia, że już się nigdy potém nie pozbył napadów mdłości i nudności, przypominających na stałym lądzie słabość zwykle tylko na okrętach doznawaną.

Pomimo tylu cierpień wypełnił Darwin przecież swoje zadanie całkowicie, poznawszy dokładnie gatunki roślinne i zwierzęce na obu wybrzeżach cieśniny Magellana i w Chili, przebywszy konno, wśrod przygód i trudów niezliczonych, kontynent południowo-amerykański między Buenos Ayres i Valparaiso, zebrawszy w téj przejażdżce mnóstwo dowodów stopniowego podnoszenia się téj części stałego lądu, tudzież wiadomości o jego mało znanéj, żyjącéj i całkiem nieznanéj faunie z wcześniejszych epok geologicznych, któréj szczątkami pampasy są zasiane. W dalszéj żegludze zawinął do archipelagu Galapagos, grupy wysepek oddalonych od południowéj Ameryki na 500—600 mil morskich, a posiadających właściwe sobie gatunki istot organicznych, tylko w tym osobliwym mikrokosmie znajdowane, ale pokrewne z gatunkami zamieszkującemi najbliższą część lądu amerykańskiego. Wyspy te nie miały mieszkańców ludzkich, a właściwe im gatunki ustrojowe nie zjawiły się na nich — szeptał rozum—skutkiem jednego, wyłącznie dla korzyści tych nędznych skał wykonanego aktu stworzenia, lecz zostały z innych stron przyniesione, a po upływie licznych pokoleń, skutkiem dyferencyacyi, wyniklej z konieczności zastosowania się do otaczających warunków klimatycznych, geograficznych i innych, rozróżniczko-

wały się do tego stopnia, że nietylko przybrały wiele znamion nieposiadanych przez swoich protoplastów na stałym lądzie, ale nadto gatunki każdéj osobnéj wysepki różniły się w ważnych cechach pomiędzy sobą. Był tu więc jaskrawy przykład powstania nowych rodzajów skutkiem przypadkowych warunków doboru naturalnego i tego, co obecnie walką o byt nazywamy. Spotkanie takiego przykładu przeniosło siéw, jeszcze przez dziada Erazma w wyobraźni Karola Darwina zostawiony, na plenniejsze pole jego rozwagi. Dumania nad objawionèm mu na wyspach Galapagos widzeniem towarzyszyły mu w dalszéj podróży do wyspy Ascension i do północnéj Australii i daléj w powrocie do ojczyzny. . . .

Gdziekolwiek podczas żeglugi Beagle'a naokoło świata dotknął się Darwin lądu, tam zbogacił swoje zbiory mnóstwem nowych i cennych okazów, a swe książeczki jeszcze cenniejszemi zapiskami, dotyczącemi wszystkich działów historyi naturalnéj. Podróż ta była najważniejszym, a raczéj jedynym ważnym wypadkiem w życiu Darwina, którego dalsze lata zeszły na usystematyzowaniu faktów i uogólnieniu wniosków w czasie téj pięcioletniéj podróży zebranych i sformułowanych. Rozkosz, jaką czuje w takiéj wycieczce umysł, cały jak u Darwina ciekawością i czcią dla przyrody przejęty, opisuje on sam we wspomnieniach z podróży, z których widzimy, jak wszędzie próbował wejrzéć zadumaném okiem w laboratoryum natury, by zedrzéć zasłonę z jéj ważnych tajemnic, a jednak nie lekceważył także i drobniejszych przedmiotów, przesuwających się w kalejdoskopie podróży. Zastanawiając się nad przyczyną powstawania i rozmaitością rodzajów bawi się także zwyczajami sepij i ślimaków morskich, podpatruje życie pająków i żab i owadów świetlanych fosforescencyą i wymoczków. Motyle i ptaki, konie i bydło rogate, króliki i muszle— wszystko naraz zajmuje przyszłego odkrywcę wielkiego prawa życia. Nie zapomina o botanice, choć narzeka, że nie jest botanikiem. Opisuje stylem poety przepych roślinności podzwrotnikowéj i fantastyczność skał, odzianych wspaniałą szatą tamtejszéj zieleni. Geologia korzysta najwięcéj z jego obserwacyi. Przychodzi do nader ważnych wniosków ze skazówek, jakich dostarcza skorupa ziemska. Przekonywa się, że wygląd każdéj strefy zależy w wysokiéj mierze od charakteru zamieszkującéj ją flory i fauny. Rozmaite gałęzie fizyki także się zbogacają w nowe wiadomości skutkiem jego zapisków. Notuje sobie szczegóły o oglądanych zjawiskach elektrycznych, o ruchach obłoków, prądach morskich i wiatrach. Wszystko zaś to, co widzi i co bada, łączy w umyśle z wielkiém zagadnieniem historyi naturalnéj, którego rozwiązanie miało stać się celem jego życia.

Że cierpiał podczas téj podróży, domyślamy się z półsłówek, mimowolnie wypływających z pod jego pióra. Rzewny ton niektórych poetyczniejszych ustępów zdradza nam, jak drogo opłacał opisane powyżéj przyjemności. Tak np. pisze: „Widzenie wielu krajów i wielu szczepów ludzkich sprawia niezawodnie niemałą przyjemność, jednak rozkosze owych chwil nie są w stanie zrównoważyć doznanych jednocześnie goryczy. Trzeba wtedy spoglądać po za nie do owego żniwa, jakkolwiek bardzo dalekiego, do owego czasu, w którym uda się coś dobrego zebrać i wykonać.“ Takiemi to nadziejami pocieszał się przyrodnik, obdarzony niezwykłém czuciem dla uroków i grozy natury, jak świadczy np. zwrot następujący z jego wspomnień: „Czémże są przechwalane przepychy niezmierzonego oceanu? Nudną przestrzenią, pustynią wód, jak je nazywają Arabowie. Prawda i to, że się na nich spotykamy z zachwycającemi scenami. Tam noce miesięczne, z czystém niebem, z morzem wyiskrzoném; tam białe żagle, napełnione słodkiém tchnieniem łagodnie wiejącego wiatru zwrotnikowego; tam cisza, wydymająca wód powierzchnię, wypolerowaną nakształt zwierciadła; tam powszechne milczenie, tylko rzadkim łopotem żagli przerywane! Dobrze też jest burzę raz zobaczyć, z jéj podrzucającemi się grzywami, z jéj potęgującą się wściekłością, ciężkiemi ciosami wiatru i bałwanami jak góry.... Albatros i malutka mewa latają sobie, jak gdyby burza była ich przyrodzonym żywiołem; woda się wzdyma i opada, jak gdyby swe zwykłe zadanie spełniała, a tylko jeden okręt z mieszkańcami swoimi zdaje się być ofiarą jéj złości....“ Takie to obrazy przesuwały się przed nim, pełne zarazem jednostajności i rozmaitości, podżegające do studyowania ich szczegółów i dociekania ich przyczyn z taką pilnością, że komendant wyprawy nie umiał dobrać wyrazów w swoim raporcie, w celu pochwalenia pracowitości jéj przyrodnika. Koledzy zaś podróży tak go polubili za słodycz charakteru i uczynność, że nazwali od jego nazwiska jednę cieśninę i jednę górę w Ziemi Ognistéj, a w północnéj Australii najpiękniejszą z odkrytych tamże przez Beagle'a przystani—Port Darwin.

Powróciwszy do Anglii, dowiedział się Darwin, że go poprzedziła reputacya, którą mu zjednał Henslow, dzieląc się jego listami z innymi uczonymi. W rok po powrocie otrzymał stopień „magistra nauk wyzwolonych“ w Cambridge. Co zresztą robił przez trzy lata od powrotu do końca 1839 r., nie wspomina żaden z jego dotychczasowych, dorywczych biografów. Ubóstwo w szczegóły dotyczące jego osoby, a przeważnie zajmowanie się jego pracami naukowemi, milczenie o jego życiu rodzinném i obywatelskiém,

właściwe ich wspomnieniom, wskazują nam, jak-eśmy już nadmienili, że odtąd żył Darwin całkiem spokojnie i jednostajnie, w nieprzeniknionych oku ciekawemu czterech ścianach własnego domu, pracując wytrwale i nieprzerwanie. Wszystkie fakta godne zapisania o jego osiedleniu się po skończonych podróżach ograniczają się na tych kilku wzmiankach, że ojciec jego przekonał się w końcu, iż namiętnie zakochany w historyi naturalnéj syn nie pasował na pastora, któréj to myśli nie był się jeszcze wyrzekł, gdy Karol do wyprawy Beagle'a się przyłączał, sprzeciwiając się temu zamiarowi, albowiem tego rodzaju podróż mogłaby — jego zdaniem — zrobić go nieużytecznym dla kościoła! Otrzymawszy rodzicielskie pozwolenie kierowania się według upodobania, ożenił się Darwin w r. 1839 ze swoją kuzynką miss Wedgwood, któréj wiano podwoiło jego majątek. Nabywszy w r. 1842 piękną willę Down House, zamieszkał w niéj, żeby się oddać rodzinie i nauce. Dochody odziedziczone po sławnym garncarzu dostarczały środków na oryginalne gospodarstwo, jakie prowadził w parku i na łanach, otaczających dwór jego. I tak zmienił pierwszy w eksperymentalny ogród botaniczny, a część łąki puścił w dzierżawę glistom ziemnym, kazawszy pozakopywać w rozmaitych jéj punktach skrzynki szklane, które wyjmował kiedy-niekiedy, żeby się przypatrywać, jak robaki oblekały głazy warstwami próchnicy, a glinę przetrawiały na glebę, wyższe istoty żywiącą. Dla ubogich był dobroczyńcą, dla czynszowników doskonałym doradcą. Skutkiem wątłego zdrowia nie odwiedzał nikogo w sąsiedztwie i rzadko się po za własne żywopłoty wychylał, z wyjątkiem dni, w których się sędziowie pokoju we wsi Down zbierali. Wtedy, jak przystało przykładnemu obywatelowi, stawiał się do spełnienia obowiązków honorowego urzędu (był także takim sędzią) w ubiorze cokolwiek staroświeckiéj mody. Do polityki się nie mieszał, ale nie taił się z tém, że żywił skrajno-liberalne zapatrywania. Lubił gości, zwłaszcza młodych i pochopnych do nauki. Dla takich był dom jego zawsze otwarty. Oprowadzał ich chętnie po swém dziwném gospodarstwie, opisywał im swoje odkrycia, słuchał ich uwag, najczęściéj cokolwiek dzikich, bez oznak lekceważenia. Ta powolność mędrca dla intruzów i dyletantów naukowych zadziwiała jego poważnych przyjaciół, a wypływała z nadziei znalezienia niekiedy zdrowego ziarna nowéj prawdy między plewą spostrzeżeń, jakie ludzie tego rodzaju sobie tworzą, oraz podchwycenia w ich komunałach — głosu opinii publicznéj o swych dziełach. Jego zwyczaje i obyczaje odznaczały się przyjemną prostotą. Z naiwnością prawie dziecięcą w sprawach światowych łączył gospodarność i oszczędność, więc nie uszczuplał majątku. Skromność po-

suwał do przesady. Żaden początkujący poeta nie przedkłada pierwszego utworu swéj Muzy z większą nieśmiałością redaktorowi, jak to czynił ten sławny i wyćwiczony autor z każdém swém dziełem. Choć tak mozolnie je opracowywał, zawsze się bał, że im brak doskonałości; upatrywał w nich błędy, których najsurowszy krytyk nie umiał znaleźć. Ta sama skromność pozwalała mu znosić bez urazy owo zaniedbanie, jakiego doznawał od możnych swéj ojczyzny— od własnéj wszechnicy, co tak późno i z trwogą, azali nie popełniła czegoś nieprzyzwoitego, odznaczyła go honorowym stopniem; od swego rządu, który nigdy mu nie ofiarował tytułu lub orderu, choć tak hojnie temi rzeczami dla uczonych niższego rzędu szafuje. Jedyny dowód oficyalnego uznania otrzymany przez Darwina pochodził z zagranicy. Rząd pruski przysłał mu order *Pour le Mérite*, którego kawalerowie, ograniczeni do liczby 30, wybierają jak akademicy francuzcy, na miejsca śmiercią kolegów opróżnione, następców z pomiędzy najznakomitszych ludzi wieku. Raz padł ich wybór na Darwina. Nadto przyznały mu wielkie medale: angielskie Tow. przyjaciół nauk (*Royal Society*) i Tow. geologiczne. Był także honorowym członkiem wszystkich prawie znakomitszych akademij naukowych na świecie....

Historya 40 lat jego życia w Down House daje się więc streścić w zdaniu, iż ono było wzorem owego *home-life*, do którego tak czyste i piękne znaczenie wyspiarze przywiązują, pasmem prac naukowych i cierpień fizycznych, spowodowanych katarem żołądkowym i sercową chorobą, wynikłych z podróży na Beagle'u. Stratę czasu z tych cierpień wynikającą wynagradzał mrówczą pilnością w godzinach zdrowia, a że żył długo, więc wiele zdziałał. Najtrudniéj przychodzi nam rozwiązanie zagadki, jakim sposobem mógł pracować w swoim zawodzie mieszkając daleko od przyrządów pomocniczych, zgromadzonych dla adeptów nauki w wielkich grodach—od muzeów, księgozbiorów, laboratoryów, codziennego ścierania się ze współpracownikami na temże polu. Pamiętajmy bowiem, że oprócz Voltaire'a Darwin jest może jedynym przykładem mędrca pierwszorzędnéj wielkości, zamykającego się zdala od miast w dworze wiejskim. Że pomimo pustelniczego sposobu życia mógł przodować postępowi nauki, tłómaczy się w części jego zamożnością, która mu pozwalała nabywać księgi, aparaty i okazy potrzebne, bez pomocy publicznéj. Pomagała mu także własna i synów zręczność w sporządzaniu narzędzi, odpowiednich przedsiębranym eksperymentom. Down House było kolonią, któréj wszyscy mieszkańcy, przejęci zapałem dla wiedzy, charakteryzującym głowę domu, oddawali się wyłącznie obserwowaniu przyrody i eksperymentowaniu.

Do autorstwa zachęciły najpierwéj Darwina rady Henslowa i pochlebne zdanie tak wytrawnych i szczerych krytyków, jakimi byli członkowie Tow. filozoficznego w Cambridge, o jego listach z podróży do nauczyciela. Wzmianki zawarte w tych listach uzupełniał młody uczony mnóstwem innych wspomnień, a z tego wszystkiego ułożyło się dzieło, czytywane po dziś dzień przez mnóstwo ludzi nieuczonych z taką przyjemnością, jak gdyby było tylko lekkim zbiorem przygód podróżniczych, opisów pięknych widoków, dziwnych zwyczajów i obyczajów. Znamy je p. t. „Dziennik Przyrodnika," jako wzór pracy ściśle naukowéj, napisanéj tak jasno i swobodnie, że każdy w niéj omówiony przedmiot jest zrozumiałym i zajmującym dla oświeconego ogółu. Czy malując chwytanie i ujeżdżanie tabunowych rumaków nad La Platą, czy skamieliny olbrzymich ssaków na pampasach, czy budowę raf koralowych w Oceanie, mistrz ponętnego stylu umie zająć całą naszę uwagę. Złożony w tym pierwiosnku autorskim dowód talentu literackiego i erudycyi zjednał mu zaszczytne stanowisko redaktora urzędowego opisu odkryć, dokonanych przez wyprawę Beagle'a, którego całość na kilka części się rozpada. Pierwszą z nich ułożyły pod kierunkiem Darwina, który sam zwierzęta w południowéj Ameryce poznane opisał, „rozmaite znakomite ręce" (jak się wyraża program), jako to: Owen, Waterhouse, Jenyns, Bell. Praca ta zbiorowa wyszła od r. 1839—42 p. t. „Zoologia z podróży okrętu Beagle j. kr. m." Po niéj przystąpił Darwin do zadania w swéj opinii jeszcze ważniejszego — geologii z podróży Beagle'a. Według krytyków żadne szczegółowe dzieło geologiczne nie wywarło równie potężnego wpływu na rozwój téj młodéj nauki, jak ta praca, wnosząca do jéj literatury mnóstwo oryginalnych i doniosłych uwag, oraz nawiązująca między nią a innemi gałęziami historyi naturalnéj węzeł łączności. Pierwsza jéj część, wydana w r. 1842, nosi tytuł: „Budowa i rozkład raf koralowych." Zaliczają ją do utworów klasycznych w geologii, nazywają najlepszém dziełem Darwina na tém polu. W niém popisał się on pierwszy raz charakteryzującą jego geniusz zdolnością do zestawienia niezliczonych, na pozór małoznaczących faktów i fakcików w taki sposób, aby tryskające z nich promyki światła wpadły w jedno ognisko i oświetliły jasnością dziwną ciemny zakąt labiryntu przyrody. Indukcya z sylogizmem połączona prowadzi tam czytelnika do rozwiązania napróżno długo i wielostronnie poruszanego zagadnienia o przyczynie powstawania pierścieni raf koralowych wśród oceanu, a gdy mu w końcu zręczny autor pokazuje, że powodem tego zjawiska nic innego być nie może, jak powolne, ogromne przestrzenie ogarniające, zapadanie

się dna morskiego, on cieszy się tém odkryciem, jak gdyby sam je był zrobił i dziwi się, że na rzecz tak prostą i łatwą do rozwiązania dawno ktoś już nie wpadł.... Sam Darwin skromnie określa swój sposób pracowania. „Zdawało mi się—powiada—że możnaby przyjść do pożądanego celu (znalezienia szukanéj prawdy) przez zbieranie wszelkiego rodzaju danych, zdających się zostawać w związku z moją ideą, tudzież wzięcie ich pod rozwagę.“ Na to potrzeba oczywiście niewyczerpanéj cierpliwości, któréj przykładny dowód widzimy w dziele wspomnioném powyżéj, a pełny rozkwit w drugiém, którém Darwin zajmował się głównie i w sekrecie przez lat wiele, chwyciwszy jego przewodnią ideę na archipelagu Galapagos, gromadząc potrzebne mu do sprawdzenia téj idei fakta z niezliczonych źródeł, poddając zebrane bogactwo danych kiedy niekiedy pod rozwagę i znów zbierając to wszystko, co do wypełnienia luk było potrzebne. Porównywany tylokrotnie do Kopernika i Newtona posiadał ich żelazną cierpliwość, żeby chować swoję pracę przed krytyką tak długo, jak długo nie mógł sobie powiedzieć, że jest skończoną i uzbrojoną na wszelkie pociski. Póki bystry jego, dla własnych utworów surowy wzrok, znajdował w niéj słabizny, póty się zadawalał, jak sam powiada, „zbieraniem faktów, rzucających promyki światła na powstanie rodzajów, tajemnicę nad tajemnicami, jak ją nazwał największy z filozofów.“ Przez pierwsze 5 lat po powrocie do ojczyzny nikt nawet nie podejrzywał, czém umysł Darwina głównie się zajmował. Później wtajemniczył Lyella, Hookera i kilku innych w przewodnią myśl teoryi, nad któréj udowodnieniem pracował.

Tymczasem kończył geologią z podróży Beagle'a, powodując się radami Lyell'a, z którym go ścisła przyjaźń wiązała, jak dowodzi dedykacya w „Dzienniku Przyrodnika.“ W r. 1844 wyszła druga jéj część—„Geologiczne uwagi nad wyspami wulkanicznemi,“ a w r. 1846 trzecia -- „Geologiczne spostrzeżenia w południowéj Ameryce.“ Na tém skończył się szereg prac, dotyczących pamiętnéj wyprawy, wydanych nakładem admiralicyi angielskiéj. Podczas tychże lat ogłosił Darwin w „Pamiętniku (*Transanctions*) Tow. geologicznego“ kilka pomniejszych zarysów, jak np. rozprawę „O tworzeniu się próchnicy,“ z któréj bierzemy dowód rzadkiéj ciągłości jego myśli z jaką powracał po wielu latach do ważnych przedmiotów. I tak jego ostatnie dzieło o robakach ziemnych jest tylko doskonałém opracowaniem przedmiotu, zarysowanego w roku 1840 pobieżnie we wspomnionym dopiero zarysie. Rękopism drugiego podobnego zarysu, posiew jego monumentalnego „powstawania i różniczkowania się gatunków ustrojowych,“ był już także skończony w roku

1845, lecz go chował przed okiem profanów, jak wspomnieliśmy, zastanawiając się nad niebezpieczeństwem ogłoszenia w stanie niedojrzałym poglądów tak bardzo z pojęciami popularnemi niezgodnych. Lyell i Hooker, z których ostatni był zięciem Henslowa, zachęcali go, ale napróżno, do wydania téj pracy. Do téj saméj epoki jego twórczości należą jeszcze zarysy: „O łączności zjawisk wulkanicznych“ (1840), „O głazach narzutowych w południowéj Ameryce“ (1842), „Geologia wysp Falkland“ (rzecz ogłoszona w kilka lat dopiero po napisaniu), a w końcu „O lodowym okresie w Wielkiéj Brytanii,“ rozprawa wydana w r. 1843, po umyślnéj wycieczce do Walii, spowodowanéj przeczytaniem artykułu Bucklanda o istniejących niegdyś w Anglii lodnikach, w celu zbadania i stwierdzenia dodatkowemi spostrzeżeniami twierdzenia, że w pewnym okresie geologicznym Anglia (i część Europy) przedstawiała widok podobny do teraźniejszéj Grenlandyi.

Po r. 1846 wziął się do monografii, któréj część pierwsza wyszła w r. 1851 p. t. „Skamieniałe Lepadidae,“ druga w r. 1854 p. t. „Monografia skamieniałych Balanidae i Verucidae Wielkiéj Brytanii,“ a tegoż roku trzecia, wydana nakładem t. z. *Roy Society*, poświęcona żyjącym gatunkom rodziny, któréj wygasłe rodzaje opisał w dwóch pierwszych. Dzieło to, zbyt specyalne dla szerszego ogółu, wywołało różne zdania o swojéj wartości. Jedni krytycy widzą w niém zdumiewający dowód cierpliwości i przenikliwości w trudnych i delikatnych badaniach anatomiczno-fizyologicznych, zapewniających Darwinowi poczesne miejsce między morfologami, inni zaś utrzymują, że nie posiadał przymiotów do powodzenia w téj gałęzi nauki potrzebnych.

Nadszedł rok 1858, świadek wypadku, który zmusił Darwina stłumić swoję trwogę, pokonać skromność i wystąpić z teoryą, tak długo udoskonalaną i w biurku chowaną. Słynny Alfred Russel Wallace, podróżujący wtedy po Malajskim Archipelagu, przysłał redaktorowi „Dziennika Tow. Linneusza“ Hookerowi, rękopism do druku, w którym tenże znalazł ze zdumieniem tę samę teoryą przyczyny powstania i dyfferencacyi rodzajów organicznych, jaką Darwin lepiéj i wcześniéj rozwinął w manuskrypcie. Przyjaciele zaczęli dowodzić przyrodnikowi z Down, że musi teraz, dla zastrzeżenia sobie prawa do tytułu pierwszego odkrywcy, wystąpić jawnie z hipotezą, z któréj już raz wychylił publicznie rąbek osłony, odczytując w roku 1848 przed Tow. Linneusza artykuł o zapładnianiu się pewnych roślin strączkowatych za pośrednictwem owadów. Znaglony przez nich Darwin pozwolił, aby na temże posiedzeniu wspomnionego towarzystwa, na którém praca Wallace'a została odczytaną, przed-

stawiono także kilka rozdziałów z jego wiekopomnego „*Origin of Species*“ zdumionym świadkom rzadkiego w dziejach nauki zdarzenia, iż dwóch uczonych, podążając własnemi drogami do prawdy i nie porozumiewając się, spotkało się niespodzianie u jednéj mety. Takie spotkanie było ubocznym, a wymownym dowodem prawdziwości hipotezy. Miało ono i swoję piękną stronę. Uczeni przyjaciele i rywale zgoła sobie nie zazdrościli sławy, któréj, skutkiem ich odkrycia, spadła część na każdego. Wallace przyznał Darwinowi tytuł odkrywcy i mistrza teoryi ewolucyi, ten zaś wyrażał się z jak najwyższém uznaniem o geniuszu Wallace'a, co mu było tém łatwiéj, że zawsze stawiał siebie niżéj, niż należało, innym zaś przyznawał wielkość po nad ich zasługi, jak to np. uczynił w przedmowie do „Pochodzenia Człowieka,“ chwaląc uczoność Haeckla.

Wspomniane posiedzenie, na którém po raz pierwszy teorya Darwina publicznie wygłoszoną została, odbyło się d. 1 lipca 1858, ale ogół poznał ją o wiele późniéj, gdy wyszło w listopadzie r. 1859 dzieło p. t. „Powstawanie rodzajów.“ Starsi czytelnicy pamiętają, młodzi nie zdołaliby sobie wyobrazić, jakie osłupienie i wzruszenie ogarnęło świat oświecony po ukazaniu się téj książki — jak, zawzięciéj od Greków i Trojan wydzierających sobie zwłoki Patrokla, walczyły dwa wrogie obozy nad pomysłem angielskiego ziemianina, na którego głowę, zdumioną tą całą wrzawą, sypały się z jednéj strony niezliczone anatemy, z drugiéj grad wieńców laurowych. Ci wróżyli zgubę wszelkiéj wiary i moralności, jeśliby ta teorya znalazła licznych zwolenników, a najwięksi zeloci między nimi widzieli już w Darwinie Antychrysta; tamci znów, z niemniéj fanatyczną przesadą, wynosili jéj twórcę i wartość po pod niebiosa. Był to bój równie gorący, jak krótki, w porównaniu z innemi walkami tego rodzaju, a teraz można go wspominać z uśmiechem. Przy kim zostało zwycięstwo — nie potrzebujemy dodawać. Teorya, bardzo źle przyjęta na razie, zjednała sobie uznanie powszechne w tak krótkim czasie, że jeden z jéj apostołów, Huxley, życzył dla jéj dobra, żeby się spotkała z dłuższą opozycyą. Ci, co ją najgłośniéj wyklinali, albo umilkli, albo dokonali sztuki cudownéj, przypasowując ją do swoich wierzeń. Ludzkości został się z niéj zysk bezpośredni w biologii, pośredni i większy w postaci olbrzymiéj rewolucyi w metodzie badania, które jeden z najznakomitszych darwinistów — Huxley, w ten sposób na obchodzie 21 rocznicy (pełnoletności téj teoryi) przedstawił:

„Jest to faktem pewnym, który stwierdzą wszyscy ci, co postęp wiedzy w ostatniém dziesięcioleciu śledzili, że nie ma dziedziny biologicznego badania, na któréj-by wpływ *Powstawania rodzajów*

śladów swoich nie zostawił. Najpierwsi uczeni wszystkich krajów albo do otwartych obrońców doktryn jego przewodnich należą, albo się od ich zbijania wstrzymują. Mnóstwo młodych i gorliwych badaczy szuka natchnienia w wielkim utworze Darwina. *Ogólna doktryna ewolucyi, któréj jednę stronę to dzieło przedstawia, znajduje w zjawiskach biologicznych stałą podstawę operacyjną, z któréj będzie mogła rozszerzyć swój podbój na wszystkie królestwa przyrody.*"

Nie myślimy wdawać się w ocenę dzieła, które było już w *Ateneum* przedmiotem specyalnego rozbioru; jednéj tylko strony pozwalamy sobie dotknąć, bo to uczynić musimy. Nie może być bowiem dla prawdy historycznéj i dla czytelników rzeczą obojętną, jak się zapatrywał Darwin na najważniejsze zagadnienia, niepokojące zwykle ludzi, i w jakim stosunku stoi jego nauka do wiary. Prawem biografa zabieramy więc głos w téj materyi, z nieśmiałą stanowczością, żałując mocno, że takie wystąpienie wprowadzi nas w kolizyą z autorem, który to samo pytanie na tychże stronicach niedawno traktował, rozwijając taką erudycyą i wdzięk stylu bogatego w trafne porównania, jakich zgoła nie posiadamy.

Zgodném zdaniem najlepszych sędziów zastosowanie teoryi Darwina. t. j. teoryi ewolucyi do biologii jest tylko *jedną stroną* (jak rzekł Huxley) jéj pożytku, bo ona jest nadto podstawą operacyjną do zawojowania wszystkich królestw przyrody, lub (jak inny darwinista w *Times* powiedział) „stanowiskiem, z którego mamy się zapatrywać na wszystkie objawy działalności myśli i umysłu ludzkości, *jéj religie, moralność, urządzenia społeczne, filozofie, historyą.*" Podobnież twierdzi p. Rejchman, że Darwin dał nam „nowy bodziec naukowy, nową metodę badania, nową szkołę, nowy punkt widoku na przyrodę, którego znaczenie pośrednie, chociażby jego znaczenie treściowe istotne miało tylko wartość przemijającą, wykraczałoby doniosłością po za zwyczajne granice" — co znaczy, że chociażby ta teorya, będąca obecnie najwyższą formułą biologiczną, a posiadająca z tego powodu wartość niepospolitą, taką formułą skutkiem nowych odkryć być przestała; gdyby przedstawiala się za ciasną, okazała szczegółowym wypadkiem zasady ogólniejszéj, musiała być w przyszłości zmodyfikowaną: — przecieżby darwinizm swéj pierwszorzędnéj wartości nie stracił, jak nie odebrał wartości teoryi Kopernika fakt, że w niéj był fałsz geometryczny, albo teoryi Marriotte'a i Boyle'go, co się okazała matematycznie fałszywą. Albowiem pewném jest, że nie w tém tkwi wielkie znaczenie téj teoryi, iż wskazała prawdopodobne powstanie gatunków ustrojowych z kilku typów, a może z jednéj protoplazmy, a człowieka z wygasłych małp wązkonosych, ale na tém, że we właściwy sobie sposób i z nieprak-

tykowaną dokładnością zastosowała i rozwinęła to, co Huxley nazwał kwintesencyą naukowego ducha—*krytyczność*, czyli przyzwyczajenie nieprzyjmowania żadnego apryorycznego twierdzenia, tém mniéj zaś intuicyjnego wierzenia, bez surowéj krytyki. Może ktoś (jak kreślący te słowa) trzymać swój sąd w zawieszeniu co do przyjęcia teoryi powstania rodzajów drogą ewolucyi z form niższych; może z Huxleyem życzyć sobie, aby teoryą tę, dla jéj własnego dobra, spotkała dłuższa opozycya i aby młode pokolenie nie wpadło w błąd przyjmowania jéj bez krytyki jako aksyomatu; może z samym Darwinem uznawać i ostrzegać, że łańcuch geologicznych rodzajów, od którego uzupełnienia niezbite udowodnienie ewolucyi wyższych ssaków z niższych form ustrojowych zawisło, ma jeszcze mnóstwo luk, że mu brak więcéj ogniw, niż ich posiada, że więc przeto nie należy gasić w sobie ducha krytycznego nawet w zastosowywaniu teoryi ewolucyi do biologii;— można tak wątpić i sąd zawieszać, a przecież być lepszym darwinistą, od ślepych wyznawców pochodzenia człowieka z małpy, téj zaś z „żabiéj ikry." Bo istotną, treściową kwintesencyą darwinizmu jest zastosowanie metody indukcyjnéj do wszystkich zagadnień bytu, oraz wspomniany duch krytyczny, straszny dla wszelkiéj metafizyki, którego pogodzenie z jakąkolwiek wiarą wydaje się nam trudniejszém zadaniem, niż pomieszanie wody z oliwą.

A jednakże zaszło od niejakiego czasu zawieszenie broni między starą gwardyą teologii, a rewolucyjnemi legionami darwinistów. Na jednémi skrzydle bojowiska widzimy katolicyzm w postawie wprawdzie nieprzyjaznéj, lecz niezaczepnéj. W środku stoją sekty ponure, milczące, udające obojętność. Na drugiém skrzydle widzimy różnorodne próby fraternizowania między niedawnymi zapaśnikami. Anglikanizm chlubi się, że złożył zwłoki ongi wyklinanego mistrza do panteonu westminsterskiego. Świętoszek *Times* a za nim cała prasa filisterska, podnosząc w nekrologach zasługę Darwina dla wiedzy, łagodzą takich, których-by przesądy mogły się czuć draśnięte temi pochwałami, twierdzeniem apodyktyczném, że mędrzec z Down nie był takim czarnym, jak go malowali ale celująco (*eminently*) religijnym, do uwielbiania skłonnym (*reverent*) gentlemanem. Z drugiéj strony darwiniści udowadniają, że teorya Darwina i religia mogą żyć spokojnie obok siebie, że można być najlepszym chrześcijaninem i darwinistą, że krytyka metafizycznéj treści systematów religijnych nie wchodzi bynajmniéj w zakres teoryi Darwina, że zelotyzm błądzi, gdy powodowany mądrością instynktu zachowawczego, działającego z nieomylną celowością w wyborze środków, wyklucza teoryą Darwina ze szkół.

Postępowanie obozu religijnego zgoła nas nie zadziwia. To wysoki rozum dyplomatyczny, taktyka doskonała. Tak wódz biegły obchodzi wąwóz niezdobyty, oskrzydla, gdzie środka przełamać nie może. Tak misyonarze między poganami asymilują nie dające się wykorzenić przesądy i zabobony, zmieniając Dyanę z księżycem w Madonnę, dziady cmentarne w zaduszki. Tak rozumni ludzie, wiedząc, że ich stanowisko byłoby bardzo zagrożone, gdyby ogół dostrzegał, iż wszystkie powagi i teorye, co świat przebojem zdobyły, świadczą przeciwko ich dogmatom, pozwalają Kopernikowi zatrzymać słońce w biegu, rumienią się za inkwizytorów Galileusza, utrzymują z ks. Lecomte, że komentarze św. Augustyna godzą się jak najlepiéj z hipotezą ewolucyi gatunków.

Do czego jednak zmierza taktyka obozu przeciwnego, usiłująca budować złoty most ugody z przeciwnikiem? Czyż wypada starać się tym sposobem zyskiwać stronników? Czy można oddawać się złudzeniu, że zelotyzm przestanie prześladować i wykluczać niemiłą teoryą zewsząd, gdzie władza jego sięga? A może doprawdy ustępy w dziełach mistrza zawarte upoważniają do podobnych twierdzeń i dążności? Ażeby w błąd nie popaść, trzeba znać sposób pisania pewnéj szkoły myślicieli angielskich. Szkoła ta dosięgła szczytu doskonałości w podkopywaniu pozycyi przeciwników, bez drażnienia zagrożonych. I tak, gdyby jakiemu naiwnemu czytelnikowi wpadła do rąk jedna z rozpraw Fryderyka Harrisona, okrzyczanego wrogiem religijności, toby się zapewne zadziwił, dlaczego taki przydomek dostał się autorowi, używającemu tak często, z namaszczeniem wyrazów dusza i nieśmiertelność. Naiwny! one tam stoją w odmiennem od pospolitego znaczeniu. Gorliwy apostoł pozytywizmu, George Elliot, umiejący wnosić swe śmiertelne wątpienia i krytykę potężną w miliony domów w ponętnéj szacie powieściowéj, wydałby się temuż czytelnikowi autorem pełnym tak bardzo u nas chwalonych „poczciwych tendencyj.“ Czemuż-by i Darwin nie mógł być równie ostrożnym? Czyż mu nie wolno posiadać umiarkowania Kartezyusza, z którego *Discours sur la Methode* przypominamy sobie zdanie, że chociaż robi teoretycznie *tabula rasa* podstawą, z któréj dedukcyjnie zamierza, żadnemi względami i tradycyami niekrępowaną siłą myśli, wysnuć swoje pojęcie wszechświata (coby przecie było aktem najwyższego sceptycyzmu), jednakże (czy tylko nie dodał tego dla ugłaskania inkwizycyi?) zważywszy, iż taki proces wysnuwania musi trwać długo, a do kierowania życia praktycznego potrzeba mieć tymczasem coś już sformułowanego—zważywszy to, przyjmuje prawdy religijne, powszechnym zwyczajem uznane. Tak i darwinizm, ufając jak najzupełniéj w to, że go indukcya przyprowadzi do

rozwiązania zagadnienia wszelkiego bytu, ale także świadom, ile niezliczonych pokoleń przeminie, zanim choć cząstka tego zadania będzie wypełnioną, może powtarzać za Kartezyuszem, że tymczasem, dla ustrzeżenia się od błądzenia po labiryncie praktycznego życia, zatrzymuje sobie cenną nić Aryadny, w kształcie metafizycznéj idei religii. Szkoła ta nie ma zresztą prawa występować bardzo zaczepnie przeciw żadnéj takiéj doktrynie, któréj mylność nie została udowodnioną faktami obserwowanémi, co jednak, zdaniem naszém, nie zbija twierdzenia, że ona podkopuje każdą doktrynę, któréj prawdy obserwacya swém *approbatur* nie przypieczętowała—każdą, powtarzamy. tak intuicyjno-teologiczną, jak apryorycznie-filozoficzną.

Zastosowując istotną, treściową doniosłość darwinizmu do religii wypada oczywiście mieć na oku definicyą jednego i drugiego systemu—pomnieć, czém się każda objawiona religia sama nazywa i nazywać musi, oraz jakie źródło i pochodzenie nadprzyrodzone przypisuje swoim dwom pojawom, dogmatycznemu i etycznemu, a z czego wywodzi i jéj dogmaty i jéj naukę moralności teorya ewolucyjna. Żeby nam zaś nie zarzucano, że biorąc darwinizm jako stanowisko, z którego się „wolno zapatrywać na całą działalność myśli i umysłu ludzkości, a więc i na religie i na moralność," przyjęliśmy definicyą daną mu przez uczniów nieupoważnionych, nie zaś przez samego jego twórcę i mistrza, przytaczamy dosłownie znaną, kilkakrotnie ogłoszoną odpowiedź filozofa z Down (bierzemy ją teraz z „*New York Sun*" z d. 5 października 1882) do pewnego studenta z Jeny, który, czując budzące się w sobie wątpliwości przy czytaniu dzieł Darwina, zgłosił się do ich autora o wyznanie wiary i odebrał co następuje:

„Panie! Jestem obciążonym pracą starcem z delikatném zdrowiem. Brak mi czasu odpowiadać szczegółowo na Pańskie zapytania, przypuściwszy nawet, żeby taka odpowiedź dała się ułożyć. Wiedza i Chrystus nie mają z sobą nic wspólnego, chyba tyle, że zwyczaj naukowego badania czyni człowieka ostrożnym w przyjmowaniu wszelkiego rodzaju dowodów. Co do mnie, nie wierzę, aby kiedykolwiek było dane jakiekolwiek objawienie. Co się tyczy życia pozagrobowego, każdy musi sobie własne wnioski wyciągać z niepewnych i sprzecznych prawdopodobieństw. Życząc panu powodzenia, kreśli się jego sługą powolnym

Down d. 5 czerwca 1879. *Karol Darwin*"

Te słowa jędrne, jasne, napisane 3 lata przed śmiercią autora, nigdy nie zostały odwołane. Filozof nie wierzy w objawienie, każe

przyjmować wszystkie dowody ostrożnie, a nieśmiertelność poczytuje za kwestyą wątpliwości pełną. Opierając się na Przyrodzoności przykłada badawczy skalpel do wszystkich produktów ludzkiéj ewolucyi, więc i do teologii, opartéj na Nadprzyrodzoności i wymagającéj, aby ją wyjęto z pod powszechnéj krytyki. Nieomylne, z ust samego Bóstwa według niéj zaczerpnięte prawdy, od których ufnego przyjęcia zawisło szczęście ludzkości, śmie brać pod rozwagę na swój sposób, łącząc wszystkie do nich się odnoszące fakta i rozważając bezstronnie, do jakiego wniosku te fakta prowadzą. Jakiż otrzymuje rezultat o przyczynie powstania pojęcia religijnego (1)? Że nie mamy dowodów, aby człowiek pierwotny wierzył w Boga; że rozwinięcie w człowieku władzy wyobraźni, zdziwienia i ciekawości dało mu pochop do spekulowania nad tém wszystkiém, co się działo naokoło niego; że tedy stworzył hipotezę duchów, dla wynalezienia sobie jakiegokolwiek objaśnienia zjawisk żywotnych, którą-to hipotezę zawdzięczał marzeniom sennym; że wiara w czynniki duchowe prowadziła go zwolna i stopniowo do wiary w istnienie jednego lub wielu bogów;—zgoła, że nawet najwyższa z religij powołujących się na objawienie jest wynikiem ewolucyjnego rozwoju człowieka, utworem ziemskim, przyrodzonym. Pytanie, czy przy całém uszanowaniu, z jakim Darwin traktuje teologią, zechce się ona zgodzić na przyjęcie przyznawanego jéj pochodzenia? Nam się zdaje, że nie. Nam się zdaje, że między nią i teoryą ewolucyi zachodzi spór o ważniejszą kwestyą, od prawdziwości lub mylności hebrajskiéj kosmogonii—że ona i darwinizm nawzajem się wykluczają.

Przejdźmy do różnicy w ich zapatrywaniu na powstanie etyki. Według niéj uczucia moralne, sumienie, pojęcie różnicy złego i dobrego, są zaszczepione w naszéj duszy nieśmiertelnéj celem oznaczenia nieprzebytéj granicy między człowiekiem i niższemi formami ustrojowemi. One, ze źródła nadprzyrodzonego, boskiego zaczerpnięte, zbawią ludzkość. Darwin przeciwnie, polemizując w „Pochodzeniu Człowieka“ z Utylitaryanizmem (2), z jednéj strony przeczy Millowi i Bainowi, jakoby uczucia moralne nie były wrodzone, ale się zdobywały w życiu, więc były wynikiem procesu intelektualnego; z drugiéj zaś strony na chwilę nie przypuszcza ich początku nadprzyrodzonego i zjawienia się w pierwotnym człowieku w formie doskonałéj. Zapatrując się na rodowód poczucia obowiązku ze stanowiska przyrodniczego, znajduje źródło moralności w instynktowych popędach towarzyskich, właściwych nietylko gromadom ludz-

(1) Patrz „O Pochodzeniu Człowieka,“ przekład L. Masłowskiego str. 60 i dalsze.
(2) Patrz przekład p. Ludwika Masłowskiego str. 65 i dalsze.

kim, ale i niektórym zwierzętom, które też kiedyniekiedy okazują coś, cobyśmy u ludzi sumieniem nazywali. Jeżeli uczucie to nie rozwinęło się u nich tak, jak u człowieka, to tylko z braku równie wysoko rozwiniętych władz umysłowych. Zwierzętom żyjącym gromadnie nie brak pewnéj miarki poczucia przywiązania i sympatyi. Co się tyczy sumienia, przymiotu tworzącego najważniejszą różnicę między człowiekiem i zwierzęciem, ludzie pierwotni, jak teraz dzicy, posiadali je w nierównéj mierze z ucywilozowanymi. Ich klasyfikacya czynów na złe i dobre była inna od naszéj. Ich moralność stosowała się zrazu tylko wyłącznie do gminy, lub do pokolenia, bo źródłem moralności są popędy towarzyskie, rozwijające się na korzyść ogólną całéj gminy. Jest ona jednym więcéj rezultatem ewolucyi, poczętym w popędach wrodzonych i odziedziczonych, udoskonalonym w człowieku przez rozwój władz duchowych, mowy, nadewszystko opinii publicznéj, która daje wskazówki każdemu osobnikowi, w jaki sposób ma brać udział we wspólném staraniu o dobro powszechne. Jest ono jedném więcéj, piękném i użyteczném narzędziem w walce o byt między pokoleniami ościennemi, znajdującemi się w równych warunkach geograficznych i ekonomicznych, z których, w każdym wypadku, przechowa się i na zdobytych obszarach sąsiadów rozmnoży się to, które będzie miało więcéj jednostek patryotycznych, wiernych, posłusznych, odważnych, pełnych sympatyi—zgoła, moralnych. I jeszcze raz zapytujemy, czy jakakolwiek religia mogłaby, bez abdykacyi z przypisywanego sobie posłannictwa, żyć spokojnie obok teoryi, wynajdującéj takie poziome źródło moralności?

Gdybyśmy należeli do zagorzałych darwinistów, musielibyśmy uznać fakt powyższy, a skutek tego uznania na życie praktyczne zgołaby nas nie obchodził. Przyznając konieczność i potrzebę religii na teraźniejszym poziomie umysłowym ludzkości, nie utrzymywalibyśmy, że krytyka metafizycznéj treści systematów religijnych nie wchodzi bynajmniéj w zakres zadania teoryi Darwina, że zastosowanie teoryi ewolucyi do wszystkich objawów myśli ludzkiéj nie pozbawia religii jéj niezbędnego charakteru nadprzyrodzonego, że Darwin był celująco religijnym, do uwielbiania skłonnym gentlemanem.

Nie czując się na siłach przeprowadzenia powyżéj zarysowanéj polemiki do jéj krańcowych wniosków, któreby z pewnością wiarę w możność wspomnionego pojednania jak bańkę mydlaną przekłuły i rozwiały, zadawalamy się odkryciem, zdaniem naszém udowodnionem, istotnych poglądów Darwina na pytania najważniejsze bytu i powracamy do wyliczenia jego prac naukowych.

W kilka lat po ogłoszeniu „*Origin of Species*“ wyszło wielkie jego dzieło „Zapładnianie Orchidów“ (1862). Niém wstąpił na nowe pole badania i dał popęd tak sobie jak innym do zadziwiających odkryć. Do tejże kategoryi należą jego: „Samozapładnianie się Orchidów“ (1876), „Kształty kwiatów“ (1878), rozmaite zarysy o wpływie owadów na zapładnianie roślin: „O ruchach i zwyczajach wijących się roślin,“ „O roślinach owadożerczych.“ „O ruchach roślin“ (1881). Innego rodzaju temat opracował w dwutomowém „Przeobrażaniu się roślin i zwierząt pod wpływem oswojenia“ (1868). Mamy tu zbiór mnóstwa nowych faktów, zabawnych często i dziwnych, zgromadzonych według metody Darwina w taki sposób, aby przyprowadziły do kilku wniosków. Wszystkie dzieła Darwina posiadają ten wspólny przymiot, że w nich mnóstwo przykładów, a mało wniosków. W ostatnio wymienioném widać go najwyraźniéj.

W r. 1871 wyszło w dwóch częściach „Pochodzenie człowieka“ i „Dobór płciowy,“ które wywołało nowy paroksyzm burzy, przycichającéj już po wyszaleniu się nad „Powstawaniem rodzajów.“ Autor ubódł tym razem miłość własną płytkich milionów. Był to jednak krótki paroksyzm. I teraz potrafili ludzie rozmaitych przekonań zgodzić się dość prędko z nowym czynnikiem, zakłócającym ich naukowe i filozoficzne spekulacye, a dla świętego spokoju oglądają się nawet zeloci za *modus vivendi* z kolczastą teoryą, z którą walka wymagałaby niepospolitéj erudycyi. Ci i owi pocieszają się, rezygnując z pychy i nakłaniając się do przykréj zrazu hipotezy, odczytywaniem wzniosłego zakończenia rozprawy o pochodzeniu człowieka: „Mamy prawo być dumni, że stoimy na szczycie organicznéj przyrody i możemy być nawet pełni nadziei, bo fakt ten, że dosięgliśmy stopniowo tego szczytu, a nie odrazu zostaliśmy na nim stworzeni, daje do myślenia, że jeszcze wyżéj pójdziemy. Mniejsza jednak o tę nadzieję, bo więcéj niż ona, obchodzić nas powinna prawda. Owóż co się tyczy téj ostatniéj, zrobiliśmy wszystko, co tylko było w naszéj mocy, ażeby ją wykryć—i przyznać w końcu musimy, że człowiek, pomimo szlachetnych przymiotów swojéj duszy, pomimo sympatyi, którą odczuwa nietylko dla swych bliźnich, ale i dla najniższych żyjących istot, pomimo swego potężnego umysłu, który zdołał wykryć prawa ruchu gwiazd, słowem pomimo tych wszystkich przymiotów, które go tak dalece odróżniają od innych zwierząt—z tém wszystkiém nosi jeszcze dotąd niezatarte ślady swego nizkiego pochodzenia“ (1).

(1) Przekład p. Ludwika Masłowskiego.

Pośpiech zaś gorączkowy, z jakim teraz przyjmowano słowa mistrza bez dłuższéj dyskusyi, i namiętność, z jaką obrońcy nowéj teoryi zaczepnie zaczęli występować, podyktowały Huxleyowi następujące, pamiętne ostrzeżenie: „Historya nas napomina, że zwykłym losem nowych prawd bywa, aby się zaczynały jako herezye, a kończyły jako zabobony. Zapatrując się na tę sprawę w jéj dzisiejszym kształcie, nie dopuścilibyśmy się nieoględności, gdybyśmy przypuścili, że za dalsze lat 20 nowe pokolenie, pod wpływem teraźniejszych prądów wychowane, wpadnie w niebezpieczeństwo przyjmowania głównych doktryn „Powstawania rodzajów“ z tak małém zastanowieniem, a być może, że z tak małém usprawiedliwieniem, z jakiemi nasi współcześni przed 20 latami je odrzucali. Módlmy się gorąco, abyśmy nie wpadli w takie zakończenie, bo duch naukowy wart więcéj od swoich produktów, a prawdy zatrzymywane nieracyonalnie mogą więcéj szkody wyrządzić, od błędów z wyrozumowaniem przyjętych. Esencyą ducha naukowego jest krytycyzm...“

„Wyraz wzruszeń u ludzi i zwierząt“ (1872) był uzupełnieniem poprzedniego dzieła. W końcu w r. 1881 wyszła przyjęta z rozkoszą przez wszystkich wielbicieli prawdziwego talentu dostrzegawczego rozprawa o robakach ziemnych, świeża w pamięci ogółu oświeconego. Darwin stał w téj chwili na szczycie swéj sławy. Żaden zgrzyt niezadowolenia nie śmiał się odezwać. Ze świeżości przedmiotu i żywości stylu wróżono sobie, że sędziwy autor puści w świat jeszcze kilka takich książeczek, w znanych, zielonkowatych okładkach—śmierć zniszczyła tę nadzieję.

Jak wspomnieliśmy, przyszła niespodziewanie dla ogółu, w rok mniéj więcéj po zejściu ukochanego starszego brata, wiernego przyjaciela pani Carlyle. Ugodzony dotkliwie tą stratą Karol Darwin posmutniał, ale zachowywał swą czerstwość umysłową i nie zmieniał swych zwyczajów. Wstawał zawsze o piątéj, kładł się spać o dziesiątéj. Pracował dziesięć godzin dziennie. Główną jego rozrywką był ogród; wieczorem czytywała mu żona powieści, który to rodzaj literatury lubił namiętnie. Był dumny ze swych dwóch córek i pięciu synów; z tych ostatnich odznaczyło się kilku w zawodach naukowych. Jeden jest zdolnym oficerem inżenieryi, drugi otrzymał w Cambridge pierwszą nagrodę za matematykę (*high wrangler*), trzeci, doktór medycyny, był głównym współpracownikiem ojca przy badaniu prac robaków. Mnóstwo młodych wielbicieli z licznéj, we wszystkich krajach rozgałęzionéj, szkoły darwinistów pielgrzymowało do gościnnego Down House, a jeżeli jaki wątpiący tam zaszedł, to najczęściéj wychodził przekonany. Ze wszystkich stron przysyłano panu tego domu wyrazy hołdu. Wydawca niemiecki Darwina pi-

sał, że literatura o teoryi ewolucyi tworzy już sporą bibliotekę. Gazety donosiły, że prezydent austryackiéj rady państwa wspomniał o niéj, jako o jednym z najważniejszych przedmiotów rozmyślania dla oświeconego świata. Nawet jéj przeciwnicy nie próbowali już przeczyć, żeby nie dawała nowego popędu myślom i badaniom żyjącego pokolenia. Sławni niemłodzi już ludzie, jak Jan Lubbock i tylu innych, przystępowali do mistrza z objawami czci, jakiemi uczniowie filozofów starogreckich okazywali szacunek dla nauczycieli. Na swe siedmdziesiąte urodziny odebrał niezliczone powinszowania z najdalszych krańców świata.

Pierwsze niebezpieczne symptomy trapiącéj go dłuższy czas sercowéj choroby zjawiły się dwa miesiące przed śmiercią. Zakazano mu chodzić po schodach. Noszono go do sypialni na górze w fotelu, ale po swéj pracowni i po ulubionym ogrodzie przechadzał się bez pomocy, pracując wedle możności. Jeszcze o ósméj wieczór przede dniem zgonu oglądał roślinę, którą sobie kazał przynieść. O północy uczuł ból w piersi, dostał wymiotów, zemdlał. Przywieziony śpiesznie lekarz ocucił go, ale starzec leżał już bez sił do czwartéj po południu, cierpiąc, lecz zachowując przytomność do ostatniéj chwili. Żona, syn i córki podpierali go. Umarł w postawie siedzącéj. Złożono go na łożu z czcią religijną, skoro wyzionął ducha. Wieść o tym wypadku wywołała objawy żalu w całym świecie ucywilizowanym. Brak uznania za życia, jakim grzeszyły przeciw niemu rządzące koła w Anglii, starały się one teraz wynagrodzić w sposób wspaniały. Duchowieństwo wszystkich sekt protestanckich wplotło do swych kazań ubolewanie nad stratą, jaką poniósł naród w osobie wyklinanego niegdyś przyrodnika. Dziekan tumu westminsterskiego ofiarował mu z własnéj inicyatywy grób między rówiennikami, dobroczyńcami Anglii, jéj wodzami, mężami stanu, poetami, mędrcami. Za zgodą rodziny pochowano go tam okazale.

Tak ustąpił z widowni światowéj przyrodnik i filozof, o którym powiedziano, że łatwiejby policzyć i zmierzyć ogromne fale powietrzne rozpływające się po świecie w kręgach, gdy grzmi park artyleryi, niż popędy, jakie jego praca udzieliła najrozmaitszym kierunkom nowoczesnéj myśli i nowoczesnego życia—obywatel, którego piękność charakteru i czystość domowego życia miały przedstawiać widok jeszcze piękniejszy, od jego geniuszu — przedmiot czci i miłości bez granic dla wszystkich, co go bliżéj znali—on, nad którego otwartą trumną wyrzekł znający go najlepiéj Huxley, że zbliżającemu się do niego przypominał się zawsze mimowolnie szlachetny obraz Sokratesa. *Sygurd Wiśniowski.*

Rodzina Łaskich w XVI wieku.

II.

SYNOWCOWIE PRYMASA:

reformator Jan Łaski i jego bracia: Hieronim i Stanisław.

(Dokończenie).

Poczęła się kilkonastoletnia tułaczka Jana Łaskiego po obczyźnie i ta jego działalność reformatorska, z której jako jedyny Polak po za granicami swojego kraju zasłynął, działalność, która dziś jeszcze protestanckim pisarzom każe go liczyć między „założycieli kościoła reformowanego" i sprowadza raz poraz nowe z pod ich pióra Łaskiego biografie. Ta téż część jego żywota najdokładniéj ze wszystkich jest już dotychczas znana; téj jego działalności obraz krótki a treściwy znajdzie ciekawy czytelnik u *Bartelsa*, dokładny i szczegółowy w nowéj książce *Daltona*. Tutaj niewiele jéj słów poświęcę, nie mając nowych szczegółów do dorzucenia.

Była ta działalność Łaskiego przedewszystkiém praktyczną. Nie w teologii kształcił się w młodości na zagranicznych uniwersytetach; późniéj dopiero jako samouk przyswoił sobie własną pracą ten zasób wiedzy teologicznéj, który mu był niezbędny. Czuł téż tę swoję słabość, nie spieszył się z ogłaszaniem teologicznych wywodów. Dopiero nowożytny dzieł Łaskiego wydawca, Kuyper, wynalazł i wydobył dwie pierwsze jego prace z archiwalnego zacisza, gdzie je ukrył nasz reformator, skoro się spotkał z zarzutami ze strony przyjaciół, którym ich udzielił poufnie. Długo Łaski unikał polemiki, starał się usunąć na bok w obec swarów i kłótni, które się wcześnie wszczęły między teologami protestanckimi o różne pisma świętego pojmowanie. Wykwintny humanista i szlachcic, jak to na tytule każdéj swéj pracy zaznacza wyraźnie (kładąc przy swém nazwisku dodatek: baro Poloniae), uczuwał niesmak wobec sporów prowadzonych zazwyczaj w bardzo grubiańskim tonie. Dopiero

w ostatnich latach życia, szarpany nieustannie, zgorzknąwszy wśród prześladowań, nabrawszy wreszcie większéj w siebie ufności, wystąpił na pole polemicznych zapasów. Przedtém stojąc na wspólnym wszystkim protestantom gruncie, pragnął najmocniéj zgody pomiędzy teologami różnych odcieni, tolerowania się wzajemnego i wzajemnéj miłości, okazywał właściwą charakterowi polskiemu pojednawczość. Gdy umarł Luter (z którym się zresztą Łaski nigdy nie zetknął osobiście i względem którego zachował zawsze niechęć ze swego z Erazmem obcowania zaczerpaną), Łaski zachęcał i namawiał bliskich sobie teologów helweckich, żeby zmarłemu poświęcili pochwalne wspomnienie, z uznaniem jego zasług, choć Luter świeżo na nich gwałtownie nastawał; Erazma zaś chował nasz Łaski zawsze we wdzięcznéj pamięci nawet i wtedy, gdy inni protestanci przywykli się odzywać o wielkim humaniście jako odstępcy z lekceważeniem lub nienawiścią.

Wiernym téż w tém został długo uczniem Erazma, że mniéj dbał o stronę dogmatyczną. Miał jednak i co do nauki kościelnéj własne zdanie i przy niém, zwłaszcza późniéj, wytrwale i stale, nawet z uporem obstawał. W téj kwestyi, która była osią wszystkich sporów między protestantami, w nauce o sakramencie ołtarza, podzielał opinią najbardziéj racyonalistyczną zurychskiego reformatora, Zwinglego, który podobnie jak Łaski wyszedł z obozu humanistów. To go zbliżało do teologów helweckich; ale chociaż Kalwina cenił ze wszystkich najwyżéj, choć z nim w ciągłych i stałych zostawał stosunkach listownych, nie we wszystkiem podzielał jego naukę. Do polskiéj natury Łaskiego nie pasowała „straszliwa,“ jak ją nazwał sam Kalwin, nauka o predestynacyi; nauczał i Łaski wprawdzie, że tylko przez wiarę jedynie można być odkupionym, ale zarazem uważał, że tylko ten wieczystemu potępieniu ulega, kto słysząc „słowo Boże,“ mogąc się w prawdziwéj wierze oświecić i utwierdzić, uczynić tego zaniedba.

Cały nacisk natomiast kładł nasz Łaski, całą uwagę swoję zwracał na praktyczną stronę protestantyzmu, na reformę obyczajów i urządzeń kościelnych, na rząd kościelny i kościelną organizacyą. A tutaj stał zupełnie na gruncie reformatorów helweckich, w wyraźném do niemieckich teologów przeciwieństwie. Jak Kalwin, żądał dla władzy kościelnéj, którąby z wyboru gminy wychodziła, samoistnego zakresu działania, niepodległości zupełnéj od władzy świeckiéj; przeciwnie władza świecka powinna była wspierać władzę kościelną i wykonywać jéj postanowienia. Bez tego nie chciał brać żadnéj odpowiedzialności na siebie, w tém żadnego nie znosił oporu, gotów raczéj sam ustąpić niżeli się nagiąć. Groził we Fryzyi,

w poczuciu swéj godności i siły, złożeniem swego urzędu i nawet złożył go istotnie, ale już wtedy takie tam zyskał uznanie, że się nagięto do jego żądań, byle urząd objął napowrót. Żądał Łaski od władzy kościelnéj najściślejszego nadzoru nad obyczajami, purytańskiéj ich czystości. Żądał również czystości obrzędów i ceremonii, usunięcia wszelkich, jak protestanci zwali, „naleciałości papizmu;“ nie znosił niczego, coby się wprost z Pisma św., jak on je pojmował, nie dało uzasadnić. Wszelkie odstępstwo od téj czystości pociągało za sobą wykluczenie z gminy wiernych (exkomunikacyą). Za pierwszy i najwyższy obowiązek władzy uważał, iżby „czystą religię“ szerzyła, podzielał prozelityzm kalwiński. Jak reformatorowie helweccy, był téż i Łaski równocześnie teologiem i politykiem, sprawy jednego i drugiego rodzaju traktował łącznie, sam nawet czynnie w politycznych negocyacyach brał udział.

Człowiek takich przekonań — w których zresztą zapewne nie odrazu się ustalił, lecz je w sobie wyrabiał stopniowo, powoli — tam przedewszystkiem mógł działać skutecznie, gdzie znalazł zaufanie ze strony gminy a poparcie od władzy. Jedno i drugie umiał sobie zdobyć nasz Łaski we Fryzyi Wschodniéj, ale téż za to i tu i potém w „kościele obcych“ w Londynie, złożył dowody niezwykłego talentu organizatorskiego. Jemu to zawdzięczał swój byt kościół protestancki we Fryzyi: Łaskiego było dziełem, że ten niewielki kraik, w którym protestantyzm szerzony dotąd bezładnie, dorywczo, sprowadził rozprzężenie wszystkich stosunków, upadek w wielu moralności, niebawem ze swoich obyczajów zasłynął i stał się po wszystkie odtąd czasy warownią protestantyzmu. Potrafił bowiem Łaski opanować panujące tu zamieszanie i wszystko w karby ścisłéj karności ująć. Dla nadzoru i orzekania kar kościelnych powstała najwyższa magistratura kościelna, do genewskiego konsystorza Kalwinowego podobna, w któréj obok ministrów kościelnych zasiedli także świeccy przez gminę wybrani. Nad obyczajami znowu samych ministrów i nad czystością głoszonéj przez nich nauki czuwał t. zw. coetus, zgromadzenie pastorów zbierające się co tygodnia, gdzie się wzajemnie pouczano w swych wątpliwościach i przestrzegano nawzajem. Wkrótce powstał przez Łaskiego przeważnie ułożony katechizm; ordynacya zaś policyjna ogłoszona przez hrabinę rejentkę, rządzącą w imieniu syna we Wschodniéj Fryzyi, nakazywała pojedyńczym gminom doglądać tego, aby wszystkie dzieci uczęszczały do szkoły i tam się uczyły pacierza, oraz polecała im miéć staranie o swoich ubogich.

Ład i porządek w kościele fryzyjskim musiał zwrócić uwagę. Kierownik tego kościoła zaczął się stawać osobistością głośną, któ-

réj porady pożądano, gdzie chodziło o zorganizowanie protestantyzmu. Kiedy elektor arcybiskup koloński zapragnął zaprowadzić reformacyą w swojém księstwie, obok innych znaczniejszych teologów i Łaskiego powołał, a nasz reformator bawił czas jakiś na dworze elektorskim i w sprawach tych jeździł na sejm wormacki. Po paru latach, jesienią 1548 r., wybrał się Łaski na czas dłuższy do Anglii, wezwany razem z innymi reformatorami niemieckiemi przez arcybiskupa kantuaryjskiego Cranmera, żeby pracować nad sprotestantyzowaniem zupełném kościoła angielskiego, który dotychczas był tylko schyzmatyckim.

Na pozór mogło się wydawać rzeczą dziwną, słabością ze strony Łaskiego, że właśnie w téj chwili opuszczał Fryzyą, kiedy największe niebezpieczeństwo zagroziło jego dziełu, kiedy cesarz nalegał, aby i tu zaprowadzono interim augsburskie. Ale Łaski jechał do Anglii nietylko jako reformator; jechał tam także i w politycznych celach, dla pracy nad tém, żeby zażegnać grożące protestantyzmowi w całych Niemczech to samo niebezpieczeństwo, z którem we Fryzyi sam już oddawna musiał walczyć.

Działalność bowiem jego reformatorska nie odbywała się bez przeszkód. Mniéj znaczyło, że miał wielu nieprzyjaciół w saméj Fryzyi, że niektórzy z ministrów raczéj z luteranizmem sympatyzując, przeciw Łaskiego kalwinistycznemu kierunkowi podnosili opozycyą, z któréj powodu złożeniem urzędu groził, a którą dopiero złamał, gdy go złożył istotnie. Nierównie większéj było wagi i większe Łaskiemu sprawiało trudności samo geograficzne Fryzyi położenie. Drobny ten kraik przylegał bezpośrednio do niderlandzkich dzierżaw cesarskich, do burgundzkiego dziedzictwa Karola V. To właśnie dla protestantów czyniło pozyskanie maleńkiéj Fryzyi rzeczą niezmiernie ważną, ale téż to i stwarzało dla Fryzyi niebezpieczeństwo. Bo rząd fryzyjski musiał się liczyć z przemożnym sąsiadem, musiał unikać, żeby się cesarzowi nie narazić. Bardzo być może, iż dla tego właśnie oddano naczelnictwo kościoła we Fryzyi Łaskiemu, chociaż był tu i obcy i nieznany, ponieważ się spodziewano, że na niego, którego brat umarł w usługach Ferdynanda, który sam miał na dworze brukselskim stosunki i przyjaciół, będzie rząd cesarski patrzał mniéj krzywem okiem, niż na którego bądź niemieckiego reformatora. Ale tymczasem do Fryzyi protestanckiéj chronili się prześladowani przez rząd cesarski protestanci, z Fryzyi szła propaganda protestantyzmu w kraje burgundzkie. Już teraz, jak potém za czasów Alby i powstania niderlandzkiego, sąsiedztwo Fryzyi było najwyższéj doniosłości dla stosunków religijnych w przyległych krajach cesarskich.

Wobec postępów protestantyzmu we Fryzyi upadał wszelki możliwy wzgląd na osobę Łaskiego; „dwór brabancki,“ jak on rząd królowéj Maryi nazywa, nie mógł i nie chciał znosić u drzwi własnych ogniska ciągłéj propagandy, przytułku dla własnych zbiegów. Łaski nawet uchodzących do Fryzyi anabaptystów nie traktował nazbyt srogo. Ucierał się wprawdzie z nimi literacko,—to najpierwszą jego drukiem ogłoszoną pracę wywołało, przeciwko Mennonowi,—ale tych, spokojniejszych, którzy się poddali karności kościelnéj, tolerował i pozostawiał w spokoju. A co ważniejsza: on zorganizował kościół we Fryzyi, on był niejako duszą jego; a jak w Genewie Kalwin siłę swą głównie czerpał z poparcia chroniących się tam emigrantów francuskich, tak emigranci niderlandzcy, o ile nie byli sekciarzami, wspierali najdzielniéj we Fryzyi Łaskiego. Z jego usunięciem, mniemano nie bez słuszności w Brukselli, kościół we Fryzyi się rozprzęże i upadnie; więc jego oddalenia już wcześnie dopominał się rząd Brukselski od hrabiny rejentki. Przy stosunkach przyjaznych Zygmunta Starego z Karolem V, przy korespondencyi dworzan i urzędników polskich z cesarskimi, wiadomo było w Bruksellli, jak to Łaski, zanim we Fryzyi osiadł ostatecznie, składał w Krakowie przysięgę przed Gamratem i herezyi się wszelkiéj wypierał. Jako przeniewiercę téj przysiędze, jako burzyciela pokoju publicznego oskarżano go przed rejentką we Fryzyi, jako człowieka niespokojnego, którego żadną miarą znosić nie można. Daremnie się Łaski zasłaniał owym listem, który od Zygmunta już po osiedleniu się we Fryzyi otrzymał, daremnie rejentka stojąc po jego stronie zapewniała, że się bez niego obejść niepodobna: nalegania powtarzały się coraz natarczywiéj i coraz groźniéj. „Wiem — pisał Łaski z rezygnacyą przewidując, że rejentka będzie musiała w końcu uledz—że nie wprzód spoczną, aż mnie ztąd wypędzą“ (1).

Broniąc się, gotów wytrwać na miejscu do ostatka, dopókiby się tylko dało, musiał jednak nasz reformator zarazem oglądać się za innem schronieniem, zwłaszcza że potęga cesarza w Niemczech wzrastała coraz bardziéj, zanim nawet przyszło do ostatecznéj protestantów niemieckich katastrofy w wojnie szmalkaldzkiéj. Ofiarowywano mu taki przytułek, nęcący nawet bardzo, bo blisko ojczystego kraju, o którym nigdy nie zapominał, ku któremu z tęsknotą zwracając oko, zastrzegał sobie wyraźnie, że w każdéj chwili będzie mógł opuścić swoje we Fryzyi obowiązki, gdyby go do ojczyzny powołano. Ks. pruski Albrecht wkrótce potém, gdy Łaski osiadł we Fryzyi jako otwarty już protestant, zawiązał z nim stosunki

(1) Kuyper II, 581, 588, 594, 602.

i raz poraz to listownie, to nawet przez umyślnych posłańców, starał się go nakłonić, ażeby przybył do Prus i przy boku jego przebywał. Było to rzeczą całkiem naturalną. W Prusach, jak wiadomo, dawał ks. Albrecht przytułek zmuszonym opuścić Polskę protestantom, w swéj rezydencyi ustanawiał polskich kaznodziejów protestanckich, kazał wydawać po polsku książki szerzące naukę reformatorów, w swojéj nowéj akademii w Królewcu polaków robił profesorami; jedném słowem, chociaż powoli i ostrożnie, póki żył Zygmunt Stary, jednakże wszelkiemi sposobami starał się uczynić ze swego kięstwa ognisko propagandy protestanckiéj w Polsce. Więc łatwo pojąć, że w człowieku takim jak Łaski, nie jakimś nieznanym zbiegu, lecz członku jednéj z najmożniejszych już rodzin, pokoligaconym ze wszystkiem prawie, co w Polsce było najznaczniejszego, musiał upatrywać doskonalsze od każdego innego narzędzie dla pozyskania we wpływowych kołach posłuchu dla swojéj propagandy. A znowu Łaski bardzoby chętnie do Prus się przeniósł, bo tam by był bliżéj ojczyzny, bo ztamtąd, nie mogąc w samym kraju przebywać, mógłby jednak pracować nad pozyskaniem współrodaków dla tego, co za prawdę uważał.

Mimo obustronnych chęci, porozumienie jednak do skutku przyjść nie mogło. Łaski nie nadawał się na teologa nadwornego przy swoich wyobrażeniach o rządzie kościelnym. Pragnął się ubezpieczyć najprzód, że mu znaczny zakres samoistnego działania będzie pozostawiony, stawiał swoje warunki, określał bliżéj swoje przekonania religijne i swoją naukę. A znów w Prusiech było siedlisko najściślejszego, najciaśniejszego Luteranizmu, na dworze księcia panował bezwzględnie „Luteropapizm,“ jak go Łaski nazywa, sam książę hołdował mu najzupełniéj. Przesłane do Prus pisma teologiczne Łaskiego nie mogły więc usunąć skrupułów księcia, owszem wyraźnie kalwińskie stanowisko Łaskiego znalazło tam potępienie: rokowania się rozbiły nie przyniosłszy żadnego skutku.

Nie ustały jednakowoż stosunki między Łaskim a ks. pruskim. Łaski zawsze jeszcze miał nadzieję, że z czasem dla swéj nauki pozyskać zdoła ks. Albrechta. Kiedy Stanisław Łaski wybierając się w swoję wielką legacyę do Karola V, przedtém miał do ks. pruskiego się udać, nasz reformator zamierzał się zjechać w Prusiech na dworze księcia z tym bratem, który z nim nie zerwał jak reszta rodziny i już dawniéj przez jakiegoś krewniaka zasiłek pieniężny dość znaczny mu posyłał (1), który z nim następnie z Augsburga kore-

(1) Myli się Dalton, p. 276 mniemając, że Jan Łaski otrzymał coś ze spadku po Jarosławie. W cytowaném przez Daltona miejscu, Kuyper II, 593, mówi Łaski o pie-

spondował. A znów ks. pruski przedsięwziął skorzystać z usług Łaskiego, nie na polu kościelném wprawdzie, ani nie w Prusach, ale z jego usług dyplomatycznych po za Prusami w interesie i własnym i protestantyzmu w ogóle, kiedy się owa legacya Stanisława Łaskiego nie powiodła, kiedy z sejmu Augsburskiego nie przywiózł ani zniesienia, ani zawieszenia banicyi ks. Albrechta, kiedy i nad Prusami ciężkie od cesarza zawisło niebezpieczeństwo.

Z północnych Niemiec, gdzie najdłużéj podczas wojny smalkaldzkiéj stawiano zbrojny opór cesarzowi, wyszła téż pierwsza myśl, aby znów zbrojnego oporu popróbować, gdy cesarz zwycięzki zaczął sam porządkować sprawy kościelne, gdy począł od książąt protestanckich wymagać, żeby w swych krajach zaprowadzili ułożone pod jego powagą interim. Ale wobec przemocy cesarza potrzeba było i wszystkim książętom protestanckim pomiędzy sobą się porozumieć i połączyć, i zapewnić sobie poparcie znaczniejszych potęg zagranicznych. Więc ks. Otto brunświcki słał (w maju 1548) tegoż samego hr. Mansfelda, który świeżo we Francyi prowadził jakieś negocyacye, do Prus, do ks. Albrechta, ażeby wciągnął młodego króla polskiego do mającego powstać przeciw potędze Habsburskiéj związku. Wiadomo było, że świeżo jeszcze za Zygmunta Starego na dworze polskim znaczne stronnictwo z królową Boną na czele zamyślało o zbliżeniu się z Francyą, że z Francyi proponowano Polsce połączenie rodzinne (małżeństwo królewny francuskiéj z Zygmuntem Augustem), że zwycięstwo cesarza wprzód nim nastąpiło, straszyło już rząd polski, a Zygmunt Stary jeszcze w ostatniéj chwili chciał wybuch wojny smalkaldzkiéj zażegnać, na pośrednika się narzucał, potém za uwięzionymi książętami się wstawiał. Wiadomo było, jak wielkie obawy w Polsce wzbudziła niepomyślna odprawa Stanisława Łaskiego przez cesarza. A znów młody król, Zygmunt August, ściślejsze z ks. pruskim niżli ojciec utrzymywał stosunki, zasięgał nieraz jego rady, zjeżdżał się z nim, a nawet o poprawie kościoła rozprawiał, na swoim zaś dworze słuchał chętnie kaznodziejów, którzy piorunowali na zepsucie wśród duchowieństwa. Ks. pruski Zygmunta Augusta uważał za sympatyzującego szczerze z protestantyzmem, niemal za zupełnego zwolennika reformacyi. Tak polityczne zatém jak religijne względy — sądzono — łatwo go skłonić powinny do połączenia się z nieprzyjaciółmi Karola V; na zjeździe w Torgawie (w październiku 1548 r.) konferował o pozyskaniu Polski z Maurycym Saskim Jan na Kostrzynie, margrabia

niądzach *posyłanych* mu przez brata, więc przez żyjącego wtedy t. j. Stanisława. Spadek po Jarosławie zabrały jego nieletnie dzieci.

brandeburski, który w tym celu przez Andrzeja z Górki kasztelana poznańskiego na Zygmunta Augusta zamierzał wpływać (1).

Naturalnie chodziło o to, żeby do akcyi przeciwko cesarzowi wciągnąć także jedyne większe państwo protestanckie, żeby z Anglii otrzymać jeśli już nie pomoc czynną, to przynajmniéj zasiłki pieniężne, żeby więc przeszkodzić wybuchowi wojny między Anglią a Francyą, na którą się z powodu zatargów w Szkocyi zanosiło, a któraby paraliżowała swobodę ruchów Francyi przeciw cesarzowi. Po to jechał niebawem hr. Mansfeld z Prus do Anglii, do takiéj misyi wzywał też ks. Albrecht Jana Łaskiego. I to było właśnie przyczyną, że nasz reformator chętnie skorzystał z zaproszenia Cranmera i opuszczał Fryzyą, mimo niebezpieczeństw grożących kościołowi, którym kierował. Polityk i mąż stanu, wyżéj musiał cenić przyszłość całego protestantyzmu od chwilowych interesów lokalnych.

Niezapominał oczywiście, że jest teologiem i reformatorem. Przebywając przez całą zimą 1548/9 przy boku prymasa Anglii, nie zaniedbał podniecać jego reformatorski zapał; podobno nie bez skutku wpływał na to, że kościół angielski w nauce i w obrzędach zbliżać się począł do kalwinizmu; w tym celu brał udział w różnych obradach, i tém zjednał sobie u wielu prałatów angielskich wielkie uznanie. Ale gdy z wiosną 1549 r. hr. Mansfeld Anglią opuszczał, śpieszył z nim razem i nasz Łaski z powrotem, zrazu wprawdzie do Fryzyi, ale wnet na Prusy, do ks. Albrechta, który właśnie w téj porze zjeżdżał się z wojewodą malborskim, Achacym Czemą, już jawnym protestantem i protestantów w Prusach królewskich przywódzcą. Czema, cieszący się zaufaniem Zygmunta Augusta i w ogóle mu bliski, popierał (jak Andrzej z Górki) myśl przymierza Polski z książętami protestanckimi, bo toby i do postępów protestantyzmu w saméj Polsce przyczynić się musiało. Z tą nadzieją, że Zygmunt August może teraz się za reformacyą oświadczy, pragnął i nasz Łaski, opatrzony w listy polecające Edwarda angielskiego, do Zygmunta Augusta się dostać, przekonać się go spodziewał o prawdzie swéj nauki, w trzechkrotnych listach pracę swoją „do służby kościelnéj wedle nauki Chrystusa“ mu ofiarowywał, a Wawrzyńca z Prasnysza, kaznodzieję królewskiego, w gorących słowach zaklinał, żeby wytrwał na swojem stanowisku, i dworu nieopuszczał, bo za sprawą ducha świętego znikną i zginą „widma Samuelowe,“ które dobréj sprawie stawiają przeszkody.

---

(1) Druffel, Akten und Briefe, I, 224; o wszystkich zaś tych zamiarach zob. Voigt, Fürstenbund w Raumera Hist. Taschenbuch z 1857 (3 Folge 8 Jahrgang).

Samuel to bowiem Maciejowski, biskup krakowski i w. kanclerz koronny, a przy boku jego, doradca jego i powiernik, niegdy Jana Łaskiego przyjaciel, Hozyusz, starali się na wszelki sposób nie dopuszczać, żeby Zygmunt August dał się zjednać dla politycznych i kościelnych planów przyjaciół reformacyi. Maciejowski zawsze najusilniéj przemawiał za utrzymaniem jak najlepszych stosunków z domem Habsburskim, opierał się wszystkiemu, coby przyjaźń nadwątlić mogło; a choć pragnął reformy w kościele, pragnął jéj przez sobór podobnie jak Karol V, protestantyzmu zaś i wszelkich z nim związków był wytrwałym, chociaż nie srogim, wrogiem. Już dawniéj starał się oddalić z dworu Wawrzyńca z Prasnysza, zwanego Discordia, jednego z owych kaznodziejów, którzy jeszcze w Wilnie wobec młodego króla zepsucie kościoła i duchowieństwa gromili w duchu protestantów. W obecnéj chwili zaś wpływ Maciejowskiego na króla wzrastał coraz bardziej; bo w téj chwili sprawa małżeństwa z Barbarą była dla Zygmunta Augusta rzeczą najważniejszą a w téj sprawie, jak wiadomo, Maciejowski i hetman Tarnowski, także obecnie zwolennik przymierza habsburskiego, stali po stronie króla, kiedy tymczasem Górka, gorący przeciwnéj polityki poplecznik, liczył się do najgłośniejszych nieprzyjaciół Barbary. Więc pod wpływem burz sejmowych przemógł kanclerz u króla; Zygmunt August zaniepokojony opozycyą, onieśmielony co do wszelkiéj akcyi na zewnątrz, zgodził się na to, że do króla rzymskiego Ferdynanda i do cesarza pojedzie poselstwo odnowić i wzmocnić dawne przymierza. Maciejowski przeparł także, że posłem wyznaczono Hozyusza nominowawszy go biskupem chełmińskim, nie zaś przyjaciela ks. Albrechta, Czemę, który się o to poselstwo najmocniéj ubiegał.

Tym sposobem upadły wszystkie nadzieje książąt protestanckich co do przymierza polskiego, upadły i zamysły pokoligacenia się ścisłego z rodziną brandeburską, wydania zamąż sióstr królewskich za ks. pruskiego i jego synowca, także protestanta margrabiego Albrechta na Kulmbachu, choć te zamysły popierała królowa Bona, choć sam król przez czas jakiś zdawał się do nich przychylać. Oczywiście i nadzieje Jana Łaskiego musiały upaść także. Zygmunt August myślał o koronacyi Barbary, nie mógł więc drażnić biskupów stosunkami z jawnym heretykiem: król mu zabronił przyjechać do Polski i przybyć do siebie (1). Zupełnie jednak zrażać sobie prote-

(1) Że Ł. jadąc do Prus miał właściwie na celu podróż do króla, okazują słowa jego listu, Kuyper II, 632: suscepti nuper... ad Poloniae regem itineris mei, a znów w innym liście mówi o tém, co król mu odpowiedział, ibid. 639; z tego wynika, że albo

stantów nie chciał Zygmunt August; jak zawsze potém, i teraz także starał się na obie strony dobre zachować stosunki i nikomu nie odbierał nadziei. W tajemnicy przed Maciejowskim, przez protestanta Bojanowskiego odpisywał Łaskiemu, ukazywał mu jakieś nieokreślone w przyszłości widoki; niebawem za wstawieniem się ks. Albrechta wydał mu na żądanie świadectwo, któreby go usprawiedliwiło we Fryzyi wobec oskarżeń rządu cesarskiego. Bo do Fryzyi wracał zawiedziony w swoich oczekiwaniach nasz reformator; w Prusiech niemógł pozostać, przekonawszy się na miejscu, że ks. Albrecht jak przedtém tak i teraz najściślejszego Luteranizmu się trzyma.

I we Fryzyi jednak nie miał Łaski teraz długo popasać. I polityczne i kościelne względy stawały temu na przeszkodzie. Na próżno tłómaczył się Łaski, że do Anglii i do Prus jeździł jedynie w celach kościelnych, napróżno się zasłaniał owém świadectwem Zygmunta Augusta. Na dworze cesarskim nie chciano temu wierzyć; a zresztą podczas ostatniéj nieobecności Łaskiego przyjęto we Fryzyi pod naciskiem cesarza interim i zaczęto je wprowadzać, a tymczasem powracający Łaski nie chciał mu się poddać żadną miarą. Więc rząd cesarski znowu coraz groźnéj domagał się od hrabiny rejentki wygnania dyplomaty, który nad przymierzem przeciwko cesarzowi pracował i teologa, który się cesarskiemu interim opierał. Na prośby rejentki, aby uwolnił ją od kłopotów i niebezpieczeństw, musiał Łaski ustąpić—pozornie na czas tylko—nie uwolniony od swych obowiązków przez gminę, lecz otrzymawszy od niéj dłuższy urlop. Udawał się najprzód do Bremy i Hamburga, gdzie sie gorliwie przyszłym związkiem przeciwko cesarzowi zajmowano, następnie tam, gdzie już raz znalazł schronienie, do Anglii, żeby i tam daléj w dwóch równocześnie pracować kierunkach, kościelnym i politycznym.

Ks. pruski i nadal pragnął korzystać z usług Łaskiego dyplomatycznych po za Prusami. Nie zupełnie jest jasném, jakiego rodzaju był polityczny zawód w Anglii naszego reformatora. Dr. Dalton nie zaniedbuje wprawdzie téj strony jego działalności, ale ją jednak trzyma trochę w cieniu; nie wiele téż w ogóle materyału w tym względzie jeszcze zebrano. W archiwach angielskich prawdopodobnie, a napewno w archiwum królewieckiem, niejedno się jeszcze ukrywa, coby rzecz mogło lepiéj rozświecić (1). Dotychczas tyle

---

mu król zabronił przejeżdżać albo przynajmniéj odradził. Co o stosunkach na dworze polskim i o różnych wpływach na Z. A. powiedziano, polega na korespondencyi Hozyusza, Hosii Epp. I.

(1) Kuyper wydał wzięte z arch. królewiec. listy Ł. do ks. Albr. (czy wszystkie?), ale muszą tam być także listy księcia do Ł., nieznane dotąd.

tylko widoczna, że Łaski jako ajent upełnomocniony przez ks. pruskiego miał mu jakąś pomoc pieniężną wyjednać u rządu angielskiego; lecz nie wiadomo, czy to osiągnął, skoro po upadku lorda Somerseta mniéj okazywano w Anglii skłonności do popierania protestantów niemieckich; niewiadomo, czy i o ile mógł się przyłożyć do tego, że nowy protektor niebawem z Francyą się pojednał i tém rozwiązał Henrykowi II ręce do interwencyi w sprawach niemieckich. Bo, jak wiadomo, właśnie podczas trzechletniego pobytu Łaskiego w Anglii, ów związek protestanckich książąt niemieckich przyszedł istotnie do skutku, wystąpił w porozumieniu z Francyą przeciwko Karolowi V, obalił jego groźne stanowisko, a układem passawskim zapewnił uznanie protestantom niemieckim, których tylko jeszcze stanowisko prawne miał przyszły sejmy Rzeszy uporządkować i określić.

Nierównie dokładniéj jest znaną spółczesna działalność kościelna Łaskiego w Anglii. Na tém polu niebawem odegrał ważną rolę ważniejszą pewno, niżli którybądź z obcych reformatorów. Zewsząd teraz cisnęli się do Anglii, wszystkim dawał chętnie przytułek rząd Edwarda VI, gotów występować jako opiekun protestantów w całéj Europie. Pełno było tych zbiegów z Niemiec, z Francyi, z Włoch, nawet; wyjęto ich z pod juryzdykcyi biskupów angielskich, pozwolono się zorganizować w samoistną gminę kościelną, w tak zwany kościół obcych (ecclesia peregrinorum), na którego użytek oddano jeden z kościołów w Londynie. A na czele téj odrębnéj organizacyi stanął Łaski jako superintendent, zapewne dla tego, że znany już był lepiéj od innych reformatorów rządowi angielskiemu z czasu swojéj bytności poprzedniéj, więcéj jeszcze dla tego, że wśród zbiegów najwięcéj było pochodzących z krajów burgundzkich cesarza, z którymi się Łaski już we Fryzyi stykał, na których z Fryzyi wpływ wywierał, którym był znany i których posiadał zaufanie z dawniejszych czasów. Miał tu Łaski prawie swobodne pole działania, jak tylko tego mógł pragnąć: mógł, niekrępowany żadnemi tradycyami ani względami, stworzyć z kościoła obcych wzorową według pojęć protestantyzmu gminę chrześciańską, któraby dla kościoła anglikańskiego służyła za przykład, pokazywała mu cel, do jakiego mu dążyć należy. Ale zarazem nęcące to zadanie przedstawiało téż i niemałe trudności; z jednéj strony trzeba było odpierać roszczenia biskupów angielskich, nie chcących uznać odrębności i autonomii tego „kościoła obcych," trzeba było toczyć uczone dysputy i dowodzić, że ta lub owa ceremonia, to lub owo urządzenie kościelne z pisma św. da się lepiéj uzasadnić niż inne; z drugiéj strony wśród tego zbiorowiska różnych żywiołów, tych zbiegów ze wszystkich krańców świa-

ta, wyrwanych z pośrodka stosunków, do których dotąd przywykli, przychodziło nieraz do sporów, do zatargów, które należało godzić, usuwać, a wszystkich trzymać w karbach ściśléj karności kościelnéj.

Ze wszystkich prób wyszedł zwycięsko nasz reformator; pod jego kierunkiem rozwijał się i kwitnął istotnie „kościół obcych;" ale kosztowało go to niezmiernie wiele trudu i pracy, nieustannie całą swą gorliwość musiał rozwijać. Wtedy téż powstały najliczniejsze pisma Łaskiego lub wydane zostały już dawniejsze: wyznanie wiary londyńskie, katechizm londyński, cała ordynacya kościelna (forma ac ratio), o sakramentach, list o sakramencie eucharystyi.

Trud i praca w służbie religii uznawanéj za prawdziwą była Łaskiego żywiołem. To téż pomimo ciężkich strat rodzinnych, pomimo że często na zdrowiu zapadał, pewno te trzy lata spędzone w Anglii do najszczęśliwszych w swojem życiu zaliczał. Skończyły się ze śmiercią króla Edwarda VI (w lipcu 1553), z nastaniem rządów Maryi po nieudałym zamachu Northumberlanda, żeby ją tronu pozbawić. Dla Anglii przyszedł czas reakcyi na korzyść katolicyzmu, a „kościół obcych," najradykalniejszy utwór protestantyzmu w Anglii, musiał paść w pierwszym rzędzie ofiarą téj reakcyi. Trzeba było niebawem z Anglii uchodzić: zbiegowie obcy zwracali się ku Danii w nadziei, że tam znajdą podobną gościnność, jakiéj im dotąd Edward udzielał. Ale luterska ortodoksya duchowieństwa duńskiego zgotowała wygnańcom gorzkie rozczarowanie. Daremnémi były zabiegi Łaskiego u króla Krystyana III: nawet niepozwolono wysiąść na ląd jego towarzyszom i zmuszono ich niezwłocznie, wśród zimy, opuścić duńskie wybrzeża. Nie lepsze spotkało ich przyjęcie w wielu miastach północno-niemieckich; tylko we Fryzyi, dokąd Łaski prosto z Danii przodem podążył, tylko w paru miastach nadreńskich, przytulono nareszcie zbiedzonych tylu prześladowaniami wygnańców.

Odkąd bowiem pokój passawski ubezpieczył egzystencyą protestantów niemieckich, odkąd stanom Rzeszy przyznano wolność wyznawania konfesyi Augsburskiéj, wybuchły z niebywałą dotychczas siłą dawniejsze spory między teologami protestanckimi, powstrzymywane dawniéj przez wspólne wszystkim niebezpieczeństwo. Kto jest wyznawcą konfesyi augsburskiéj, pytano wszędzie. Znaczna część teologów niemieckich najmocniéj starała się udowodnić, że kto nie uznaje we wszystkiem nauki Lutra, kto się od niéj w czembądź wyróżnia, nie może téż za wyznawcę owéj konfesyi uchodzić, lecz się zalicza do wichrzycieli (Schwärmer) potępionych przez Lutra. Szczególniéj namiętnie występowano przeciwko tym, którzy sakrament eucharystyi tłómaczyli w myśl teologów helweckich, przeciwko, jak

pospolicie ich zwano, Sakramentaryuszom. Tych prawowierni Luteranie uważali za kacerzy; z niezmiernym zapałem, z ogromną erudycyą teologiczną, ale też i nieszczędząc obelg i grubiaństw, dowodzono, że ich żaden książę u siebie nie powinien tolerować, że do nich się nie stosuje układ passawski. A głosy teologów miały wpływ na wielu, na większość rządów protestanckich. Ztąd to owe niegościnne przyjęcie wygnańców angielskich, to bezwzględne niedopuszczanie ich, żeby nierozszerzyli religijnéj zarazy.

Te napaści, które imiennie i przeciw Łaskiemu się zwracały, nie dały mu spokoju i we Fryzyi, gdzie dawne swoje napowrót objął stanowisko, ale dawnego na rejentkę nie odzyskał już wpływu. Z jednéj strony rejentka musiała się liczyć z opinią książąt protestanckich, nie chciała się narażać rządowi cesarskiemu, dla którego zawsze osoba naszego reformatora była nienawistną; z drugiéj strony i w Janie Łaskim zaszła tymczasem bardzo wyraźna zmiana. W Anglii dopiero uczynił w swym rozwoju wewnętrznym krok ostatni, wtedy się w swych wyobrażeniach teologicznych ustalił, sformułował ostatecznie swoję naukę, kiedy wydawał liczne pisma, a zwłaszcza kiedy układał wyznanie wiary londyńskie. Prześladowania doznane w Danii, w Niemczech północnych, tylko go utwierdziły w przekonaniu o prawdzie téj nauki; odtąd ani jednéj litery ze swéj formuły nie chce poświęcić, odtąd staje się surowszym, bezwzględniejszym, bardziéj upartym. Dawna pojednawczość jego nie zniknęła zupełnie, i teraz nie wszczyna nigdy polemiki, ażeby swych przeciwników protestanckich piętnować jako kacerzy; ale łatwiéj było mu być pojednawczym, gdy on sam na czele kościoła fryzyjskiego lub gminy obcych w Londynie rozstrzygał o prawowierności podległych jego pieczy, niżeli teraz, kiedy jego to w Niemczech od protestantów nieomal wszędzie zarzut kacerstwa spotyka. Czując się apostołem i męczennikiem protestantyzmu, zarzuty odpiera ostro, przemawia szorstko, jak tego słuchać nie przywykli książęta niemieccy. Gdy we Fryzyi nowy katechizm, Emdeński, układano, przeparł wbrew innym, że w nim znalazła wyraz jego własna nauka o sakramencie eucharystyi, która nawet Kalwinowi zdawała się nazbyt radykalną. Więc niedogodnego, kompromitującego ją reformatora pozbywała się wkrótce hrabina rejentka; zmuszając, uwolnionego od obowiązków superintendenta, do nowéj tułaczki (w kwietniu 1555), chciała mu przynajmniéj ją osłodzić i ułatwić. Ale w Łaskim odezwała się duma polskiego szlachcica; choć niepewny przyszłości, choć obarczony liczną rodziną w znacznéj części z zasiłku od współwyznawców musiał się utrzymywać, odrzucił ze wzgardą znaczne wsparcie pieniężne ofiarowane

pod obcem imieniem przez rejentkę, gdy się domyślił, zkąd pochodzi.

Usunięcie go z Fryzyi dotknęło Łaskiego tém boleśniéj, że wrogim mu teologom luterskim dawało pochop do nowych obelg. Do nazwy wichrzyciela przybyła nowa — włóczęgi (erro), który nigdzie miejsca zagrzać nie może, którego każdy radby najprędzéj się pozbyć. Ale chociaż ten zarzut dolegał mu niemało (widoczne to z usilności, z jaką w następnych swoich pismach nieraz stara się wytłumaczyć i usprawiedliwić swoje wędrówki) nie powstrzymał go jednak, że przez półtora roku dalszego w Niemczech pobytu nowe przedsiębrał podróże dla dobra swojéj i swoich spółwyznawców sprawy. Odkąd bowiem z Fryzyi do Frankfurtu (nad Menem) się oddalił, gdzie także znalazły przytułek rozbitki dawnego kościoła obcych w Londynie, odkąd i tu niebawem ścigać i ich i jego zaczęły zarzuty kacerstwa, sprzeczności z konfesyą augsburską, odtąd Łaskiego jedna myśl przedewszystkiem zaprząta: nie tylko chce rozwiać i zbić takie oskarżenia, ale chce im na przyszłość odjąć wszelką podstawę, chce sprowadzić koniecznie zgodę pomiędzy protestantami wszystkimi, chce przez rozmowę, t. zw. kollokwium, celniejszych reformatorów obustronnych położyć koniec wewnętrznéj między protestantami waśni. Projektu rozmowy, nadziei, że zgodę wydać musi, chwyta się namiętnie, rozpaczliwie, pomimo że inni reformatorowie mu bliscy przyjmują to bardzo obojętnie, pomimo że Kalwin gani jego „niepomiarkowaną“ usilność, że Bullinger stanowczo ją potępia. W tym celu, żeby dla swojéj myśli zyskać zwolenników, prowadzi na wszystkie strony korespondencye; jedzie na sejm do Spiry, aby jednać dla kollokwium elektora Palatynatu, ztąd do Stuttgardu ks. Wirtemberskiemu towarzyszy, aby traktować z Brenzem, jedną z największych powag między ścisłymi Luteranami. A choć wszystkie zabiegi pełzną na niczem, choć Brenz stanowczo oświadcza, że nauka Łaskiego o eucharystyi sprzeciwia się konfesyi augsburskiéj, Łaski się jeszcze z długo pieszczoną myślą rozstać nie może, o kollokwium i zgodzie marzy jeszcze i wtedy, kiedy Niemcy opuszczał. Od Kalwina, z którym poraz pierwszy (i jedyny) zetknął się teraz osobiście w Frankfurcie, śpieszył do Melanchtona, z którym również pierwszy raz i ostatni miał się spotkać w swéj podróży, w drodze do Polski.

To właśnie, że do Polski teraz nakoniec się udawał, to dla Łaskiego było także niemałym bodźcem do zabiegów o zgodę z reformatorami niemieckimi. Z Polski radzono mu, aby dla powodzenia swojéj przyszłéj tam działalności, dowiódł poprzednio, że należy do konfesyi augsburskiéj. Ale zarazem z Polski coraz bardziéj naglące

dopominano się jego powrotu, bo się tam właśnie większe niż kiedykolwiek przedtem otwierało dla niego pole.

Kiedy Zygmunt Stary umierał, i w Polsce już reformacya liczyła sporo zwolenników (1). Mała wprawdzie tylko garstka przejęła się głębiéj nową nauką, ale niezmiernie rosła, zwłaszcza wśród szlachty, liczba tych, którzy reformę w kościele uważali za jeden z punktów kardynalnych upragnionéj reformy wewnętrznéj państwa. O reformie kościoła i religii, więcéj jeszcze o ograniczeniu juryzdykcyi duchownéj, rozprawiano w coraz szerszych kołach, lecz rozprawiano półgłosem, potajemnie. Jawnie wyznać się protestantem nikt nie śmiał. Nasz Łaski był długo jedynym tu wyjątkiem. Bo Zygmunt Stary przyjaciołom reformacyi nie pofolgował do końca, a juryzdykcyi duchownéj przestrzegał ostro.

Z objęciem rządów przez Zygmunta Augusta od razu nastała zmiana. O czem dotąd mówiono pocichu, o to teraz wszczynano głośne rozprawy na wszystkie strony. Za słowami poszły niebawem czyny. Różnemi ekscesami (jak głośny protest w kościele przeciwko głoszonemu jubileuszowi, przybycie wyklętego do kościoła wśród nabożeństwa itp.) manifestowali się świeccy; księża zaś nowatorstwu religijnemu hołdujący zaczęli wprowadzać zmiany w obrzędach kościelnych, gdzie który miał kościół pod swym zarządem, a na przychylność kolatora mógł rachować. Zdarzył się nawet jeden wypadek wypędzenia zakonników i zaboru ich kościoła (w Pińczowie), a równocześnie ośmielono się zjechać w tém samém miejscu na synod i zaczęto organizować oddzielny kościół protestancki. Władza duchowna z odrętwienia zbudzona nie umiała sobie poradzić. Z nieufnością oglądało się duchowieństwo na nowego króla; wiedziano, że nowa-

---

(1) Zmuszony tu mówić (zresztą w możebnie najkrótszych słowach) o reformacyi w Polsce przed powrotem Ł. do kraju, żeby jego stanowisko i rolę po powrocie zrozumieć, nadmieniam, że nie mamy dotychczas żadnéj dokładnéj historyi reformacyi w Polsce. O dawniejszych próbach takiéj historyi znajdzie czytelnik krótką wiadomość w przedmowie do mojego przed 12 laty ogłoszonego zarysu: „Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce.“ Odtąd pomnożył się znakomicie wydany już materyał źródłowy ale jedna tylko ukazała się praca w tym przedmiocie, 1881, wykłady publiczne prof. Szujskiego „Odrodzenie i reformacya w Polsce,“ w których wielkiemi rysami kreśli autor obraz wieku i rzuca światło na prądy wstrząsające owoczesném społeczeństwem, czyniąc to w sposób często wyzywający do sprzeciwienia się, zawsze pouczający i świetny. Nie jest to jednak historya reformacyi. Niemiecka „Geschichte der Reformation in Polen“ przez Konieckiego (Wrocław 1872), jest tylko kompilacyą dosyć zręczną lecz powierzchowną, zabarwioną w silny sposób konfesyjnie po lutersku. Obecnie pracuje nad historyą reformacyi w Polsce młody historyk rosyjski dr. Lubowicz, a przy skrzętnych jego poszukiwaniach należy się po nim spodziewać rzeczy gruntownéj.

torów uzuchwala nadzieja w jego pobłażliwość dla reformacyi, a nie wiedziano, jak się zachowa istotnie.

Zygmunt August prawa duchowieństwa i juryzdykcyę duchowną uznał w zupełności. Biskupi poczęli pozywać i duchownych i świeckich, król kazał wykonywać wyroki. Cały ruch protestancki przycichł nagle odrazu; pozwani księża się rozbiegli. Zgnieść protestantów w Polsce niebyłoby trudno, trudniéj nierównie uciszyć powszechne żądanie reformy. To właśnie dawało siłę protestantom, to jednak było także i ich słabości źródłem. Łatwo im było opanować opinię publiczną; jak daleko zechcą pójść wszyscy za nimi, nigdy nie mogli wiedzieć. Na razie, potępienie kilku znaczniejszych osobistości w sądzie duchownym jako heretyków, wywołało formalną burzę na sejmie na juryzdykcyę duchowną. Musieli przystać biskupi na zawieszenie czasowe téj części swéj juryzdykcyi (o herezyę), byleby resztę jéj uratować.

Wszyscy chcieli położyć kres rozterce religijnéj, zatamować to źródło mnożących się nieustannie nieporządków. Nikt nie wiedział jak dojść do tego. Oddawna spodziewano się tego po soborze powszechnym, lecz właśnie teraz zajścia w Niemczech rozproszyły sobór trydencki. Czy nowy sobór przyjdzie do skutku, było niezmiernie wątpliwém. Więc coraz bardziéj zyskiwała grunt myśl soboru narodowego, lokalnego, na którym by się porozumiéć zdołano. Pragnęli go protestanci licząc, że na soborze takim zwyciężą; zresztą mieli natychmiast zyskać uznanie niektórych odmian kościelnych. Pragnęła go i ta wielka masa, co chciała zgody zwaśnionych, a nie wiedziała co czynić. Przystał i król, na sejmie 1555 r., chociaż protestowali biskupi niechcąc się w nic wdawać bez Rzymu. I król się do Rzymu odwoływał, zapraszał legata na ów sobór narodowy, aby z papieża wiedzą i przyzwoleniem się odbył. Z Rzymu wyczekiwało ratunku duchowieństwo polskie, śląc tam nieustannie swoje skargi i żale. Zjechał też niebawem nuncyusz Lippomano, nie po to jednak, żeby w soborze narodowym wziąść udział—ten pomysł papież odrzucał i potępiał—lecz żeby położyć tamę dalszemu krzewieniu się protestantyzmu, aby znaglić króla do bardziéj stanowczego oporu, aby zjednoczyć i zorganizować w tym celu duchowieństwo. Ale protestanci zastrzegłszy już na sejmie, że sobór ma przyjść do skutku koniecznie, z papieżem czy bez papieża, liczyli na pewno, że w sobór się zmienić musi ów sejm, już recesem piotrkowskim zapowiedziany (1). Na ten czas wzmocnić się więc chcieli nowemi znacz-

(1) Nieznany ten reces piotrkowski z 14 czerwca 1555, w którym król zapowiada sejm na św. Bartłomiej (24 sierpnia) roku następnego w jakim miejscu pogranicznem z Litwą, znajduje się w Tekach Naruszewicza, w Arch. X, Czartor., tom 68.

niejszemi siłami z zagranicy, a tymczasem starali się zohydzić nuncyusza w oczach niezdecydowanych, nie przebierając w środkach. Paszkwile, pofałszowane listy jakoby przez Lippomana pisane z owemi srogiemi radami, które miał dawać królowi, a które dziś jeszcze można spotkać u protestanckich pisarzy (i u Daltona także), miały posłużyć do tego celu.

Cel osiągnięto w zupełności, o Lippomanie niedługo nikt prawie nie rzekł dobrego słowa; na tém jednak tylko nie można było poprzestać. Równocześnie z głośnym ruchem na sejmach odbywał się drugi o wiele cichszy wśród owych nielicznych ale ruchliwych protestantów, nierównie większéj na przyszłość doniosłości. Po zawieszeniu juryzdykcyi duchownéj rozproszeni ministrowie protestanccy poczęli wracać na dawne miejsca. Zaczęła teraz wzrastać ilość protestantów. Kto z jakiegobądź powodu skłócił się z kościołem katolickim, ten garnął się do protestantów nie myśląc nieraz wcale o reformie i poprawie obyczajów; dla wielu zrzucenie jarzma kościelnego miało być dopiero hasłem do zupełnéj wolności i swawoli. Nikt nie zaprzeczy, że byli wśród protestantów polskich ludzie cnotliwi i religijni, ale jak gdzieindziéj tak i u nas pod wpływem rozterki religijnéj obyczaje się rozprzęgały, a mnożyły się nadużycia i zbrodnie. Nie miał ich kto powściągnąć, bo nie było urządzonego rządu kościelnego wśród protestantów.

Boleli nad tém szczególniéj protestanccy duchowni, ministrowie przemyśliwali o tém, jakby jakąś karność kościelną wprowadzić. Brakło im jednak do tego należytéj powagi, nazbyt byli zależni od swych szlacheckich opiekunów. Z drugiéj znów strony nowicyusze ci w reformowaniu raz po raz znajdowali się w wątpliwościach, czém, w jaki sposób zastąpić odrzucone i potępiane obrzędy kościelne, jak się w mnóstwie wątpliwych wypadków zachować. Spisano wprawdzie na owym pierwszym synodzie jakąś reformacyę czy ordynacyę, wybraną z kolońskiéj, angielskiéj i trzeciéj, którą napisał na żądanie Stankar, ale ta łatanina nie wystarczała na wszystkie potrzeby. Każdy radził sobie jak mógł i jak potrafił, nastawało coraz większe zamieszanie. Temu koniecznie należało zapobiedz, jeśli protestantyzm polski miał nabrać siły, jeśli—jak tego pragnęli ożywieni kalwińskim prozelityzmem protestanci Małopolscy, najruchliwsi i innym przodujący—miał z czasem opanować całą Polskę, jeśli miał już na owym soborze narodowym poważnie wystąpić. Potrzeba było się zaopatrzyć w jakieś wzory, wprowadzić jednostajność, zapobiedz zgorszeniu. Jedni uciekali się po radę do powag zagranicznych, do słynnych i uznanych reformatorów. Inni mniemali, że pożądane wzory i bliżéj znaleść można. Przebywali już w Polsce od lat paru Bracia Czescy,

liczyli nawet sporo uczestników swéj jednoty i możnych opiekunów w Wielkopolsce; a Bracia Czescy posiadali doskonały rząd kościelny i ścisłą karność, celowali prostotą obyczajów, moralności przestrzegali wzorowéj. Z Braćmi Czeskimi poznali się bliżéj niektórzy z Małopolskich ministrów; za tych inicyatywą poczęto radzić, czyby łącząc się z nimi nie uzyskać od razu i gotowéj konfesyi i zupełnéj organizacyi. Porozumiewano się czas dłuższy; to co na sejmie 1555 r. uchwalono, wpłynęło na przyśpieszenie rezultatu: w sierpniu 1555 r. nastąpiło na zjeździe w Koźminku połączenie Braci Czeskich z Małopolskimi protestantami.

Zjednoczenie to wywołało wielką radość między protestantami za granicą. Wśród protestantów polskich jednak okazały się niebawem niemałe w tym względzie wątpliwości. Rzecz stała się dość pospiesznie i nagle; zobowiązano się przyjąć od Braci Czeskich wszystko, i konfesyą i ich urządzenia, nie wiedząc jeszcze dokładnie, co się przyjmuje. Stało się to za sprawą jednéj części ministrów małopolskich, bez spółudziału innych; ci więc już z góry poniekąd byli temu niechętni. Wydawało się téż wątpliwem, czy przyjęcie wszystkiego od Czechów nie skompromituje więcéj protestantyzmu w Polsce niżli mu dopomoże. Przecież ci Pikardowie, jak ich przezywano obelżywie, osławieni byli jako sekciarze, przecież ich z Czech wygnano, a protestanccy reformatorowie w Niemczech ledwo po różnych wyjaśnieniach zgodzili się ich uznać za prawdziwych ewangelików. A zresztą: czyż ci ludzie skromni, niskiego stanu, mogli się mierzyć z biskupami katolickimi, zaimponować rzymskiemu legatowi? Wielu sądziło, że nierównie stosowniéj sprowadzić do Polski ludzi głośnego imienia. Chociaż więc potwierdził nowy synod w Secyminie tę unią, choć wysłańcy Braci Czeskich zjechali i na następny synod do Pińczowa (w kwietniu i maju 1556 r.), tutaj w ich obecności, lecz bez poprzedniego o tém zawiadomienia ich, uchwalono zaprosić do Polski naszego Jana Łaskiego, a nawet samego Kalwina. Na synodzie tym znajdował się jeden z członków rady królewskiéj, którzy się zwykle dotąd uchylali od udziału w takich zebraniach, Jan Bonar, kasztelan biecki, ożeniony z siostrzenicą Łaskiego Tenczyńską. Jego wpływ był tu przeważającym, on wujowi swojéj małżonki do powrotu otwierał drogę.

Już zresztą bawił w Polsce, choć musiał się ukrywać, inny niegdy znaczny dostojnik w kościele katolickim, teraz pośrednik w ściślejszym związku z reformatorami szwajcarskimi, Lismanin, dawny prowincyał w Polsce Franciszkanów, spowiednik królowéj Bony. Niejasny jest jego stosunek do Zygmunta Augusta. Że ten, który pogodził Bonę z Barbarą musiał być miłym królowi, to nie podlega

wątpliwości. Ale jaki na niego wpływ wywierał, czy z woli króla i po co wyjeżdżał za granicę—to, mimo wszystko, co zwykle o tém bywa powtarzane, wymagałoby wyjaśnienia. Tyle pewna, że odkąd Lismanin w Szwajcaryi złamał śluby zakonne i pojął żonę, odtąd na Zygmunta Augusta spoglądał z pewną obawą. Ale kiedy posłyszał, co na sejmie 1555 r. stanęło, nie mógł już pohamować swojéj niecierpliwości. Wzywany przez niektórych polskich protestantów, dążył tam spiesznie wprzód zanim go formalnie zaproszono, opatrzony w listy Kalwina i celniejszych reformatorów szwajcarskich. Bo odkąd się głośniejszy ruch reformacyjny w Polsce rozpoczął, z ciekawością, z nadzieją, śledzono ten ruch i zagranicą. Kalwin już dawniéj odezwał się do Zygmunta Augusta, spółcześnie kiedy Łaski usiłował się dostać do niego, w początkach jego rządów. Nie otrzymawszy odpowiedzi, zamilkł potém na lat parę. Dopiero kiedy Lismanin się w Szwajcaryi pojawił, na jego żądanie i za jego zachętą, Kalwin znów i do króla i do całego szeregu wpływowych w Polsce osób, które wskazał mu Lismanin, napisał listy, po raz pierwszy dopiero wstępując w stosunki bezpośrednie z protestantami polskimi (pod koniec 1554 i w początku 1555 r.). Nikt mu nie został dłużnym odpowiedzi. I król po kilku miesiącach, po sejmie 1555 r., odpisał łaskawie (1), bardzo przyjaźnie, lecz w sposób nieokreślony. Więc teraz zabierał z sobą Lismanin o wiele większą paczkę listów Kalwina, z pochwałą tego co już zrobiono, z zachętą do dalszéj pracy.

Mniemał jednakże Kalwin i inni reformatorowie szwajcarscy, że sam Lismanin nie podoła trudnemu w Polsce dziełu, że potrzeba tam także bardziéj doświadczonego pracownika. Wszyscy oni wprzód jeszcze, nim Lismanin ruszył w drogę, usilnie nalegali na Łaskiego, aby i on spieszył niezwłocznie do ojczyzny, aby się tam „koniecznie wcisnął, jeżeli tylko jakąś możebną dla siebie szparę dostrzeże.“ A tymczasem Łaski się właśnie teraz ociągał i wezwaniom nie chciał uczynić zadość.

Nie dla tego, żeby odmawiał swoich usług rodakom. Owszem, pragnął tego oddawna najgoręcéj. Nie tylko z bratem Stanisławem, póki ten żył, jeszcze z Fryzyi utrzymywał stosunki; i któregoś ze swych krewniaków czas jakiś wtedy przy sobie chował, do Polski

---

(1) List Kalwina do Łaskiego mówiący o téj odpowiedzi, mylnie podano w Calvini Opp. XV, 2071 pod r. 1554; fizyczném było podówczas niepodobieństwem, żeby 26 grudnia miał Kalwin w Genewie odpowiedź na swój list do króla pisany 5 grudnia, treść też listu do Ł. okazuje, że należy do r. 1555; bo jest odpowiedzią na ten list Ł. do K. z 19 września 1555, ibid. 2291, z którego wzięto zacytowane poniżéj słowa.

posyłał dowiadując się zapewne już wtedy, czy nie ma jakiego do powrotu sposobu. Widzieliśmy, jak mu się potém nie powiódł ów szturm formalny, który do Zygmunta Augusta przypuścił mnogiémi listami. Choć poniewoli skutkiem téj klęski na drugi koniec Europy na lat parę musiał się przenieść, i tam nie zapominał o kraju swym, i ztamtąd każdą chwytał sposobność, żeby i o nim nie zapominano w ojczyźnie. Kiedy z Anglii jakiś podróżnik wybierał się do Polski, Łaski dał mu list polecający do króla, chociaż czuł dobrze, że tém może mu więcéj zaszkodzić niżli pomódz. Uczynił to jednak nie tyle dla tego, żeby się przed królem pochwalić dobrem przyjęciem, które go w Anglii spotkało, jak raczéj po to, żeby królowi jako tegoż poddany „chociaż poniekąd odrzucony“ służby swoje na każde zawołanie zalecić. W jakim celu, do jakich posług,— o tém teraz po niezbyt dawném doświadczeniu przemilczał roztropnie; przed tym jednak najbliższym króla doradcą (Radziwiłłem), do którego głównie zwykli się byli zwracać protestanci, w gorących słowach zaprzeczał rozgłaszanym podobno w Polsce wieściom, że do kraju nie chciałby wrócić, gdyby go dla głoszenia ewangelii powołano, i oznajmiał o swéj do ojczyzny tęsknocie. Podobno z Anglii zamierzano ułatwić mu pobyt w Polsce, przynajmniéj przez czas jakiś podobno powstał projekt, żeby na sejm polski pojechał posłem od króla Edwarda. Rzecz nie przyszła do skutku (1); ale gdy polski poseł zjechał do Anglii, niezaniedbał Łaski wejść z nim natychmiast w stosunki. Jechać do Polski jednak nie zamierzał, dopóki by go nie powołano. Nawet gdy z Anglii musiał ustąpić, gdy w Danii doznał prześladowania, gdy w końcu Fryzyą opuścić przyszło, zawsze koniecznie powołania z Polski ciągle wyglądał. Kto tak jak on zadanie swoje pojmował, nie mógł się zjawić w Polsce z nienacka, nie proszony ani wzywany, nie mógł stanąć w jednym szeregu z wszystkimi samozwańczymi reformatorami. Jego charakter, jego dotychczasowa działalność, do innéj go we własném wyobrażeniu przeznaczały roli, do objęcia steru całego ruchu. Tylko przez decydujące czynniki chciał być do pracy zaproszonym formalnie, bo tylko wtedy mógłby należytą posiadać siłę i powagę. Oczekiwał wciąż jeszcze, że król się za reformacyą oświadczy, nie tracił nadziei, że jego przed innymi do jéj przeprowadzenia wybierze. Bardzo być może, iż swoją odpowiedzią (nieznaną dotąd)

---

(1) Niejasném jest, co o tém mówi Dalton, 509, cytując książkę, któréj nie mam pod ręką, lecz nie cytując, z jakiego to listu czy aktu w téj książce wziął swą wiadomość. W każdym razie jako obcy poseł nie mógłby Ł. brać udziału w naradach sejmu, jak to sobie D. wyobraża.

którą dał Zygmunt August Łaskiemu przed paru laty, sam król wzbudził w nim tę na przyszłość nadzieję. A nadto: Łaski przy swoich pojęciach o rządzie kościelnym i kościelnéj karności nie mógł pochwalić dorywczego, anarchicznego reformowania przez szlachtę. Z niechęcią patrzał na to jak „szlachta bez żadnego porządku rzecz prowadzi i chce żeby jéj było wolno wiele rzeczy, które nie przystały, tak iż grozi niebezpieczeństwo, aby nie nastało wielkie zamieszanie wszystkich stosunków.“ Stojąc więc po stronie reformatorów co do rzeczy, co do formy chciał trzymać z królem, byleby ten raz do reformacyi przystąpił; że się to stać niebawem może, nie wątpił jeszcze. I dla tego na wezwanie Kalwina i innych odpowiadał, że jeszcze nie czas na jego podróż do Polski, że jeszcze musi chwilę poczekać, aż się tam rzeczy wyjaśnią, aż dokładniejsze odbierze ztamtąd wiadomości.

Czekać bowiem z założonemi rękami nie zamierzał bynajmniéj. Usiłował przyspieszyć, wywołać nawet owo tak upragnione powołanie. Wydawał właśnie (1555 r.) całą ordynacyę kościoła obcych w Londynie głównie dla usprawiedliwienia się z zarzutów, które mu czyniono w Niemczech, ale także i z myślą o tém, że ta ordynacya za wzór dla polskich protestantów może posłużyć, że się królowi podoba. Jemu ją dedykował długim listem, w którym całą swoję przeszłość przechodził i odpiérał wszystkie swych wrogów oskarżenia. Tę swoję pracę słał do Polski przez umyślnego posłańca, w téj saméj chwili, kiedy wyjeżdżał tam Lismanin, dotąd—jak się zdaje—Łaskiemu wcale nieznany; słał nadto oddzielne listy do króla, do senatu i do rycerstwa. Naglił w nich, aby dłużéj nie zwlekano z reformą kościoła, a króla upominał, aby dzieło tak ważne całą swoją poparł powagą.

Oczekiwanie niecierpliwe na odpowiedź skracał sobie nasz reformator owemi staraniami o kollokwium, których niepomyślny skutek już znamy. Wrócił nakoniec posłaniec, w początku czerwca 1556 r., niezupełnie pomyślne przynosząc wieści. Od króla przywiózł list łaskawy, „pełen przychylności,“ taki sam, jaki Kalwin przed paru miesiącami otrzymał; ale w liście nie było tego jednego, czego Łaski tak utęskliwie wyglądał: nie było ani słówka o powołaniu go do kraju. Prawda, że za to Radziwiłł zapraszał i wzywał Łaskiego do powrotu, koniecznie na ten sejm w jesieni, który już rozpisano, na którym będzie o religii narada, na który się stawi legat papieski. Ale znów ostrzegał krajczy koronny, Myszkowski, tak samo jak Bonar ożeniony z siostrzenicą naszego reformatora, z Tenczyńską, także protestant przyjazdu wuja żony pragnący, żeby jednak wprzód nim przyjedzie dowiódł, że z konfesyą Augsburską jest w zgodzie.

Przywiózł wprawdzie ten sam posłaniec wezwanie od synodu pińczowskiego, przywiózł i zaproszenie od innych jeszcze osób. Łaski się zdecydował, że do Polski pojechać niebawem musi, ale się jeszcze wahał, kiedy ma to uczynić. Jeszcze myślał o układach z Luteranami, o kollokwium; posławszy do Polski po nowe wyjaśnienia drugiego posłańca, sądził, że może jeszcze całą zimę w Niemczech zostanie. Ciężko mu było z tém się oswoić, że bez króla poparcia i powagi musiałby w Polsce działać. Ostatecznie, jak się zdaje, wpłynął na niego Kalwin. Nim jeszcze wezwanie od synodu nadeszło, Kalwin tłómaczył znów Łaskiemu, że powołanie go przez szlachtę powinno mu wystarczyć; uważał że skoro król woli na dwóch stołkach siedzieć a ludzie pobożni dzieło już rozpoczęli w Polsce, przy milczącém poniekąd przyzwoleniu króla (*eo non invito*), Łaskiemu nie wolno dłużéj odkładać swojéj podróży.

Osobiste spotkanie się Kalwina z Łaskim zwalczyło w nim ostatnie skrupuły. Tylko jeszcze przed wyjazdem wypracował swoję i swojéj gminy apologią, „oczyszczenie“ (purgatio) z czynionych im przez Luteranów zarzutów, żeby podać to pismo radzie miejskiéj frankfurckiéj a następnie ogłosić drukiem. Wnet już jest w drodze do kraju, zajeżdża do Wittenbergi, gdzie go Melanchton mile wita (nie darmo ściśli Luteranie oskarżali Malanchtona o kryptokalwinizm); ztamtąd przez Wrocław staje 3 grudnia 1556 r. w granicach Polski, w 15 lat blisko od tego czasu, kiedy je raz ostatni opuścił.

I teraz jeszcze oglądał się na Zygmunta Augusta, bez jego wiedzy nie chciał nic rozpoczynać. Dopóki mu się nie opowie, dopóki mu nie wyłuszczy pobudek swego przyjazdu, dopóki go raz jeszcze nie wezwie, aby wyszedł nareszcie z długiego w sprawie religijnéj wahania, stroni Łaski od tłumniejszych zgromadzeń, nieomal się ukrywa u Bonara, w Rabsztynie najprzód, potém w Balicach. Potajemnie tylko w nocy przyjmował wysłańców Braci Czeskich, którzy w myśl połączenia Koźminieckiego właśnie do Małopolski, w połowie grudnia 1556, zjechali wizytować kościoły protestanckie. Dopiero gdy swój list do króla ukończył i wyprawił, ukazał się téż na zebraniu kilkunastu małopolskich ministrów protestanckich w Iwanowicach w dniu Nowego Roku 1557, żeby się przedstawić spółtowarzyszom pracy i wśród nich złożyć Bogu dzięki za szczęśliwy powrót do kraju, za radość z ujrzenia „kościoła Chrystusowego“ w ojczyźnie (1).

(1) O tém pierwszém wystąpieniu Łaskiego w Polsce podaje Dalton dosłownie, 534, ustęp z protokółów synodów i zgromadzeń ministrów protestanckich w Małopolsce z 1550—1561, które mu się udało wynaleźć; ogłoszenie w całości tak ważnego nieznanego źródła do dziejów reformacyi byłoby niezmiernie pożądaném.

Czynił to Łaski po części także z ostrożności, ostrzeżony przez Bonara, że teraz właśnie trzeba bardzo postępować przezornie, żeby sobie Zygmunta Augusta nie narazić. Odkąd Lippoman bawił w Polsce, zagrzane przez niego duchowieństwo, w pierwszym szeregu Hozyusz, wytężyło wszystkie swe siły, żeby króla nakłonić do ostrzejszych przeciwko nowatorstwu kroków. W ostatnich bowiem miesiącach, po sejmie 1555 r., w nadziei zapowiedzianego soboru narodowego lub rozpraw o religii na przyszłym sejmie, istotnie wzrósł bardzo ruch między protestantami. Reformowano kościoły, „oczyszczano je z naleciałości papizmu“ nawet po królewszczyznach, o ile były w ręku przyjaciół reformacyi. Raz poraz odbywały się zjazdy i synody protestanckie, chociaż tylko król wyłącznie miał prawo jakiebądź zjazdy zwoływać. Upłynął termin dla przyszłego sejmu zakreślony recesem piotrkowskim. Król wciąż przebywał na Litwie, dokąd nie omieszkało duchowieństwo z Nuncyuszem słać coraz nowych skarg i żalów, podniecać podejrzliwość króla i jego zazdrość o władzę. I nie bez skutku. Dawał teraz posłuch temu, co mu już dawno ze strony katolickiéj powtarzano, że ruch reformacyjny przeciwko władzy królewskiéj z czasem się może zwrócić. Ztąd wyniknął dekret banicyi na Lismanina, który go spotkał na samym do kraju wstępie, ztąd wydany z kancelaryi królewskiéj zakaz tego synodu pińczowskiego, na którym Łaskiego powołać postanowiono. Bo król w téj chwili chciał spokoju na polu religijno-kościelném, zwracał całą uwagę na zawikłania inflanckie, zamierzał ukrócić pychę mistrza Zakonu w Inflantach i w tym celu chciał się zbroić. Każde głośniejsze poruszanie kwestyj spornych napełniało go obecnie największą niechęcią względem każdego, kto tego był sprawcą. Przyjeżdżał król z Litwy do Warszawy i powoływał senatorów radzić o tém, jakby dostać na wojnę pieniędzy. Wiedział, że bez sejmu nie będzie pieniędzy, ale chciał uniknąć takiego sejmu (1), na którymby wytoczono znów na stół i egzekucyą i unię i reformę, jak to reces piotrkowski zastrzegł. Stanęło, żeby próbować drogi pośredniéj: wszystko zostawić *in statu quo*, utrzymać reces piotrkowski w mocy, lecz jego wykonanie na czas późniejszy odłożyć. To się na sejmie warszawskim 1556/7 roku

---

(1) Między protestantami zagranicą chodziły nawet wieści (list Micronlusa do Bullingera z 3 marca 1557, Calvini Opp. XVI, 2603), jakoby Zygmunt August myślał o zamachu stanu i chciał odbyć sejm bez posłów od szlachty, czemu tylko zapobiegło postanowienie szlachty, że nie poslucha uchwał takiego sejmu; wieści z pewnością bezpodstawne, świadczące tylko o obawie przed wpływem Lippomana na króla, może także ku zohydzeniu nuncyusza rozszerzane.

królowi udało zupełnie. Posłowie ziemscy po paru tygodniach sporów dali się udobruchać, gdy im król nowe uroczyste dał tego recesu potwierdzenie. Uchwalono podatki na możliwą wojnę inflancką. Status quo utrzymywał edykt warszawski: zabraniał wszelkich dalszych innowacyi, nie dopuszczał reformowania kościołów w dobrach królewskich, ale zatwierdzał milcząco dotychczasowe zabory kościołów przez protestantów, przyznawał szlachcie wolność wszelką trzymania kaznodziejów protestanckich sobie po domach. Tém się pocieszali protestanci, zawiedzeni w nadziejach co do sejmu; tamto zadowolniło biskupów, że aż ten edykt późniéj niby przeciwko protestantom wymierzony w zbiorze praw kościelnych pomieścili. Król cel swój osiągnął nateraz przez tę słomianą zgodę.

W czasie tego to sejmu przyjechał Łaski do Polski, w czasie téż sejmu przyszła i wiadomość o jego przyjeździe i niebawem list jego do króla. Już dawno straszył katolików przyjazd naszego reformatora; jeszcze w marcu 1556 r. donosił Kromer Hozyuszowi, że podobno w drodze do Polski we Frankfurcie nad Odrą już się znajduje. A kiedy przybył istotnie, mniemali kanonicy krakowscy, że w zmowie z królem na zgubę kościoła to uczynił (1). Biskupi wraz z nuncyuszem natychmiast oblegli króla, aby Łaskiemu takie same zgotować przyjęcie jak Lismaninowi, aby jawnego heretyka wyrzucić z kraju. Król nie dał się zbić z zajętego w téj chwili stanowiska: żadnego wznowienia, żadnego niepokoju. Przybył Łaski, więc niech zostanie: banicya jego musiałaby wywołać wśród wszystkich protestantów wzburzenie, a tego właśnie teraz król unikał za jakąbądź cenę. Dlatego i banicyi Lismanina chociaż nie zniósł, ale jéj moc powstrzymał. Pozwolił król sobie odczytać list Łaskiego; odpisał mu nawet, ale krótko i sucho w sens edyktu warszawskiego: przyjmował król jego przyjazd do wiadomości, groził jednak, że go w swych krajach nie ścierpi, gdyby jakiebądź w sprawach kościelnych wprowadzał innowacye (2).

Bądź co bądź było to dla Łaskiego zwycięztwo, była to pośrednio aprobata jego przyjazdu przez króla. Że się uda usunąć zastrzeżenie o innowacyach, nie tracił jeszcze nadziei. W tym celu wkrótce wyruszał w drogę za królem na Litwę, pewny potężnego

---

(1) Kromer do Hozyusza 20 marca 1556, Kijewski kanon. krak. do Hozyusza 4 stycznia 1557; te i inne cytowane poniżéj listy do Hoz. z Ms. Bibl· Jagiel., Archiw Frauenbur. i ks. Czartor. będą wydane w 2 tomie Korespondencyi Hozyusza.

(2) List ten z 7 stycznia 57, pomieszczony w całości w liście Vergeria do Stan. Ostroroga (Gindely, Quellen z. Gesch. d. Böhm. Brüder 225), bardzo być może iż uprzedził oddanie listu Ł. do króla, datowanego z Balic 28 grudnia 1556.

poparcia przez Radziwiłła. Ztąd znowu wielka trwoga wśród katolików. Zawczasu ostrzegał Hozyusz któregoś z kapelanów królowéj; duchownych sekretarzy królewskich straszyło, że co król czyni, czyni tylko dla formy, że — kto wie — może się znosi potajemnie z Łaskim, który się w Wilnie podobno już ukrywa.

Obawy nie były bezpodstawne. Nie potajemnie przybył Łaski, bo to się sprzeciwiało całéj jego naturze. Zjawił się (w połowie marca 1557) głośno, ostentacyjnie z honorami przez Radziwiłła i innych możnych protestantów przyjmowany. Publicznie się królowi i królowéj przedstawił, w wymownych słowach wyłuszczył powody swego do kraju powrotu. Winszował królowi, że za jego panowania czystsza religia nastala, i do jéj szerzenia go wzywał. Stanowcze i pełne godności, lecz skromne jego wystąpienie, szczególniéj wobec królowéj, z którą o religii wcale nie mówił, zrobiło nawet na przeciwnikach bardzo korzystne wrażenie (1), król zaś słuchał go uważnie, z przychylnością. Dał wprawdzie ksiądz podkanclerzy Przerębski suchą odpowiedź urzędową w imieniu króla, że się religii swych przodków chce trzymać, a powoływać do kraju jedynie on sam ma prawo; ale za sprawą Radziwiłła, uprzedziwszy o tém Łaskiego, już po 2 dniach udzielił mu Zygmunt August prywatnie posłuchania. Z cierpliwością przyjął gromiące Łaskiego napomnienie za grzech, który popełnił, wypierając się przez tę publiczną odpowiedź „prawdziwego Chrystusa;“ wziął od niego spisany na prędce traktat o obowiązku monarchów, żeby niweczyć bałwochwalstwo a szerzyć prawdziwą wiarę; usprawiedliwiał się przed reformatorem wojną inflancką, po któréj się zajmie sprawą religii na sejmie; tymczasem przyrzekł Łaskiemu opiekę, uznał go swym sekretarzem i pozwolił mu prywatnie urządzać zbiory lub uczęszczać na nie do innych.

Tém częściowém tylko powodzeniem musiał się Łaski zadowolnić; zdaje się, że już w Wilnie po raz drugi się z królem osobiście nie zetknął i bodaj czy nie stracił długo żywionéj nadziei, że go przecież pozyska dla protestantyzmu. Ale z danego pozwolenia, ku oburzeniu i przerażeniu katolików, zrobił obszerny użytek. W domu Radziwiłła, przez niego wciąż nader gościnnie i wspaniale podejmowany, przez cały blisko miesiąc kazał i nauczał przy liczném nieraz zbiegowisku to po polsku, to po łacinie, nastając na ko-

---

(1) Widać to z listu Bonawentury Tomasza do Hoz. 1 kwietnia 57, tego właśnie kapelana królowy, którego H. przedtem ostrzegał; cf. list jego do H. 11 lutego 57, toż Karnkowskiego do Hoz. 8 marca 57. Prywatną audencyą opisuje towarzysz Łaskiego Utenhove ministrom zurychskim 6 czerwca 57, Calvini Opp. XVI, 2652.

ściół katolicki, na błędy jego nauki. A przykład Łaskiego podziałał tak zaraźliwie, zachęcająco, że i po jego wyjeździe nie ustały te nauki i kazania. Nawet w domach mieszczan wileńskich, bez żadnéj przeszkody gromadzono się na nabożeństwo, spółcześnie z nabożeństwem w katedrze. „Tu nie postoi nikt z panów, a mało kto z pospólstwa, tam spieszą tłumy; wszyscy idą za powagą tego, który więcéj znaczy, niż wszyscy biskupi“ (Radziwiłła), tak się niebawem żalili wszelkiego stopnia duchowni katoliccy na dworze wileńskim bawiący (1).

To samo działo się w drugiéj stolicy, w Krakowie. Tam pospieszył od króla wracając nasz Łaski; teraz nie ukrywał się wcale, lecz głośno rozpowiadał, że całkiem różną od publicznéj była prywatnie mu dana odpowiedź królewska. Jak w Wilnie u Radziwiłła, tak w Krakowie w domu Bonara znów kazał i nauczał nawet i w dni powszednie. I tu gromadziły się tłumy wszelkich stanów, że aż niebawem kapituła krakowska słała do króla ze skargą (2): „Łaski tu serca prostaczków zgubną doktryną swoją zaraża,“ trzeba koniecznie czem prędzéj go ztąd oddalić, z całego kraju wypędzić.

Nie tylko w samym Krakowie. Wkrótce słyszymy głosy: „Łaski w Pińczowie rolę papieża odgrywa,“ stanowi kapłanów, gromadzi zbory, organizuje protestantów. Tu, kędy najprzód w Polsce zaprowadzono nabożeństwo według obrządku kalwińskiego, było istotnie podówczas centrum protestantyzmu polskiego. Tutaj zawsze powracał Łaski, choć rzadko dłużéj na miejscu przebywał. Ani minister przy jakim pojedyńczym kościele, ani superintendent któréj prowincyi (byli superintendenci oddzielni), Łaski był duszą całego protestantyzmu w Małopolsce. Powagę miał u świeckich czy ministrów ogromną. Oprócz rodzinnych stosunków, oprócz przeszłości jego i doświadczenia, największy urok dawał mu związek z całym zachodnim protestantyzmem, poparcie pierwszych powag zagranicznych. Kalwin wymawiając się, że na owo wezwanie do Polski przybyć nie może, zaręczał, że to zbyteczne teraz, kiedy już mają Łaskiego; raz wraz w listach coraz liczniejszych wychwala jego cnoty, naukę i zasługi. Rolę téż Łaskiego wśród protestantów małopolskich istotnie najwłaściwiéj można porównać ze stanowiskiem papieża. Wszystko się opierało o niego,—ale też za to na niego spadała główna odpowiedzialność i główny ciężar. Żeby mu wydołać, musiał wytężać star-

---

(1) X. Pikarski do Hoz. 4 kwiet. i 14 czerw., podkanclerzy Przerembski do Hoz. 4 listop. 57.

(2) Kapituła krak. do króla 4 czerwca 57 w Arch. kap. kr.

gane chorobą i pracą siły, musiał nieustanną i niestrudzoną rozwijać działalność. Nie wiele może się na kogo spuścić, chyba na tych doświadczonych towarzyszy (jak Niderlandczyk Utenhove, Fryzyjczyk Abel Sylvius), których przywiózł ze sobą; mniéj jeszcze ma się kim wyręczyć, skoro ci przybysze nie dosyć znają i język i stosunki polskie. Sam musi ordynować ministrów, sam w Pińczowie dogląda powstającéj szkoły, nadzoruje przekładu pisma św. na język polski zniewala do założenia drukarni w celach propagandy pism protestanckich. W Pińczowie lub okolicy gromadzi wokół siebie synody albo konferencye ministrów kościelnych, na nich się, nieraz osobiście, uciera z Aryanizmem, który coraz częściéj, coraz zuchwaléj zaczyna się odzywać w Małopolsce. Z Pińczowa przedsiębierze podróże nieraz dalekie, to do ludzi wpływowych a wahających się, żeby ich pozyskać, to do Wielkopolski, a nawet do Prus, żeby Luteranów przywieść do zjednoczenia ze swym kościołem. A kiedy wraca do Pińczowa, to tutaj lub gdzie w pobliżu przyjmuje znów wysłańców Braci Czeskich, prowadzi z nimi mozolne układy, żeby utwierdzić na prawdę połączenie Koźminieckie. Wśród tylu trudów umie znaleść chwilę spokojną na pracę literacką: na odpoczynek pisze traktaty polemiczne i zwalcza w tonie coraz ostrzejszym napaści bądź ścisłych Luteranów, bądź katolików jak Hozyusz prawowiernych.

W każdym kierunku przychodziło naszemu reformatorowi łamać się z trudnościami. Już organizacya wewnętrzna napotykała na przeszkody od szlachty; nie miano ochoty łożyć wiele na utrzymanie stałe ministrów przy zborach, na szkoły dla kształcenia przyszłych duchownych, na drukarnią i inne potrzeby. Nie jednego ze szlachty popchnęła ku protestantom chciwość, nadzieja, że się od opłat dla kościoła uwolni; nie wszyscy też protestanci zaprzestali opłacać dziesięcinę księżom katolickim, nie ustała jeszcze juryzdykcya duchowna o takie sprawy, zawieszona jedynie co do spraw o herezyą. Nie chciano więc brać na siebie nowych ciężarów obok dawnych, o to się nieustanne wszczynały swary między ministrami a szlachtą. Zagodził je dopiéro synod we Włodzisławiu, we wrześniu 1558 r., dopiéro wtedy uchwalono „hojną kontrybucyą“ na potrzeby kościelne, ale postanowiono równocześnie, że dziesięcin na przyszłość „papistom“ dawać nie należy, że trzeba z takim wnioskiem na przyszłym sejmie wystąpić. Wtedy też stanęło, żeby nie obarczać poddanych większémi niżli prawo dozwala ciężarami (tj. nie zmuszać ich do więcéj jak 2 dni robocizny z łanu); jedyny to, o ile wiem, wypadek, w którym się protestanci polscy dolą wieśniaków zajmowali. Wtedy też zgromadzeni na synodzie znakomitsi z pomię-

dzy świeckich poddali się karności kościelnéj, za przykładem Bonara (1). Był to więc nie mały tryumf dla Łaskiego.

Przybywało współwyznawców protestantom w Małopolsce. Bonar już nie był jedynym senatorem w ich gronie. Ale nie udawało się pozyskać tych właśnie, na których zależało najwięcéj, na których przykład ze wszystkich stron się oglądano. Nieraz jeździł Łaski do starego hetmana Tarnowskiego, z którym go jakieś powinowactwo łączyło; dla spotkania się z nim zaniedbał nawet zjazdu z Braćmi Czeskimi; mimo namów i przekonywań, mimo usilnych, w końcu gromiących listów Kalwina, nie dał się hetman podbić. Tarnowski, jak tylu innych, potępiał wiele urządzeń kościelnych. obruszał się na zamierzony przyjazd kardynała legata, korespondował uprzejmie z Kalwinem i z innymi, a Łaskiego dobrze ugościł, dużo z nim rozprawiał, ale oświadczyć się stanowczo nie miał odwagi. Chciał zgody zwaśnionych, chciał reformy na soborze powszechnym, zwołanym nietylko przez papieża, lecz także przez monarchów; trwożył się jednak, że reformowanie w inny sposób, przemocą, sprowadzi zaburzenia i zgubę państwa (2). Stał jedném słowem na stanowisku późniejszych t. zw. „polityków“ francuskich; maksyma Kalwina: niechaj sto światów przepadnie, a trzeba słowo Boże szerzyć wszelkim sposobem, na Boga raczéj się oglądać niż na ludzi,—wcale mu nie trafiała do smaku.

I w zabiegach o zjednoczenie protestantów nie miał nasz reformator powodzenia. On, który już w Niemczech nad ich zgodą pracował, który przybywał po to do Polski, aby protestantów do zawładnięcia całym krajem zagrzać i poprowadzić, całkiem naturalnie i tu podnosił myśl unii z Luteranami, skoro z Braćmi Czeskimi już się w Koźminku połączono. Zaraz na pierwszym synodzie we Włodzisławiu wystąpił z tym projektem, w czerwcu 1557 r., i sam się jął wykonania gorliwie. Luteranie polscy nie byli liczni, lecz między nimi byli w Wielkopolsce ludzie możni i znakomici, Górka, bracia Ostrorogowie; z tych jeden, Stanisław kasztelan Międzyrzecki, był szwagrem Bonara i krajczego Myszkowskiego, ożeniony z trzecią Tęczyńską; ztąd nadzieja, że się wpływowi wuja żony chętnie podda. Po za Polską właściwą, w Prusach królewskich, rozpościerał się teraz Luteranizm potężnie, w Prusach książęcych panował już oddawna.

---

(1) Utenhove do ministrów zurychskich i genewskich 18 wrześ. 58, Calvini Opp. XVI, 2962.

(2) Nader ciekawą jest korespondencya T. z Kalwinem, szczególniéj list z 12 maja 59 (Calvini Opp. XVII, 3053) typowy poniekąd, pokazuje, co o reformie kościelnéj myśleli w Polsce ludzie poważni a oględni.

Zjednoczenie więc protestantów we wszystkich prowincyach państwa polskiego niezmiernie wzmogłoby ich siły. Na ks. Albrechta oglądali się wszyscy polscy nowatorowie, on sam nie przestał się losem protestantyzmu samej Polsce interesować, jego posłowie byli w Koźminku, gdy się Małopolanie z Braćmi Czeskimi jednali. To zdawało się zapowiadać i w ks. pruskim skłonność do zgody, budziło w Łaskim znowu nadzieję, że mu się teraz lepiej uda, czego już przedtem bezskutecznie próbował. Już z Wilna, wprost od króla, do ks. Albrechta zamierzał się wybrać, wojna inflancka i zdrowie niesposobne kazały mu zamiar ten odłożyć. Teraz jechał z początkiem 1558 r., na Prusy przez Wielkopolskę. Ostroróg przyjął powinowatego z szacunkiem, ministrowie po jego dobrach nie zdawali się połączeniu opierać; dla wszystkich luteranów polskich decydującém jednakże było, jak się zachowa najważniejszy z nich, ks. pruski Tymczasem w Królewcu wnet się Łaski przekonał, że i teraz darmo się łudził. Sam książę możeby nie stawiał nieprzezwyciężonych trudności, chociaż zawczasu go z Wirtembergii Brenz przed Łaskim ostrzegał; z nadwornymi teologami księcia sprawa była z góry przegrana. I teraz żadną miarą nie chcieli uznać, że nauka Łaskiego o eucharystyi nie sprzeciwia się konfesyi augsburskiéj.

Zniechęcenie wskutek tego zawodu wyraźnie przebija w oziębłejszym o wiele tonie ostatniego listu, który pisał Łaski do ks. Albrechta (18 kwietnia 1558), kiedy od niego powracał. Pawda, on sam, Łaski, utrudniał sobie zadanie, bo ani na włos nie chciał odstąpić od swojéj formuły o sakramencie eucharystyi. A przecież nawet Kalwin dawniéj jeszcze w zaufaniu wypowiadał obawę, czy nazbyt ściśle przy niéj obstając nasz reformator zbyt wielu sobie nie narazi (1). Niebawem musiał się Kalwin znowu lękać, żeby Łaski Braci Czeskich tą zbytnią ścisłością nie odepchnął. Zamierzał go w tém upomnieć, skarżących się na Łaskiego uspakajał, że niekiedy „najlepszy ten człowiek bywa zanadto surowym."

Samo połączenie Koźminieckie z Braćmi Czeskimi pochwala Łaski, niebawem się jednak pokazało, że obie strony bardzo je odmiennie pojmują. Bracia Czescy mniemali, że skoro w Koźminku wszystko od nich przyjęto, teraz pozostaje tylko rzecz wykonać, a więc zastosować ich agendy kościelne, wszystkie obrzędy zaprowadzić tak jak się u nich praktykują, przedewszystkiém przetłómaczyć na język polski ich konfesyą, która odtąd stała się wspólném z nimi

(1) ...ne suam loquendi formam nimis precise urgendo homines morosos exasperet, K. do Vermigli 18 stycz. 55, Calvini Opp. XV 20 89; słowa zaś poniżéj cytowane są z listu K. do Bullingera 30 maja 57, ibid. XVII, 2640.

dla wszystkich protestantów małopolskich wyznaniem wiary. Dostarczyć ksiąg, wizytować kościoły małopolskie, pouczać we wszystkiem i pokazywać, jak co robić należy, byli gotowi; chcieli jednem słowem jako starsi i doświadczeńsi młodszych braci wprowadzać na drogę zbawienia, a ta rola przewodników przy całej skromności Braci Czeskich uśmiechała się i pochlebiała im bardzo. W tym celu gotowi byli do znacznych ofiar; mimo swych szczupłych środków materyalnych przedsiębiorą częste podróże do Małopolski, ale też żądają, żeby takie ich stanowisko bezwzględnie uznano, żeby nic nie czyniono bez wiedzy i zdania naczelników ich jednoty ściśle zorganizowanej; każde odmienne postępowanie uważają za wyłamywanie się z pod układu Koźminieckiego. A tymczasem tylko mała liczba ministrów małopolskich tak samo wyobrażała sobie to zjednoczenie, reszta zaś ministrów i zwłaszcza szlachty, przedewszystkiem zaś Łaski, pojmowali je zupełnie inaczej. Wszyscy chcieli w niem trwać, chcieli brać wzory w niejednem od Braci Czeskich, co się okazało praktycznem, ale uważali, że zjednoczenie to bynajmniej nie zmusza, żeby wszystko przyjmować ślepo, niewolniczo. Chciano jeszcze zasięgnąć rady i innych ludzi doświadczonych, dla tego przyzywano Lismanina, potem Łaskiego. Że zaś Łaski, skoro raz przybył, skoro się potajemnie z wysłańcami Braci Czeskich zetknął, skoro zwłaszcza rozpatrzył się w ich konfesyi i jej apologii, to wnet i zmiany w niejednym punkcie zażądał: to nie może zadziwić, bo było to wynikiem zasadniczo różnego stosunku do spraw najważniejszych Braci Czeskich z jednej, a reformatorów tak jak Łaski odcienia kalwińskiego z drugiej strony.

Bracia Czescy zrekrutowani prawie wyłącznie z niższych sfer społeczeństwa, pokorni i skromni, do prześladowania przywykli, pragnęli jednego tylko: żeby ich zostawiono w spokoju, żeby ich tolerowano; w sprawy publiczne nie zamierzali się mięszać, byleby za to państwo nawzajem o nich się troszczyć przestało i nie mięszało się w ich sprawy kościelne. Protestanci małopolscy z Łaskim na czele, prawie wyłącznie szlachta, do panowania dążąca, we wszystkiem brać udział przywykła, uważali za najwyższe swoje zadanie, żeby szerzyć „słowo Boże,“ w tym celu chcieli zawładnąć całem państwem. Bracia Czescy przeciwni wszelkiej gwałtownej propagandzie, wszelkiemu przymusowi, tylko słowem, nauką chcieli swą wiarę szerzyć, do swej jednoty przyjmowali tylko takich, którzy się wprzód wewnętrznie z nimi złączyli; natomiast unikali wszelkiego stykania się w rzeczach kościelnych z tymi, którzy się jeszcze nie nawrócili do nich. Protestancka szlachta małopolska chciała tymczasem wzbraniać swym poddanym „bałwochwalstwa“ t. j. katoli-

cyzmu, za to też ministrowie w zabranych kościołach szafowali sakramentami i tym swym parafianom, o których dobrze wiedzieli, że do nich przychodzą z musu, że są katolikami; oświecić ich w nowéj wierze miano dopiéro potém.

I w rządzie kościelnym i w obrzędach oraz zwyczajach, a nawet w saméj nauce zachodziły znaczne różnice, nawet sprzeczności między Braćmi Czeskimi a protestantami małopolskimi. W jednocie Braci Czeskich cały rząd kościelny spoczywał li tylko w ręku starszych duchownych. Łaski oczywiście chciał mieć rząd kościelny takim, jaki we Fryzyi i w Anglii zaprowadził, jaki istniał w Genewie, złożony i z ministrów i ze świeckich. Bracia Czescy potępiając jaki bądź udział duchownych w sprawach świeckich nie chcieli dóbr kościelnych, przeciwni byli nawet dziesięcinom; ich duchowieństwo miało żyć z pracy rąk własnych lub z dobrowolnych datków od wiernych. Łaski i szlachta małopolska chcieli dobra kościelne na fundusz religijny zatrzymać, a praca ręczna była ministrom małopolskim wstrętną. Na znak pokory zachowali Bracia Czescy spowiedź uszną a posty dla umartwienia; pokora i umartwienie były to dla protestantów małopolskich zabytki papizmu, o których nie wie nic pismo św. A z jakąż dopiéro niechęcią, z jakiemże nawet oburzeniem, musieli czytać ministrowie małopolscy ten artykuł w konfesyi Braci Czeskich, który uznawał stan bezżenny za doskonalszy, zachwalał go i zalecał duchownym? ci ministrowie małopolscy, dawniejsi księża katoliccy, z których nieomal każdy pojęciem żony dał pierwszy dowód swojego protestantyzmu. Co musiał o tém myśléć Łaski, żyjący już w powtórném małżeństwie, który właśnie przez to małżeństwo najprzód wziął rozbrat z kościołem rzymskim? „O celibat się dwornie koźlili, iż to nic nie jest, a o małżeństwie wielkie zalecenie czynili," powiadają o małopolskich ministrach wysłańcy Braci Czeskich, którzy zjechali na synod do Pińczowa (1). Ten artykuł istotnie najtwardszą wywołał opozycyę, jego zmiany dopominano się koniecznie.

Nakoniec nauka o sakramencie eucharystyi, jak ją czytał w konfesyi Braci Czeskich, nie mogła zadowolnić Łaskiego. Ten artykuł brzmiał w słowach niemal Lutrowych; umyślnie go ułożono w ten sposób w 1535, żeby przychylną Lutra opinią uzyskać. Właśnie

---

(1) Łukaszewicz, Dzieje kościołów wyznania helweckiego w dawnéj Małopolsce, 158. Kwestye sporne między Braćmi Czes. a protest. małopol. o wiele dokładniéj niż z Gindely'ego, Gesch. d. Böhm. Brüder, można poznać z Łukaszewicza, który podaje dosłownie sprawozdania wysyłanych do MPolski Braci Czes. Dalton, który książki Łuk. nie znał, nie dosyć jasno je przedstawia.

ten punkt był osią sporów Łaskiego z Luteranami ścisłymi: mógłże taką naukę teraz uważać za swoją?

Zaraz po przybyciu Łaski się oświadczył za zjednoczeniem Koźminieckim, ale zarazem stanowczo żądał zmiany konfesyi Braci Czeskich; pod tym tylko warunkiem przyjmował ją jako powszechną, którą się wspólnie ogłosi i złoży uroczyście królowi. W przekładzie polskim téj konfessyi sam zmienił cały szereg artykułów i domagał się tych zmian aprobaty. W ten sposób swoję naukę narzucał wszystkim protestantom polskim.

Na to znów Bracia Czescy nie chcieli żadną miarą przystać. Samo zaproszenie Łaskiego do Polski dotknęło ich bardzo niemile. Że się to stało bez woli i wiedzy naczelników ich jednoty to uważają za wyłom zrobiony w układzie Koźminieckim. Przez to z góry względem Łaskiego niekorzystnie już uprzedzeni, na przybyłego spoglądają z nieufnością i zazdrością o ten wpływ i powagę, które on ma od pierwszéj chwili. Próbują zrazu go usunąć od układów między nimi a Małopolanami. W końcu się oswajają z tym faktem, że bez niego nic sprawić niepodobna, traktują więc z nim bezpośrednio; ale żądanie zmiany konfesyi, która wśród prześladowań stała się dla nich tém droższą, przyjmują jako zamach na całą ich jednotę. Boć u nich panuje ład i porządek, w Małopolsce zaś gorszy ich niejedno; mieliżby dobre swoje na nieznane, niedoświadczone, a więc na gorsze coś nowego zamienić? Toczą się ciągle rokowania, powtarzają podróże i zjazdy; zawsze Bracia Czescy odmawiają wszelkiéj odmiany. A gdy nareszcie na zjazd w Lipniku na Morawie, jesienią 1558 r., wysłańcy małopolscy przywożą ową zmienioną konfesyę, to Bracia Czescy przyzwalają, żeby ją ogłoszono drukiem, ale tylko jako wyznanie wiary Małopolan; dla siebie samych nie przyjmują go i wtedy.

Wśród sporu odwoływano się ze stron obu do powag zagranicznych. Zasłaniali się Bracia Czescy uznaniem dawniejszém ich konfessyi przez Kalwina i teologów szwajcarskich, radością, jaką dla tychże było zjednoczenie Koźminieckie. Za to Łaski i najbliżsi mu posyłali to ich wyznanie do powtórnego przejrzenia i uzyskali w końcu istotnie oświadczenie z Genewy i Zurychu, że zmiany w niem są niezbędne. Jednego tylko znaleźli Bracia Czescy obrońcę wytrwałego: Vergeria, który ich poznał w Prusach i Polsce, dokąd go słali książęta protestanccy niemieccy dla celów propagandy polityczno-kościelnéj. Dawny biskup i nuncyusz, teraz dyplomata i reformator w usługach ks. Wirtemberskiego, stojący na pośredniem stanowisku między Kalwinem a Luteranami, ujął się gorliwie za

Braćmi Czeskimi wobec Łaskiego i mniemał, że więcéj zyska w Polsce protestantyzm, jeśli się na teraz przyjmie i uzna ich konfesyą, a dopiéro następnie powoli i stopniowo wprowadzi w niéj te zmiany i poprawki, które się okażą potrzebne. Vergerio się oburzał, że Łaski się przy swojem upiera; jego to musiał Kalwin uspokajać. Ułagodzić zupełnie go nie zdołał: Vergerio i nadal głośne rozwodził w Niemczech żale, że nasz refomator szkodzi swą bezwzględnością postępom protestantyzmu polskiego.

A jednak postępy te nie ustały. Nie powstrzymał ich spór z Braćmi Czeskimi, bo spór ten aż do zerwania nigdy się nie zaostrzył. Nuncyusz Lippomano wyjechał po sejmie warszawskim zrozpaczywszy o przyszłości katolicyzmu w Polce: „Niechaj Pan Bóg wszechmocny dopomoże waszym sprawom"—pisał w parę miesięcy późniéj do Hozyusza, 30 paździer. 1557 r.—„bo że żadne ludzkie sposoby dopomódz im już nie mogą, tego się bardzo boję." Paweł IV zgromił króla o edykt warszawski, ale tymczasem nastało wielkie naprężenie między królem a Rzymem z powodu sprawy biskupa Chełmskiego, Uchańskiego. Nominował go, jak wiadomo, Zygmunt August biskupem kujawskim, w Rzymie odmawiano mu potwierdzenia jako podejrzanemu w wierze. Król był oburzony, że jego prawo nominowania doznało ubliżenia, dotknięty do żywego, że papież się miesza w nie swoje sprawy tym zakazem do kapituły włocławskiéj aby nie dała Uchańskiemu objąć w posiadanie dóbr biskupich. Więc wprost przeciwny słał kapitule rozkaz królewski, aby się nie ważyła stawiać w tém przeszkody biskupowi; nawet pytał senatorów, czy on sam, król, nie byłby mocen bez papieża i pieczę dusz, funkcye duchowne biskupa, powierzyć Uchańskiemu. Spór się zaognił tak bardzo, że biskupi drżeli z obawy najgorszych skutków; prymas Dzierzgowski zaklinał Hozyusza (listem z 3 września 1557 r.) aby on, jedyny polski biskup, który ma zaufanie Rzymu, wyjednał tam potwierdzenie nominata królewskiego, który przecież powstrzymał świeżo hetmana Tarnowskiego i wojewodę krakowskiego Tenczyńskiego, że się nie połączyli z protestantami.

Oczywiście wielka ztąd radość wśród protestantów. Uchańskiego spodziewano się zwabić. Sam Kalwin pisał do niego, żeby, skoro raz poznał prawdę, krzewił ją też gorliwie, nie stał bezczynnie wśród walczących. Nie wątpiono, że król teraz nie będzie wiele się troszczył o edykt warszawski, nie wahano się go przekraczać. W Książu, gdzie zmarła świeżo owdowiała wojewodzina Sandomierska Tenczyńska, siostra Łaskiego, Bonar, którego żonie przypadł Książ po matce, wygnał przemocą zakonników a kościół zreformował przy

wielkim aplauzie swych spółwyznawców, zapewne podniecony przez naszego Łaskiego, który wychwalał tę zasługę przed Kalwinem. Biskup krakowski Zebrzydowski chciał temu przeszkadzać, przez kanclerza w. kor. i kilku senatorów chciał poruszyć króla; ale Bonar założył apelacyą do króla i do sejmu, a Zygmunt August sprawę istotnie do sejmu odłożył.

Sejmu wyczekiwano niecierpliwie, bo na tym sejmie, według recesu piotrkowskiego z 1555 r., miano znów podjąć i egzekucyą i unią i sprawy religijne. Spodziewali się protestanci, że sejm zwali zupełnie juryzdykcyą duchowną, da szlachcie moc formalną reformowania kościołów po swoich dobrach. Król zamierzał teraz dotrzymać obietnicy danéj posłom ziemskim w Warszawie; rezultat wojny pozwolskiéj z Inflantami kazał mu się obawiać, czy się nie wznowi wkrótce walka z Iwanem Groźnym. Dla tego myślał o unii. „Postanowieniem jest króla—pisał kanclerz Ocieski do Hozyusza z Wilna 3 listopada 1557 r.—aby koniecznie sejm w Parczowie się odbył, i dość jawnie się o tém mówi, że tam przyzwani będą z zagranicy znakomici dysputatorowie strony przeciwnéj (t. j. protestanccy). To mnie téż straszy bardzo, lękam się, aby ci zagraniczni nie wymiotli z siebie tak wiele jadu, że oręż zamiast ksiąg przeciw wnętrznościom Korony będziemy musieli zwrócić. Do czego tém większa będzie sposobność, że król chce sejm odprawić na wiosnę w mieście otwartem, a nawet, jak słyszę, w polu i nie daje się w żaden sposób nakłonić, żeby go zwołać do jakiego miasta warownego. Będzie téż niedaleko zgromadzone wojsko litewskie pod pozorem wspólnego zjazdu, czyli—jak to zwą—unii.“ Rozprawy z protestantami uważał jednak kanclerz, gorliwy katolik, za rzecz tak nieuniknioną, że pisał w tym samym liście: „Niczego nie wyczekuję tak jak sejmu, bo ufam, że Przewielebność Wasza wypełnisz w rzeczy, co obiecujesz słowami i że przed całym światem dowiedziesz wybornéj swéj wiary w obronie kościoła Chrystusowego przeciwko zamachom odszczepieńców, którzy dla zwalczenia go wszelkiemi siłami się gotują.“

Biskupi nie mieli téj pewności, starali się sejm odwlec, słali po sukurs do Rzymu. Paweł IV jednego z kardynałów przeznaczał do Polski na legata, zachęcony zwłaszcza do tego przez Hozyusza. Bo biskup warmiński nie czekał sejmu. Zgodnie z jego życzeniem, na polecenie Lippomana, przyzwał go papież do swego boku, a Hozyusz tam się udał wiosną 1558 r.

Usunął się od możliwéj dysputy, nie usuwał się od walki na piśmie: Łaskiego nie spuścił z oka, nawet kiedy odjechał. Hozyusz na wszystkie kroki dawnego przyjaciela czujną zwracał baczność:

i na dwór i do wielu znaczniejszych osób słał listy ostrzegawcze. Za to znów dostarczali mu wszyscy wiadomości o Łaskim. Słał z Wilna uczonemu polemiście podkanclerzy Przerembski to pismo, które Łaski podał królowi; z Poznania przysyłał księgarz przywiezione z Niemiec protestanckie dzieło przeciw Łaskiemu. Hozyusz za ten dar najbardziéj był wdzięczny, prosił, aby mu sprowadzano wszystko, co się pisze w Niemczech na naszego reformatora (1). Bo, jak wiadomo, niezgoda protestantów, ich spory i waśni, najsilniejszą dawały broń do ręki uczonemu biskupowi; tém najchętniéj wojował, żeby wykazać, że tylko kościół rzymski może dać ów pokój, którego w Polsce tak wyglądały masy zachwiane w wierze.

W to téż bił Hozyusz w swém piśmie „O wyraźném słowie Bożem," które powstało wśród przygotowań do podróży rzymskiéj, które posyłał królowi jako ostatnie przed swym wyjazdem upomnienie. Heretycy— wykładał — wciąż prawią o słowie Bożem, z pisma św. wszystko wywodzą, niem się jedynie chcą kierować. Ale każdy z nich inaczéj pismo św. tłómaczy, kłócą się i nienawidzą nawzajem, w jedném się tylko godzą: w nienawiści do kościoła Rzymskiego. A tymczasem te kłótnie, to najlepszy dowód, jak potrzeba powagi do wykładu pisma św. powołanéj, kościelnéj, bo nie każdy potrafi je zrozumiéć. Nie ustaną niezgody, nie powróci spokój upragniony, aż ostro i stanowczo stłumi się każde odstępstwo. Hozyusz do tego właśnie wzywał króla.

Pismo to nie było wymierzone przeciw samemu tylko Łaskiemu. Hozyusz zwykł w swoich polemikach, w tonie spokojnym, z lekceważeniem traktując przeciwników z góry, przeciwko wszystkim się równo zwracać. Ale wśród innych wspomniał kilkakroć Łaskiego pomiędzy tymi, którzy się nienawidzą o różny pisma św. wykład. Wkrótce po wyjeździe Hozyusza nadszedł do Małopolski spis błędów nauki Łaskiego ułożony w drastyczny sposób, w krótkie artykuły, według tego właśnie, jak się zdaje, pisma jakiegoś protestanta Erazma Alberusa, które Hozyuszowi z Poznania przysłano. Artykuły te nie ukazały się w druku, ale kursując po ludziach w rękopiśmie szkodziły bardzo naszemu reformatorowi u wszystkich wahających się i niezdecydowanych. Zasiadł więc spiesznie Łaski do napisania obrony. Do nich, do téj rzeszy niezdecydowanych, zwolenników zgody i pokoju, zwracał się przedewszystkiém, ich naczelnikowi Tarnowskiemu składał swoję „Krótką odpowiedź na artykuły

(1) Ks. Dąbrowski do Hoz. 21 maja 57, Dr. Stefan Micanus do Hoz. 23 maja i 1 sierpnia 57.

zebrane z Albera przez Hozyusza tudzież na tegoż pisemko o tłumionem raczéj niż wyraźném słowie Bożem.“ Z obcą mu dawniéj gwałtownością, z ironią pełną nienawiści odpowiadał tu Łaski dawnemu przyjacielowi. Tę przyjaźń mu przypominał, dawne o reformie kościoła rozmowy; tém bardziéj się oburzał, że Hozyusz wiadomości swe o jego nauce czerpie nie z własnych jego utworów, ale od jego oszczerców. Oczywiście uzasadniał swoję naukę wśród ciągłych gorzkich przygryzek ojcu chodaczkowi (Caligula przezywano żartobliwie Hozyusza od młodości, widocznie mięszając rzymskie obuwie żołnierskie z tém odzieniem nogi, Hose, od którego on nosił nazwisko), który zpysznial w biskupich fioletach, a większą jeszcze pychą i świętoszkostwem chce sobie na purpurę rzymską zarobić.

Dziełko Łaskiego wyszło w maju 1559 r. w Pinczowie, w drukarni, którą sam założył. Kiedy zaś dostało się do Rzymu do Hozyusza, i on teraz już wprost do Łaskiego przemówić postanowił. „O tłumionem słowie Bożem“ pisał jednak ze spokojem, tém jaskrawiéj odbijającym od gwałtowności przeciwnika. Zaniechał pracy, gdy go doszła wiadomość o śmierci Łaskiego. „Z widmami walczyć nie wypadało“—powiada (1)—może pomny młodości chcąc mu zostawić spokój w grobie. Dopiero po zgonie kardynała to jego pismo wydano.

Wprzód nim przeciwko Hozyuszowi, chwycił Łaski za pióro polemiczne przeciwko luterskim swym antagonistom. Za granicę, do Bazylei, słano do druku równocześnie i ułożone z natchnienia Łaskiego przez jego towarzysza Utenhova „Proste i wierne opowiadanie“ o podróży wygnańców Angielskich do Danii i własne Łaskiego pismo przeciwko Westphalowi. Oddawna odpowiedzieć zamyślał temu najzawziętszemu z pomiędzy swoich prześladowców, zawsze pracę odkładał przy swojéj do polemiki niechęci. Dopiero gdy w Polsce się przekonał, jak tutaj zarzuty Westphala i jego towarzyszy paraliżują działalność reformatorską, dopiero wtedy, w gorączkowém rozdrażnieniu wrócił do dawnego zamiaru. O rozdrażnieniu wysokiem świadczy już sam tytuł książeczki: „Odpowiedź na

---

(1) Hozyusz do biskupa naumburskiego Pfluga 21 paźdz. 1560, Cyprianus, Tabul. Eccl. Rom. 113. Ani Eichhorn autor biografii Hozyusza nie znał pism Łaskiego, ani Dalton nie zna pism Hozyusza; ztąd u obu niedokładnie przedstawiono stan rzeczy, zwłaszcza pomylona chronologia, bo egzemplarzowi biblioteki petersburskiéj rzadkiego pisma Ł. (wedle tego egzemplarza przedrukował je Kuyper) widocznie brakło ostatniéj kartki, na któréj stoi data: w Pińczowie 3 maja 1559 r. Ma tę kartkę exemp. bibliot. Jagielońskiéj.

gwałtowny oszczerstwami i kłamstwami napchany list człowieka szalonego Joachima Westphala" (i t. d.—tytuł jest długi); w takim tonie idzie rzecz cała. Nic dziwnego, że Kalwin nie pochwalał téj polemiki, odradzał ogłoszenie opowieści Utenhowowéj, żeby nie wznawiać dawnych rozterek. Wyszło w końcu jedno i drugie, ale się Łaski już tego niedoczekał; Kalwin zaś nie opatrzył książki przedmową, jak o to go upraszał.

Goryczy Łaskiego źródło płynęło z doznanych zawodów. Coraz wyraźniéj czuć musiał, że nie jest w Polsce tém, czém być chciał, czém zostać się spodziewał. Zamiast być apostołem, którego słuchają kornie wszyscy, był tylko—reformatorem, co prawda cenionym, szanowanym, lecz tylko jednym wśród wielu. Wyczekiwany sejm nowe przyniósł rozczarowanie. Zwlókł się 2 lata po warszawskim, jak chciało duchowieństwo, nie odbył się w Parczowie, jak się lękał Ocieski. Zebrano się wreszcie w Piotrkowie, z końcem 1558 r. Nie zjechał wprawdzie kardynał legat, ale nowy nuncyusz tu przybył dzielnie zagrzewając biskupów do oporu izbie poselskiéj. Posłowie się rzucili na duchowieństwo gwałtownie, zwłaszcza na juryzdykcyą duchowną, chcieli nawet rugować biskupów z senatu. Ale potężny zrazu zamach wnet się złamał i w inną zwrócił stronę; rzucono się do egzekucyi królewszczyzn, a o to się cały sejm rozbił i rozszedł bez uchwały. Pojednawczością, nową zwłoką, jakiemiś niejasnemi obietnicami odwrócili biskupi cios na nich wymierzony. Rozprawy o religii żadne nie miały miejsca, w nieokreślony sposób przyrzekano to na kiedy indziéj.

Z niechęcią mówiono w Pińczowie o tym sejmie, z żalem musiał i Łaski na jego rezultat patrzeć. Być może, iż sam pojechał wtedy do Piotrkowa; w każdym razie w tym czasie miał znów z Zygmuntem Augustem spotkanie. Król mu podobno przyobiecał, że jeszcze kiedy do dysputy z Hozyuszem będzie mógł stanąć; ale ta bytność Łaskiego u króla chyba pogrzebała już ostatnie nadzieje, że go kiedyś dla reformacyi pozyska (1).

---

(1) Tylko Dalton, 552, mówi według owych protokółów synodalnych o téj bytności Ł. u króla, z któréj zdawał on sprawę na synodzie pińczowskim 13 marca 59, ale nie jest jasném, kiedy i gdzie się Łaski z królem widział (sejm piotr. skończył się 10 lutego a potém król aż do czerwca bawił w Krakowie) ani też, co z nim traktował. Dalton nie cytuje bowiem słów protokółu dosłownie, sam zaś popełnia tu właśnie mnóstwo błędów (że nuncyusz Lippoman drugi raz zjechał do Polski, że Scytowie i Tatarzy to dwa różne barbarzyńskie ludy i t. d.). Nie mógł wtedy król obiecywać Ł. rychłéj dysputy z Hoz. ani też nie z powodu strachu przed Ł. Hozyusz do téj dysputy nie stanął (jak to sądzi Dalton, który H. ciągle zwie biskupem chełmińskim), skoro Hoz.

Zwłaszcza że jedność protestantów małopolskich się rwała, głośniejsze aniżeli przedtém w samym Pińczowie rozlegały się spory. Nieraz już trzeba było przestrzegać i pouczać wyrażających wątpliwości o Trójcy św.; nawet już wykluczeniem upartych z gminy wiernych musiano ratować prawowierność kalwińską. Raz poraz nowi występowali zwolennicy potępianéj nauki. Najgłośniejszym w obecnéj chwili był Stankar. Spalono jego pisma, synod uchwalił własne wyznanie wiary co do artykułu spornego, żeby wszelkim wątpliwościom zapobiedz; niedopuszczono Stankara do dysputy, któréj żądał; niepodobna było przeszkodzić, że publicznie w kościele szeroko wykładał swoje zapatrywania. I znajdował przyjaciół, pan samego Pińczowa Oleśnicki ku niemu się nakłaniał, straszyła obawa, że może już niedlugo ztąd, ze swojego centrum, Kalwini będą musieli ustąpić.

Tak się też, jak wiadomo, stało istotnie późniéj, ale na to Łaski na swoje szczęście już nie patrzył. I w téj walce stał on zawsze w pierwszym szeregu, toczył ją z niestrudzonym zapałem, ale ze słabnącemi coraz bardziéj siłami fizycznemi. Coraz to częściéj i coraz mocniéj podupadał na zdrowiu, a nie chciał się oszczędzać, pomimo przestróg przyjaciół. Nie upłynęło wiele nad 3 lata, odkąd stanął z powrotem w ojczyźnie, kiedy go zaskoczyła śmierć 8 stycznia 1560 r.

Cierpliwie znosząc boleści, z rezygnacyą wyglądał zgonu nasz reformator, dożywszy najpóźniejszego z trzech synowców prymasa wieku. I on nie starcem jeszcze kładł się do mogiły, niewiele nad 60 lat licząc, za to stérany przez zmienne losu koleje. Nim zamknął oczy na wieki, pobożnie, z ufnością w Panu wzywał jego imienia w tym języku niemieckim, w którym przywykł obcować z żoną, który mu się stał przez pół rodzinnym. Mimo ufności i rezygnacyi pewno jednak w przededniu śmierci nie był wolnym od dręczącego go niepokoju. Nie o własne zbawienie w życiu przyszłem: wiara silna dawała mu pewność wieczystego żywota. Ale trwożyć go musiał los tych, którzy pozostawali, przyszłość tego, co mu było tutaj najdroższém.

Zostawiał nasz reformator wdowę, drugą swą żonę, którą był pojął w Anglii (gdzie mu pierwsza żona umarła) jak się zdaje z pośród niemieckich członków swéj gminy; zresztą i o niéj nie wiemy nic, oprócz jéj imienia, Katarzyna. Zostawiał z dwóch swych mał-

---

wyjechawszy z Polski wiosną 1558 do Rzymu, dopiero w 6 lat potém powrócił. Jedyną też wzmiankę o spodziewanéj dyspucie spotkałem wcześniéj, w owym już przywiedzionym liście Ociesklego z 3 listopada 57.

żeństw wcale liczne potomstwo płci obojga, po części niedorosłe jeszcze. Jednéj dopiero córce zapewnił przyszłość, wydawszy ją niedawno za mąż ku oburzeniu duchowieństwa katolickiego za tego z ministrów protestanckich, Stanisława Lutomirskiego, który jak sam Łaski rodu szlacheckiego, nawet senatorskiego, jak on był dawniéj księdzem. Całą zresztą rodzinę zostawiał na łasce losu. Zrzekł się niegdyś spadku po przodkach na korzyść braci, ale choć obu braci potomstwo żyło w dostatkach, na pomoc z téj strony nie było co rachować. Potomstwo Stanisława Łaskiego zostało wierném katolicyzmowi, o protestanckich swych krewnych nie myślało się troszczyć. Jedynak starszego brata Jarosława, Olbracht, przystał wprawdzie, pewno za wpływem stryja, do protestantów, ale niedługo potém znów ich porzucił, a nigdy nie zwykł ponosić ofiar bezinteresownie. Spodziewał się niegdyś nasz Łaski żyć dostatnio chlebem duchownym. Skąpy i gorzki był ten chleb, odkąd się rzucił do reformowania kościoła. Nieraz się skarżył w ostatnich latach, że nie ma żadnego opatrzenia, nie ma stałego przytułku; pensya od Radziwiłła, zasiłki pewno od innych współwyznawców całém mu były utrzymaniem. To też nad trumną reformatora obadwaj mówcy pogrzebowi, obcy z dalekich stron przybysze (1), gorąco polecali osieroconą rodzinę pamięci i względom swych słuchaczy; wymowne ich słowa zdają się właśnie świadczyć o tém, że zaleceń tych było bardzo potrzeba, a skutek ich wątpliwy. Istotnie, w parę lat po śmierci Łaskiego, wdowa jego nieomal w nędzy błagała litości i wsparcia u ks. pruskiego dla siebie i dla sierot.

Większy jeszcze niepokój mógł ogarniać Jana Łaskiego w przeddzień śmierci o to, co mu było droższém od rodziny, o przyszłość protestantyzmu w Polsce. Dostrzegał niewątpliwie oznaki, że protestantyzm w Polsce już się przesilać zaczyna, że nie dosięgnie nigdy celu, który on mu wskazywał. Rzeczywiście protestantyzm czyni potém jeszcze postępy, jeszcze się krzewi, jeszcze zdobywa na sejmie następnym zniesienie juryzdykcyi duchownéj; ale już utracił swój polot, już zachwiała się jego pewność zwycięstwa: niebawem na obronne zaczyna schodzić stanowisko. Długo pozostali protestanci w Polsce potężném stronnictwem, ale państwem nie zawładnęli nigdy: i jedno i drugie było w przeważnéj części skutkiem

(1) Piotr Statorius z Thionville, sprowadzony przez Lismanina, i Abel Sylvius z Fryzyi, zapewne towarzysz Łaskiego. Nie mogę pojąć, z jakiego powodu Dalton 562—3, który zdaje się, znał tę mowę, powiada, że to Jakób Sylvius, polak, miał ją po polsku, skoro tytuł właśnie inaczéj pokazuje. Była podobno i mowa polska Sarnickiego (D. każe mu po łacinie przemawiać), ale téj żaden egzemplarz nie jest dziś znany.

dzialalności Łaskiego. On dał protestantom polskim organizacyę, która wytworzyła ich siłę odporną, jego zabiegi przygotowały konsens Sandomierski; ale téż i on uporem swym przeszkodził, że się nie zleli pomiędzy sobą jeszcze ściśléj; on aryanizmu nie zdołał wytrzebić w Małopolsce, aryanizm zaś rozsadził polski protestantyzm.

Jak stryj prymas przez 30 laty, i nasz Jan Łaski musiał umierać z przekonaniem, że tylko połowicznie osiągnął cel całego swego żywota; dziś jednak należy uznać: ani przedtem ani potem nie wydał protestantyzm polski reformatora téj miary i téj zasługi.

Wincenty Zakrzewski.

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Piękna, dramat w czterech aktach Wł. Okońskiego.

Pod koniec października przedstawiono w Teatrze Rozmaitości nowy dramat. Zainteresował on nadzwyczajnie, stał się przedmiotem ożywionych rozmów i sporów. Krytycy w ocenie jego podzielili się na dwa obozy: jedni wychwalali go bezwzględnie, usprawiedliwiając w nim wszystko; drudzy tak dalece pesymistycznie nań spoglądali, że mu, jako dramatowi, wszelkiéj odmówili wartości. Sam on posiadał i posiada siłę przyciągającą niemałą, tak że i w listopadzie kilkakrotnie był przedstawiany wobec licznéj publiczności.

Dramatem tym jest „Piękna“ Okońskiego. Kim jest Okoński, powiadać nie potrzeba; zarówno jego dramata, z których trzy już na scenie naszéj przedstawiono, jak i prace publicystyczne rozsławiły szeroko i pseudonim i właściwe nazwisko. Pisaliśmy o nim nieraz w „Ateneum’“ oceniając i jego działalność literacką wogóle i niektóre prace szczegółowe. Okoliczność ta pozwala nam przejść wprost do samego dramatu, który tak sprzeczne wywołał sądy.

„Piękna“ to żona profesora uniwersytetu, naturalisty. Wszystkie przymioty, jakie posiadać może, ulegają całkowitemu zaćmieniu wskutek obecności tego jednego, który objawia się w niéj w stopniu najwyższym. Ktokolwiek z mężczyzn ją zobaczy, stary czy młody, chłodny czy namiętny, uczony czy ograniczony, widzi w niéj ten jeden tylko przymiot a widząc poddaje się łatwo jego czarującemu wpływowi. Mąż, profesor naturalista, wybrał ją i kocha dla tego, że, jak powiada, mądrością kobiety jest jéj piękność; a cały szereg wielbicieli zdanie jego niewątpliwie podziela.

Czy ta „piękna“ nie ma rzeczywiście żadnéj innéj zalety prócz swéj piękności? Jest wykształconą i dowcipną, dowodzą tego wszystkie jéj słowa; ma dobre serce, jak się to okazuje w rozmowie

z siostrą męża Ireną; troskliwość macierzyńską względem córeczki objawia wprawdzie raz tylko, ale zapewne lubiła z nią przebywać, lubiła ją wychowywać, gdyż córeczka ta właśnie nauczyła ją, według własnego zapewnienia—cierpliwości.

A obok tych przymiotów dodatnich spostrzegamy w niéj usposobienie, które może ją do wielu zdrożności etycznych doprowadzić. Jest zalotną zarówno w giestach, spojrzeniach jak i słowach. „Gdy na ulicy ktoś nieznajomy mile na mnie spojrzy—mówi ona do Ireny—natychmiast dziękuję mu równie miłém spojrzeniem; nie dlatego, ażebym w tym względzie czuła niedostatek, ale dlatego, że lubię poruszać się między przyjaciółmi.“ Idzie jéj bardzo „o bezwyjątkową miłość wszystkiego i wszystkich tak dalece, że jeśliby cały świat ją pokochał, prócz jednego człowieka, wytężyłaby wszystkie siły, ażeby i jego pozyskać dla siebie.“

Czy jest to zalotność bezwiedna, zalotność kwiatu pociągającego oczy kształtem i barwą, upajającego zapachem? Przypuszczenie takie trudném jest do przyjęcia, bo trudném do zrozumienia. „Piękna“—to nie dziewczę naiwne i szczere, to mężatka i matka, doświadczona w stosunkach towarzyskich i umiejąca zapewne odróżnić zmysłową żądzę do uczucia idealnego. Zna ona potęgę uroku swych wdzięków i umie nią władać wybornie; komplementów i dwuznaczników tłómaczyć jéj nie trzeba. Kobiéta, która powiada: „tak nas natura stworzyła, że wszystkie pragniemy żyć piękne a umrzeć cnotliwe i dlatego wolimy, ażeby za życia chwalono naszę piękność niż cnotę, która właściwie jest przyjemnością naszych dzieci“—kobiéta taka naiwną być nie może. Zalotności więc jéj przyznać musimy świadomość zupełną, a fakt, że zalotność ta obraca się w sferze niewinnych stosunkowo podbojów salonowych, wyjaśnić sobie musimy chłodnym temperamentem Emilii, który pozwala jéj patrzéć na sprawy świata z wesołéj tylko strony, szukać wszędzie i we wszystkiém zabawy i cieszyć się niezamąconą pogodą umyslu. Cierpień nie doświadczyła, biedy nie zaznała; rodzice ją pieścili, mąż wszystkie jéj zachcianki spełniał; czuła się zadowoloną i szczęśliwą. Jéj zdaniem, „czas zbyt nas drogo kosztuje, ażebyśmy na tęsknotę godzinami tracić go mogły.“ Posiada tak „przezorne nerwy, że na smutek znieczulają się, a na przyjemność wrażliwieją.“ Poczytuje za niedorzeczność „zatrzymywać się myślą przy tém, co rani, a omijać to, co goi.“ Patrząc na człowieka, nie myśli o jego szkielecie ale o pokrywającém go ciele; troski i przykrości pomija, a szuka zadowolenia i rozkoszy.

I dzięki swemu szczęśliwemu usposobieniu, łatwo przyjemności te znajduje. Zaniedbała muzykę, ponieważ nikt zręczności jéj pal-

ców nie pochwalił, a gdy zaczęli powszechnie uwielbiać zręczność jéj nóg, polubiła taniec; trzyma się bowiem tego zdania, że kobiéty mają w tém tylko stałe upodobanie, co się w nich światu szczególniéj podoba. Bawi się wesoło i swobodnie, otoczona jest rojem wielbicieli, gotowych na jéj skinienie do wszelkich poświęceń Nie ma pragnień żadnych, bo zaledwie jakie w duszy jéj się zrodzi, natychmiast zostaje zaspokojoném.

Całkowitą z nią sprzeczność stanowi siostra męża Irena. To uosobiona brzydota. Matce usta krzywiły się, gdy ją całowała; ojciec pieszczot jéj nie znosił, siostry wzgardliwie ją upośledzały, ludzie ośmieszali, a brat naturalista brzydką pannę na wyprobowanie trucizny indyjskiéj—na równi z kotem—przeznaczał. Te wielkie i małe, ale ustawiczne upokorzenia i udręczenia wyrobiły w niéj usposobienie zgryźliwe, dręczące siebie i innych, nie dające ani chwili uspokojenia, ani odrobiny łagodnie uśmiechniętego szczęścia. Uczyła się i uczyła znakomicie, ale nauka ta na nic się jéj osobiście—w jé mniemaniu,—nie przydała, bo nie zjednywała jéj serc, a choćby jednego tylko. Pragnienia niezaspokojone dręczyły ją i denerwowały gorzéj aniżeli widome, zewnętrzne przykrości. Nauka będąc widocznie nabytkiem z zewnątrz wziętym a nie przyswojonym na treść własną duchową, nie przyprowadziła rozkołysanych fal wyobraźni i uczucia do pewnéj równowagi, ale zwiększała tylko okropność udręczeń przez świadome rozważanie ich przyczyny. Na chwilę zdawało się jéj, że raz przecie w życiu szczęśliwą nazwać się będzie mogła: Henryk Mścich, artysta-muzyk, pełen zapału i namiętnych porywów młodzieniec, natura z płomienną wyobraźnią, został jéj narzeczonym. Złudzenie atoli trwało chwilę tylko. Henryk poznawszy Emilią uległ czarowi, jaki wkoło siebie „piękna" roztaczała i zapalił się idealném, czystém (jak sądził) dla niéj uczuciem, a dla Ireny zobojętniał. Zachowanie się Henryka przy pierwszéj wymówce, jego słowa, ułożenie walca dla „pięknéj," odegranie go dla niéj były-to ciosy, których Irena w takiém usposobieniu, w jakiém się znajdowała, znieść nie mogła; a gdy w namiętnym szale powiedział narzeczonéj, że dlatego pokochać jéj nie mógł, iż była brzydka, rozpacz jéj szczytu dosięgła. Ostatnim pchnięciem w jéj udręczone serce były słow nauczyciela jéj niegdyś, 50-letniego powieściopisarza Zenona.

Człowiek ten miał dobre, szlachetne popędy, kochał kilka przynajmniéj osób, ale przypatrywanie się najróżnorodniejszym objawom życia ludzkiego, ich analiza szczegółowa, w celu zużytkowania materyału życiowego na utwory wyobraźni, na ich artystyczne opracowanie, zatarły w nim subtelność w odczuwaniu cierpień osób żywych, których serce drgało tuż przy nim. Sądził niekiedy, że z istotami

żywemi może tak postępować jak z tworami własnéj fantazyi. Jako zręczny sofista, umiał i lubił świetnym stylem wypowiadać najdziwniejsze paradoksy, zwłaszcza gdzie chodziło o ochronę miłości własnéj, a wypowiadał je ostro i bezwzględnie, mało dbając, czy one kogo śmiertelnie nie zranią. Z taką właśnie bezwzględnością wystąpił ze swoją teoryą o piękności i brzydocie wobec swojéj dawnéj uczennicy, którą, jak się zdaje, nauczył głównie szyderstwa i złośliwego dowcipu. Chcąc się usprawiedliwić przed Ireną, że i on został pięknością Emilii olśniony, zapomina o jéj okropném położeniu, o jéj rozpaczliwém rozdrażnieniu, i ratuje tylko własną dumę „niedorzecznemi słowami,“ jak je sam późniéj, dla pocieszenia Ireny, nazywa. „Gdyby natura była świadomą—powiada—tworzyłaby brzydotę tylko w złości; gdyby była miłosierną, nie stworzyłaby jéj nigdy, bo ulitowałaby się nad nieszczęśliwym losem oszpeconych nią istot; piękność jest nie tylko wartością, ale i prawem istnienia kobiéty.“

Łatwo zrozumiéć, jak te słowa musiały podziałać na nerwową naturę Ireny. „Więc ja nie mam nawet prawa istnienia?“—zapytuje gwałtownie, ale wnet pamięć o swéj brzydocie, która tyle chwil gorzkich w życiu jéj sprawiła, i teraz przychodzi w pomoc zmieszanemu sofiście, starającemu się napróżno zatrzéć wrażenie słów dopiéro co wyrzeczonych. Irena, w rozpaczy, nie szuka nawet środka obrony w tak zawsze nam usłużnéj miłości własnéj; wyznaje głośno, że jest brzydką:„Dziś już nie bronię się—powiada—téj strasznéj myśli, że na twarzy swojéj noszę przekleństwo natury, wyłączające mnie od udziału w najdroższych uczuciach. Tak jestem brzydka, że zdaje mi się, iż mniéj od innych ludzi gwiazd widzę, bo z odrazy przede mną do nieba się chowają. Jeśli dusze za karę z lepszych ciał w gorsze przechodzą, to moja w poprzedniéj postaci chyba ziemię rozbić chciała, kiedy ją taką brzydotą ukarano.“ Ta przesada wyrażeń wskazuje głęboko wzburzoną i oszalałą już niemal duszę; a gdy jeszcze jedno wrażenie do tego przepełnionego goryczą naczynia zapadło; gdy Irena posłyszała, jak w sąsiednim pokoju przedchwilowy jéj narzeczony grał w jéj pokoju walca, ułożonego i dedykowanego dla „pięknéj,“ porywa strzałę zatrutą, kaleczy się i umiera marząc o ukochanym i dając szyderczą przestrogę tym, co się zbiegli na wieść o zatruciu, ażeby nie ją, lecz Emilią ratowali.

Drugiém przeciwieństwem Ireny jest Teresa, córka bogatego garbarza. Ani piękna ani brzydka, w sentymenta się nie bawi, rozdrażnienia na widok zalecanek tego, którego na męża sobie wybrała, nie doznaje, a jeżeli nie chce dopuścić, ażeby ten przyszły mąż wysysał słodycz z kwiatów napotykanych po drodze, to głównie ze względu na to, żeby sobie apetytu nie popsuł. Do zapewnienia sobie

ręki tego człowieka bierze się praktycznie, z nieomylném wyrachowaniem i skupuje jego weksle, pomiędzy któremi są i fałszowane. Nie idzie jéj ani o moralne przymioty przyszłego, ani nawet o skłonienie jego serca dla siebie, idzie jéj tylko—jak sama powiada— o jego „kochane ciało," w które może kiedyś natchnąć zdoła trochę miłości. Śmiała, cyniczna nawet dąży do celu niezachwianie drogą pewną. Co ją do Ryszarda skłania, wyrozumować trudno. Zdaje się, że ambicya zostania wyszarzaną hrabiną nie łechce wyobraźni córki garbarza. To, że przed trzema laty pokochała młodego urwisa „sercem niedoświadczoném," teraz gdy doświadczenia nabyła i gdy się dokładnie dowiedziała, jakim łachmanem człowieka jest ten jéj niegdyś ukochany, mogłoby w niéj chyba obudzać chęć upokorzenia rozpustnego hrabicza. Atoli w sprawach serca niezawsze i nie na wszystkie natury oddziaływa rozumowanie. Popęd mimowolny, ślepe uczucie skłaniają ludzi do robienia rzeczy, które przed trybunałem logiki usprawiedliwićby się nie dały.

Hrabia Ryszard robi wszystko, ażeby Teresie dać uczuć, że tylko zmuszony finansowém położeniem odda jéj swą rękę. Zaniedbuje ją, upokarza, wreszcie bardzo jawnie okazuje swoje zapały dla „pięknéj." Jestto lampart salonowy z sumieniem zanikłém, z sercem wystygłém; krwi mu tylko trochę pozostało w żyłach i ta sprawia, że chwilami miewa pewne pożądania. Takiém pożądaniem jest chęć zdobycia względów pięknéj. I postępuje dla urzeczywistnia téj zachcianki jak jaki markiz z zeszłego stulecia. Choć goni ostatkami, choć się zadłuża po uszy, zakłada przecież ogród botaniczno-zoologiczny dla profesora-naturalisty, ażeby mógł mieć często sposobność widywania się z jego żoną. Pragnąc pozyskać „piękną," nie rujnuje się na uczucia, bo już jest bankrutem, nie przemawia językiem namiętności, bo krew w jego żyłach sączy się cienką niteczką; ale używa środka, który na pewne usposobienia działa najskuteczniéj, ciągle posługuje się słownikiem wyszukanego pochlebstwa. Emilia, co jak wiemy, wszyskie wytężyłaby siły, ażeby jednego nieprzyjaznego jéj człowieka pozyskać, dostaje pewnego zawrotu głowy od tego dymu komplementów, którego kręgami Ryszard przy każdém spotkaniu ją otacza. Zdaje się, że jest-to zawrót głowy, nic więcéj. Nie jest to jakaś świeżo obudzona namiętność, któraby w tym chłodnym temperamencie rewolucyą sprawiła, nie jest-to ciekawość poznania czegoś dotąd jéj niewiadomego; nie jest-to pragnienie odmiany wśród jednostajności. Nieświadomością tego, co robi, tłómaczyć się nie może; kobiéta zamężna, która przyrzeka przyjść na schadzkę, wie niewątpliwie, po co idzie. Jest to więc chyba kaprys chwilowy, który się z równą łatwością przy pewnym wpływie zewnętrz-

nym rozwieje, jak powstał pod urokiem słów głaszczących miłość własną.

Rolę tego zewnętrznego wpływu bierze na siebie nieprzebrany w dyalektycznych figlach Zenon, który talent swój zużytkował tym razem na rzecz moralności i spokoju domowego. Dowiedziawszy się o naznaczonéj schadzce, zjawia się przed umówioną godziną w salonie Emilii i opowiada jéj treść powieści, którą zamierzył „pięknéj“ dedykować. Może Zenon należał do staréj gwardyi romantycznéj, a może téż jako praktyczny psycholog rozumiał potrzebę podziałania na nerwy, dość że w streszczeniu swego utworu dobiera jak najexcentryczniejszych wyrażeń, ażeby zwrócić uwagę słuchaczki. Powieść była dosłownem powtórzeniem tego, co około „pięknéj“ się działo. Bohaterka jest tak uroczą „że chyba zapatrzone w nią planety wolniéj biegną i w drogach swoich błądzą, że nieraz przybite jéj spojrzeniem gwiazdy z miejsca się nie ruszają, że często olśnione jéj pięknością słońce z nieba w porę zejść zapomina.“ Naturalnie ulega najrozliczniejszym pokusom i sprawia wokoło siebie spustoszenia; młodzieniec pełen nadziei złamał życie w walce, jego narzeczona samobójczo je sobie skróciła itp. Tu nasz sofista-powieściopisarz, rozwija swoję teoryą piękności z innéj niż przed Ireną strony. Kobieta piękna, według téj teoryi, jeśli nie posiada wyjątkowych sił do oporu, stwarza około siebie bezwiednie warunki, których nieprzeparty fatalizm pcha ją i jéj wielbicieli do upadku. Dziś może ją powstrzymać jakaś przeszkoda, jutro obowiązek, pojutrze bojaźń, ale przyjdzie czas, w którym nic jéj nie powstrzyma.

Zenon trafił z opowiadaniem swojém na nader odpowiednią do przyjęcia morału chwilę w usposobieniu Emilii; mając pójść na schadzkę, czuła oczywiście pewną obawę i już była silnie podrażnioną; następnie służąca nastraszyła ją możliwością dostania szerzącéj się ospy a przerażenie, jakiego doznała, musiało pobudzić szereg myśli niebardzo harmonizujących z chęcią pójścia na schadzkę miłosną. Wtedy właśnie słyszy głośno wymówione te obawy, które ją pocichu dręczyły; słyszy jaskrawo i bez obsłonek odkryty widok na przyszłość zhańbioną. Zrzuca więc okrycie; i pozostaje w domu. Ryszard czekał napróżno.

Czy Zenon brał swoję teoryą o fatalizmie piękności naseryo? Jeżeli obok bujnéj wyobraźni i wielkich zdolności dyalektycznych posiadał i zdrowy rozsądek, to zarówno ten jak i wiele innych pomysłów swoich musiał poczytywać jedynie za środek, którym się w danym wypadku posługiwał dla wywołania pewnego skutku. Bo gdyby kobiéty poszły za jego radami, to ród ludzki w bardzo krótkim czasie zaginąćby musiał. Brzydkie, według jednego orzeczenia,

nie mają prawa bytu; piękne znów, według drugiego orzeczenia, muszą być niemoralne, tak że chcąc je od upadku zabezpieczyć, wypadałoby w kolebce je okaleczać i zeszpecać,—a wtedy byłyby brzydkiemi, które, jak wiemy, prawa bytu nie mają. Zenon potrafiłby może, jako utalentowany sofista, i z téj trudności logicznéj wybrnąć, ale gdyby go poproszono, ażeby szczerze i bez wykrętów wyznał prawdę, to jako człowiek z szlachetnémi popędami, żałowałby tak jak wobec Ireny „słów niedorzecznych,“ które albo w rozdrażnieniu, albo dla popisania się z dowcipem, albo wreszcie dla zatrzymania kobiéty na drodze cnoty okolicznościowo wygłosił.

Nie dotykam tu kwestyi, o ile sam autor solidaryzuje się z poglądami Zenona. Wolno przypuszczać, że na chwilę pociągnięty był urokiem paradoksu, ale po bliższéj rozwadze uznał, że, choć uroczy, jest paradoksem i wolał poprzestać na zaznaczeniu prawdy, któréj nikt nie zaprzeczy, że piękna narażona jest na mnóstwo pokus ze strony mężczyzn, ulegających przedewszystkiém i bezpośrednio urokowi formy zewnętrznéj. Myśl tę przeprowadził autor w sposób tak świeży, tak oryginalny; utwór swój oblał takim blaskiem dowcipu, że się nań patrzy jeżeli nie z zachwyceniem to w każdym razie z takiém zajęciem, jakie obudzają brylanty.

Nie chcę jednak przez to powiedziéć, że dramat jest bez zarzutu. Największym, według mnie, jest brak żywszego temperamentu w „pięknéj“ i brak uczucia a choćby namiętności w Ryszardzie. Skutkiem tych obu braków stosunki tych dwojga ludzi najmniejszego nie budzą interesu; przysłuchujemy się tylko dowcipnym rozmowom, ale nie zajmujemy się ich duszą. Autor zbyt abstrakcyjnie pojął piękność, jako piękność zewnętrzną, nie uwydatniając a nawet naumyślnie zasłaniając stronę psychiczną. Wogóle mówiąc, rysunek postaci jest zanadto subtelny i potrzeba głębszego wpatrzenia się, ażeby pochwycić znamienne, odróżniające cechy osób w skład dramatu wchodzących, tak dalece pochłania je tło. Wszyscy są dowcipnémi frazeologami, wszyscy podobnych używają zwrotów, porównań, antytez, nawet figury poboczne takie jak Janusz, Gracyan. Na usprawiedliwienie swoje może autor przytoczyć dramat klasyczny, w którym także wszystkie osoby podniosłym przemawiają stylem, zawsze jednakowym, ale będzie to tylko uniewinnieniem a nie uprawnieniem. Z życiem rzeczywistém pozostanie taki sposób przedstawiania ludzi w zupełnéj niezgodzie. Drugi zarzut ciąży na niepotrzebnéj, pod względem dramatycznym, śmierci Ireny. Śmierć ta nic a nic w dramacie nie zmienia, tak jakby istotnie kot tylko został otruty. Dopiéro w opowiadaniu Zenona stanowi śmierć ta jeden z argumentów, za pomocą których powieściopisarz działa na wyobraźnią Emilii.

Takie ustosunkowanie przyczyny i skutku psychologicznie wytłómaczyć się nie da.

Budowa dramatu wogóle jest zręczna, niepodobna wszakże pochwalić częstych podsłuchiwań, wchodzenia na scenę bez należytego upowodowania; a szczególniéj nie można nazwać inaczéj jak sztuczką tego trzykrotnego pojawiania się profesora-naturalisty w przechadzce po ogrodzie na to, ażeby wypowiedziéć zdania, które z rozmową innych, nie biorących udziału w téj przechadzce, stanowią sprzeczność komiczną. Sprawia to efekt w teatrze, ale efekt-to naciągany.

Co do gry, była ona staranną. Tytułową rolę grała pani Lüdowa bez wielkiego wprawdzie odznaczenia, ale poprawnie; przesadziła może tylko w akcentowaniu chłodnego temperamentu, czém urok, jaki wywierać miała, uczyniła mało prawdopodobnym. Z roli Ryszarda wywiązał się p. Tatarkiewicz doskonale, widocznie był w swoim żywiole. Brzydką Irenę podjęła się przedstawić pani Wisnowska i gdyby nienaturalne i estetycznie niemiłe wyginanie się w akcie II, możnaby tę rolę za udatną poczytać. P. Kotarbiński jako Henryk z ruchów i z mowy, mianowicie w przeprawie z Ireną w akcie II wyglądał na strofowanego ucznia, który wobec słabego zwierzchnika wyzywającą przybiera minę. P. Rapacki (mąż „pięknéj") najniepotrzebniéj zwracał się ku Irenie, gdy mówił o wynalezieniu brzydkiéj panny dla doświadczenia skutków trucizny.

P. Ch.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Jana Kochanowskiego Wszystkie Dzieła Polskie. We Lwowie. Księgarnia F. H. Richtera (H. Altenberg) 1882, drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku. Biblioteki Klasyków Polskich, nakładem H. Altenberga, T. I, str. XI, 344 i 8; tom II, str. 298.

Na czele tego nowego wydania dzieł wieszcza czarnoleskiego znajdujemy ich *bibliografią*, ułożoną przez p. Władysława Bełzę.

Przypatrzmy się jéj bliżéj. Dla tych, którzy się zajmują Kochanowskim albo wogóle mają do czynienia z książkami 16-go w., dość przytoczyć kilka początkowych wierszów téj t. z. „bibliografii," aby mieć o niéj wyobrażenie:

1563. Satyr albo dziki mąż. W Krakowie.
1564. Satyr i zgoda. Kraków.
1564. Zgoda. Kraków u Wierzbięty.
1565. Zgoda. Kraków.

Nie ma tu zupełnych tytułów, formatu, objętości książki, sygnatury; wogóle książka nie jest bibliograficznie, naukowo *opisana*. Bibliografią trzeba koniecznie pisać umiejętnie, tutaj nie wolno się zasłaniać tém, że „to jest popularne wydanie," bo bibliografia ani za tysiąc lat popularną nie będzie.

Przejdźmy ten spis po kolei; bo jeżeli nie jest naukowym, to nie potrzebuje być błędnym.

Przyborowski zaczyna przegląd wydań od „Satyra" i „Zgody," które należą według niego „do najpierwszych publikacyj Kochanowskiego." Przyłęcki zaczyna zaś od „Szachów," a po nich dopiero umieszcza „Zgodę," „Zuzanę" i „Satyra." Właściwie napewno nie możemy powiedzieć, które z tych pism wyszły nasamprzód i w jakim porządku chronologicznym; wydania te bowiem wychodziły

jako broszury bez daty. Pierwszą książką *datowaną* jest „Zgoda,“ wyraźnie „w Krakowie 1564,“ mam pod ręką dwa druki (gockie) z biblioteki Ossolińskich na pozór *zupełnie jednakowe*, ale wprawniejsze oko widzi dwa różne przebicia; jedno z nich może podrobione, może jedno z Łazarzowéj, drugie z drukarni Wierzbięty. Zjawisko tego rodzaju pojawia się często w bibliografii Kochanowskiego, ale o nim nie wié p. Bełza, który przecież w zakładzie Ossolińskich mógł łatwo oba druki zobaczyć i w spisie swoim zaregestrować. Drugiego przebicia „Zgody“ nie zna téż Przyborowski ani Przyłęcki. Estreicher podaje w bibliografii 15 i 16 w. dwa druki „Zgody“ „*b. m. i r.*“, a potém jakieś wydanie „w Krakowie 1565,“ o którem na inném miejscu w téinże dziele mówi, że jest bez daty. Wiadomości te Estreichera jak inne o drugiém wydaniu „Pieśni trzech“ i o wydaniu „Trenów i epitaphium Hannie“ „*b. m. i r.*“, są bardzo podejrzane. *Inter parenthesim* jego spis *alfabetyczny* pism Kochanowskiego jest *niezupełny*, ale wydania tu umieszczone miał zdaje się pod ręką; w spisie *chronologicznym* dzieł 16 w. mamy o wiele więcéj, (może za wiele) wydań Kochanowskiego, ale wiadomości o nich są z drugiéj ręki czerpane, przynajmniéj *nie zawsze z pierwszéj.* Bełza dorzuca i tutaj przyczynek do nieporozumienia, notuje bowiem wydanie Zgody z 1564 r. w Krakowie u *Wierzbięty.* Ta drukarnia jest tylko *domysłem*: Przyłęckiego (wyd. Turowskiego str. 200), ale na tytule ani przy końcu nie ma jéj wymienionéj, a potém wymienia Bełza drugie to wydanie „Zgody“ pod rokiem 1565 w Krakowie; wiadomość — jakeśmy wspomnieli — bardzo podejrzana. Trzecie wydanie obejmujące zarazem „Satyra“ i „Zgodę“ zaregestrowane przez Bełzę pod r. 1564 jest również bardzo wątpliwe. Wiadomość o niém posiadamy w Piśmiennictwie (tom I, p. 489, uwaga 2) Maciejowskiego, który widział *obdarty* egzemplarz i bynajmniéj daty ścisłéj wydania nie wzmiankuje.

Tak więc z czterech pierwszych pozycyj w „bibliografii“ Bełzy nie ma ani jednéj prawdziwéj i pewnéj.

Idźmy daléj. Pierwsze wydanie „Szachów“ z drukarni Wierzbięty umieścił wydawca mylnie pod r. 1567, wyszło bowiem bez daty a wiadomość o *dwóch* przebiciach czy wydaniach „Szachów“ z roku 1585 jest bardzo podejrzana, nie mniéj jak o dwóch przebiciach „Zuzany“ (znanych z Przyłęckiego a znajdujących się w bibliotece Ossolińskich), które Bełza umieścił pod r. 1568 jako wyszłe z drukarni Wierzbięty. „Pieśń o Potopie“ która wyszła według Estreichera b. m. i r. opatrzył Belza datą 1577. Osobne wydanie Proporca nie jest znane, nawet Estreicher podejrzéwa to wydanie, które u Bełzy pod r. 1569 figuruje jako najpewniejsze w świecie. Znowu

cztery pozycye następujące bezpośrednio po tamtych, niedokładne i fałszywe.

Dla przekonania, że i dalsze wiadomości o wydaniach Kochanowskiego nie mają żadnéj wartości, przytoczę tu kilka pomyłek i błędów. Epithalamium na wesele Krzysztofa Radziwiłła wyszło w r. 1584 a nie, jak podaje Bełza, 1585 r. Egzemplarz ten mam pod ręką, zresztą data 1584 jest powszechnie przyjętą. W ogóle podawał Bełza wszystkim wydaniom bez miejsca i roku druku a nawet bez autora, miejsce, rok, drukarnię i autora, a tytuły pism Kochanowskiego tak są niedokładne, że trudno je rozpoznać. Np. Wtargnienie do Moskwy Krzysztofa Radziwiła Pol. Hetmana W. X. L. r. 1581 b. m. i r.— zatytułowane przez Bełzę „Wtargnienie Radziwiła w Moskiewski kraj“ i umieszczone bez podstawy pod rokiem 1581 jest mylne, taki tytuł nosi zupełnie inne dzieło, wcale nie Kochanowskiego (cf Estreicher: Bibliografia 16 w., p. 61), który podobny tytuł dał swojéj „Jeździe do Moskwy.“ Dlaczego przy dwóch pierwszych wydaniach Psalmów z r. 1578 nie zaznaczono, że mamy regestr łaciński, kiedy przy trzeciém wydaniu z tegoż roku zanotowano, że się znajduje regestr polski? Wydania Psałterza są wprost fałszywie podane, a to dlatego, że wydawca nie uwzględnia końcowych dat druku, które są późniejsze od umieszczonych na tytule. Jest-to dość częsty objaw w bibliografii Kochanowskiego, że dzieło ma rok druku na tytule inny od końcowéj daty druku, jedynie obowiązującéj, kiedy mowa o roku wyjścia z druku. Data tytułowa oznacza czas, kiedy druk książki się rozpoczął; data końcowa, kiedy się ukończył.

Tak np. wiadomość o Psałterzu Kochanowskiego z 1610 roku, druk Piotrkowczyka, jest z gruntu mylną. Piotrkowczyk uzyskał przywiléj drukowania dzieł Kochanowskiego dopiero 1611, i w tym dopiero roku ukończono druk albo lepiéj wydano Psałterz. Wskutek takiéj niedokładności w oznaczeniu lat wydania naliczył Bełza 25 osobnych edycyj Psałterza (u Przyłęckiego 21, u Przyborowskiego 20); liczba-to fałszywa, dająca się tylko tém wytłómaczyć, że wydawca robi z jednego wydania dwa, np. z wydania zaczętego 1612, a skończonego 1614 w drukarni Piotrkowczyka, zrobił dwa osobne wydania z r. 1612 i 1614; że umieszcza wydanie z drukarni Łazarzowéj (Psałterza) pod r. 1610 nie istniejące wcale i t. p.

Jeżeli jakieś wydanie zawiera kilka utworów, to ich nie wymienia wydawca. Stąd nie ma w bibliografii Bełzy następujących pism: „Pan Zamchanus,“ dołączony do „Dryas Zamchana“ 1578; „Orpheus Sarmaticus“ dołączony do „Odprawy posłów greckich“

z r. 1578; „Foricoenia“ umieszczone razem z „Elegiarum, libri III, 1584 r. i t. d.

Podając spis zbiorowych wydań, wymienił Bełza edycyą Bohomolca z 1768, która nie istnieje (jest tylko z r. 1767), a opuścił wydanie Tańskiéj w „Nowéj biblioteczce“ 1838, w tomie II. Do przekładów pism Kochanowskiego dodać trzeba przekład i druk Liryków Kochanowskiego, dokonany przez Zubowskiego w Helikonkach.

Bibliografia Bełzy uzupełnia dotychczasowy spis wydań Kochanowskiego wiadomością o Ortografii polskiéj Kochanowskiego w Gramatyce łacińskiéj Ursyna, co podał Estreicher w bibliografii 16 w., z dodaniem najnowszych wydań od r. 1857 t. j. od czasu, kiedy sumiennie opisał Przyłęcki wszystkie pisma i wydania Kochanowskiego do r. 1857, o czém wiemy lepiéj z Bibliografii XIX wieku i z Przewodnika bibliograficznego.

A zatém rezultat naszéj recenzyi jest ujemny, ale odnosi się ona tylko do niespełna pięciu stronic spisu bibliograficznego wydań Kochanowskiego; nie tyczy się więc wcale samego wydawnictwa, które może być najlepsze.

Aby poznać metodę wydawcy, otwieramy ładnie drukowaną i oprawioną książkę nakładu Altenberga przypadkowo i dowolnie i trafiamy na najpiękniejszy utwór Kochanowskiego. Porównywamy to nowe wydanie z najpoprawniejszém wydaniem autora.

	T*h*reny wyd. 1583.	Treny wyd. lwowskie 1882.
I.	*o*ciec	*oj*ciec
	z łzami	*ze* łzami
	pró*z*no	pró*ż*no
	w smutku	smutku
	t*o*lily	t*u*lily
	napot*y*m	na po t*e*m
	w ran*y*m lecie	w ran*e*m lecie
	widzieć *krajów*	widziec *kraj ów*
III.	zasm*ę*cony	zasm*u*cony
	za tobą gotować	z tobą gotować
V.	sad*ownik*	sad*nik ów*
	co wzni*óz*wszy	wzni*osl*szy
	wiel*u* łz*a*m	wiel*e* łzom
VI.	okaz*owa*ła	okaz*a*ła
	j*e*chać	j*a*chać
	żało*ści*we	żało*śli*we
	giezłeczko*ć*	giezłeczk*o* i t. d.

Tyle wystarczy, aby dać poznać metodę wydawcy. Przedewszystkiém nie używa on tu, *jak wogólności* do swego wydania,

pierwszych edycyj wydanych za życia autora, ani nawet pierwszych zbiorowych wydań p. t. „Jan Kochanowski.“ O téj ostatniéj okoliczności można się przekonać z porównania nowego wydania np. Trenów z zestawieniem wydań Łazarzowych u Przyborowskiego (*Wiad.* 108 i 109). Powtóre modernizuje wydawca nie tylko pisownię ale nawet formy gramatyczne, jak z powyższego zestawienia widzieć można: zam. *o*ciec—o*j*ciec, ran*y*m lecie—ran*e*m lecie itp.; formy, które znane jako objawy późniejsze, są narzucone poecie 16 w. Natomiast czytamy tu: j*a*chać, prz*y*dzie i t. p., starożytne formy, których nawet w pierwszém wydaniu nie ma. W powyższém zestawieniu Trenów czytamy wyraźnie w wyd. 1583 j*e*chać, prz*y*jdzie i t. p. A więc wydawca nie obawia się podać szerszéj publiczności do zakosztowania coś z téj starożytnéj, spleśniałéj formy późniejszych zepsutych wydań; dlaczegoż nie zaczerpnął tych pięknych i prawdziwych form starożytnych u samego źródła? Wydawca lwowski zostawia np. czasem dawną formę locativu pluralis na ěch np. Psalm LXXVIII: „I mieszkali w ich zam*ce*ch,“ ale nie znosi już formy dativu plural. rzeczowników żeńskich na „am“ np. łz*o*m dać upłynąć (wyd. lwowskie I, 110). zam. „łzam dać upłynąć.“ Zatrzymał dualis np. „*Obaśwa* swych tajemnic sobie się *zwierzała* i do pańskiego domu w miłości *chadzała*“ (Psalm 55, w. 27), albo „*ruszwa* różanéj zarze z jéj pokoja“ (Psalm 108, 4); *Niepragniewa* do śmierci bydź rozdzielon*a* (pieśń XX, ks. I), zostawił starożytne formy zaimka: ji, ja, je, np. „Zębami zgrzyta sprośnie przeciw *jemu*“ (dziś: niemu), ale na innėm miejscu modernizuje je np. „Przypadłszy drugi poimał *go* z boku,“ ma być „przypadszy drugi poimał *ji* z boku“ (Szachy, w. 583). „Rogaty to sylogizm a trudno *ji* zbadać,“ a nie „rogaty to sylogizm a trudno *go* zbadać“ (Satyr, w. 176). „Konia prędko dosiadać i dobrze *jim* (nie „nim“) toczyć“ (Satyr, 402).

Jak wiadomo, była rozpowszechnioną u nas w 16 w. końcówka *ym* (względnie *im*), w locativie i instrumentalu l. p. tak w rodzaju męskim jak i nijakim. Pierwotne wydania Kochanowskiego mają téż tę końcówkę na oba przypadki i oba rodzaje, końcówkę *em* znajdujemy jedynie na końcu wiersza, gdzie rym do tego poetę nakłaniał. Nowsi wydawcy a za nim Bełza zmieniają pisownię według fałszywéj reformy Kopczyńskiego, który zaprowadził różnicę między rodzajami a zniósł ją pomiędzy przypadkami. I téj zasady trzymają się nawet wtedy, kiedy rym Kochanowskiego wprost się temu sprzeciwia, np. Proporzec (wyd. lwow. str. 158):

Widać je przy wysokim wierzchu Promet*owym*,
Widać je z drugiej strony przy morzu lod*owem*.

Zatrzymują też starożytny sposób tworzenia przysłówków z rodzaju nijakiego przymiotników, np. a „ludzkie przygody *ludzkie* noś (synu),“ Tren 19, w. 155; albo w rymie:

Gdy w ostatek zboża zatnie
Krzywa kosa, już *ostatnie.* (Sobótka, Panna 6, w. 19).

Imperativus z końcówką samogłoskową zatrzymują, naprzykład:

. . . .a już mię nie *wodzi*
Tam, gdzie Pegazów sławny zdrój wychodzi (Pieśń XIII, ks. III),

modernizują zaś bez przyczyny, ale nie systematycznie formy czasu przyszłego: bych, by, by i t. d. Np. Monomachia (wyd. lwowskie str. 44):

„Pozna*łbyś* był, jakiemuś żonę wziął mężowi.“

W pierwotnych wydaniach Łazarzowych „Pozna*łby* był“ (2 os. sing.), ale zaraz parę wierszy dalej (wyd. lwow. str. 45) tę starą formę zatrzymano:

Lecz za ty
Twe postępki godzien *by* (2 os. sing.) ostatniéj zapłaty.

Raz zostawiają starożytne formy przymiotników np. (ks. I, pieśń III, wyd. lwow. tom I, 165):

I będzie, jako po te lata *wszytki*
Ziemia dawała wszelakie użytki.

Drugi raz te same formy modernizują np. Ps. 42, 37 wyd. lwow. II, 59: „W *jedne* mię prawie kęsy rozdzierają“ — w wyd. Łazarzowych: „w jedny kęsy.“

Kochanowski używa na kilku miejscach małoruskich albo czeskich wyrazów, naturalnie w tonie żartobliwym; otóż nowsi wydawcy zachowują je tylko tam, gdzie muszą t. j. w rymie; we środku wiersza *zwykle* zmieniają, np. (Broda w. 78, wyd. lwow. I, 136)):

Jeśli na brodzie takiéj nie wyprawię sztuki,
Że na wieki poniesie pamięć mojéj *ruki.*

Ale we fraszkach ks. III, 74, wyd. lwow. 292, jedno ruskie słowo spolszczone bez potrzeby:

Ale się i dworstwo zmieni
Kiedy w pytlu *grosza neni* (zamiast *hrosza*).

Podobnież każdy wyraz zakrawający na coś czeskiego spolszczają. Psalm 75, w. 31, wyd. lwow. II, 106: Sam *prazna* kłopota

nie „*próżna.*“ Psalm 110, w. 19, wyd. lwow. II, 161: Krwią płynącą będzie pił wodę *patokową* nie „*potokową.*“

Wogóle panuje w tych nowszych wydaniach — zacząwszy od Mostowskiego a skończywszy na ostatniém Bełzy—takie chaotyczne pomieszanie a przytém taka nieznajomość form gramatycznych i staropolskiego języka, że nie można ich absolutnie nawet do pobieżnego czytania użyć, ani nawet polecić szerszéj publiczności, któraby, przez to połowiczne i niesystematyczne modernizowanie wydawców, nabrała fałszywego wyobrażenia o duchu i organizmie języka staropolskiego.

Co się tycze ortografii, nie będę wytykał szczegółowo błędów; zauważę jedynie, że w dawnych wydaniach spotykamy często apostrofowany przyimek *do*, któremu nowsi wydawcy pełną formę przywracają chociaż tym sposobem otrzymujemy w wierszu za wiele zgłosek albo też forma gramatyczna musi uledz przeróbce, np. Psalm 43, w. 19 (wyd. lwow. II, 60) czytaj:

Tam d'ołtarza świętego
Pójdę przed pana mego.

Psalm 90, w. 34: „Kto trwa *d'osmidziesiąt*“ w wyd. lwow. II, 129 fałszywie „*do osmdziesiąt*“ i t. p.

P. Bełza twierdzi, że „porządek w układzie pism Kochanowskiego został zachowany według edycyj z lat 1598 i 1629.“ Tymczasem całe jego wydanie jest właściwie *przedrukiem* edycyi Turowskiego z 1857. Aby tego dowieść, ograniczam się do wykazania kilkunastu dowolnych miejsc, które się *tylko* u Turowskiego, Breslauera i t. p. wydawców znajdują, a które się powtarzają i w najnowszém wydaniu. Form i błędów tych — które tu wyliczę — nie masz w żadném wydaniu Kochanowskiego, dokonaném w oficynie Wierzbięty, Łazarza, albo Piotrkowczyka, ani w poszczególnych wydaniach ani w zbiorowych, zatytułowanych „Jan Kochanowski.“ Mniejsza więc o to z *któréj ręki* je przedrukował Bełza, to pewna, że do swojego wydania nie używał żadnego wydania Kochanowskiego z 16 ani z 17 w. (a wydania późniejsze, zacząwszy od Bohomolca, nie mają żadnéj wartości).

Oto dowody:

	Wszystkie wyd. Łazarzowe i Piotrkowczyka mają:	Wyd. Turowskiego et consortes, za nim Breslauer, Altenberg-Bełza mają:
	Dedykacya	„Zuzanny:“
	Elżbiecie z Szydło*wca*.	Elżbiecie z Szydło*wa*.
Treny: II.	widzieć *krajów*	widzieć *kraj ów*
III.	*za* tobą gotować ujźrzę	z tobą gotować (brak 1 zgł. w wier.) ujźrę

V. sad*ownik*	sad*nik ow*
co wznióżwszy	.. wzniósłszy (brak 1 zgł. w wierszu)

D z i e w o s ł ą b.

Takim prz*ymiotom*	prz*ed*miotom
przez niej	*bez* niej

M a r c i n o w a p o w i e ś ć z F r a s z e k.

*s*kładli	*k*ładli
przy róż*éj*	przy róż*y*

P r o p o r z e c a l b o h o ł d p r u s k i.

Na *to* pióro sposobić	na *te* pióro sposobić
ludzi (accus.) wiążą	ludzi*e* wiążą
niepow*scig*niony	niepowściągniony

W r ó ż k i.

Przestawam na *twem*	Przestawam na *tem*

P r z e d m o w a d o O d p r a w y p o s ł ó w g r e c k i c h.

Nie wiem jako *to*	nie wiem jako ..
Barzobych *to* rad był	Bar*dz*obych .. rad był

S z a c h y.

Lub zle lub dobrze	*lecz* źle lub dobrze i t. d , i t. d.

W ostatniéj scenie „Odprawy posłów greckich," na początku mowy Rotmistrza, brak jednego wiersza; po słowach „wczora o południu" ma nastąpić „pięć galer ich przypadło na Trojańskie brzegi." Otóż ten wiersz opuścił jedynie Turowski et cons. za nim Bełza, a zgodność taka nie jest, jak wiadomo, przypadkowa. Motto fraszek:

Fraszki tym książkom dzieją, kto się puści na nie,
Uszczypliwym językiem za fraszk*i* nie stanie;

jest z tym błędem jedynie w téj ostatniéj kategoryi wydawców. (Ma być „za fraszk*ę*").

Nie chcę bez potrzeby mnożyć przykładów do rzeczy widocznéj. Zgodność tych ostatnich wydań— zacząwszy od Mostowskiego a skończywszy na Bełzie — potwierdza wspólny układ pism Kochanowskiego nie bez *oryginalnych* permutacyj, co tylko tém większe sprawia zamieszanie. (Porządek rzeczy wydań od Mostowskiego aż do Turowskiego zestawił Przyłęcki w swoim „Dodatku" str. 227 nst. Wprawniejsze oko spostrzeże odrazu całą zależność od nich układu Bełzy). O téj wspólności wydania lwowskiego z wydaniem à la Turowski przekonywa nas i ta okoliczność, że Bełza umieścił objaśnienia rzeczowe na dole tylko te, które znachodzimy w wydaniu Turowskiego et comp. Wprawdzie nie umieścił wszystkich objaśnień, byłoby to może za wiele dla „szerszéj publiczności," nawet nie zaw-

sze brzmią te objaśnienia tu i tam dosłownie, ale Bełza umie przecież objaśnienie Turowskiego swoimi słowami objaśnić. Np. Turowski objaśnia „w czasiech przyszłych" (Odprawa posłów, editio princeps ma „przeszłych"), „które teraz przyszły," nie ma co mówić, objaśnienie trafiające kulą w płot. Otóż Bełza objaśnienie Turowskiego jaśniéj wyraża „w czasach obecnych!" Tym sposobem musi czytelnik uwierzyć, że czas przeszły znaczy tyle, co czas teraźniejszy. Odmiany objaśnień Bełzy od Turowskiego różnią się zresztą tém, że Bełza je skraca, np. *Nierzkąc*, podaje Turowski, znaczy *Cóż dopiero*, ani myśleć, nie tylko. Bełza nie traci dużo słów: *nierzkąc* znaczy *cóż dopiero.* Wobec innych dość licznych objaśnień Turowskiego zachowuje poważne milczenie, za to dorzucił od siebie jednę rzeczywiście ciekawą notatkę na str. 290 o czytaniu na wspak fraszki p. t. „Raki."

Od czasów ś. p. Bohomolca aż do ostatnich wydawców, musi każdy nowy wydawca choćby kilka nowych błędów i nieporozumień dorzucić, tym sposobem jest każdy następny wydawca o jeden stopień przynajmniéj od poprzedzającego gorszy.

Przypatrzmy się np. Fraszkom. Editio princeps z r. 1584 zawiera w dodatku do trzech ksiąg, 8 fraszek p. t. „Dobrym towarzyszom gwoli," które już w wydaniu z r. 1608 opuszczono. Bohomolec w swojém wydaniu „Rymów wszytkich Jana Kochanowskiego" opuścił ze względów obyczajowych — oprócz cyklu „dobrym towarzyszom gwoli"—jeszcze kilkadziesiąt wolniejszych i wolnomyślniejszych fraszek. Z tak obciętemi połami przedrukował je Turowski, dodawszy przy końcu cykl „Dobrym towarzyszom gwoli" dobrze wypunktowany, ale nie wspomniawszy naturalnie nic o tém, że opuścił kilkadziesiąt fraszek idąc za Bohomolcem, i że za przykładem Mostowskiego umieścił wiele na inném miejscu między „Pieśniami." To zamieszanie powiększył Bełza, który z obciętych przez Bohomolca a przez Turowskiego przedrukowanych fraszek ks. III, powypuszczał jeszcze kilkanaście nowych fraszek. Tym sposobem schudły pierwotne fraszki do niepoznania. Ale nie koniec na tém. Wyjąwszy z I, II i III księgi fraszek dwanaście wolniejszych wierszyków, dodał je na początek cyklu 8 fraszek i utworzył nowy konglomerat z 20 fraszek, który ochrzcił starém mianem „Dobrym towarzyszom gwoli," naturalnie nie wspomniawszy ani słówkiem o téj operacyi, tak, że czytelnik zrazu nie może poznać starego cyklu „Dobrym towarzyszom gwoli." Za to na początku pierwszéj księgi dodano z przedmowy do „Pieśni" (ks. II) jednę fraszkę p. t. „Na swoje pieśni." Bełza poszedł tu za Turowskim.

Różnica więc między fraszkami wydania Turowskiego a Bełzy jest tylko pozorna, a uzupełnienie punktowanych fraszek przez Bełzę jest właściwie zasługą warszawskiego wydawcy (Breslauera).

Nowsi wydawcy, zacząwszy od Bohomolca, opuszczają przedmowy poety i Januszowskiego (np. do Wróżek, foenomenów O Czechu i Lechu i t. d.). Wydawca lwowski opuścił jeszcze i tę przedmowę, którą przedrukował Turowski na str. 177, z czego mu jako popularnemu wydawcy zarzutu nie czynię.

W końcu wypada mi zaznaczyć, iż nie dopatrzyłem się w wydaniach Turowskiego et Comp. a zatém i w najnowszém wydaniu wiersza p. t. „Epithalanium Jana Kochanowskiego," umieszczonego we wszystkich zbiorach Łazarzowych i Piotrkowczyka p. t. „Jan Kochanowski" między „Dziewosłębem" a „Threnami." Brak též u Bełzy wiersza p. t. „Cantio" i t. d., zaczynającego się od słów: „Wszech mogący Niebà Ziemie Pànie || Co ty rozkażesz to sye wszystko stanie." Przyłęcki umieścił je w dodatku do wydania Turowskiego na str. 199, co przeoczył Bełza.

H. Biegeleisen.

= **X. Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III.** *Wydanie nowe przejrzane, z przedmową Władysława Zawadzkiego.* 2 t. (str. VIII, 234, 239). *Lwów. Nakład Gubrynowicza i Schmidta. 1883* („Biblioteki polskiéj" tom 32 i 33). — Dzieło ks. Jędrzeja Kitowicza należy do tych niezbyt licznych w literaturze naszéj utworów, które, obok swego doniosłego znaczenia dla nauki, mają też pewien powab i dla szerszego koła czytelników, lubiących cokolwiek poważniejszą, ale nie ściśle naukową lekturę. Korzystało z niego wielu wtenczas jeszcze, gdy zostawało w rękopiśmie, częściowe urywki ogłaszane były w pismach peryodycznych; wydane po raz pierwszy w całości r. 1840 przez Edwarda hr. Raczyńskiego doznało nader przychylnego przyjęcia i wśród świata naukowego i wśród publiczności czytającéj. W dziesięć lat potém księgarnia Poplińskiego w Poznaniu podjęła nowe wydanie, ale poprzestała, z niewiadomych bliżéj powodów, na ogłoszeniu pierwszego tylko tomiku. Gdy się to wydawnictwo nie udało, w r. 1855 Wolff, księgarz petersburski swoje przyprowadził do skutku, dodawszy życiorys pióra K. W. Wójcickiego. Obecnie po latach 27 okazała się znowuż potrzeba przedruku, gdyż dawniejsze edycye wyczerpane zostały w zupełności. Nowe to wydanie odznacza się nader korzystnie od poprzednich bardzo pięknym papierem i drukiem wyraźnym; korekta dosyć jest staranna, jakkolwiek od błędów nie wolna; dostrzedz nawet moż-

na maleńkie opuszczenia (np. słowa *są* po wyrazie *drudzy* t. I, str. 91, drugi wiersz od dołu), ale w ogólności sprawia dobre wrażenie. Przedmowę, podającą charakterystykę dzieła, napisał p. Władysław Zawadzki. Twierdzi on na samym początku, że wydanie obecne jest czwartem z kolei; widocznie wciągnął w rachubę owę edycyą przez księgarnię Poplińskiego podjętą, któréj nie ukończono; tom pierwszy zawiera to tylko, co się mieści na 105 stronach tomu pierwszego edycyi obecnéj. Ocena wartości „Opisu obyczajów i zwyczajów," w któréj autor powołuje się między innemi i na Karola Sienkiewicza, wogóle jest trafną, choć może trochę zanadto optymistycznie zabarwiona.

= **Fryderyk Chopin.** *Życie, listy, dzieła. Przez Maurycego Karasowskiego.* 2 tomy. Warsz. Gebethner i Wolff. — Pierwsza-to dopiero tak pełna i tak interesująca zarazem biografia naszego mistrza tonów. Zarówno z zapewnienia autora jak i ze śladów jego działalności wiemy, iż jest to owoc dwudziestoletnich trudów podjętych w celu wyszukiwania i gromadzenia materyałów, odnoszących się do życia Szopena. Początkowo, ogłosiwszy artykuł „Młodość Chopina" i jego listy w „Bibliotece Warszawskiéj," cały życiorys wydał p. K. w języku niemieckim, ponieważ, jak powiada, przekonał się iż Niemcy, którzy wysoko cenią dzieła muzyczne Szopena, o ich twórcy „nie tylko mało co wiedzieli, lecz nawet to co wiedzieli, niedokładne było, przekształcone, z prawdą niezgodne." Obecnie, po kilku latach upłynionych od czasu ogłoszenia życiorysu tego w języku niemieckim, autor pewne niedokładności sprostowawszy, dodawszy nieznane listy i wogóle opracowawszy swe dzieło na nowo, ogłosił je po polsku. Świetnego talentu opowiadacza autor wprawdzie nieposiada, umiejętnéj metody badania i tworzenia historycznego nie przyswoił sobie, ale pracując sumiennie i z zamiłowaniem, i mając pod ręką wyborny materyał w dość licznych listach Szopena, tak charakterystycznych i tak ciekawych, utworzył dzieło, które przedstawia nam szczegóły życia artysty najpełniéj i które stanowić może bardzo przyjemną lekturę. Są tu fakta potrzebujące jeszcze sprostowania, są niezapełnione luki zarówno pod względem biograficznym jak psychologicznym, lecz bądź-co-bądź mamy już cenny sam przez się zbiór materyałów, które dotychczas nigdy w takiéj pełni nie występowały, mamy próbę jego charakterystyki jako człowieka, jako nauczyciela i jako twórcy. Słowa Schumanna: „Szopen jest i pozostanie najśmielszą i najwspanialszą naturą poetycką czasów naszych" stały się podstawą oceny twórczości Szopena, oceny przeprowadzonéj szczegółowo, a zaznacza-

jącéj łatwość, z jaką najcudowniejsze motywy same z duszy mu wypływały.

= **Charakteristik Trembecki's.** *Ein Beitrag zur slavischen Literaturgeschichte der zweiten Hälfte des achtzehnten Jahrhunderts. Inauguraldissertation zur Erlangung des philosophischen Doctorgrades an der Universität Leipzig vorgelegt von Heinrich Biegeleisen aus Touste.* Leipzig, 1882, str. 37. — W roku 1877 ogłosił p. Biegeleisen, jako student uniwersytetu lwowskiego, rozprawkę „O Stanisławie Trembeckim,“ która obok znacznych wad posiadała jeden ważny przymiot t. j. pilność i sumienność w gromadzeniu szczegółów bio- i biblio-graficznych. Obecnie po pięciu zgórą latach, przerobiwszy ją w niektórych punktach ogłosił po niemiecku i za jéj pośrednictwem osiągnął w uniwersytecie lipskim stopień doktora filozofii. Ponieważ główne rezultaty poszukiwań autora polegają na ustaleniu pewnych dat chronologicznych i kilku drobnych faktów z życia poety, trudno więc podawać streszczenie jego pracy. Przyznając jéj cechy rozwagi krytycznéj, staranności i sumienności, oddamy należną jéj pochwałę; zwrócimy natomiast uwagę, w interesie samego przedmiotu, na kilka szczegółów, które błędnémi nam się wydają. Napis: „Charakterystyka Trembeckiego“ nie odpowiada właściwéj a istotnéj treści rozprawy: jest-to raczéj życiorys i bibliografia utworów „autora Zofiówki“; próby odrysowania jego fizyonomii moralnéj i literackiéj znajdują się wprawdzie, ale nie zajmują pierwszorzędnego miejsca, pojawiają się okolicznościowo i niepewną kreślone są ręką. Gdyby p. B. pisał naprawdę charakterystykę a nie biografią, toby zapewne nie potrzebował umieszczać całkowitych listów i opowiadań, które możnaby było zawrzéć w paru wierszach, toby nie podnosił drobiazgów bio- i bibliograficznych, które znamiennemi nazwać się nie mogą. Co do rysów, tych szuka częścią w faktach, częścią (i to większą) w pismach autora. Otóż w komentowaniu tych pism niezawsze zgodzić się można z autorem. Według niego np. wiersz na ruinę jezuitów, wyrażający spółczucie dla upadłego zakonu, ma stanowić dowód wolteryanizmu Trembeckiego. Że Trembecki był wolteryaninem, to nie ulega wątpliwości, dowodów na to jest dosyć, ale trudno ich się doszukać w wierszu na ruinę jezuitów. P. B. twierdzi, iż Trembecki dlatego chwali zakon Lojoli, ażeby tém silniéj uderzyć na papieża. Dążność tę wysnuwa autor zapewne z tych czterech wierszy, w których poeta powiada, że uwierzył w nieomylność Klemensa, kiedy tenże obalił filary, na których się wspiera gmach świątyni,— ależ w nich niepodobna dopatrzyć czegoś innego prócz retorycznego zwrotu, dla wyrażenia myśli już w poprzednich wier-

szach przedstawionéj. Zresztą sam B. o kilka wierszy daléj cofa niejako wypowiedziane zdanie, gdy twierdzi, że Trembecki „chwali papieża Klemensa za to, że zniósł zakon.“ Z faktycznych pomyłek zanotujemy, że „Zabawy przyjemne i pożyteczne“ zaczęły wychodzić nie w 1769, lecz w 1770; data owa nie jest pomyłką druku, gdyż ją i w pracy polskiéj tegoż autora znajdujemy. Zarzut zrobiony wydaniu pism Trembeckiego przez Kicińskiego zwrócićby raczéj należało ku „Dziennikowi Wileńskiemu,“ gdzie utwory Trembeckiego nieznane z poprzedniéj edycyi po raz pierwszy w druku się ukazały. Wydanie Sanockie nie stanowi części składowéj „Biblioteki polskiéj“ i nie zostało przygotowane do druku przez Turowskiego, lecz jest częścią „Księgozbioru polskiego“ wydawanego przez księgarza Polaka po rozłączeniu się z Turowskim. Podane przez p. B. wydania wileńskie nie są przytaczane jedynie przez tych autorów, których p. B. cytuje, ale znajdują się także podane w bibliografii wieku XIX Estreichera, wraz z oznaczeniem formatu i liczby stronic. Nie wiem dlaczego opuścił p. B. w pracy niemieckiéj wydanie warszawskie z r. 1865, które zna i przytacza w swojéj rozprawie polskiéj. Zaznaczając różne wątpliwości co do wielu wierszów drukowanych zazwyczaj w zbiorze poezyi Trembeckiego, autor ani słówkiem nie wspomina o tém, że autorstwo „Listu do posłów powracających z Grodna 1793“ jest także zakwestyonowane; owszem przytacza ten wiersz jako niewątpliwie do Trembeckiego należący. Może nie wiadomo autorowi, że wiersz ten wydrukowano w „Dzienniku Wileńskim“ (r. 1820, t. III, str. 69—75) jako utwór Molskiego; a może wie, lecz miał powody skłaniające go do odmiennego zdania; w pracy atoli krytycznéj zaznaczenie faktu i wymienienie powodów było konieczne. W jednym wypadku sam p. B. jest z sobą w niezgodzie. Na str. 20—21 przytacza i rozbiera wiersz p. n. „Do moich współziomków“ jako niewątpliwy utwór Trembeckiego, zaznaczając jego wyższy polot i patryotyczny koloryt; a na str. 34 wyliczając poezye słusznie przez Bobrowicza usunięte ze zbioru utworów Trembeckiego, dodaje, że *może* i wiersz „do moich współziomków“ słusznie do téj kategoryi zaliczony został. Motywów tego zdania tak jak i poprzedniego nie podaje p. B., a przecież wiersz zbyt jest ważnym, a zwłaszcza zbyt wydatne w pracy p. B-a zajmuje miejsce, ażeby można było na takiéj lakonicznéj wzmiance poprzestać. Może zadługo zastanowiliśmy się nad usterkami rozprawy p. B-a; sądzimy jednak, że tém zajęciem się jéj szczegółami złożyliśmy dowód uznania dla niéj większy, aniżeli gdybyśmy na ogólnikach pochwalnych poprzestali.

= **Uwagi nad sprawozdaniem komisyi w sprawie reformy szkół średnich powołanéj przez Akademią umiejętności w Krakowie.** *Napisał Dr. Zygmunt Samolewicz. We Lwowie, 1882* (str. 86). — Sprawozdanie komisyi akademickiéj w kwestyi reformy szkół średnich w Galicyi słusznie zwraca na siebie uwagę pedagogów, tak ze względu na szczegółowość swoję jako też i ze względu na powagę, jaką Akademia umiejętności w kraju posiadać winna. Oto w krótkim przeciągu czasu zaznaczyć nam wypada drugi już głos nauczyciela sprawozdaniem powyższém wywołany. Drugi ten głos tém większe ma znaczenie, że wydaje się wyrazem niejednostkowéj tylko opinii, lecz pewnéj przynajmniéj grupy nauczycieli, a powtóre, że obejmuje uwagi krytyczne nie nad jednym tylko przedmiotem, ale nad całością pracy akademików. Niepodobna nam iść tutaj za przewodnictwem p. Samolewicza i szczegółowo wdawać się w ocenę obszernego sprawozdania; poprzestać musimy na zanotowaniu ostatecznego wyniku i podnieść parę szczegółów donioślejszych. Ostatecznym tedy wynikiem, wysnutym ze szczegółowego rozbioru, jest, że reforma gimnazyów przeprowadzona według zasad zawartych w Sprawozdaniu komisyi Akademickiéj, „chybiłaby (zdaniem p. Samolewicza) zupełnie celu i zawiodłaby oczekiwania kraju, że orzeczenia komisyi nie mogą być ostatniém, a nawet przedostatniém słowem w zamierzonéj reformie gimnazyów.“ Dotykając pojedyńczych punktów reformy, p. Samolewicz chętnie przyznaje słuszność wielu projektom komisyi, zaznaczając mianowicie znajomość rzeczy i pedagogiczną wytrawność kilku specyalnych referentów; ale najczęściéj widzi się zmuszonym do robienia poważnych zarzutów referentowi ogólnemu, który zamiast uogólniać wymagania specyalistów, częstokroć staje z niémi w stanowczéj sprzeczności. Tak się rzecz ma np. ze sprawą nauki języków klasycznych. „Czytając wnioski komisyi—powiada p. Samolewicz— i szczegółowy referat, doznaje się niezamierzonego zapewne wrażenia, jakoby referent starał się punkt za punktem wykazywać niepraktyczność i szkodliwość powziętych w pełnéj komisyi uchwał, jakoby ze stanowiska fachowego zakładał protest albo przynajmniéj zastrzeżenie przeciw nowościom i zmianom przez komisyą dokonanym.“ Z zakresu zasad ogólnych zasługuje na wzmiankę wskazanie wstecznego stanowiska, jakie zajęła komisya akademicka w sprawie dydaktyki. Zdaniem komisyi w szkołach galicyjskich małe korzystanie z nauki ma wynikać z przesadnego stosowania metody indukcyjnéj i z jednostronnego ćwiczenia rozumu z zupełném zaniedbaniem pamięci; reforma zatém przez komisyą proponowana, polega na tém, aby główną treść każdego przedmiotu uczeń, po

otrzymaném wyjaśnieniu w szkole, musiał przyswoić sobie mechanicznie to jest pamięciowo. Tak sformułowane żądanie znalazło słuszną odprawę w broszurze p. Samolewicza, który w replice swojéj kładzie nacisk na to, że nawet uczenie się na pamięć nie powinno być mechaniczném, owszem musi polegać na dokładném i wszechstronném zrozumieniu, inaczéj bowiem owa wiedza rzekoma, w pamięci przechowywana, będzie składem luźnych rozrzuconych szczegółów, które na rozwój ducha wpływu wywierać nie będą i po krótkim przeciągu czasu albo zupełnie wywietrzeją, albo martwym tylko pozostaną kapitalikiem.

— **Szkice Klina**. Część druga. Zeszyt II: **Po Europie. Wycieczka trzecia**. Zeszyt III: **Po Europie. Wycieczka czwarta i piąta**. 1882, str. 43—136. — Z pierwszym zeszytem części drugiéj Szkiców Klina zaznajomiliśmy w swoim czasie czytelników *Ateneum*, starając się w krótkich rysach nakreślić fizyonomią duchową autora. W dwu obecnie wydanych zeszytach mamy sposobność poznać ją z innéj strony t. j. w stosunku do pospolitych zdań ludzkich o różnych stronach Europy. Autor nie cierpi frazesów wytartych wyrażających konwencyonalny zachwyt nad tém, nad czém zwyczaj zachwycać się każe; to téż chętnie dopatruje się złych stron we wszystkich zwiedzanych przez siebie okolicach i naturalnie znajduje je w ilości dostatecznéj dla usprawiedliwienia lub upozorowania sarkazmów. Klin chce się wystawić jako człowiek mało wrażliwy, nie umiejący zachwytu swego przelewać na papier, a nawet może i zachwycać się. Tak jednakże nie jest, umie on odczuwać, kocha np. i uwielbia Grecyą starożytną, lubi namiętnie słońce południa, lubi zastanawiać się i badać, lubi wspaniałe widoki przyrody. Ale istotnie w opisy szerokie wdawać się nie chce czy téż nie może. Gdy go w Irlandyi uderzyły bazaltowe skały, notuje tylko wrażenie i powiada: „Tylko się nie spodziewajcie, ażebym wam te rzeczy opisywał— nie potom tu przyjechał. Wyczerpujący opis znajdziecie sobie w naukowym podręczniku, a o podziw możecie się udać do pierwszego lepszego z poetów, jeżeli jest tylko pomiędzy nimi jakiś dość wykształcony, któregoby te bazalty o natchnienie przyprawiły... W myślach moich bazalty te zupełnie inne wrażenie wywołały... Mogę wam tylko co najwyżéj rezultat jego zanotować: naraz mi z pamięci wypadła i Anglia i cywilizacya i ludzkość cała—zostało tylko coś, czém on wielki duch jakiegoś mizernego pyłu, zwanego człowiekiem, próżno się sili owładnąć i pojąć. Trwało to tylko chwilę i w téj chwili krótkiéj leży cała wartość i pożytek téj mojéj podróży“ (str. 96). To do-

brze— mówi sobie czytelnik — autor odniósł jakąś korzyść, ale ja? Na samém wrażeniu czyjémkolwiek niewiele zależy, ale zależy coś na rozjaśnieniu przyczyny, która go wywołała, na roztoczeniu tego procesu psychologicznego, który się we wnętrzu odbywał albo téż zależy na silném, obrazowém odtworzeniu samego wrażenia tak, żeby czytelnik mógł je odczuć. W pierwszym razie korzyść byłaby natury refleksyjnéj, w drugim—artystycznéj. Jeżeli mi autor ani jednéj ani drugiéj nie daje, to cóż mi po jego wrażeniu, rzeczy tak ulotnéj i znikoméj!... Klin odbywa podróże swe forsownie, siedemset mil przebiega w ciągu sześciu tygodni (str. 129); męczy się oczywiście fizycznie i umysłowo, a skutkiem tego nie ma najmniejszéj ochoty do szczegółowego opisu swoich trudów; robi więc such , krótkie notatki, których następnie wyobraźnią ożywić nie może, bo nie chce puszczać jéj wodzów, nie chce mówić nieprawdy. Jego opisy a raczéj sprawozdania nie odznaczają się ani w kierunku entuzyastycznym, ani sarkastycznym i dla zwykłego czytelnika nie przedstawiają zajęcia; mogą one wszakże przydać się psychologowi, gdyż o ile sądzić można, są wiernym wyrazem stanów duszy, w jakich podróżny się znajdował; nie sfałszował ich autor żadną prawie literacką przyprawą. Europa go znudziła; zaciekawia go jeszcze wschód, jak to powiedział na końcu piątéj wycieczki.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Polemika w dziennikach o wpływie oświaty na moralność.—Nasz wielki przemysł.—Przyczyny rozwoju produkcyi fabrycznéj.—Pierwszy alarm.—Potrzeba gruntownego badania.—Projekt techników.—Przyszły wiec techniczny.—Górnictwo krajowe.—Zjazd w 1883 r.—Prawo co do używania małoletnich robotników fabrycznych.—Jego znaczenie u nas.—Kroki przygotowawcze.—Przemysł domowy.—Uwagi z powodu ostatniego sprawozdania Muzeum rolnictwa i przemysłu.—Stosunki rolnicze i parcelacya.—Towarzystwo kredytowe ziemskie i ostatnia kodyfikacya.—Konkurs Macierzy Polskiéj.

Jedném z ciekawszych zjawisk ostatnich tygodni na niwie dziennikarskiéj jest polemika, która się zawiązała około aforyzmu wypowiedzianego przez redaktora „Nowin," zbyt stanowczo zapewne i w zbyt dogmatyczném streszczeniu, że: „wpływ oświaty na moralność jest żaden." „Kuryer Codzienny," „Przegląd tygodniowy" i „Prawda" wystąpiły przeciwko temu twierdzeniu, inne pisma nie zwróciły dotąd uwagi na dyskusyą, a jednak kwestya to niezmiernie ważna, która każdego z nas żywo obchodzi. Polemika dotychczas nie rozwinęła się należycie, p. Głowacki wystąpił z całym szeregiem argumentów, liczb i cytat z dzieł mających powagę w nauce, przeciwnicy jego po części trzymają się jeszcze w sferze twierdzeń ogólnych: że oświata wpływa korzystnie na moralność.

Nie mamy zamiaru wyrokować tutaj stanowczo w kwestyi tak niezmiernie trudnéj do ostatecznego zdecydywania a wymagającéj wykładu obszernego, w kwestyi która zresztą zdaniem naszém, dzisiaj na podstawie faktów i cyfr statystycznych rozwiązaną być nie może, na mocy zaś rezonowania oderwanego podaje każdemu pole do nieskończonego bodaj argumentowania na korzyść upodobanéj sobie opinii.

Aforyzm p. Głowackiego w powtórnéj, poprawnéj redakcyi „wpływ dzisiejszéj oświaty na moralność jest tak mały, że nie daje

się ocenić nawet za pomocą statystyki"—zdaje się nam być bardzo bliskim prawdy, i niewahalibyśmy się zaznaczyć naszéj zgody na tak wyrażoną opinią szanownego autora, gdyby nie obawa o nieporozumienie. Statystyka zbiera cyfry jednostronne, brak pomiędzy niemi wskazówek na fakta, któreby dopiéro rzecz wyjaśnić mogły, brak wiadomości o dobrych uczynkach i ich stosunku do liczby ludzi oświeconych, a przecież zmniejszanie się przestępstw samo nie daje jeszcze pojęcia dokładnego o rozwijaniu się siły moralnéj wśród społeczeństwa. Głuchoniemy nie dopuści się potwarzy, bezwładność paralityczna powstrzyma chorego od brania udziału w bójkach, ślepy niezdoła chyba nikogo zastrzelić, ale taka negacyjna prawomyślność mało świadczy o ich moralności, podobnież więc niepiśmiennemu prostakowi trudno wkładać wieniec cnoty za to, że nie fałszuje podpisów na wekslach. Tymczasem p. Głowacki opiera się na cyfrach przestępstw bezwzględnie, a zestawia je w sposób który często niczego nie dowodzi.

Liczba umiejących czytać w kilkunastu departamentach francuskich, postawiona obok liczby przestępstw tam dokonanych; obliczenie stosunku procentowego ludzi zajmujących się pewnym rodzajem pracy ekonomicznéj do ogółu ludności i do ogółu przestępców—czyż dają prawo do ostatecznych wniosków o stosunkowéj moralności téj lub owéj klasy, o kwitnieniu cnoty lub występku w téj lub owéj stronie kraju? Nam się zdaje że nie. Rzemieślnik, kupiec żyją wśród otoczenia tak bardzo różnego aniżeli rolnik, rodzaj ich stosunków z ludźmi tak jest odmienny, okoliczności wśród których żyją i pracują wytwarzać mogą tyle powodów do rozbudzenia namiętności nieznanych spokojnym rolnikom, że porównanie procentu przestępstw w tych dwóch klasach ludzi, dla robienia wniosku o wpływie oświaty na moralność będzie, w statystyce nawet, działaniem nieprawidłowém, a cóż dopiéro podnoszenie tych cyfr jako argumentu w kwestyi filozofii społecznéj. Cytowany przez p. Głowackiego Spencer, nic zdaje się téż nam popierać jego opinii. Wszak Spencer mówi o „wychowaniu umysłowém i *moralném*"—nie zaś wyłącznie o szerzeniu oświaty, a chociaż twierdzi że: „ono nie może dzisiaj jeszcze uwolnić ludzkości od *wszystkich* nieszczęść"—jednakże „niezachwianéj wierze niektórych ludzi w zbawienne skutki tego wychowania" przypisuje rozwój i postęp ludzkości. Nie moglibyśmy téż zgodzić się na ostateczne twierdzenie szanownego redaktora „Nowin" że: „oświata i moralność narodu są to dwa fakta niezależne od siebie"—że „umoralnić ogółu za pomocą oświaty a tembardziéj szkoły nie można"—że pominiemy już mniéj potrzebne zestawienie „chustki do nosa" z oświatą. Zapewne, bywają na świecie szkoły, które nie tyl-

ko moralności nie wdrażają w ucznia, ale nawet pierwszych początków oświaty przyswoić mu należycie nie są wstanie; co gorsza słychać że po wielkich miastach istnieją z wielką świadomością rzeczy uorganizowane szkoły rzezimieszków. Jeśli c pierwszych można powiedzieć, że nie umoralniają, o drugich—że szerzą niemoralność, będzież to naciąganym wnioskiem, że dobréj szkole przyznamy dodatni wpływ na rozwój moralności? Chociażby szkoła przyzwyczajała tylko do pracowitości, to już na tém moralność wygrać musi.

Mybyśmy powiedzieli, że nawet w rozumowaniu oddzielić moralności od oświaty nie podobna, a tém bardziéj w życiu ludzkiém muszą one koniecznie oddziaływać na siebie, a chociaż cnotliwych prostaczków wszędzie znaleść można—tak samo jak łotrów nawet uczonych, jednakże zjawiska te pozostaną zawsze tylko oderwanémi faktami, do wyprowadzenia ogólnego prawa psychologicznego lub socyologicznego bynajmniéj nie upoważniającémi. Psychologowie dzisiejsi odrzucają spółrzędne obok siebie istnienie różnych władz duszy, a podnoszą natomiast organiczną jedność ducha. Z tego zapatrując się na naszę kwestyą stanowiska, niepodobna byłoby wątpić o wpływie wzrostu oświaty na wzrost moralności. Nie przywiązując jednak do tego argumentu zbyt wielkiéj wagi, wolimy wesprzeć się na następném rozumowaniu. Do złych czynów prowadzi ta lub owa namiętność gdy nie znajduje odpowiedniéj przeciwwagi. - Oświata rozwija w człowieku pierwiastek refleksyjny, który właśnie stanowi przeciwwagę namiętnościom. Dajmy na to że spotęgowanie rozwagi nie jest pod tym względem rękojmią stanowczo i absolutnie zabezpieczającą: niech tylko zmniejszy cyfrę szans złego a już moralność publiczna na tém wygra, choćby z dotychczasowego statystycznego punktu widzenia, opartego na liczbie dostrzeżonych uczynków karogodnych.

Zresztą, jeżeli filozofowie i publicyści, jeżeli wszyscy którzy szerszy pogląd na sprawy ludzkie sobie przyswoili wołają ciągle o więcéj światła, jeżeli p. Głowacki głos swój nieraz z tym chórem łączył i łączy dzisiaj jeszcze, pomimo rozpoczętéj polemiki, wszystkim im chodziło i chodzi o to, aby coraz więcéj ludzi oświeconych było w społeczeństwie. Boć to oświata zniosła torturę, złagodziła okrutny system kar, który wieki barbarzyńskie stworzyły, a łagodząc przez to obyczaje, dodatnio oddziałała na moralność. Oświata powtarzamy zrobiła to, bo uczucie moralne mas wcale się okrucieństwem tego rodzaju nie gorszyło, owszem poetyzowało je z epicznym spokojem w podaniach, pieśniach ludowych, które do dziś dnia są powtarzane. Oświata to daje nam malarzy, których natura lub przypadek rąk pozbawiły, oświacie zawdzięczamy to, że i głuchy Betho-

ven kombinuje tony wywołujące w nas zachwyt, a wszakże dość jest upowszechnionėm zdanie, że sztuki piękne wywierają na nas wpływ etyczny. Wypadałoby więc i to mniemanie w niwecz obrócić, przed zaprzeczeniem wpływu oświaty na moralność.

Zapalony nawet fanatyk postępu nie nazwie zapewne oświatą umiejętności rozpoznawania liter, mechanicznego czytania lub „stawiania tytlów niezbyt śmiało.“ Jeżeli zaś wszyscy wołamy o mnożenie szkół elementarnych; to dla tego że one podają wielkiėj ilości ludzi pierwsze narzędzie do oświaty, a tym z pomiędzy nich, którzy poczują w sobie do niėj powołanie, ułatwiają przechodzenie na wyższe jéj szczeble i są przez to warsztatem łamiącym trudności, usuwającym przeszkody najważniejsze na drodze do oświecania się i doskonalenia moralnego zarazem. Nie można twierdzić że oświata wpływa tylko na wyćwiczenie umysłu, ona oddziaływać musi na wszystkie popędy człowieka, bo uczy go poznawać cele wyższe i rozróżniać prowadzące do nich drogi, rozbudza ona w człowieku popędy szlachetniejsze, do których z natury jest uzdolniony, ale które bez tego zwykle drzemią w nim w nieświadomości; zwiększa w społeczeństwie liczbę jednostek mających możność dokładniejszego zrozumienia swoich obowiązków, więc—chociaż może nie wpływać na zmniejszenie się liczby przestępstw, ale niezawodnie wpływa na mnożenie się uczynków dobrych.

Cyfry statystyczne wtedy tylko będą mogły stanowczo wyjaśnić wpływ oświaty na moralność, kiedy obok liczby ludzi oświeconych, obok liczby przestępstw w danym społeczeństwie, postawią także liczbę uczynków dobrych. Dotąd zbieraniem cyfr takich nikt się nie zajmował, dla tego téż dowody czerpane ze statystyki nie zawsze wystarczają. Nie prędko jeszcze zapewne potrafią statystycy ująć w swe rubryki czyny ludzkie złe, dobre i obojętne, póki zaś tego nie dokażą, musimy się powstrzymać z ostatecznėm rozstrzyganiem kwestyi wpływu oświaty na moralność na podstawie samych czynów kryminalnych.

Dodajmy jeszcze jedno słowo wyjaśnienia. W całym powyższym wywodzie nie mieliśmy na myśli jakiejś moralności abstrakcyjnéj, saméj w sobie i saméj dla siebie, oderwanéj od świata, ascetycznéj. Samotny Robinson nie może być ani moralnym, ani niemoralnym. Mówiliśmy o moralności praktycznéj, a raczéj praktykującéj. Taka moralność jest czynnikiem użyteczności społecznéj, takimże czynnikiem jest oświata; gdy oba do jednego dążą celu, gdy oba potęgują się w czasie osiągniętemi poprzednio przez własną działalność owocami—niepodobna chyba twierdzić, że jeden drugiego nie wspomaga, nie wspiera.

W przeciągu ostatnich lat 15-tu, 20-tu, w kraju naszym fabryki wyrastały, jak grzyby po deszczu. Powstały całe oazy kolonij wyłącznie fabrycznych, rozrzucone w pasie granicznym Królestwa, przy znaczniejszych stacyach kolejowych, a przeważnie w gubernii piotrkowskiéj. Mamy więc dziś wielki przemysł, którego produkcya roczna wynosi już blizko 120 milionów rubli. Gdy do niedawna punkt ciężkości krajowego wytwórstwa spoczywał w rolnictwie wyłącznie, obecnie produkcya fabryczna stanowi $^1/_3$ część produkcyi rolniczéj.

Patrząc na tak szybkie postępy, mimowoli musimy zadać sobie pytanie, zkąd się bierze ten ożywiony ruch przemysłowy, jakie są jego podstawy? Czyżby ogólna skala dobrobytu w kraju tak znacznie się podniosła, a z nią i potrzeby ludności? Chcąc odpowiedzieć na te pytania musimy przypatrzyć się samemu przemysłowi.

Wielkie zakłady przemysłowe, przeważnie fabryki tkackie, najbardziéj wyróżniające się ogromem swéj produkcyi, powstały u nas w ostatnich czasach nie tyle wskutek warunków naturalnych, stałych, ile z powodu czasowo przyjaznych okoliczności. Depracyacya waluty, cła ochronne, nizki stan przemysłu w Cesarstwie, łatwy zbyt fabrykatów na rynkach rosyjskich—oto podstawy bytu naszych wielkich zakładów tkackich. Co będzie późniéj—nikt się nie pytał. A chociaż wielki przemysł, na naszym wyrosły gruncie, jest dziełem przeważnie kapitalistów obcokrajowych i śród nas jednak znajdował on gorliwych zwolenników.

Ruch przemysłowy, niczém nietamowany, rozwijał się daléj. Każde najsłabsze niepowodzenie waluty rosyjskiéj, każda zmiana w taryfie celnéj na korzyść zasady protekcyi, wprowadzenie opłat w złocie—wszystko pobudzająco wpływało na przemysł fabryczny, zdwajając energią jego rozwoju.

Przeciwko takiemu pochłanianiu sił wytwórczych kraju przez wielki przemysł, pierwsi zaprotestowali rolnicy. Liczne jednak ich głosy przebrzmiewały bez echa, bo fabrykanci znajdowali coraz to nowe „przyjazne okoliczności" dla korzystnego lokowania swoich kapitałów.

Tak więc dziś posiadamy własny wielki przemysł, czysto okolicznościowy. Jest on już na tyle silny, że każde jego powodzenie lub niepowodzenie odbić się musi tak na całéj ekonomii kraju, jako téż i na pojedyńczych gałęziach pracy. Czy powodzenie będzie długo trwałém i czy tak prędko nie potrzeba jeszcze spodziewać się przesilenia—jest to pytanie, na które w téj chwili odpowiedź byłaby niemożliwą. Kronikarski wszakże obowiązek zmusza nas do skonstatowania faktu, który dużo daje do myślenia.

Oto coraz częściéj ostatniemy czasy przychodzi nam spotykać się z alarmującemi pogłoskami. Jedną z nich rozdmuchały niedawno dzienniki niemieckie, z powodu odezwania się jakiegoś przemysłowca rosyjskiego na świeżo zamkniętym zjeździe przemysłowo-handlowym w Moskwie—o potrzebie ustanowienia granicy celnéj między Królestwem a Cesarstwem. Z małéj téj iskry powstał formalny popłoch. Zainteresowana mocno tą sprawą prasa niemiecka, proste zdanie indywidualne, ubrała w formę projektu poważnego. Skutków takiego postawienia kwestyi łatwo można było się domyślać. Fabryki krajowe cały swój byt opierają z jednéj strony na cle, z drugiéj na szerokim zbycie w Cesarstwie, zamknięcie więc jego granicy dla tutejszych wyrobów jest sprawą życia i śmierci wielkiego przemysłu.

Na szczęście, tym razem kaczkę dziennikarską wkrótce zabito. Chcąc bowiem zażegnać burzę, p. Józef Poznański, wice prezes zjazdu handlowego w Moskwie, zasięgnął odpowiednich informacyj i ogłosił w petersburskim „Kraju“ list uspakajający.

„Z powodu powtórzenia przez niektóre dzienniki rosyjskie i niemieckie—pisze w swéj odezwie p. I. P.—wieści, jakoby fabrykanci Cesarstwa wystąpili do rządu z projektem ustanowienia granicy celnéj między Królestwem a Cesarstwem, z oznaczeniem linii granicznéj wzdłuż rzeki Wisły, otrzymałem zapytania, czy rzeczywiście isinieje taki zamiar, wiadomo bowiem, że przemysł Królestwa, dzięki głównie taryfie celnéj i wskutek tego znacznemu zbytowi wyrobów do Cesarstwa, mógł dojść do obecnego stopnia rozwoju i bardzo więc naturalnie, że przemysłowcy zostali mocno zaniepokojeni powyższą wiadomością. Zebrawszy informacye w kompetentnych sferach rządowych, przyszedłem do przekonania, że cała powyższa pogłoska jest prostym wymysłem i pozbawiona wszelkiéj podstawy.“

Dziś dokładnie nie możemy zdać sobie sprawy o rozwoju fabryk krajowych, głównie zaś o tém, w jakim stosunku fabryki przetwarzają krajowy materyał surowy, a w jakim obcy. Wogóle o funkcyach wielkiego przemysłu nie posiadamy obfitych informacyi. Wiemy, że w Łodzi, Zgierzu i Tomaszowie istnieją olbrzymie zakłady, których produkcya sięga kilkudziesięciu milionów rubli, lecz nawet mało kto z nas widział na oczy wyroby z tych zakładów. Sukna i korty krajowe poznaliśmy bliżéj dopiéro na ostatniéj wystawie tkackiéj w Warszawie. A mówimy tu nie o przeciętnym, mniéj lub więcéj wykształconym czytelniku. W ogóle bowiem brak nam źródeł poważnych, statystyczno-sprawozdawczych, jakie są

niezbędne tak dla naukowego traktowania przedmiotu jak i dla praktycznego zapoznania się z nim.

Taki stan rzeczy nie powinienby trwać dłużéj. Wprawdzie zastosowanie środków zaradczych i zalecanie jakich bądź reform przekracza granicę naszéj kompetencyi, nie mniéj jednak zbadanie obecnego stanu jest ze wszech miar pożądaném. Raz dla tego, że z niego będziemy mogli wyciągnąć wskazówki o niezaspokojonych jeszcze potrzebach naszych przez krajowy przemysł, o tych niwach, które wymagają większéj i staranniejszéj uprawy, przez co odwróci się część sił wytwórczych i kapitałów w stronę właściwą, otwierającą nieznane jeszcze, a korzystne źródła eksploatacyi przyrodzonych bogactw kraju i przeróbki jego materyałów surowych. Powtóre zaś dla tego, że świadomość sytuacyi jest najlepszą rękojmią racyonalnego, ostrożnego postępowania. Od badań więc, jakie tu mamy na myśli, oczekiwać należy przedewszystkiém bardziéj normalnego podziału pracy przemysłowéj—one bowiem wskażą nam, jakie działy produkcyi fabrycznéj pozostają dotąd w zaniedbaniu, a jakie doszły już w swym rozwoju do stanu, grożącego ogólnym interesom ekonomicznym kraju, skutkiem przesadnéj nadprodukcyi, korzystnéj dotąd dzięki chwilowo przyjaznym okolicznościom.

Wobec tego, z prawdziwą przyjemnością witamy pomysł redakcyi „*Inżenieryi i budownictwa*", która zamierza zająć się opracowaniem sprawozdania o obecnym stanie przemysłu fabrycznego. jakowe ma być podstawą do obrad przyszłego wiecu techników polskich—w 1885 r. W istocie, jeżeli zjazdy techniczne mają praktycznie oddziaływać na stosunki ekonomiczne kraju, to przedewszystkiém należy udostępnić im materyał faktyczny, na jakim mogły-by oprzeć swoje wnioski i postulaty. W przeciwnym razie, wpływ ich będzie czysto teoretyczny.

Technicy nasi korzystając ze zjazdu w Krakowie, jeszcze w r. b., opracowali wniosek, dotyczący obznajomienia ogółu techników krajowych z materyałami surowémi naszego kraju. Ważna ta sprawa nie mogla być przeprowadzona dla braku czasu. Dziś więc, gdy do nowego wiecu pozostaje jeszcze przeszło dwa lata, słusznie organ warszawskich techników porusza żywotną myśl badań nad przemysłem.

Inicyatorowie projektu zamierzają rozesłać przy wszystkich czasopismach krajowych szemat, obejmujący na jednéj tablicy zestawienie materyałów surowych poszczególnych okolic, wraz z wykazaniem sposobów eksploatacyi tych materyałów. Tablica dzieli się na ośm rubryk następujących: 1) materyały surowe; 2) nazwa miejscowości i czy znajduje się jéj mapa geologiczna; 3) sposób zużytko-

wania materyałów surowych; 4) koszt założenia fabryki, dochód i produkcya roczna; 5) jaki jest wyrób sprowadzany, któryby mógł być w blizkości wyrabianym; 6) ilość wywożonego materyału surowego w dalsze okolice kraju i za granicę; 7) rodzaje wyrobów, jakie z tego materyału można osięgnąć, wreszcie 8) uwagi, bliżéj informujące o ilości i jakości materyału, oraz o łatwości eksploatacyi.

Na podstawie osiągniętych w ten sposób wiadomości, zostanie opracowany temat dla przyszłego wiecu techników: „wskazanie rodzaju i ilości fabryk, jakie w kraju są potrzebne, ażeby zapotrzebowanie wszelkich towarów mogło być zaspokojoném przez wyroby krajowe, bądź wskutek zwiększenia liczby istniejących fabryk, bądź przez założenie nowych, celem wprowadzenia do kraju tych gatunków przemysłu, dla których istnieją u nas materyały surowe.“

Czy projekt powyższy przyjdzie do skutku? Chcemy wierzyć, że tak będzie, chociaż naszém zdaniem w wykonaniu swém napotka on wiele trudności. Kto bowiem ma zapełnić szematy? Odbierze je masa osób—to prawda, czy jednak w téj masie znajdzie się potrzebna liczba nie tylko chętnych, ale i kompetentnych ludzi, którzyby umiejętnie wywiązali się z zadania? Fabrykanci zaś i właściciele zakładów przemysłowych, chociaż podjęta praca i dla nich będzie korzystną busolą, zazwyczaj niechętnie patrzą na tego rodzaju przedsięwzięcia, niesłusznie dopatrując w nich kontrolę swéj działalności. Pozostają więc technicy i tak zwani w języku gazeciarskim „ludzie dobréj woli.“

Jeżeli od przyszłego wiecu technicznego możemy się spodziewać istotnego wpływu na nasz przemysł fabryczny, to czegoś podobnego również mamy prawo żądać i od zjazdu polskich górników, jaki ma być otwarty w Warszawie w 1883 r. W liczbie surowych materyałów, bogactwa mineralne zajmują w królestwie miejsce pierwszorzędne. Obfite pokłady węgla kamiennego, którego zapas w jednéj tylko Dąbrowie starczy jeszcze na lat 400, bogate rudy żelazne, marmur, bursztyn, siarka, miedź, ołów i galman—wszystko to spoczywa w łonie ziemi, dotąd w bardzo słabym stopniu eksploatowane.

Budująca się obecnie kolej dąbrowsko-iwangrodzka bezwątpienia da nowy popęd do rozwoju naszego górnictwa. Jeżeli bowiem dziś kopalnie na południu królestwa nie rozwijają swéj działalności na szerszą skalę, jeżeli nie powstają nowe zakłady, — wszystko to można objaśnić brakiem środków komunikacyjnych. Nowa zaś droga żelazna owtorzy produkcyi górniczéj główne rynki zbytu, dotąd dla niéj niedostępne.

W tę właśnie stronę należy zwrócić nasze kapitały. Przemysł górniczy, jako oparty na wyzysku surowych materyałów krajowych, powinien zajmować wybitne stanowisko w naszéj produkcyi ogólnéj. Wysoka wartość tych materyałów zapewnia im zawsze chętnych nabywców, na co zwracamy uwagę kapitalistów, zarówno jak i na tę okoliczność, że przemysł górniczy nie dotknął jeszcze wielu miejscowości, obfitujących w materyały kopalne, lub dotknął je bardzo słabo.

Z główniejszych zakładów górniczych zasługuje dziś na uwagę: 45 kopalń węgla z produkcyą roczną przeszło 80 milj. pudów; 40 zakładów, wyrabiających żelazo, z produkcyą przeszło 1.300.000 pudów; 30 fabryk surowcu z produkcyą roczną 2 milionów pudów, i 2 zakłady stali z produkcyą 4 milj. pudów. Cyfry te wskazują jak wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Dwa zakłady produkują więcéj stali, niż 30 zakładów—surowcu, co chyba najlepszym jest dowodem słabego wyzysku rudy żelaznéj, pomimo silnego jéj zapotrzebowania.

Wobec takiego stanu rzeczy z jednéj strony, z drugiéj zaś wobec naturalnéj potrzeby rozwinięcia eksploatacyi materyałów mineralnych, zbytecznémby byłoby podnosić w tém miejscu doniosłość zjazdów górniczych. Nie poruszając téż téj kwestyi, zwrócimy natomiast uwagę na sprawy najpilniejsze, jakie pragnęlibyśmy widzieć w programie zjazdu w 1883 r.

Okręg górniczy obejmuje południowo-zachodnią część Królestwa, które posiada wszelkie warunki po temu, ażeby z czasem stała się wielkiém ogniskiem przemysłu górniczego. Nie jest on jednolitym pod względem rodzaju zasobów mineralnych i właściwie tworzy dwa okręgi górnicze—zachodni i wschodni, wybitnie różniące się jeden do drugiego. W pierwszym bowiem spotykamy liczne kopalnie węgla, blizko z sobą sąsiadujące i równie liczną ludność roboczą, podczas gdy w drugim, wschodnim, przeciwnie, uderza nas różnorodność zakładów, porozrzucanych na całéj jego przestrzeni i znacznie mniejsza cyfra górników.

Ten odrębny charakter obu okręgów górniczych powinien być głównym przedmiotem rozpraw zjazdu, mającego na celu obmyślenie sposobów rozwoju produkcyi górniczéj i środków zabezpieczenia bytu ludności roboczéj. Sposoby te i środki muszą być odmienne w obu okręgach, właśnie wskutek ich cech odrębnych.

Co do pierwszego t. j. środków podniesienia górnictwa, zjazd przedewszystkiém ma do zbadania obecny stan kopalń i zakładów i dopiero na tém tle stosunków faktycznych, biorąc pod uwagę no-

we korzystne warunki komunikacyjne, będzie mógł wskazać sposoby, któreby najskuteczniéj doprowadziły do zamierzonego celu. Co do drugiego zaś, zjazd powinien wystąpić z inicyatywą w sprawie wzorowych urządzeń robotniczych, które zapewniłyby licznéj klasie górników pomoc w wypadkach losowych i bezpieczeństwo w pracy. Dziś bowiem rzadko gdzie kopalnie pochłaniają tak znaczny procent ofiar pośród ludności roboczéj jak u nas. Z ogłoszonéj niedawno w dziennikach statystyki. dowiadujemy się, że w 1879 r. na 5,330 robotników pracujących w jednych tylko kopalniach węgla kamiennego, ucierpiało *przy pracy* 33 górników, czyli 5.06 na 1,000, w 1880 r. ucierpiało 14 na 1,000, a w 1881 r. 4.9 na 1,000. Dla innych zakładów górniczych odnośnych cyfr nie posiadamy.

Na podstawie powyższych danych (wyłączając rok 1880, nienormalny skutkiem wyjątkowéj katastrofy, jaka dotknęła podówczas jednę z kopalń), przyjąć możemy, że średnio w królestwie zostaje poszkodowanych blisko 5 górników na 1,000 pracujących w kopalniach węgla.

Jak wysoki jest ten stosunek, poucza następujące zestawienie. Podług najświeższéj statystyki, wydanéj w r. b. przez Haushofera, na 1,000 robotników w kopalniach węgla, ulega wypadkom w Niemczech 1.89, w Belgii 2.8, w Anglii 4 5 górników. A więc wysoką cyfrą wypadków górujemy nad całą prawie Europą!

Tak w górnictwie, jak i w innych gałęziach naszéj pracy ekonomicznéj, błąkamy się niepewni każdego kroku. Np. nie wiemy dokładnie, ile kraj nasz posiada robotników górniczych? Liczba ich jednak musi być już dość znaczna, skoro same kopalnie węgla zatrudniają przeszło 6,000 górników. Wnosząc z téj jednéj cyfry, możnaby przypuszczać, że ogół zakładów górniczych w Królestwie posiłkuje się pracą co najmniéj 15,000 robotników, a cyfra ich w przyszłości wzrastać będzie.

Okoliczność tę zjazd górniczy powinien przewidzieć i obmyślając środki podniesienia produkcyi, powinien zarazem obmyślać sposoby przygotowania odpowiednich sił roboczych, w myśl nowych, zwiększonych potrzeb. Sądzimy bowiem, że kraj nasz jest w stanie dostarczyć kopalniom własnego robotnika, należy go tylko przygotować. W tym celu należy urządzić w okręgu górniczym kilka szkół specyalnych, których dotąd brak nam zupełnie. W szeregu przyczyn wysokiéj cyfry nieszczęśliwych wypadków w naszych kopalniach bezwątpienia nie ostatnie miejsce zajmuje brak wyrobienia fachowego w krajowym robotniku. To też, nietylko ze względu na nowe potrzeby górnictwa, lecz i dla zabezpieczenia losu górników, szkoły, o jakich mówimy, są niezbędne.

Takim powinien być program obrad przyszłorocznego zjazdu górniczego. Czy on odpowie naszym oczekiwaniom, przyszłość pokaże.

Sprawa przemysłu fabrycznego roztrząsaną jest nietylko w artykułach dziennikarskich i na specyalnych wiecach, lecz także i w odnośnych sferach rządowych, z tą wszakże różnicą, że gdy pierwsze uderzają na nienormalny stosunek produkcyi fabrycznéj do produkcyi krajowéj wogóle, ostatnie tak daleko nie idą, poprzestając na wprowadzeniu reform i niezbędnych ulepszeń.

Mamy tu na myśli świeżo ogłoszone prawo o małoletnich robotnikach fabrycznych, które ma wejść w wykonanie z d. 13 maja 1883 r. Prawodawca umyślnie odroczył termin reformy, ażeby pozostawić władzy administracyjnéj czas do przygotowania dla niéj gruntu. Prawo to wpłynie zarówno na stosunki przemysłowe Królestwa, jak i Cesarstwa. W kraju naszym pracuje obecnie po fabrykach i większych zakładach z górą 100,000 robotników, w liczbie których dzieci, używane do robót pomocniczych, stanowią w przybliżeniu do 10 proc. Grunt więc do reformy jest, należy ją tylko przeprowadzić umiejętnie.

Za granicą prawa normujące pracę małoletnich robotników fabrycznych, zawsze pozostawały w związku z ich obowiązkowém nauczaniem. Czy to weźmiemy pod uwagę angielski *bil robotników* z 1869 r., czyli francuski *system demi-temps*, zainaugurowany w 1874 r. czy wreszcie prawodawstwo niemieckie, — wszędzie ograniczano liczbę godzin pracy małych robotników na korzyść ich nauczania. Reformie takiéj należy przyznać zupełną słuszność. Dzieci fabryczne—że pominiemy w téj chwili względy sanitarne—zawsze pracują pod okiem starszych. Jeżeli zamkniemy dla nich fabryki, a jednocześnie nie otworzymy szkół, cóż się stanie z masą wyrostków pozostawionych wyłącznie samym sobie? Odpowiedź łatwa: zamiast pożytecznych pracowników wyrosną z nich przyszli mieszkańcy domów więziennych.

Wyżéj podaliśmy cyfrę dzieci fabrycznych u nas na 10 proc. ogólnéj liczby robotników. W wielkich jednak zakładach stosunek ten jest znacznie wyższy. W takich np. olbrzymich fabrykach jak Szajblera w Łodzi, pracuje obecnie 37 proc. dzieci w wieku do lat 12-tu i 15 proc. w wieku do lat 15! Pozostają one przez cały dzień pod okiem starszych, którzy w każdéj chwili mogą zwracać uwagę na ich postępowanie. Wypuśćmy ich z fabryki i zostawmy w domu, a bezwątpienia zaczną grać w kości, rozpróżnują się, nabiorą złych nałogów. Właściwym więc punktem wyjścia wszelkich reform w sprawie młodych robotników fabrycznych jest *połączenie zakresu pracy z przymusem nauki*.

Wczytując się w ostatnie prawo, jakie w téj mierze ma u nas obowiązywać, widzimy, że i ono zmierza do podobnego połączenia dwóch zasad—chociaż bardzo niewyraźnie. Oto w art. 5 tego prawa czytamy rozporządzenie, ażeby dzieci fabryczne, które nie mają jeszcze świadectwa z ukończenia przynajmniéj jednoklasowéj szkoły ludowéj lub innego zakładu, swoim programem odpowiadajacego takiéj szkole, uczyły się w niéj co najmniéj przez 3 godziny dziennie. Przygotowawcze zaś roboty, jakie mają utorować drogę reformie, podjęte przez ministeryum finansów, przekonywają także, że władze przełożone na punkt ten szczególną zwracają uwagę. Ministeryum bowiem zbiera obecnie szczegółowe wiadomości o szkołach, istniejących przy zakładach fabrycznych lub w ich okolicy. Ponieważ w Cesarstwie i Królestwie obowiązkowego nauczania niema, kroki więc, o jakich tu mówimy, mają na celu możliwe pokonanie trudności, które mogłyby powstać po reformie, wskutek braku dostatecznéj liczby szkół elementarnych. Chociaż podobne zapełnienie luki w prawodawstwie krajowém nie jest rzeczą łatwą i nie zawsze jest skuteczne, sądzimy jednak, że gdy praktyka pierwszych lat stosowania nowego prawa ujawni jego wady i niedokładności, pożądana reforma szkolna stanie się potrzebą naturalną.

Przechodząc od tych ogólnych wniosków do szczegółów omawianego prawa, pozostaje nam jeszcze wykazać główne zasady właściwéj reformy, t. j. ograniczenia pracy małoletnich.

Odnośne przepisy zostały zawarte w czterech artykułach I-go rozdziału, których treść jest następująca. Dzieci do 12-go roku życia zupełnie nie mogą być używane do robót w fabrykach; dzieci zaś w wieku od 12—15 roku mogą pracować w zakładach, lecz nie dłużéj nad 8 godzin dziennie, nie licząc w to czasu przeznaczonego na śniadanie, obiad, wieczerzę, szkołę i odpoczynek. Nadto, robota téj kategoryi małoletnich nie może trwać bez przerwy dłużéj nad 4 godziny. Dzieci do 15-go roku życia nie mogą pracować w nocy, t. j. od godziny 9 wieczorem do 5 rano, a także w dni świąteczne i galowe. Wreszcie dzieci do 15 roku nie mogą być używane do takich robót, które z natury swéj są szkodliwe dla zdrowia, lub téż nie odpowiadają sile małoletnich.

Wspomnieliśmy poprzednio, że obecnie przygotowuje się grunt dla téj reformy. Ministeryum finansów rozesłało fabrykantom szematy, które wraz z odpowiedziami na postawione w nich pytania, mają być zwrócone przed nowym rokiem. W ten sposób ministeryum zbierze interesujący materyał do charakterystyki stosunków robotniczych.

Szematy, które nadeszły już i do naszych fabryk, zawierają między innemi następujące rubryki: ilu robotników pracuje w fabryce latem, ilu w zimie, a ilu przez rok cały; ile pracuje dzieci w wieku do 10-go roku życia, ile w wieku do 12 roku, a ile w wieku od 12—15 roku, bez różnicy płci; o któréj godzinie rano rozpoczyna się robota w fabryce, o któréj się kończy i z jakiemi przerwami jest połączona; czy robotnicy pracują w nocy i czy praca ta wymaga udziału małoletnich; w jaki sposób są wynagradzani małoletni; czy fabryka posiada własną szkołę, czy dzieci fabryczne uczęszczają do niéj; jeżeli fabryka nie posiada szkoły, to jak odległą od niéj jest szkoła najbliższa i z jakich funduszów się utrzymuje i t. d.

W téj chwili nie możemy przesądzać wpływu nowego prawa na stosunki fabryczne w kraju naszym, zdaje się jednak, że oprócz zabezpieczenia zdrowia małoletnich, pociągnie ono za sobą szersze skutki. Warunki, przyjazne rozwojowi wielkiego przemysłu, dotąd pozostały bez zmiany, nie można się więc spodziewać, ażeby prawo, ograniczające udział dzieci w pracy fabrycznéj, spowodowało redukcyą sił roboczych; przeciwnie, wywoła ono zwiększenie się liczby dorosłych robotników fabrycznych. Będzie to pierwszy jego skutek, prowadzący za sobą podniesienie skali wynagrodzenia, co bezwątpienia wpłynie na podrożenie fabrykatów.

Mówiąc o przemyśle fabrycznym, mimowoli przychodzi na myśl inna, wprost przeciwna gałęź produkcyi— przemysł domowy, przez włościan uprawiany. Czytając sprawozdania z olbrzymich postępów tego przemysłu w Cesarstwie, musimy przyznać, że u nas na tém polu nic prawie dotąd nie zrobiono. Wprawdzie koszyki, samodział, płótna i wyroby z drzewa posiadają już pewną i ustaloną renomę, wprawdzie niektóre okolice rozwijają coraz bardziéj produkcyą domową, lecz pomimo to nie możemy jeszcze powiedzieć, że dziś przemysł drobny wpływa na dobrobyt włościan, przyczyniając się do powiększenia ich dochodów.

Jest to sprawa nieznmiernie ważna. Wzrost ludności pociąga za sobą podział gruntów, stanowiących własność włościańską, na coraz bardziéj drobne działy, których uprawa nie wymaga wielkiego zachodu. Małorolny gospodarz rozporządza czasem, jaki mu pozostaje od pracy około roli, może więc spożytkować go w kierunku przemysłowym. Zyskają na tém tak drobne gospodarstwa, jako też ogólna ekonomia kraju. W obecnych warunkach włościanin nasz traci nieprodukcyjnie masę dni roboczych, a kraj — masę sił wytwórczych.

Czyby się nie dało użyć téj siły na korzyść krajowego wytwórstwa? Sądzimy że wszelkie nawoływania prasy, jako niedochodzą-

ce zainteresowanych, nie wiele pomogą. Tu potrzeba wystąpić z inicyatywą praktyczną, a taką dać może tylko instytucya, posiadająca odpowiednie pełnomocnictwa. Wprawdzie nie obfitujemy w urządzenia publiczne, mające na celu ogólne sprawy ekonomiczne, w tym jednak razie szukać daleko nie potrzeba. Wszak istnieje z funduszów składkowych powstałe i funduszami temi utrzymywane Muzeum rolnictwa i przemysłu, które mogłoby sprawę tę wziąć pod opiekuńcze swoje skrzydła. Nie potrzebujemy wskazywać środków, jakie byłyby wstanie ożywić przemysł domowy. Muzeum, jako instytucya popierająca przemysł krajowy, sama je odnajdzie, skoro weźmie do serca potrzebę podniesienia téj sprawy. A że potrzeba ta jest i czuć ją dotkliwie, na to każdy posiada liczne dowody. Między innemi dość przytoczyć choćby ten, że śród włościan znajduje się obecnie 1,558,500 mieszkańców wsi, którzy dla braku dostatecznego uposażenia gruntownego, szukają sposobów zarobkowania bądź w miastach, bądź na folwarkach. Lecz cyfra ta bynajmniéj nie wyczerpuje całego zasobu sił, jakie możnaby spożytkować z korzyścią dla domowego przemysłu. Obejmuje ona tylko włościan, których grunta wynoszą mniéj niż 6 morgów, oraz tych, którzy wcale nie posiadając własności gruntowéj, tworzą klasę najemników. Do powyższego więc należy dodać wszystkich tych drobnych gospodarzy, których osady nie wyczerpują ich pracy i umożliwiają zajęcie się wytwórstwem przemysłowém. Liczba ich ustawicznie wzrasta, ponieważ mnożą się działy familijne pomiędzy włościanami, tak iż śmiało twierdzić można, że przeważna część gospodarstw drobnych przedstawia wdzięczny materyał do zaszczepienia na ich gruncie przemysłu domowego.

Warszawskie muzeum rolnictwa i przemysłu rozwija swoję działalność, lecz słuszność przyznać każe, że zbyt rutynicznie trzyma się drogi, na jaką raz weszło.

Ażeby nas nie posądzono, że rzucamy słowa na wiatr, zatrzymamy się w tem miejscu nad ostatniém sprawozdaniem Muzeum za rok 1881, które z niewiadomych przyczyn dopiero w październiku r. b. było gotowe. Sprawozdanie to zawiera *półtora arkusza pisma*, Muzeum bowiem nie uważa za potrzebne ogłaszać drukiem swoich roczników. W sprawozdaniu tém nie znajdujemy wiadomości o liczbie członków i sumie funduszów. Wprawdzie wiadomości te nie są konieczne, lecz ogłaszanie ich przypomniałoby publiczności o istnieniu muzeum, a wykazując możliwą jego użyteczność, zachęcało większą ilość osób do pieniężnego udziału w popieraniu instytucyi.

Fundusze muzeum powstają z kilku źródeł: 1) z jednorazowych i corocznych składek członków; 2) z opłaty za zwiedzanie Muzeum

i urządzanie przy niém wystaw czasowych. 3) z ofiar dobrowolnych na urządzenie i utrzymanie Muzeum; wreszcie 4) z opłaty za analizy chemiczne, dokonane w laboratoryum doświadczalnem, znajdującém się przy Muzeum, a także za czasowe umieszczanie w Muzeum okazów wynalazków, tak miejscowych, jak zagranicznych. (§ 4 ustawy.)

Dotąd mało kto zwiedzał zbiory muzealne, ponieważ jeszcze do zwiedzania tak dalece nic nie mamy: nie wielu też było wynalazców i przemysłowców, którzyby wystawiali okazy godne widzenia w lokalach muzeum, ponieważ dotąd odpowiedniego lokalu nie ma (dwa lata temu wynalazki p. Wierzbińskiego były eksponowane przez Muzeum, lecz w czasowo najętym lokalu w pałacu Brühlowskim podczas ówczesnej wystawy), to jednak z pozostałych źródeł Muzeum osiąga corok znaczne fundusze, które mogłoby podać w sprawozdaniu rocznem do wiadomości publicznéj, z korzyścią dła własnej sprawy.

Wiedząc teraz, czego w sprawozdaniu nie ma, spójrzmy z kolei na to, co w niem jest.

Otóż jest w niém kilka szczegółów o pracowni chemicznej, o stacyi oceny nasion, o salach rysunkowych i o wystawach zeszłorocznych, z inicyatywy Muzeum urządzonych. A na czele sprawozdania jest *treściwy* inwentarz zbiorów muzealnych, niezmiernie charakterystyczny: Muzeum rolnictwa i przemysłu „posiada w swych zbiorach 2394 okazów, z których 1566 należy do działu przemysłu, a 828 do działu rolnictwa; w bibliotece zaś znajduje się 598 dzieł w 793 tomach treści technicznej, przemysłowej i rolniczej.“ Jest to cały inwentarz muzeum.

O dotychczasowej działalności Muzeum świadczyć może najlepiej ta okoliczność, że szerszy ogół zna instytucyą jedynie z urządzanych przez nią wystaw. Tak zwane urządzenia pomocnicze, przy Muzeum istniejące, są dostępne dla szczupłego koła wtajemniczonych w ich egzystencyą. W ich liczbie stosunkowo najwięcej energii rozwija stacya oceny nasion, która *drukuje* swoje sprawozdania i ciekawsze spostrzeżenia podaje do wiadomości ogółu za pośrednictwem dzienników. Czuć też, że stacya stara się rozszerzyć swoję działalność, zachęca bowiem rolników do korzystania z jej pomocy, wskazuje na korzyść z oceny nasion, słowem rusza się i żyje. Wprawdzie wpływ jej jest jeszcze bardzo ograniczony, lecz to pochodzi nietyle z winy stacyi, ile z winy rolników, zbyt mało interesujących się pożyteczném tém urządzeniem. Przekonywa o tém następujące zestawienie. Stacya rozpoczęła swoję działalność z dniem 1 grudnia 1880 r. i od tego czasu do 1 września 1881 r. oznaczyła wartość użytkową 302 prób nasion. W tej liczbie olbrzymią wię-

kszość, bo aż 207 prób przesłały dla oceny stacyi składy nasion i cukrownie, i tylko 61 prób nadesłali ziemianie.

Najjaśniejszą jednak stroną w dotychczasowej działalności Muzeum są sale rysunkowe, w których bezpłatnie pobiera naukę rysunku młodzież rzemieślnicza płci obojga. W 1881 r. korzystało z tego urządzenia ogółem 111 mężczyzn i 98 kobiet! W liczbie pierwszych spotykamy 21 ślusarzy, 8 mechaników, 14 stolarzy, 6 tokarzy 2 cieśli, 4 rysowników (?), 2 brązowników, 20 jubilerów i rytowników 4 zegarmistrzów, 15 sztukatorów i modelatorów, 9 malarzy pokojowych, 2 pozłotników i drzeworytników. Z kobiet zaś najwięcéj uczęszczało do sal szwaczek, modniarek, drzeworytniczek, introligatorek i nauczycielek. Sale te powstały w połowie 1878 r., głównie dla młodzieży pracującej po fabrykach i warsztatach. Wzrost liczby pragnących korzystać z nauki rysunku spowodował, że wkrótce rozszerzono sale rysunkowe dzieląc je na dwa oddziały—techniczny i rysunku ręcznego. Sale te mogą przynieść wielki pożytek, wątpić też nie należy, że z czasem, gdy Muzeum już się pobuduje, otrzymają one odpowiednie co do światła i przestrzeni urządzenie, któreby odpowiadało wzrastającym potrzebom.

Tak sale rysunkowe, jakoteż i stacya oceny nasion, oraz laboratoryum chemiczne można uważać za urządzenia samodzielne. Powstały one z inicyatywy Muzeum, jego ustawą do życia powołane, lecz raz wprowadzone w ruch, rozwijają się daléj siłą własną. To też urządzenia te nie powinny zamykać całej kompetencyi Muzeum, jak to ma miejsce w obecnych warunkach, gdy oprócz wystaw, punkt ciężkości w czynnościach instytucyi spoczywa w trzech właśnie urządzeniach pomocniczych.

Co do wystaw, to te nie pochłaniają tak wiele czasu i środków, by nie pozostawiały nic dla innych celów. Przeciwnie, trwają one zaledwie kilka tygodni i zawsze przynoszą znaczny dochód. Możnaby więc pomyśléć choćby o odczytach publicznych. Nie myślimy bynajmniej obniżać wpływu wystaw; przeciwnie, są one bardzo skutecznym środkiem poznania krajowej produkcyi, ulepszenia jej i rozszerzenia zbytu. Lecz i w téj dziedzinie możnaby zaprowadzić pewne zmiany. Przedewszystkiem zaś życzyć należy, ażeby Muzeum podjęło się urządzenia szeregu wystaw rolniczo- przemysłowych na prowincyi.

Od pewnego czasu coraz częściej odzywają się głosy podobne pod adresem Muzeum. Wszystkie względy przemawiają za tém. Muzeum ma prawo, ustawą przyznane, urządzania wystaw, ma daléj prawo nagradzania wystawców medalami, wreszcie ma wprawę w tego rodzaju urządzeniach, dla tego też jemu najstosowniéj było

by wziąć na siebie w tej sprawie początkowanie i kierunek. Wszak wystawa lubelska, pomimo że zebrane zostały odpowiednie dla niéj fundusze, nie przychodzi do skutku. Taki los zapewne dotknie i projektowaną wystawę łomżyńską.

Dotąd w kraju wystaw podobnych nie było. Należy więc przełamać formalistykę administracyjną, wyjednać pozwolenie, wyszukać środki nakładowe i t. d. Wszystkie te przeszkody może byłyby łatwiéj usunięte, gdyby sprawę tę wzięło w swe ręce Muzeum. Nadałoby ono wystawom prowincyonalnym cechę poważną prawdziwych wystaw rolniczo-przemysłowych.

Muzeum rolnictwa i przemysłu tak ze względu na własną powagę, jak ze względu na cel, który sobie przy założeniu swém założyło, powinno przedewszystkiém jaknajenergiczniéj ukończyć zbyt powolnie prowadzone roboty budowlane, mieć własny dach i urządzić się. Wszak w naczelnym artykule ustawy powiedziano, że celem jego jest „podać przemysłowcom i gospodarzom wiejskim możność *naocznego badania* przedmiotów, mających związek z rodzajem ich zajęć, tudzież *zapoznawania się* z ulepszonémi narzędziami i sposobami produkcyi“. Czy dziś Muzeum jest w stanie odpowiedzieć temu przeznaczeniu? Nie — dziś bowiem nietylko że nie ma *co* badać i z *czém* zapoznawać się, lecz nawet nie ma *gdzie* prowadzić tych studyów praktycznych.

Po urządzeniu się zewnętrzném, Muzeum powinno niezwłocznie przystąpić do urządzenia wewnętrznego, ogłosić inwentarz swoich zbiorów, katalogi i pilniejszą niż dotąd zwrócić uwagę na skompletowanie tych zbiorów i biblioteki. Wówczas bowiem dopiero będzie mogło otworzyć swe urządzenia dla użytku publicznego w istotném tego słowa znaczeniu, a działalność jego będzie się ujawniać nietylko w urządzaniu wystaw, lecz i w stałém oddziaływaniu na przemysł i rolnictwo, w stałéj pomocy obu tym gałęziom produkcyj.

Posiadamy jednę tylko instytucyą dla spraw ekonomicznych, nic więc dziwnego, że pragniemy widzieć ją w całéj pełni rozwoju, że życzylibyśmy, aby wpływ jéj stawał się coraz donioślejszym, że oczekujemy od niéj wszechstronnéj działalności. Jesteśmy też mocno przekonani, że gdyby Muzeum żywiéj zaczęło się krzątać, zyskałoby na wzroście członków i ogólném zainteresowaniu się jego losami. Wszak 25 rs. rocznéj składki nie jest znowu sumą tak wielką, by w niéj tylko należało szukać przyczyn słabego udziału rolników i przemysłowców w popieraniu tyle pożytecznéj instytucyi.

Wspominaliśmy wyżéj o potrzebie podniesienia u nas przemysłu domowego. Gdy na prywatną inicyatywę trudno w tym względzie oczekiwać, a o urzędowéj jakoś nie słychać, tylko Muzeum mogłoby

podjąć się téj pracy. Myśl to wcale nie fantastyczna, a przykład bliźkiéj Galicyi, z któréj tak często lubimy żartować, wskazuje ile na téj drodze dokonać dobrego można.

U nas drobna własność bardzo mało zwraca dotąd na siebie uwagę prasy i publiczności wykształconéj; dość powiedzieć, że nie przebrzmiał jeszcze spór teoretyczny, — co odpowiada bardziéj potrzebom rolnictwa—drobne czy wielkie gospodarstwa? Świeżym tego dowodem ostatnie artykuły *Gazety Rolniczéj* „o parcelacyi, jako programie społecznym". Na cóż się przyda spór podobny, jeżeli życie płynie daléj swoim trybem, a teorya odbiega od praktyki! Choćbyśmy tysiąc razy powtórzyli i zgodzili się na to, że parcelacya jest szkodliwa, że produkcya drobnych gospodarstw jest niższą od produkcyi wielkich majątków, — nie wstrzymamy wypadków, bo te, parte siłą głębszych przyczyn, niż argumenty teoretyczne, dążą właśnie do rozrostu mniejszéj własności. Zamiast więc coraz daléj zagłębiać się w teoryą i spory, należy uznać fakta i zastanowić się nad środkami, zdolnemi przyczynić się do uregulowania nowych stosunków. Dotąd bowiem stosunki te napotykały same trudności, dla pokonania których musiano się uciec do symulacyi i licznych sposobów obejścia zakazu.

Dla przykładu spójrzmy na stosunek Towarzystwa kredytowego ziemskiego do parcelacyi.

Nie wchodzimy w tém miejscu w rozstrzygnięcie pytania, czy parcelacya jest pożyteczną lub szkodliwą. Chociażby nawet złą być miała, jak tego chcą niektórzy, to wobec faktu niezaprzeczonego, że co rok znaczne obszary folwarczne idą na sprzedaż w podziale na drobne parcele, że własność włościańska powiększa się bezustannie kosztem własności większéj, każdy przyznać musi, że złe to jest koniecznéem, a jako takie zyskuje prawo obywatelstwa w szeregu objawów ekonomicznych i społecznych.

Towarzystwo kredytowe ziemskie inaczéj się na to zapatruje. Tak dotychczasowa praktyka, przez dyrekcyą przyjęta, jako téż ostatnie zmiany w świeżo dokonanéj kodyfikacyi, przekonywają, że Tow. kr. z. wypowiedziało walkę parcelacyi pod pozorem obrony interesów instytucyi.

Towarzystwo wymaga, ażeby majątki nie były parcelowane bez jego wiadomości i zezwolenia. Praktyka jednak żądaniu temu częstokroć nie czyni zadość: dobra, pożyczką Towarzystwa obciążone, bywają sprzedawane bez udziału tegoż, Towarzystwo zaś chcąc nie chcąc, musi przyznać fakt dokonany. Musi przyznać, jeżeli nabywcy cząstkowi nie godzą się jednocześnie przeprowadzić pomiędzy sobą rozdziału hipoteki i pożyczki, lecz raty regularnie wnoszą; musi przyznać: jeżeli nabywcy żądają rozdziału, lecz niektórzy z nich, nie

odpowiadając warunkom wymaganym dla zakwalifikowania ich do pożyczki, odmówią wypłaty sum wypowiedzianych, a przyznać musi dla tego, że wszelka walka w obronie prawa byłaby tu bezskuteczną. Osiągnięta bowiem ze sprzedaży drobnych osad suma nie pokryje pretensyi. Jest to nowy dowód bezsilności prawa, sprzecznego z życiem i faktami.

Towarzystwo ma zupełną słuszność, broniąc interesów swoich. Lecz właśnie interesa te winny były wskazać, że nie utrudnianie stosunków, lecz ich opanowanie przez towarzystwo i regulacya, ułatwiająca układy parcelacyjne są w stanie usunąć dotychczasowe symulacye i ujawnić to, co dziś wobec prawa jest nielegalne i pokryte tajemnicą. Do takiego jednak wniosku nie przyszło towarzystwo, skoro w naczelnych artykułach tytułu pierwszego nowego projektu kodyfikacyi czytamy przepis, że „dobra jedną księgą hypoteczną objęte, lecz złożone z części, stanowiących oddzielne gospodarstwa, należące do różnych właścicieli, choćby tylko tytuł własności na jednego był uregulowany, z pożyczek towarzystwa korzystać nie mogą". Bezwątpienia, przepis ten gwarantuje towarzystwu całość dóbr zastawionych do czasu umorzenia, lecz czy gwarancya ta będzie skuteczną w życiu? Nie chcemy przesądzać sprawy, lecz nam się zdaje, że pod względem zniewalających okoliczności znajdą się sposoby obejścia tej *dura lex*.

Ostatnia kodyfikacya przyniosła nam jeszcze jednę niespodziankę — ograniczenie kredytu dla drobnych gospodarstw. Nie jest ono wprowadzone do projektu, jako przepis wprost wypowiedziany, lecz pośrednio wypływa z podniesienia minimum pożyczki. Dotąd najniższą pożyczką był sturublowy list zastawny, odtąd minimum to ma wynosić 500 rs. Jeżeli projektowane minimum zostanie przyjęte, z kredytu Towarzystwa będą mogły korzystać gospodarstwa włościańskie i inne drobne, których obszar gruntowy będzie wynosił średnio 22 morgi. Mniejsze osady o tyle tylko będą mogły zaciągać pożyczki, o ile wartość ich szacunkowa zostanie podniesiona przez lepszy gatunek gleby lub łąki, do ich składu wchodzące.

Taksa stanowi jednę z ważniejszych reform w obecnéj ustawie towarzystwa. Dotąd stowarzyszeni korzystali z pożyczek nie przechodzących połowy szacunku dóbr. Szacunek ten obliczał się na podstawie czystego dochodu którego wyrazem miał być podatek ofiary przez pięć rozmnożony. Suma ztąd osiągnięta i skapitalizowana mnożnikiem 20, dawała domniemalny szacunek majątku. Taki sposób obliczeń zaprowadziły przepisy kolejno w 1825, 1838, 1852 i 1860 r. Ostatnia ustawa z 1869 r. przyjęła dwa rodzaje szacunku

normalny i taksowy; pierwszy z nich obliczał się na zasadzie podatku głównego i dodatkowego, rozmnożonego przez 80, drugi na podstawie taksy. Nowa kodyfikacya odrzuca wszelkie sposoby szacowania i przyjmuje jeden tylko—taksę, przeprowadzoną przez specyalne delegacye taksowe pod kierunkiem delegatów przysięgłych (13 art. projektu). Potrzeba tėj zmiany już dawno czuć się dawała. Chociaż bowiem od 1825 r. towarzystwo kierowało się innemi zasadami przy obliczaniu szacunku dóbr, na które miała być zaciągnięta pożyczka, wszakże od najpierwszych chwil działalności towarzystwa, tak władze jego naczelne, jako też ogół stowarzyszonych przyznawał, iż tylko taksa jest racyonalną zasadą podobnych obliczeń.

Obliczenie szacunku majątkowego przez taksę nie od razu nastąpi. Projekt kodyfikacyjny zastrzega, że wciągu pierwszych pięciu lat po zatwierdzeniu nowėj ustawy, pożyczka towarzystwa nie będzie mogła przewyższać 80 razy wziętego podatku gruntowego. Przepis ten czasowy ma na celu usunąć wszelkie złe następstwa, jakie mogły-by wyniknąć wskutek zbyt szybkiego przejścia od dawnego systemu obliczeń do nowego. Dopiéro więc po pięciu latach, gdy odpowiedni grunt do zupełnėj reformy zostanie zbadany, władza wyższa ostatecznie wyrzecze o dalszém trwaniu lub ustaniu powyższego ograniczenia.

Zestawiając w dalszym ciągu ustawę z 1869 r. oraz przepisy w rozwinięciu jėj wydane, z projektem nowėj kodyfikacyi, dostrzegamy jeszcze następujące zmiany w dotychczasowych rozporządzeniach, zasługujące na uwagę.

Przyjrzyjmy się im koleją artykułów i rozdziałów, w projekcie przyjętą.

Nowa ustawa utrwala zebranie ogólne, które w przepisach dawniejszych przewidziane nie były. Zebrania takie składają się z radców komitetu i radców dyrekcyi głównėj, oraz z prezesów obu tych władz i dyrekcyj szczegółowych.

Projekt nowėj ustawy nadaje prawo głosowania i wybieralności na radców tylko tym stowarzyszonym, na majątku których ciąży przynajmniéj 3.000 rs. pożyczki towarzystwa. Przepis ten wprowadza nierówność praw pomiędzy stowarzyszonymi. Z jakiéj racyi ci właściciele, którzy korzystają z drobnego kredytu, mają być wykluczeni z listy wyborców? Zdaje się, że głównym motywem tego ograniczenia był wzgląd na drobnych właścicieli, przeważnie włościan, których coraz więcéj przybywa towarzystwu w charakterze stowarzyszonych, między innemi skutkiem parcelacyi. Towarzystwo obawia się, ażeby nieoświeceni jego członkowie nie stali się narzędziem w ręku większych właścicieli przy zabiegach wyborczych. Obawa

ta płonna i nieuzasadniona. Nasza własność drobna nie może dać z pośród siebie kandydatów na posady radcowskie, nie zajmie też ich żaden włościanin. Jako wyborcy zaś nie odegrywają i odgrywać nie mogą wielkiéj roli, choćby dla téj prostéj przyczyny, że w nich zwykle nie biorą udziału. Wszak dotychczasowa historya wyborców stwierdziła, że do miasta dla odbycia elekcyi przybywają jedynie zamożniejsi obywatele. Czyż więc można przypuszczać, że osadnik kilkudziesięcio morgowy porzuci rolę i bez żadnego interesu narazi się dobrowolnie na kosztowną podróż do miasta. Wobec tego nie pojmujemy powyższego ograniczenia, bo chociaż ono nie pociągnie za sobą praktycznych rezultatów, słuszność jednak wymagała zrównać w ustawie większą własność z małą, przynajmniéj pod względem prawa głosowania.

Kodyfikacya wprowadza też przepisy, mające na celu ułatwienia przejścia do bezseryjności listów zastawnych towarzystwa, przyjmuje nowe środki do ich zabezpieczenia na wypadek zatraty lub przypadkowego zniszczenia, rozszera ulgi w rozkładzie rat dla stowarzyszonych, których dobra uległy niespodzianéj klęsce itd

Potrzeby drobnéj własności w nowéj ustawie zupełnie uwzględnione nie zostały, z czego wnosić wypada, że towarzystwo chce pozostać instytucyą, wspierającą wyłącznie własność wielką. Wprawdzie taki był jéj cel pierwotny, taką była cała jéj dotychczasowa działalność, lecz uwzględnić należało znaczną zmianę w stosunkach ekonomicznych kraju, jaka datuje się od czasu ostatnich refom społecznych. Wszak początek w téj mierze dało już prawo z 1869 r. i późniejsze przepisy, wyraźnie dążące do rozszerzenia kredytu towarzystwa dla gospodarstw włościańskich.

Nie wiemy jakie będą losy projektu ostatniéj kodyfikacyi, która ma być jeszcze dyskutowana w ministeryum skarbu. Przypuszczać jednak należy, że w każdym wypadku—czy ustawa zostanie w całości przyjęta, czy też ulegnie modyfikacyi—tow. kr. ziem. pozostanie wierne swéj tradycyi. Większa własność zbyt chłodno jeszcze jest usposobiona względem drobnéj, zbyt lekceważy jéj interesa i nie czuje potrzeby solidarności, by śród przeważnéj liczby stowarzyszonych w gronie naszego ziemiaństwa, wyrobiła się odmienna, bardziéj postępowa, i więcéj zgodna z interesem publicznym opinia.

Obok powyższych spraw, mamy do zanotowania konkurs, ogłoszony przez radę wykonawczą Macierzy Polskiéj.

Konkurs to na trzy broszurki ludowe następujących tematów: 1) o wzajemnych obowiązkach w rodzinie, 2) o poszanowaniu własności, i 3) weterynarya ludowa.

Rada wykonawcza podaje szczegółowy program, podług którego mają być broszurki te napisane.

Tak pierwsza z nich, o wzajemnych obowiązkach w rodzinie (2—3 ark. druku cycerem) ma wskazać ludowi jakie są obowiązki i prawidłowe wzajemne stosunki członków rodziny do siebie. Dla uniknienia zbytniego moralizowania rzecz ta ma być ożywiona przykładami z życia spółczesnego.

W książeczce o poszanowaniu własności (2 ark. druku), autor ma rozwinąć w sposób odpowiedni pojęciom ludu teoryą własności, wskazać jéj prawa nietykalne i zgubne skutki ich pogwałcenia.

W trzeciéj wreszcie, o weterynaryi (4—6 ark. dr.) piszący specyalista wyłoży w sposób popularny anatomią zwierząt domowych i sposoby ich leczenia; nie powinien téż pominąć wskazówek, jakich trzymać się należy przy porodach bydła. W końcu autor ma dać krótką naukę obchodzenia się ze zrebcami i instrukcyą kucia koni.

Nagrodzeni autorowie otrzymają po 30 zł. r. za arkusz druku.

Termin konkursu upływa z ostatnim dniem stycznia 1883 r. Rękopisma mają być nadsyłane na ręce prezesa rady wykonawczéj, pr. Ant. Małeckiego (w gmachu Ossolińskich), z dołączeniem nazwisk autorów w kopertach zapieczętowanych.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Listopada 1882 r.

---

1. **Powstawanie gór i lądów** przez prof: *W. Boberskiego*. Odbitka Wędrowca. Warszawa u Pajewskiego 1883 Dochód na rzecz kasy imienia Mianowskiego.
2. **Karol Rawer**. Polityczne znaczenie zjazdu gnieźnieńskiego w r. 1000. Studyum krytyczne. Lwów u K. Łukaszewicza 1882 8-o str. 47.
3. **Przegląd archeologiczny** organ c. k. konserwatoryi pomników i tow. archeol. krajowege we Lwowie. Zeszyt 1-y r. 1882.
4. **Słownik geograficzny** Kr. Pol. i t. d. Tom III Zeszyt XXXIV (Kałuszczyzna do Kampinos),
5. „**Jerzy**" i „**Fragment**" powieści przez *Walerję Marrené* (Morzkowiską). Warszawa nakład „Mód Paryzkich" 1882
6. **Cudzoziemiec**. opowiadanie przez autorkę „Znakomitości" (*Zofiję Urbanowska*). Warszawa.1883
7. **Ziemia w krajobrazach** (La terre à vol d'oiseau). Geografija przez *Onezyma Reclus*. Tłómaczono z 3-go wydania francuzkiego- Tom I i II. Nakład tłómacza. Warszawa u Wende i spł. 1883.
8. **Ziemia Kujawska**—pod względem jeograficznym, archeologicznym, ekonomicznym i statystycznym opisane przez *Maksymilijana Boruckiego*. Włocławek u Hermana Neumana. Zeszyt 3-ci (str. 63—102).
9. **M. E. Andriolli**. Bohaterki poezyi polskiej. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala (10 drzeworytów z tekstem objaśniajacym) w wielkiej ćwiartce. 1882.

Zaproszenie do przedpłaty na r. 1883.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzić będzie w roku następnym 1883 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku przyszłym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Дозв. Цензурою, Варшава, 20 Ноября 1882 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska 23.